

OBRAZKOWY

KALENDARZ ROLI

NA ROK 1914



S R

Dla Rolników

wielkich, średnich i małych, instytucyą najżywotniejszą jest

Syndykat Rolniczy w Krakowie i we Lwowie

Adres:

SYNDYKAT ROLNICZY

KRAKÓW, pl. Szczepański Nr. 6.

SYNDYKAT ROLNICZY jako największe przedsiębiorstwo handlowo-rolnicze w kraju, może członkom dostarczać WSZELKICH MASZYN ROLNICZYCH (ręcznych, konnych i motorowych), NAWOZÓW, NASION i WĘGLI.

Członkowie Syndykatu (udział sto koron, płatny ewentualnie ratami) korzystają z osobnych opustów.

SPÓŁKI HANDLOWO-ROLNICZE I KÓŁKA ROLNICZE pokrywają w Syndykacie zapotrzebowanie swojej klienteli pod najkorzystniejszemi warunkami.

Adres:

SYNDYKAT ROLNICZY

LWÓW, ul. Kościuszki Nr. 14.

Założone dla opieki nad wychodźcami

Polskie Towarzystwo Emigracyjne

w Krakowie, przy ul. Radziwiłłowskiej l. 21

(dom własny) **prowadzi we własnym zarządzie** (dom własny)

przez c. k. Namiestnictwo koncesyonowane

Biuro

podróży

sprzedające karty okrętowe na rozmaite porty europejskie, do wszystkich portów północnej i południowej

Ameryki.



przez c. k. Namiestnictwo koncesyonowane

Biuro

pośrednictwa pracy

ułatwiające robotnikom rolnym, którzy postanowili wyruszyć za zarobkiem na obczyznę, znalezienie pracy na korzystnych warunkach

we Francyi, Danii, Szwecyi, w Czechach, w Austryi Dolnej i Górnej, na Śląsku, Bawaryi, etc.

Z biurem tem połączona jest oprócz sprzedaży kart okrętowych także sprzedaż biletów kolejowych i wymiana pieniędzy.

Kto tedy poszukuje pracy na obczyźnie, w krajach europejskich, niech podając swój wiek i uzdolnienie, **pisze zawczasu o kontrakt do Polskiego Towarzystwa Emigsacyjnego.**

Kupujcie karty okrętowe tylko w biurze Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego!

Filie Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego

we Lwowie: ul. Szeptyckich Nr. 77,
w Przemyślu: naprzeciw dworca kolei,
w Rzeszowie: ul. Kolejowa i w Brzeżanach.

R. Z DRUKARNI E. I DR. K. KOZIAŃSKICH W KRAKOWIE. 1

OBRAZKOWY

KALENDARZ ROLI

NA ROK 1914

KRAKÓW GRODZKA NR. 25



ZA DARMO I OPŁACONE WYSYŁA BOGATO ILUSTROWANE CENNIKI

SPIS RZECZY NA OSTATNIEJ STRONIE KALENDARZA.

STYCZEŃ ma dni 31.

Dni		Święta rzymsko-katolickie	Słońca Wsch.	Słońca Zach.	Księżyca Wsch.	Księżyca Zach.
1	C.	**Nowy Rok.** Obrz. Pańsk.	7 42	3 46	10 22	9 11
2	P.	Makaryusza, Fulgencyi.	7 42	3 47	10 34	10 20
3	S.	Genowefy, Izaaka.	7 42	3 48	10 45	11 28
		1. Ewangelii niedzielnej niema.				
4	N.	**2 po B. N.** Izab., Eliasza. ☽	7 42	3 49	10 56	rano
5	P.	*Wig. Trzech Kr.* Telesfora.	7 41	3 50	11 08	0 36
6	W.	**Trzech Króli.**	7 41	3 52	11 23	1 46
7	Ś.	Łucyana	7 41	3 53	11 41	2 59
8	C.	Seweryna.	7 41	3 54	0 08	4 14
9	P.	Juliana.	7 40	3 55	0 47	5 27
10	S.	Agatona, Floryana.	7 39	3 56	1 38	6 35
		2. Ewangelia u św. Łuk. w Rozdz. 2. Jezus 12-letni w kościele.				
11	N.	**1 po 3 K.** Hyginusa, Matyldy.	7 38	3 58	2 47	7 31
12	P.	Ernesta, Arkad. ⊛	7 38	3 59	4 08	8 13
13	W.	Weroniki.	7 37	4 01	5 35	8 42
14	Ś.	Hilarego	7 36	4 03	7 03	9 05
15	C.	Pawła pust., Maura.	7 36	4 04	8 29	9 22
16	P.	Marcelego papieża.	7 35	4 05	9 52	9 36
17	S.	Antoniego pust.	7 34	4 07	11 16	9 51
		3. Ewang. u św. Jana w Rodz. 2. Gody w Kanie Galilejskiej.				
18	N.	**2 po 3 K.** *Im. Jezus.*	7 34	4 08	rano	10 06
19	P.	Kanuta, Henryka. ☾	7 33	4 10	0 40	10 22
20	W.	Fabiana i Sebastyana.	7 32	4 11	2 06	10 44
21	Ś.	Agnieszki.	7 31	4 13	3 01	11 12
22	C.	Wincentego i Anastazego.	7 30	4 14	4 50	11 52
23	P.	*Zaśl. NP. i św. Józ.* Ildefonsa	7 29	4 16	5 58	0 46
24	S.	Tymoteusza.	7 28	4 18	6 50	1 54
		4. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 8. O trędowatym.				
25	N.	**3 po 3 K.** *Św. Rodz.* Nawr. ś.P	7 27	4 19	7 28	3 09
26	P.	Polikarpa. ●	7 26	4 21	7 54	4 26
27	W.	Jana Złotoustego.	7 25	4 23	8 14	5 41
28	Ś.	Karola Wielkiego.	7 23	4 25	8 29	6 54
29	C.	Franciszka Salezego.	7 22	4 26	8 40	8 04
30	P.	Martyny.	7 21	4 28	8 51	9 12
31	S.	Piotra z Nolasku.	7 19	4 30	9 02	10 20

Przepowiednie na styczeń. Mróz trwa z małemi przerwami do 20, poczem nastąpi wiatr i nieco łagodniejsze powietrze. **Zmiany księżyca.** 1 Kwadra dnia 4 o godz. 2 09 po poł. Pełnia dnia 12 o godz. 6 09 rano. 3 Kwadra dnia 19 o godz. 1 30 w nocy. Nów dnia 26 o godz. 7 34 rano.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.

LUTY ma dni 28.

Dni		Święta rzymsko-katolickie	Słońca Wsch.	Słońca Zach.	Księżyca Wsch.	Księżyca Zach.
		5. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 8. Jezus uśmierza burzę na morzu.				
1	N.	**4 po 3 K.** Ignacego b. m.	7 18	4 31	9 14	11 30
2	P.	**NMP. Gromn.**	7 16	4 33	9 28	rano
3	W.	Błażeja bisk. i męcz.	7 16	4 35	9 44	0 40
4	Ś.	Andrzeja Kors.	7 13	4 37	10 06	1 54
5	C.	Agaty, Pawła, Jana, Jakóba.	7 12	4 38	10 38	3 07
6	P.	Tytusa, Doroty p. i m.	7 10	4 40	11 21	4 17
7	S.	Romualda i Ryszarda	7 09	4 42	0 21	5 18
		6. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 20. O robotnikach w winnicy.				
8	N.	**Starozap.** Jana z Maty w.	7 07	4 44	1 37	6 05
9	P.	Cyryla Alex.., Apolonii.	7 06	4 46	3 03	6 41
10	W.	Scholastyki p., Wilhelma.	7 04	4 47	4 33	7 07
11	Ś.	Zjawienie NMP. w Lourd.	7 02	4 49	6 02	7 26
12	C.	Siedmiu Serwitów,	7 01	4 51	7 31	7 42
13	P.	Katarzyny Ricci.	6 59	4 52	8 57	7 57
14	S.	Walentego.	6 57	4 54	10 25	8 11
		7. Ewang. u św. Łuk. w Rozdz. 8. O rozmaitej roli.				
15	N.	**Mięsop.** Faustyna męcz.	6 55	4 56	11 52	8 28
16	P.	Julianny p. i męcz.	6 53	4 57	rano	8 47
17	W.	Sabina.	6 51	4 59	1 19	9 13
18	Ś.	Symeona.	6 50	5 01	2 41	9 50
19	C.	Zuzanny, Konrada.	6 48	5 03	3 53	10 39
20	P.	Leona b.	6 46	5 05	4 49	11 43
21	S.	Eleonory p.	6 44	5 07	5 30	0 55
		8. Ewang. u św. Łuk. w Rozdz. 18. Jezus przepowiada swą mękę.				
22	N.	**Zapust.** Katedry św. P.	6 42	5 08	5 59	2 12
23	P.	Piotra Damiana.	6 40	5 10	6 20	3 27
24	W.	Macieja ap.	6 38	5 11	6 35	4 04
25	Ś.	*Popielec.* Wikt., Małgorz.	6 36	5 13	6 48	5 51
26	C.	Mechtyldy.	6 34	5 15	7 —	7 —
27	P.	Aleksandra.	6 32	5 16	7 11	8 08
28	S.	Romana.	6 30	5 18	7 21	9 16

Przepowiednie na luty. Od 1 do 8 powietrze pochmurne, łagodne, 9 zimno, 10 mróz; od 13 do 26 ciepły wiatr, a potem zimny śnieg. **Zmiany księżyca.** 1 Kwadra dnia 3 o godz. 11 33 przed poł. Pełnia dnia 10 o godz. 6 35 wieczorem. 3 Kwadra dnia 17 o godz. 10 23 przed poł. Nów dnia 25 o godz. 1 02 rano.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.

MARZEC ma dni 31.

Dni		Święta rzymsko-katolickie	Słońca Wsch.	Słońca Zach.	Księżyca Wsch.	Księżyca Zach.
		9. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 4. O kuszeniu Chr. przez dyabła.				
1	N.	**Wstępna.** Albina bisk.	6 28	5 19	7 34	10 26
2	P.	Heleny cesarzowej.	6 26	5 21	7 49	11 38
3	W.	Kunegundy ces.	6 24	5 23	8 08	rano
4	Ś.	*Such.* Kazimierza król.	6 22	5 24	8 35	0 50
5	C.	Fryderyka. ☽	6 20	5 26	9 12	2 —
6	P.	*Such.* Perpetuy i Felicyty,	6 18	5 28	10 03	3 04
7	S.	*Such.* Tomasza z Akwinu.	6 15	5 30	11 10	3 57
		10. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 17. O Przemienieniu Pańskiem.				
8	N.	**Sucha.** Winc. Kadł., Jana B.	6 13	5 31	0 30	4 37
9	P.	Franciszki Rzym.	6 10	5 32	1 57	5 06
10	W.	40 Męczenników.	6 08	5 34	3 26	5 28
11	Ś.	Konstantego.	6 06	5 36	4 56	5 45
12	C.	Grzegorza W. papieża. ●	6 04	5 38	6 25	6 —
13	P.	Nicefora, Eufrozyny	6 02	5 39	7 55	6 16
14	S.	Matyldy.	6 —	5 41	9 27	6 31
		11. Ewang. u św. Łuk. w Rozdz. 11. Pan Jezus wypędza dyabła.				
15	N.	**Głucha.** Klemensa Dworz.	5 58	5 42	10 57	6 51
16	P.	Cyryaka.	5 56	5 44	rano	7 15
17	W.	Jana Sarkandra, Patrycego.	5 54	5 45	0 26	7 48
18	Ś.	Gabryela, Cyryla Jeroz. ☾	5 52	5 47	1 44	8 34
19	C.	*Józefa Obl. NMP.*	5 50	5 48	2 46	9 34
20	P.	Eufemii.	5 48	5 50	3 32	10 45
21	S.	Benedykta.	5 45	5 51	4 04	12 —
		12. Ewang. u św. Jana w Rozdz. 6. P. J. karmi cud. 5 tysięcy ludzi.				
22	N.	**Środop.** Oktawiana.	5 42	5 53	4 27	1 15
23	P.	Katarzyny, Wiktora.	5 40	5 55	4 44	2 30
24	W.	Szymona.	5 38	5 57	4 57	3 40
25	Ś.	**Zwiastowania NMP.**	5 36	5 59	5 09	4 49
26	C.	Teodora. 🌑	5 34	6 00	5 20	5 56
27	P.	Jana Damascena.	5 32	6 02	5 31	7 05
28	S.	Jana Kapistrana.	5 30	6 03	5 43	8 14
		13. Ewang. u św. Jana w Rozdz. 8. Żydzi chcą P. J. ukamienować.				
29	N.	**Czarna.** Wiktoryna i Eust.	5 28	6 05	5 56	9 26
30	P.	Jana Klimaka.	5 25	6 06	6 14	10 38
31	W.	Balbiny i Korn.	5 22	6 08	6 38	11 49

Przepowiednie na marzec. Do 22 dość chłodno, 22 do 25 ciepły deszcz, 26 do 28 pogoda, poczem zimno do końca miesiąca. **Zmiany księżyca.** 1 Kwadra dnia 5 o godz. 6 03 rano. Pełnia dnia 12 o godz. 5 19 rano. 3 Kwadra dnia 18 o godz. 8 39 wieczorem. Nów dnia 26 o godz. 7 09 wieczorem.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.

KWIECIEŃ ma dni 30.

Dni		Święta rzymsko-katolickie	Słońca Wsch.	Słońca Zach.	Księżyca Wsch.	Księżyca Zach.
1	Ś.	Hugona.	5 20	6 09	7 04	rano
2	C.	Franciszka z Pauli.	5 18	6 11	7 55	0 54
3	P.	7 *Boleści NMP.* Ryszarda.	5 16	6 12	8 54	1 50
4	S.	Izydora b.	5 14	6 14	10 07	2 33
14. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 21. O wjeździe P. J. do Jerozolimy.						
5	**N.**	**Palmowa.** Wincentego.	5 12	6 15	11 28	3 05
6	P.	Celestyna.	5 10	6 17	0 53	3 30
7	W.	Hermana Józ.	5 08	6 19	2 21	3 48
8	Ś.	Dyonizego.	5 06	6 20	3 49	4 04
9	C.	*Wielki Czwartek.* Maryi Eg.	5 03	6 22	5 18	4 20
10	P.	*Wielki Piątek.* Ezech. pr.	5 01	6 23	6 50	4 34
11	S.	*Wielka Sobota.* Leona W. p.	4 59	6 25	8 22	4 52
15. Ewang. u św. Marka w Rozdz. 16. O Zmartwychwstaniu Pańskiem.						
12	**N.**	**Wielkanoc.** Juliusza p.	4 57	6 26	9 56	5 14
13	**P.**	**Wielkan.** Hermeneg.	4 55	6 28	11 22	5 45
14	W.	Justyna.	4 53	6 29	rano	6 26
15	Ś.	Krescencyusza.	4 51	6 31	0 35	7 22
16	C.	Józefa Labre.	4 49	6 32	1 28	8 32
17	P.	Aniceta.	4 47	6 34	2 06	9 48
18	S.	Apoloniusza.	4 45	6 35	2 31	11 04
16. Ewang. u św. Jana w Rozdz. 20. O niewiernym Tomaszu.						
19	**N.**	**Przew.** (Biała) Winc.	4 43	6 37	2 50	0 19
20	P.	Teodora w.	4 40	6 39	3 05	1 31
21	W.	Anzelma.	4 38	6 40	3 17	2 40
22	Ś.	Sotera i Kajusza.	4 36	6 42	3 28	3 47
23	C.	Wojciecha b.	4 34	6 43	3 39	4 55
24	P.	Jerzego ryc., Fidelisa.	4 32	6 45	3 51	6 05
25	S.	Marka ewangelisty.	4 31	6 46	4 05	7 15
17. Ewang. u św. Jana w Rozdz. 10. O dobrym pasterzu.						
26	**N.**	**2 po W.** *Grobu Chr.*	4 29	6 48	4 21	8 28
27	P.	Piotra Kaniz.	4 27	6 49	4 43	9 39
28	W.	Pawła od Krzyża.	4 25	6 51	5 13	10 45
29	Ś.	Piotra męcz.	4 23	6 53	5 53	11 44
30	C.	Katarzyny Seneńskiej.	4 21	6 54	6 47	rano

Przepowiednie na kwiecień. Od 1 do 15 zimno i sucho, 16 do 17 przymrozek, poczem łagodniejsze powietrze; od 25 do końca miesiąca chłodno. **Zmiany księżyca.** 1 Kwadra dnia 3 o godz. 8 42 wieczorem. Pełnia dnia 10 o godz. 2 28 po południu. 3 Kwadra dnia 17 o godz. 8 52 rano. Nów dnia 25 o godz. 12 22 po południu.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.

MAJ ma dni 31.

Dni		Święta rzymsko-katolickie	Słońca Wsch.	Słońca Zach.	Księżyca Wsch.	Księżyca Zach.
1	P.	Filipa i Jakóba ap.	4 19	6 55	7 55	0 31
2	S.	Atanazego i Zygmunta.	4 17	6 57	9 11	1 06
		18. Ewang. u. św. Jana w Rozdz. 16. Maluczko, a nie ujrzycie Mnie.				
3	**N.**	**3 po W.** *NMP. Kr. K. P.* ☽	4 16	6 59	10 33	1 34
4	P.	Floryana, Moniki.	4 14	7 01	11 56	1 53
5	W.	Piusa V. pap.	4 13	7 02	1 21	2 08
6	Ś.	Jana w Oleju.	4 11	7 03	2 46	2 23
7	C.	Flawii p. i m.	4 09	7 05	4 14	2 38
8	**P.**	**Stanisława biskupa m.**	4 08	7 06	5 44	2 55
9	S.	Grzegorza z Naz. ⊕	4 06	7 07	7 18	3 14
		19. Ewang. u św. Jana w Rozdz. 16. O odejściu do Ojca.				
10	**N.**	**4 po W.** Antonina, Izyd.	4 04	7 09	8 50	3 39
12	P.	Franciszka de Hieron.	4 03	7 10	10 11	4 15
12	W.	Pankracego.	4 02	7 12	11 15	5 06
13	Ś	Serwacego biskupa.	4 —	7 13	rano	6 13
14	C.	Bonifacego m.	3 59	7 14	0 02	7 28
15	P.	Jana La Salle, Zofii.	3 57	7 16	0 33	8 48
16	S.	Jana Nepomucena. ☾	3 56	7 17	0 54	10 05
		20. Ewang. u św. Jana w Rozdz. 16. O prawdziwej modlitwie.				
17	**N.**	**5 po W.** Paschalisa.	3 55	7 19	1 11	11 18
18	P.	† Feliksa.	3 54	7 20	1 24	0 29
19	W.	† Piotra Celestyna.	3 52	7 21	1 35	1 37
20	Ś.	† Bernardyna z Sienny.	3 51	7 22	1 48	2 45
21	**C.**	**Wniebowst. Pańskie.**	3 49	7 23	1 58	3 53
22	P.	Maryana.	3 48	7 25	2 11	5 04
23	S.	Andrzeja Boboli T. J. m.	3 47	7 26	2 27	6 15
		21. Ew. u św. Jana w Rozdz. 15/16. O obietnicy zesłania Ducha św.				
24	**N.**	**6 po W.** *NMP. Wspom. w.*	3 46	7 27	2 47	7 27
25	P.	Grzegorza, Urb. ●	3 45	7 28	3 14	8 37
26	W.	Filipa Ner.	3 44	7 30	3 53	9 39
27	Ś.	Bedy i Jana.	3 43	7 32	4 43	10 29
28	C.	Augustyna b.	3 42	7 33	5 48	11 08
29	P.	Magdaleny de Pazzis.	3 41	7 34	7 02	11 36
30	S.	*Wig.* Ferdynanda.	3 40	7 35	8 21	11 58
		22. Ewang. u św. Jana w Rozdz. 14. O zesłaniu Ducha św.				
31	**N.**	**Zielone Świątki.** Anieli.	3 39	7 36	9 43	rano

Przepowiednie na maj. Od 1 do 5 pogoda, 6 wietrzno, 7 do 18 ciepło, 19 do 25 zmiennie, 26 do 29 ciepły deszcz. **Zmiany księżyca.** 1 Kwadra dnia 3 o godz. 7 29 rano. Pełnia dnia 9 o godz. 10 31 wieczorem. 3 Kwadra dnia 16 o godz. 11 12 wieczorem. Nów dnia 25 o godz. 3 35 rano.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.

CZERWIEC ma dni 30.

Dni		Święta rzymsko-katolickie	Słońca		Księżyca	
			Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.
1	**P.**	**Poniedz. Ziel. Świąt.** ☽	3 39	7 37	11 04	0 14
2	W.	Marcelina.	3 38	7 38	0 27	0 29
3	Ś.	*Such.* Erazm.	3 37	7 39	1 50	0 44
4	C.	Franciszka Carac.	3 37	7 40	3 17	0 58
5	P.	*Such.* Bonifacego.	3 36	7 41	4 46	1 16
6	S.	*Such.* Norberta.	3 36	7 41	6 17	1 37
23. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 28. Dana mi jest wszelka władza.						
7	**N.**	**Św. Trójcy.** Roberta op.	3 35	7 42	7 44	2 08
8	P.	Medarda b. ☺	3 35	7 43	8 58	2 51
9	W.	Felicyana.	3 34	7 44	9 52	3 50
10	Ś.	Małgorzaty król.	3 34	7 45	10 30	5 04
11	**C.**	**Boże Ciało.** Barnaby ap.	3 34	7 45	10 57	6 24
12	P.	Onufrego.	3 33	7 46	11 16	7 44
13	S.	Antoniego z Padwy.	3 33	7 46	11 30	9 02
24. Ewang. u św. Łuk. w Rozdz. 14. O wezwaniu na wieczerzę.						
14	**N.**	**2 po Św.** Bazylego.	3 33	7 47	11 42	10 14
15	P.	Wita i Modesty. ☾	3 33	7 47	11 54	11 25
16	W.	Benona.	3 33	7 48	rano	0 33
17	Ś.	Jolenty, Adolfa.	3 33	7 48	0 06	1 41
18	C.	Marka i Marcelina.	3 33	7 49	0 17	2 50
19	P.	*Urocz. Serca Jez.*	3 33	7 49	0 32	4 02
20	S.	Sylweryusza.	3 33	7 49	0 51	5 14
25. Ewang. u św. Łuk. w Rozdz. 15. O zgubionej owcy i groszu.						
21	**N.**	**3 po Św.** Alojzego Gonzagi.	3 33	7 50	1 16	6 25
22	P.	Paulina b.	3 33	7 51	1 50	7 30
23	W.	Zenona m. ●	3 34	7 51	2 36	8 25
24	Ś.	Fausta i Firmina.	3 34	7 51	3 38	9 08
25	C.	Wilhelma op.	3 34	7 51	4 49	9 40
26	P.	Jana i Pawła.	3 35	7 51	6 10	10 02
27	S.	Władysława króla.	3 35	7 51	7 32	10 21
26. Ewang. u św. Łuk. w Rozdz. 5. O obfitym połowie ryb.						
28	**N.**	**4 po Św.** Leona II pap.	3 36	7 51	8 54	10 36
29	**P.**	**Piotra i Pawła**	3 36	7 51	10 16	10 51
30	W.	Wsp. św. Pawła. ☽	3 37	7 51	11 37	11 05

Przepowiednie na czerwiec. Od 1 do 8 ciepło, 9 i 10 deszcz, 11 do 13 mgła, 14 do 23 dżdżyste powietrze, poczem pogoda do końca miesiąca. **Zmiany księżyca.** 1 Kwadra dnia 1 o godz. 3 03 po poł. Pełnia dnia 8 o godz. 6 18 rano. 3 kwadra dnia 15 o godz. 3 20 po poł. Nów dnia 23 o godz. 4 33 po południu. 1 Kwadra dnia 30 o godz. 8 25 wieczorem

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.

LIPIEC ma dni 30.

Dni		Święta rzymsko-katolickie	Słońca Wsch.	Słońca Zach.	Księżyca Wsch.	Księżyca Zach.
1	Ś.	Teobalda.	3 38	7 51	1 —	11 20
2	C.	*Nawiedzenia NMP.*	3 38	7 50	2 26	11 40
3	P.	Anatola b. Bernard. Real. T. J.	3 38	7 49	3 54	rano
4	S.	Ireneusza b. m.	3 39	7 49	5 21	0 05
		27. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 5. O sprawiedl. Faryzeuszów.				
5	N.	**5 po Św.** *Przen. Krwi P. J.*	3 39	7 48	6 38	0 42
6	P.	Romua b. i m.	3 40	7 48	7 40	1 33
7	W.	Pulcheryi p. ☺	3 41	7 48	8 26	2 41
8	Ś.	Elżbiety.	3 42	7 48	8 57	3 59
9	C.	Mikołaja i tow. męcz.	3 43	7 47	9 18	5 21
10	P.	Siedmiu braci śpiących.	3 44	7 46	9 35	6 40
11	S.	Piusa I papieża.	3 44	7 45	9 49	7 56
		28. Ewangelia u św. Marka w Rozdziale 8. O nakarmieniu 4000 ludzi.				
12	N.	**6 po Św.** *Jana z Dukli.*	3 45	7 45	10 —	9 08
13	P.	Anakleta.	3 46	7 44	10 11	10 17
14	W.	Bonawentury.	3 47	7 43	10 23	11 26
15	Ś.	Henryka cesarza. ☾	3 48	7 42	10 37	0 36
16	C.	*NMP. Szkaplerznej.*	3 49	7 41	10 53	1 46
17	P.	Aleksego.	3 51	7 40	11 15	2 57
18	S.	Szymona z Lipnicy, Kam.	3 53	7 40	11 45	4 09
		29. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 7. O fałszywych prorokach.				
19	N.	**7 po Św.** Winc. a Paulo.	3 54	7 39	rano	5 16
20	P.	Czesława w.	3 55	7 38	0 26	6 17
21	W.	Praksedy.	3 56	7 37	1 21	7 04
22	Ś.	Maryi Magdaleny.	3 57	7 35	2 32	7 40
23	C.	Apolinarego. ☾	3 58	7 34	3 51	8 07
24	P.	Krystyny p.	3 59	7 33	5 15	8 26
25	S.	Jakóba ap., Krzysztofa.	4 01	7 32	6 38	8 43
		30. Ewang. u św. Łuk. w Rozdz. 16. O niesprawiedliwym szafarzu.				
26	N.	**8 po Św.** *Kingi, Anny.*	4 02	7 31	8 02	8 57
27	P.	Pantaleona.	4 03	7 29	9 24	9 12
28	W.	Nazaryusza.	4 04	7 27	10 48	9 26
29	Ś.	Marty panny.	4 06	7 26	0 14	9 45
30	C.	Rufina m. ☽	4 07	7 25	1 40	10 07
31	P.	Ignacego Loyoli T.J.	4 08	7 23	3 06	10 40

Przepowiednie na lipiec. Od 1 do 15 upały, 16 do 21 deszcz, 22 do końca pogoda. **Zmiany księżyca.** Pełnia dnia 7 o godz. 3.00 po południu. 3 Kwadra 15 dnia o godz. 8 32 rano. Nów dnia 23 o godz. 3 38 rano. 1 Kwadra dnia 30 o godz. 12 51 w nocy.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.

SIERPIEŃ ma dni 31.

Dni		Święta rzymsko-katolickie	Słońca Wsch.	Słońca Zach.	Księżyca Wsch.	Księżyca Zach.
1	S.	Piotra w okowach.	4 10	7 22	4 26	11 25
		31. Ewang. u św. Łuk. w Rozdz. 19. O zburzeniu Jerozolimy.				
2	**N.**	**9 po Św.** *NMP. Anielskiej.*	4 11	7 20	5 33	rano
3	P.	Znal. ciała św. Szczepana.	4 12	7 19	6 22	0 24
4	W.	Dominika.	4 13	7 18	6 58	1 38
5	Ś.	*NMP. Śnieżnej.*	4 15	7 16	7 22	2 58
6	C.	*Przemien. Pań.*, Sykstusa M. ●	4 16	7 14	7 40	4 19
7	P.	Kajetana.	4 18	7 13	7 54	5 36
8	S.	Cyryaka m.	4 19	7 11	8 07	6 51
		32. Ewang. u św. Łuk. w Rozdz. 18. O faryzeuszu i celniku.				
9	**N.**	**10 po Św.** Romana m.	4 20	7 09	8 18	8 01
10	P.	Wawrzyńca m.	4 22	7 08	8 29	9 10
11	W.	Tyburcego.	4 24	7 06	8 42	10 19
12	S.	Klary panny.	4 26	7 04	8 58	11 30
13	C.	Jana Berchmansa T. J.	4 27	7 03	9 17	0 41
14	P.	*Wig.* Euzebiusza. ☾	4 28	7 01	9 42	1 52
15	S.	**Wniebowzięcie NMP.**	4 30	6 59	10 19	3 01
		33. Ewang. u św. Marka w Rozdz. 7. O głuchoniemym.				
16	**N.**	**11 po Św.** *Jacka* w.	4 31	6 57	11 07	4 04
17	P.	Myrona m.	4 33	6 55	rano	4 56
18	W.	Heleny.	4 34	6 53	0 11	5 38
19	Ś.	Ludwika b.	4 35	6 51	1 26	6 08
20	C.	Bernarda.	4 37	6 49	2 49	6 30
21	P.	Joanny Franc. Chantal. ○	4 38	6 47	4 14	6 48
22	S.	Tymoteusza m.	4 40	6 45	5 39	7 04
		34. Ewang. u św. Łuk. w Rozdz. 10. O miłosiernym Samarytaninie.				
23	**N.**	**12 po Św.** *Serca NMP.*	4 41	6 43	7 05	7 19
24	P.	Bartłomieja ap.	4 43	6 41	8 30	7 33
25	W.	Ludwika kr.	4 45	6 39	9 58	7 50
26	Ś.	Zefiryna.	4 46	6 37	11 27	8 12
27	C.	Józefa Kalasantego.	4 48	6 35	0 54	8 42
28	P.	Augustyna b. ☽	4 49	6 33	2 16	9 22
29	S.	Ścięcie św. Jana Chrzciciela.	5 40	6 31	3 27	10 17
		35. Ewang. u św. Łuk. w Rozdz. 17. O dziesięciu trędowatych.				
30	**N.**	**13 po Św.** *NMP. Pociesz.*	4 52	6 29	4 21	11 26
31	P.	Rajmunda.	4 53	6 27	5 —	rano

Przepowiednie na sierpień. Od 1 do 9 upały, poczem do 18 pogoda niepewna, od 19 do końca miesiąca deszcz i pogoda na przemian. — **Zmiany księżyca.** Pełnia dnia 6 o godz. 1 41 rano. 3 Kwadra dnia 14 o g. 1 56 rano. Nów dnia 21 o g. 1 27 po poł 1 Kwadra dnia 28 o g. 5 53 rano.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.

WRZESIEŃ ma dni 30.

Dni		Święta rzymsko-katolickie	Słońca Wsch.	Słońca Zach.	Księżyca Wsch.	Księżyca Zach.
1	W.	Idziego op.	4 55	6 25	5 26	0 43
2	Ś.	Stefana króla węgierskiego.	4 56	6 23	5 46	2 02
3	C.	Bronisławy.	4 58	6 21	6 02	3 20
4	P.	Rozalii p. ☾	4 59	6 18	6 14	4 35
5	S.	Wawrzyńca Justyn.	5 00	6 15	6 26	5 46
36. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 6. O służeniu Bogu i mamonie.						
6	**N.**	**14 po Św.** Zacharyasza.	5 02	6 13	6 37	6 55
7	P.	*Wig.* Melchior Grodziecki.	5 04	6 11	6 50	8 05
8	**W.**	**Narodz. NMP.**	5 06	6 09	7 01	9 15
9	Ś.	Piotra Klawera.	5 07	6 07	7 21	10 25
10	C.	Mikołaja z Tolentynu.	5 09	6 05	7 44	11 36
11	P.	Prota i Jacka m.	5 10	6 03	8 15	0 46
12	S.	*Im. NMP.* ☾	5 11	6 01	8 56	1 52
37. Ewang. u św. Łuk. w Rozdz. 7. O wskrzeszeniu młodz. z Naim.						
13	**N.**	**15 po Św.** Eulogiusza b.	5 13	5 59	9 52	2 48
14	P.	Podwyż. św. Krzyża.	5 14	5 56	11 01	3 32
15	W.	Nikodema.	5 16	5 53	rano	4 06
16	Ś.	*Such.* Cypryana b. m.	5 17	5 51	0 19	4 32
17	C.	Piętn św. Franc. z As.	5 18	5 49	1 43	4 51
18	P.	*Such.* Józefa z Kupertynu.	5 20	5 47	3 08	5 08
19	S.	*Such.* Januarego. ●	5 21	5 45	4 35	5 23
38. Ewang. u św. Łuk. w Rozdz. 14. O uzdrowieniu opuchłego.						
20	**N.**	**16 po Św.** 7 *Bol. NMP.*	5 23	5 43	6 02	5 39
21	P.	Mateusza ap.	5 25	5 41	7 31	5 55
22	W.	Tomasza.	5 27	5 39	9 02	6 16
23	Ś.	Tekli.	5 28	5 36	10 33	6 43
24	C.	Gerarda b.	5 29	5 33	0 02	7 19
25	P.	Kleofasa.	5 31	5 31	1 19	8 10
26	S	Cypryana i Just. ☽	5 32	5 29	2 18	9 17
39. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 22. O najprzedniejsz. przykazaniu.						
27	**N.**	**17 po Św.** Władysł. z Gieln.	5 34	5 27	3 02	10 33
28	P.	Wacława kr.	5 35	5 25	3 32	11 51
29	W.	*Michała Archan.*	5 37	5 23	5 53	rano
30	Ś.	Hieronima doktora Kość.	5 38	5 20	4 09	1 08

Przepowiednie na wrzesień. Od 1 do 14 pięknie, potem zmienne powietrze, od 15 stała pogoda, od 25 znów zmiennie. **Zmiany księżyca.** Pełnia dnia 4 o godz. 3 01 po południu. 3 Kwadra dnia 12 o g. 6 48 wieczorem. Nów dnia 19 o godz. 10 33 wieczorem. 1 Kwadra dnia 26 o godz. 1 03 po poł.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.

PAŹDZIERNIK ma dni 31.



Juliusz GROSSE Sp. z o. o. w Krakowie.

IMPORT HERBAT z CHIN, INDYI i CEYLONU oraz Kantor sprzedaży losów c. k. klasowej loteryi państwowej.

Dni		Święta rzymsko-katolickie	Słońca Wsch.	Słońca Zach.	Księżyca Wsch.	Księżyca Zach.
1	C.	Remigiusza b.	5 40	5 18	4 23	2 23
2	P.	Aniołów Stróżów.	5 41	5 16	4 34	3 34
3	S.	Kandyda	5 42	5 14	4 47	4 44
		40. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 9. O uzdrow. powietrzem ruszon.				
4	N.	**18 po Św.** *MNP. Różańcowej* ☺	5 44	5 12	4 58	5 53
5	P.	Placyda.	5 46	5 10	5 11	7 03
6	W.	Brunona W.	5 48	5 08	5 28	8 13
7	Ś.	Marka p.	5 49	5 06	5 48	9 23
8	C.	Brygidy.	5 51	5 03	6 15	10 33
9	P.	Dyonizego m.	5 52	5 01	6 53	11 40
10	S.	Pam. zwyc. pod Chocimem.	5 54	4 59	7 42	0 39
		41. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 22. O szacie godowej.				
11	N.	**19 po Św.** Gereona z tow.	5 55	4 57	8 45	1 26
12	P.	Maksymiliana. ☾	5 57	4 55	9 58	2 04
13	W.	Edwarda kr.	5 58	4 53	11 16	2 32
14	Ś.	Kaliksta.	6 —	4 51	rano	2 54
15	C.	Jadwigi, Teresy.	6 01	4 49	0 39	3 11
16	P.	Gerarda Majeli.	6 03	4 47	2 02	3 27
17	S.	Małgorzaty Maryi Alacoque.	6 04	4 45	3 28	3 42
		42. Ewang. u św. Jana w Rozdz. 4. O uzdrowieniu syna królewsk.				
18	N.	**20 po Św.** *Powięśc. Kosc.*	6 06	4 43	4 55	3 58
19	P.	Piotra z Alkantary. ●	6 08	4 40	6 26	4 16
20	W.	Felicyana	6 09	4 38	8 01	4 41
21	Ś.	Urszuli z tow., Wendelina.	6 11	4 36	9 33	5 14
22	Ś.	Korduli	6 12	4 34	10 59	6 02
23	P.	Teodora m.	6 14	4 32	0 08	7 05
24	S.	Rafała Archanioła	6 16	4 30	0 59	8 19
		43 Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 18. O złośliwym słudze				
25	N.	**21 po Św.** Jana Kantego ☽	6 18	4 28	1 34	9 38
26	P.	Ewarysta.	6 20	4 26	1 59	10 58
27	W.	Florencyusza b.	6 21	4 24	2 16	rano
28	Ś.	Szymona i Tadeusza ap.	6 22	4 22	2 30	0 13
29	C.	Zenobiusza m.	6 24	4 21	2 43	1 26
30	P.	Alfonsa Rodrigueza T. J.	6 26	4 19	2 55	2 35
31	S	*Wig.* Wolfganga	6 28	4 17	3 07	3 43

Przepowiednie na październik. Od 1 do 14 pochmurnie i słotno, 15 i 16 pogoda, 17 do 24 deszcz, 25 do 29 pogodnie, od 30 mglisto i chłodno. **Zmiany księżyca.** Pełnia dnia 4 o godz. 6 59 rano. 3 Kwadra dnia 12 o g. 10 33 rano. Nów d. 19 o g. 7 34 rano. 1 Kwadra d. 25 o g. 11 44 w nocy.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.

LISTOPAD ma dni 30.

Dni		Święta rzymsko-katolickie	Słońca Wsch.	Słońca Zach.	Księżyca Wsch.	Księżyca Zach.
		44. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 22. O monecie czynszowej.				
1	N.	**Wszystkich Świętych.**	6 29	4 15	3 19	4 52
2	P.	Dzień Zaduszny Wiktoryna	6 31	4 14	3 34	6 02
3	W.	Huberta ☉	6 32	4 12	3 54	7 12
4	Ś.	Karola Boromeusza.	6 34	4 11	4 20	8 23
5	C.	Zacharyasza	6 36	4 09	4 54	9 30
6	P.	Leonaraa b.	6 38	4 79	5 30	10 31
7	S.	Engelberta b.	6 40	4 07	6 37	11 21
		45. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 9. O córeczce Jaira.				
8	N.	23 po Św. Bohdana, Kl.	6 41	4 04	7 44	0 03
9	P.	Teodora m.	6 43	4 03	9 00	0 34
10	W.	Andrzeja z Awelinu.	6 45	4 01	10 18	0 56
11	Ś.	Marcina b. ☾	6 46	3 59	11 39	1 15
12	C.	5 Braci Polaków.	6 48	3 58	rano	1 31
13	P.	Dydaka w.	6 50	3 57	0 59	1 45
14	Ś.	Józefata Kuncewicza b.	6 51	3 55	2 22	2 03
		46. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 13. O ziarnku gorczycznem.				
15	N.	24 **po Św.** Stan. Kostki T. J.	6 52	3 54	3 50	2 17
16	P.	Edmunda.	6 54	3 53	5 21	2 39
17	W.	Grzegorza Cudotwórcy. ●	6 56	3 52	6 54	3 07
18	Ś.	Pośw. koś. św. Piotra w Rzym.	6 58	3 51	8 27	3 48
19	C.	Elżbiety.	7 —	3 50	9 47	4 45
20	P.	Feliksa z Valois.	7 01	3 48	10 48	5 57
21	S.	Ofiarowanie N. M. P.	7 03	3 47	11 30	7 19
		47. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 24. O okropnem spustoszeniu.				
22	N.	25 **po Św.** Cecylii p. i m.	7 04	3 46	11 59	8 40
23	P.	Klemensa p.	7 06	3 46	0 21	10 —
24	W.	Jana od krzyża. ☽	7 09	3 45	0 36	1114
25	Ś.	Katarzyny p. i m.	7 07	3 44	0 51	rano
26	C	Sylwestra op.	7 10	3 43	1 02	0 25
27	P.	Waleryana.	7 12	3 42	1 14	1 33
28	S.	Zdzisławy	7 13	3 41	1 26	2 42
		48 .Ewang. u św. Łuk. w Rozdz. 21. O znakach dnia sądnego.				
29	N.	1 **Adw.** Saturnina bisk.	7 15	3 41	1 40	3 51
30	P.	Andrzeja ap.	7 16	3 39	1 59	501

Przepowiednie na listopad. Od 1 do 4 pogoda, 5 i 6 wiatr silny, 8 i 9 deszcz, 10 do 16 mglisto, 17 do 28 pochmurno, zimno, śnieg pada, 29 i 30 szarużnie. **Zmiany księżyca.** Pełnia dnia 3 o godz. 12 49 w nocy. 3 Kwadra dnia 11 o godz. 12 37 w nocy Nów dnia 17 o godz. 5 02 po południu. 1 Kwadra dnia 24 o godz. 2 39 po poł.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.

GRUDZIEŃ ma dni 31.

Dni		Święta rzymsko-katolickie	Słońca Wsch.	Słońca Zach.	Księżyca Wsch.	Księżyca Zach.
1	W.	Eligiusza.	7 17	3 38	6 23	6 12
2	Ś.	Bibiany.	7 19	3 38	2 54	7 21
3	C.	Franciszka Ksawerego T. J.	7 21	3 37	3 37	8 24
4	P.	Barbary p. i m.	7 22	3 37	4 32	9 19
5	S.	Saby op.	7 23	3 37	5 37	10 03
		49. Ewang. u św. Mat. w Rozdz. 11. O Janie w więzieniu.				
6	Ni	**2 Adw.** Mikołaja bisk.	7 24	3 36	6 50	10 36
7	P.	Ambrożego bisk.	7 25	3 36	8 07	11 01
8	W.	**N. Pocz. NMP.**	7 26	3 36	9 25	11 20
9	S.	Leokadyi p. i m.	7 28	3 36	10 44	11 36
10	C.	N. M. P. Loretańskiej.	7 29	3 35	rano	11 50
11	P.	Damazego p.	7 30	3 35	0 03	0 05
12	S.	Aleksandra m.	7 31	3 35	1 24	0 20
		50. Ewang. u św. Jana w Rozdz. 1. O świadectwie Jana.				
13	N.	**3 Adw.** Łucyi p., Otylii.	7 31	3 35	2 50	0 38
14	P.	Alfreda kr.	7 32	3 35	4 20	1 02
15	W.	Maksymina.	7 33	3 35	5 51	1 37
16	Ś.	*Such.* Euzebiusza.	7 34	3 36	7 17	2 24
17	C.	Łazarza biskupa.	7 35	3 36	8 28	3 30
18	P.	*Such.* Oczekiw. N. M. P.	7 36	3 36	9 21	4 48
19	S.	*Such.* Nemezyusza m.	7 36	3 36	9 57	6 14
		51. Ewang. u św. Łuk. w Roz. 3. O rządach Tyberyusza.				
20	N.	**4 Adw.** Teofila.	7 37	3 37	10 22	7 37
21	P.	Tomasza Apostoła	7 38	3 37	10 41	8 56
22	W.	Zenona.	7 38	3 38	10 55	10 10
23	Ś.	Wiktoryi.	7 38	3 38	11 07	11 20
24	C.	*Wig.* Adama i Ewy	7 39	3 39	11 19	rano
25	P.	**Boże Narodzenie.**	7 39	3 40	11 32	0 29
26	S.	**Św. Szczepana.**	7 40	3 41	11 46	1 39
		52. Ewang. u św. Łuk. w Rozd. 2. w Szymonie i Annie.				
27	N.	**1 po B. N.** Jana ap.	7 41	3 42	0 02	2 49
28	P.	Młodzianków.	7 41	3 43	0 24	3 59
29	W.	Tomasza b.	7 41	3 43	0 53	5 09
30	Ś.	Dawida króla.	7 42	3 44	1 32	6 15
31	C.	Sylwestra pap.	7 42	3 45	2 24	7 13

Przepowiednie na grudzień. Od 1 do 14 dosyć pogodnie, 15 do 19 zimno, od 20 pochmurnie, śnieg pada, mróz się wzmaga. **Zmiany księżyca.** Pełnia dnia 2 o godz. 7 21 wieczorem. 3 Kwadra dnia 10 o godz. 12 32 po poł. Nów dnia 17 o g. 3 35 w nocy. 1 Kwadra dnia 24 o godz. 9 25 rano.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.

RUCHOME ŚWIĘTA.

Obrządku rzymskiego.

Niedziela Starozapustna	8 Lutego
Popielec.	25 Lutego
Wielkanoc	12 Kwietnia
Wniebowstąpienie Pańskie . . .	21 Maja
Zielone Świątki	31 Maja
Niedziela Św. Trójcy	7 Czerwca
Boże Ciało	11 Czerwca
Niedziela 1 Adwentu	29 Listopada

Obrządku greckiego.

Nedila Miasopistna	15 Lutego
Pist Wełyki	4 Marca
Pascha Chrysta	19 Kwietnia
Woznesenie Hospod.	28 Maja
Soszestwije S. Ducha	7 Czerwca
Tyło Chrysta	18 Czerwca
Nedila 1 Adwentu	13 Grudnia

SUCHEDNI:

Wiosenne d. 4, 6, 7 Marca (26, 28 Lutego i 1 Marca). — Letnie d. 3, 5, 6 Czerwca (28, 30, 31 Maja). — Jesienne d. 16, 18 i 19 Września (17, 19, 20 Września). — Zimowe d. 16, 18 i 19 Grudnia (17, 19, 20 Września). — Mięsopustu, licząc od Nowego Roku, będzie 7 tygodni i 6 dni. Ruskiego Mięsopustu niedziel 8.

Kalendarz żydowski na rok 5674—5675:

Dnia 2 października 1913 r. rozpoczęli żydzi rok 5674, który jest rokiem zwyczajnym i liczy 384 dni. Nowy Rok rozpocznie się 21 września 1914.

Purim 12 marca.
* Początek Paschy (pierwsze święto) 11 kwiet.
* Drugie święto 12 kwietnia.
* Siódme święto 17 kwietnia.
* Koniec Paschy 18 kwietnia.
* Święta tygodniowe 31 maja i 1 czerwca.
Post na pamiątkę spalenia świątyni 2 sierpnia.
* Nowy Rok 5675 21 września.
* Drugie święto 22 września.
Post Gedaljah 23 września.
* Święto pojednania 30 września.
* Kuczki 5 października.
* Drugie święto 6 października.
Święto palmowe 11 października.
* Koniec Kuczek 12 października.
* Święto Zakonu 13 października.

Gwiazdką oznaczone święta obchodzą żydzi ściśle.

Zaćmienie słońca i księżyca.

Częściowe zaćmienie księżyca dnia 11 marca; początek o godzinie 8 minut 42, koniec o godzinie 11 minut 44.

Zaćmienie słońca dnia 21 sierpnia; początek o godzinie 4 minut 12 rano, koniec o godzinie 8 minut 57 przed południem.

Częściowe zaćmienie księżyca; początek o godzinie 6 minut 16, koniec o godzinie 9 minut 33 rano.

Cztery pory roku.

Wiosna, jak przewidywać można według stuletniego kalendarza, rozpocznie się dość późno, a będzie przeważnie chłodna i dość sucha.

Lato będzie ciepłe, w znacznej mierze gorące, przeplatane krótkotrwałymi deszczami.

Jesień początkowo pogodna, później dłuższe deszcze, w końcu jednak znów się wypogodzi.

Zima do połowy grudnia łagodna, poczem wzmogą się mrozy i będą trwały dalej.

Rok 1914 będzie więcej suchy aniżeli poprzedni, ale mimo czasowych upałów nie dokuczy posucha.

Należytości stemplowe.

SKALA I.
Weksle i asygnaty

	do K	K.	h
nad	150	—	10
150	300	—	20
300	600	—	40
600	900	—	60
900	1200	—	80
1200	1500	1	—
1500	1800	1	20
1800	2100	1	40
2100	2400	1	60
2400	2700	1	80
2700	3000	2	—
3000	6000	4	—

itd. za każde następne 3000 K. o 2 K. więcej, licząc kwoty niżej 3.000 za pełne

SKALA II.
Kwity i dokumenta

	do K.	K.	h.
nad	40	—	14
40	80	—	26
80	120	—	38
120	200	—	64
200	400	1	26
400	600	1	88
600	800	2	50
800	1600	5	—
1600	2400	7	50
2400	3200	10	—
3200	4000	12	50
4000	4800	15	—

Za każde następne 800 K. od 2 K. 50 h. więcej, licząc kwoty niżej 800 K. za pełne.

SKALA III.
Ugody pożyczkowe, kontrakty służbowe.

	do K.	K.	.
nad	20	—	14
20	40	—	26
40	60	—	38
60	100	—	64
100	200	1	26
200	300	1	88
300	400	2	50
400	800	5	—
800	1200	7	50
1200	1600	10	—
1600	2000	12	50
2000	2800	15	—

Za każde następne 400 K. o 2 K. 50 h. więcej, licząc kwoty niżej 400 K za pełne.

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

Profesor. (do włóczęgi): To musi być jednak strasznie, całe życie spędzać na lenistwie

Włóczęga: Nie narzekam na to wcale, panie profesorze, gdyż każdy zawód ma swe złe strony

---

W więzieniu. Dyrektor: Gdy was ostatni raz stąd puszczono, myślałem, że już więcej nie wrócicie

Więzień (z wyrzutem): Ależ panie dyrektorze... Wyglądało by to poniekąd, jak gdyby mnie tu źle traktowano.

Młyn i młynarka. Gospodarz do chłopca młynarskiego:

— Dziś niedziela, a słyszę, że młyn u was idzie.

— O! kiej to nie sam młyn, ino młynarka tak pytluje językiem ze swoją kumą.

Schematyzm kościelny.

Papież 264-ty

Jego Świątobliwość Pius X.,

Namiestnik Jezusa Chrystusa i Następca Księcia Apostołów; Patryarcha Zachodu, Prymas Włoch, Arcybiskup i Metropolita prowincyi rzymskiej, Biskup Rzymu, Głowa widzialna całego Kościoła, władca udzielny w dobrach i posiadłościach doczesnych Stolicy św. Nazwisko rodzinne Józef Sarto, ur. w Riese 2-go czerwca 1835, wybrany Papieżem 4-go sierpnia, koronowany 9-go sierpnia 1903 r.

Arcybiskupi i biskupi w Galicyi.

Kraków. Książę biskup Adam Sapieha.

Ks. Anatol Nowak, biskup tyt. irenopolski, scholast. kat. krak. Sufragan.

Lwów. Ks. Józef Bilczewski, Arcybiskup-metropolita obrz. łac., dr. teol., asystent tronu papieskiego, członek austr. Izby panów i Sejmu kraj., rzecz. tajny radca.

Ks. dr. Władysław Bandurski, Biskup tyt. cydoński, sufragan lwowski obrz. łać.

Ks. Józef Teodorowicz, Arcybiskup metropolita ormiańsko - katolicki, członek. austr. Izby panów, Sejmu kraj. i Rady szkolnej krajowej

Ks. Andrzej ze Szeptyc Szeptycki, zak. Bazylianów, Arcybiskup-metropolita obrz. grecko-kat., członek austr. Izby panów i wicemarszałek Sejmu kraj., rzecz. tajny radca.

Przemyśl. Ks. Józef Pelczar, Biskup obrz. łac., dr. teol., asystent tronu pap., prałat dom. Jego Świąt., członek Sejmu krajowego.

Ks. Karol Fischer, Biskup tyt. malleński, kan. kat. przemyski, Sufragan obrz. łac.

Ks. Konstantyn Czechowicz, Biskup obrz. gr.-kat., asystent tronu pap. i prałat dom. Jego Świąt., członek Sejmu kraj., oraz austr. Izby panów.

Tarnów. Ks. Leon Wałęga, Biskup dr. św. teol., członek Sejmu krajowego.

Stanisławów. Ks. Grzegorz Chomyszyn, Biskup ob. gr.-kat., członek Sejmu kraj.

Pod zaborem rosyjskim.

1) w Królestwie Kongresow.):

Arcybiskup-metrop. warszawski: **Ks. Aleksander Kakowski.**

Sufragan warszawski: **Ks. Kazimierz Ruszkiewicz,** biskup tyt. beryssenski.

Sufragan łowicki: nieobsadzone.

Biskup kielecki: **Ks. Augustyn Łosiński.**

Biskup kujawsko - kaliski: **Ks. Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki.**

Biskup płocki: **Ks. Antoni Nowowiejski.**

Biskup lubelski: **Ks. Franciszek Jaczewski.**

Biskup sandomierski: **Ks. Maryan Ryx.**

Biskup sejneński: **Ks. Antoni Karaś.**

Sufragan sejneński: nieobsadzone.

Biskup podlaski czyli janowski: nieobsadzone.

Biskup chełmski obrz. gr.-rus.: nieobsadzone.

2) na Litwie i Rusi:

Arcybiskup metrop. mohilewski: **Ks. Wincenty Kluczyński.**

Sufragan mohilewski: **Ks. Jan Cieplak.**

Biskup wileński: **Ks. Edward bar. Ropp.**

Biskup żmudzki: nieobsadzone.

Sufragan żmudzki: nieobsadzone.

Biskup łucko - żytomierski: nieobsadzone.

Sufragan łucko - żytomierski: **Ks. Longin Żarnowiecki.**

Biskup miński: nieobsadzone.

Biskup tyraspolski: **Ks. Józef Kessler.**

Sufragan tyraspolski: nieobsadzone.

Biskup kamieniecki: nieobsadzone.

W zaborze pruskim.

Arcybiskup gnieźnieńsko - poznański: nieobsadzone.

Sufragan poznański: **Ks. Edward Likowski,** biskup tyt. aureliopolski.

Sufragan gnieźnieński: **Ks. Kloske.**

Biskup warmiński: **Ks. Andrzej Thiel.**

Sufragan warmiński: **Ks. Edward Hermann,** biskup tyt. cybistvyjski.

Książę-biskup wrocławski: **Ks. kard. Jerzy Kopp.**

Sufragan wrocławski: **Ks. Henryk Marx,** biskup tyt. kolesseński.

Biskup chełmiński: **Ks. Aug. Rosentreter.**

Sufragan chełmiński: **Ks. Jan Klunder,** biskup szlimbryjski.

Biskupi Polacy żyjący:

Ks. Karol Hryniewiecki, tytul. arcybiskup pergeński, b. wileński, kan. metr. lwowski.

Ks. Władysław Michał Zaleski, arcybiskup tyt. tebański, delegat apost. Indyj wschod.

Ks. Franciszek Albin Symon, arcybiskup tyt. attallijski, b. biskup płocki, archipresbyter kościoła P. Maryi w Krakowie.

Ks. Soter Ortyński, z zakonu OO. Bazylianów, biskup dla ruskich wychodźców w Ameryce.

Ks. Paweł Rhode, biskup polski dla Stanów Zjednoczonych.

Ks. Stefan Denisewicz, biskup tyt. klaudyopolski, mieszka w Petersburgu

Tabela porównawcza monet obcych z koronami.

MONETY															
francuskie = walucie koronowej				**niemieckie = walucie koronowej**				**rosyjskie = walucie koronowej**				**amerykańskie = walucie koronowej**			
franki	cen.	kor.	hal.	marki	fen.	kor.	hal.	ruble	kop	kor.	hal.	dol.	cen.	kor.	hal.
—	1	—	1	—	1	—	1	—	1	—	3	—	1	—	5
—	10	—	$9^1/_2$	—	10	—	$11^1/_2$	—	10	—	25	—	10	—	50
1	—	—	95	1	—	1	17	1	—	2	53	1	—	5	—
10	—	9	52	10	—	11	76	10	—	25	30	10	—	50	—
100	—	95	23	100	—	117	56	100	—	253	—	100	—	500	—
1000	—	952	26	1000	—	1175	63	1000	—	2530	—	1000	—	5000	—

Najważniejsze wskazówki dla wychodźców.

Rady dla wychodźców sezonowych.

Każdego roku opuszczają kraj nasz dziesiątki tysięcy ludzi, by na obczyźnie szukać zarobków i poprawy bytu. Jedni z nich — przeważnie robotnicy rolni — udają się do rozmaitych krajów europejskich i przeważnie na sezon, inni znów wyruszają za Ocean, do Ameryki. I ci i tamci popełniają nieraz rozmaite błędy, które następnie srodze mszczą się na nich, pociągając za sobą fatalne skutki, powinni więc zastosować się do następujących rad:

1) Namyśl się, czy koniecznie kraj musisz opuszczać i czy nie znajdziesz korzystnych zarobków w innych powiatach galicyjskich, jeśli zarobków tych brak w sąsiedztwie.

2) Skoro postanowiłeś już wyruszyć za granicę, nie czyń tego na oślep i nie kwap się już w lutym wyruszać do Prus, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa spotka cię tam zawód, roboty lepiej płatnej nie znajdziesz i zmizerowany powrócisz do domu z niczem.

3) Wioski swej nie opuszczaj bez kontraktu lub zupełnej pewności, jakie warunki zawiera kontrakt robotniczy, który masz zawrzeć z przyszłym swym zagranicznym pracodawcą.

4) Unikaj podejrzanych agentów; po kontrakty zwracaj się listownie do Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie lub do najbliższego Urzędu pośrednictwa pracy. Pisząc, podaj swój wiek oraz wiek i płeć osób, które z tobą jadą i wymień kraj, do którego pragnąłbyś się udać. Od zagranicznych pośredników kontraktów nie przyjmuj, bo tych nie można pociągnąć do odpowiedzialności.

5) Swej książki robotniczej nie dawaj nikomu obcemu, przedkładać ją należy tylko osobiście w tem biurze za pośrednictwem którego wyjedziesz na roboty.

6) Przed wyjazdem za granicę proś w biurze pośrednictwa pracy o adres przyszłego pracodawcy i adres ten, dokładnie wypisany, poślij swej żonie, rodzicom, krewnym i przyjaciołom.

7) Podczas podróży bądź ostrożny, aby nie ukradziono ci rzeczy lub pieniędzy. Pieniędzy nie pokazuj nikomu. Zarobki zagraniczne lepiej odrazu przesyłać do kraju.

8) W razie sporu z pracodawcą nie opuszczaj lekkomyślnie służby, lecz przedewszystkiem pisz o pomoc i radę do Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie lub do powiatowego Urzędu pośrednictwa pracy, przez który kontrakt otrzymałeś.

Rady dla tych, którzy udają się za morze.

1) Jechać za morze nie powinien nikt z tych, którzy posiadają w kraju dostateczny kawał gruntu lub inny jaki własny warsztat pracy. Nie powinien też wybierać się w podróż zamorską, kto obawia się ciężkich trudów i chciałby mieć lekki kawałek chleba. Za morzem bowiem dojść można do czegoś tylko przy nadzwyczaj ciężkiej pracy.

2) Nie ufaj żadnym namowom pokątnych agentów i ich opowiadaniom o stosunkach zamorskich. Stosunki te zależne są od kraju i okolicy i częstym podlegają zmianom. O poradę w tym względzie możesz zwracać się do zaufanych osób światłych lub do Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie.

3) Przepisy dla emigrantów w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej wymagają w chwili, gdy to piszemy, by każdy wychodźca wolny był od chorób (zwłaszcza egipskiego zapalenia oczów), był wolnym od chorób fizycznych, posiadał adres kogo ze znajomych lub krewnych w Ame-

ryce, miał przy sobie oprócz zapłaconego biletu kolejowego do miejscowości, do której jedzie, przynajmniej 125 koron (25 dolarów) w gotówce itd.

4) Karty okrętowej nie sprowadzaj od agentów zagranicznych, ani też nie nabywaj jej za pośrednictwem pokątnych pośredników. Po kartę okrętową zwróć się najlepiej do Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie.

5) Bez posiadania karty okrętowej nie wyjeżdżaj za granicę, bo będziesz miał trudności na granicy pruskiej w Mysłowicach.

6) Pieniędzy nie zmieniaj u osób prywatnych lub w małych banczkach, bo możesz paść ofiarą oszustwa.

7) Pieniędzy podczas podróży koleją nikomu nie pokazuj, lecz trzymaj je dobrze schowane. Rzeczy swych pilnuj.

8) Wobec komisyi imigracyjnej w porcie amerykańskim mów prawdę i odpowiadaj śmiało na wszystkie pytania. Wszelkie krętactwo prawie zawsze się wyda.

9) Po wylądowaniu w Ameryce unikaj i tam wszelkich podejrzanych agentów, wekslarzy, pośredników etc. Nie zawieraj nigdy żadnego kontraktu, którego treści ktoś zupełnie zaufany nie przetłomaczyłby ci poprzednio na język polski.

10) Zapisz się do polskich towarzystw, abyś miał w razie potrzeby pomoc rodaków. Dzieci posyłaj do szkół polskich. A wszędzie, gdzieby cię los zapędził, pamiętaj zawsze o obowiązkach swych wobec ojczyzny swej, Polski!

KALENDARZ GOSPODARSKI.

STYCZEŃ.

Kończyć młockę zboża, koniczyny, szuflować ziarno, aby się nie zagrzewało. Robić powrósła. Gromadzić lód. Stajnie, obory, chlewy, ciepło opatrywać. Nawóz na gnojowni ubijać. Drób trzymać w cieple, aby niósł jaja i żywić dobrze. Drzewo budulcowe, jako najlepsze, ciąć i zwozić sankami, zwłaszcza z mokrych miejsc. Wywozić gnój na pola i rozrzucać zaraz. Wywozić szlam. Drzewa owocowe obierać z suchych, skręconych liści, niszczyć pajęczynę na nich, bo tam gnieżdżą się gąsienice. Zakładać inspekta.

LUTY.

Czyścić dokładnie nasiona do siewów wiosennych. Zwozić budulec, również obornik prędko, dopóki ziemia zamarznięta. Wypuszczać bydło na świeże powietrze w dni pogodne. Nasadzać gęsi, kury, aby jak najwcześniej mieć drób, który najlepiej się wychowuje. Stanowić klacze. W polu łamać skorupę o ile się wytworzy, spuszczać wodę z pól. Rozsiewać kainit, tomasynę, o ile śniegu dużo niema. Na łąkach rozrzucać kretowiny, oraz mech zedrzeć bronami zaraz, gdy tając zaczyna i w ogrodzie jeszcze jest twarda ziemia. W sadzie wycinać stare, suche gałęzie i niszczyć dalej gąsienice, zamówić drzewka.

MARZEC.

Gdy rola obeschnie, zaczynać energicznie orać, przyorywać nawóz pod ziemniaki, bronować orki jesienne. Z końcem miesiąca zaczynać siew owsa, jęczmienia, mięszanki na paszę. Zasilić słabe koniczyny. Łąki bronować, czyścić z mchu i wywozić go, najlepiej na kompost. Czyścić rowy na łąkach, przez zimę zamulone czę-

ściowo. Inwentarz roboczy dobrze żywić, aby miał siły do ciężkich robót wiosennych. W sadach po rozmarznięciu ziemi zaraz sadzić drzewka i krzewy owocowe, czyścić korę, bielić drzewka prześwietlać korony. Zrewidować kopce z ziemniakami, nadpsute wyrzucić, a średnie do sadzenia przygotować.

KWIECIEŃ.

Siać energicznie obok owsa także wykę, len, buraki, sadzić ziemniaki. Bronować oziminy i koniczyny, aby ziemię otworzyć dla wody i powietrza. Zasilać słabe oziminy nawozami pomocniczymi, zwłaszcza saletrą. Drób nasadzać w dalszym ciągu i puszczać go na sady, aby niszczył owady. W sadzie wysadzać dziczki, szczepić drzewa, zakładać opaski na nich, aby owady wchodzące na drzewa niszczyć. Siać rozsadę kapusty i innych warzyw. Opatrzyć narzędzia do pielenia. Bydło przed wypuszczeniem na pastwisko napaść trochę, aby się nie wzdymało.

MAJ.

Kończyć siew buraków, marchwi, siać koński ząb na paszę, sadzić ziemniaki. Gdy ziemniaki wzejdą zbronować je wskos i obsypać, oraz oczyścić z chwastów. Przerwać buraki, gdy mają cztery listki i podosadzać. Zbyt bujne pszenice zżynać lub kosić, aby nie wyległy. Kosić osty i inne chwasty na miedzach, aby nasion nie wydawały i nie rozsiewały się. Bydło dostaje już zieloną paszę, do której trzeba go powoli przyzwyczajać i nie dawać paszy zagrzanej. Cielęta żywić tylko suchem, dobrem ziarnem. W wolnych chwilach poprawiać drogi, dachy, wiązać powrósła. Przygotować wozy, drabiny, kosy do sianokosów. W sadzie niszczyć chrabąszcze oraz wszelkie gąsienice, których teraz jest bardzo dużo. Przeszczepiać stare drzewa i obrabiać ziemię w sadzie.

CZERWIEC.

Obradlać ziemniaki, koński ząb, marchew, buraki. Buraki przerwać także należy. Kosić koniczyny, aby nie zdrewniały i nie straciły na strawności, suszyć je najlepiej na rogalach, bo łatwiej schną i prędzej. Kosić siana, gdy trawy zakwitną, gdyż wtedy są najpożywniejsze oraz suszyć, gdyż pora sprzyja temu zwykle. Kończyć podorywki ugorów. Opatrywać stodoły, narzędzia żniwne, wozy. Gnój polewać gnojówką lub wodą, gdy zbyt przyschnie. Krów nie paść na mokrych polach. Konie pławić często, co dobrze wpływa na ich zdrowie. W sadach niszczyć gąsienice, nadmiar owoców z drzew zdejmować.

LIPIEC.

Kończyć sianokosy i zwózkę siana oraz koniczyn. Czyścić ugory. Zacząć zbiór zbóż, układać snopy najlepiej na mendle po 9 sztuk, gdyż wtedy najlepiej schną. Ścierniska podorywać jak najprędzej, a nie zostawiać ich na paszenie bydła, siać zielone nawozy na przyoranie jesienne i to jak najprędzej, aby miały czas wyróść. Podorywać także koniczyska z nawozem, gdy ten jest wywieziony. Oczyścić kurniki dobrze, gdyż wtedy robactwo bardzo drób niszczy. Gnój polewać gnojówką i wodą w czasie upałów, aby zbyt nie przysychał. W sadzie niszczyć oprzędy gąsienic i mszyce.

SIERPIEŃ.

Zboża energicznie kończyć siec i zwozić. Przyorywać ścierniska i siać zielone nawozy. Łubin pod oziminy przyorać. Siać wczesne mięszanki na wczesną zieloną paszę dla bydła, a mianowicie wykę i żyto, oraz rzepę ścierniskową. Młócić pszenicę i żyto na siew jesienny. Nawozy pomocnicze rozsiewać pod oziminy. Kosić koniczyny i wczesne potrawy. Orać pod oziminy energicznie. W sadzie robaczywe owoce spasać trzodą i przygo-

tować dołki do sadzenia drzew w jesieni. Wycinać wilki na drzewach.

WRZESIEŃ.

Kończyć orki pod oziminy, siać energicznie oziminy oraz nawozy pomocnicze pod nie. Siew nie powinien być za gęsty, bo łatwo wylęga zboże, a gdy zanadto posiejemy, to chwasty się rzucają. Po zasiewie robić przegony, aby woda wierzchnia odpływała, ziemię z przegonów trzeba rozrzucić, aby ziarna grubo nie przykryć. Zacząć kopać ziemniaki, a w końcu miesiąca buraki. Orki zimowe prowadzić energicznie. Z łąk zbierać potrawy ostatnie, mech tępić bronami, rozsiać nawozy pomocnicze na nich. W sadzie zbierać wczesne owoce, czyścić drzewa, bielić je. Kończyć oczkowanie, sadzić drzewa lepiej teraz, niż na wiosnę.

PAŹDZIERNIK.

Kończyć kopanie ziemniaków, buraków, bronować ziemniaczyska i resztki ziemniaków zbierać. Rowy na rolach opatrywać, orać w dalszym ciągu i w ostrej skibie zostawiać na zimę. Przyorywać nawozy na zimę. Bydło przyzwyczajać powoli do suchej paszy, zmniejszyć ilość bydła, gdy brak nam paszy na zimę. Kopce ziemniaczane opatrywać dobrze. W sadzie sadzić ostatnie drzewka, oblepiać je, aby gąsienice niszczyć, oraz bielić je po oczyszczeniu. Zasilać stare drzewa obornikiem. Zacząć tuczyć trzodę silnie.

LISTOPAD.

Kończyć orki zimowe, przyorywać zielone nawozy. Przegony popoprawiać. Gdy się skończą roboty w polu z nastaniem mrozów, przeczyścić pługi i nasmarować je, aby nie rdzewiały. Drogi ponaprawiać. Młócić zboża. Z nastaniem mrozów okryć dobrze kopce ziemniaczane, aby nie zmarzły. Stajnie opatrzyć na zimę, szyby powstawiać, aby było ciepło. Bydło żywić już w stajni, a nie wypuszczać na pastwisko, aby trawy mogły odróść na zimę. Drób trzymać w domu i dawać mu trochę zielonej trawy z ziemniakami, co dobrze wpływa na nosność kur. W sadzie zbierać owoce późne, regulówkę robić oraz słomą młode drzewka okręcać, aby nie zmarzły.

GRUDZIEŃ.

Młócić zboża zwłaszcza z stert i szczególniej dbać o inwentarz. Żywić go dobrze, czyścić, słać dużo, skarmiać nim poślady, ale te parzyć, aby szczególnie chwasty niestrawione nie przechodziły do gnoju. Starać się inwentarz stanowić teraz, aby na jesieni się cielił, bo wtedy mamy mleka najwięcej w zimie, co nam zyski znaczne przynosi. Ciąć budulec i naprawiać wozy, narzędzia gospodarcze, gdyż teraz na to najwięcej czasu. W sadzie wycinać stare gałęzie, kopać doły na wiosenne sadzenie. Wolnych koni używać do wywozu nawozów, szlamu itp., oraz przywozu z miasta nawozów pomocniczych itp., na co w lecie czasu brak.

Objaśnienia pocztowe.

Adres każdej przesyłki listowej powinien obejmować imię i nazwisko odbiorcy, jako też mieszkanie lub firmę, zarazem miejsce przeznaczenia wraz z podaniem kraju. Na kopercie nie wolno żadnych notatek umieszczać, jakoteż jakichbądź doniesień.

Przylepiania marek listowych na odwrotnej stronie koperty należy unikać.

Marki listowe. Marki listowe może nadawca w części adresem przepisać, nie wolno jednak na nich żadnej pieczęci odcisnąć, ani ich przekreślić,

ani na nich umieścić dnia lub nazwy miejscowości.

Za doręczenie listów, kartek korespondencyjnych, druków, prenumerowanych gazet i czasopism, wzorków i próbek towarów przez listonosza nie uiszcza się żadnej należytości.

Urząd pocztowy nie bierze na siebie żadnej odpowiedzialności za zaginiony list z w y c z a j n y, lub za rzeczy wartościowe w nim załączone, jakoteż za skutki opóźnienia lub błędnego doręczenia; natomiast w razie zaginienia rekomendowanej przesyłki z winy urzędu, uiszcza urząd pocztowy nadawcy jako wynagrodzenie kwotę 50 kor.

Listy zwyczajne nie mogą być cięższe niż 250 gramów. Za listy zwyczajne opłata wynosi bez różnicy odległości:

W monarchii austryacko - węgierskiej razem z Bośnią, Hercegowiną i Lichtensteinem do 20 gr. za list opłacony 10 hal., nad 20 gr. do 250 gr. opłacony 20 hal.

Do Niemiec do 20 gr. opłacony 10 hal., nad 20 gr. do 250 gr. opłacony 20 hal.

Za granicę do wszystkich innych krajów związku pocztowego do 20 gr. 25 hal., za każde 20 gr. 15 hal.

Za listy doręczane w miejscu płaci się tak samo jak za zwykłe krajowe.

Listy poste restante mogą zalegać przy urzędach pocztowych do 4 tygodni i mogą być adresowane nietylko imieniem i nazwiskiem, ale także literami, cyframi i t. d. i wtedy adresat powinien się sam zgłosić po odbiór tychże. Listy poste restante adresowane literami lub cyframi, rekomendowane być nie mogą.

Rekomendować (polecać) można wszystkie przesyłki, ale poniżej adresu musi być uwidocznionem „polecone“. Należytość za polecenie wynosi przy przesyłkach bez względu na odległość, tak wewnątrz kraju, jakoteż i do wszystkich państw związku pocztowego 25 hal.; należytość za rekomendacyę trzeba uiścić przez przylepienie marek listowych w odpowiedniej ilości po stronie adresu.

Recepis zwrotny. Przy wszystkich przesyłkach poleconych może nadawca żądać recepisu zwrotnego. Za recepis ten opłaca się 25 hal.

Przyjęcie lub nieprzyjmowanie przesyłek pocztowych jest do woli adresata oddane.

Listy pilne. Jeżeli nadawca sobie życzy, aby list został zaraz po przyjściu doręczony adresatowi, ma być adresowany dokładnie, t. j. zawierać imię i nazwisko, tudzież mieszkanie adresata (ulica i numer domu), oraz winien nadawca dopisać na kopercie po lewej stronie u dołu „doręczyć zaraz przez umyślnego posłańca“ (express). Za doręczenie natychmiastowe należytość wynosi 30 hal., którą to należytość nadawca uiścić musi przezprzylepienie marek listowych w odpowiedniej ilości, jeżeli adresat mieszka w miejscu. Za każde zaś $7\frac{1}{2}$ kilometra odległości od urzędu pocztowego płaci się posłańcowi 1 kor., zawsze jednak adresat jest odpowiedzialny za uiszczenie odpowiedniej należytości.

Karty korespondencyjne po 5 hal. mogą być przesłane do wszystkich krajów monarchii austryackiej i do Niemiec, jakoteż i do Czarnogóry i Serbii, zaś karty korespondencyjne po 10 hal. można wysyłać do wszystkich innych krajów związku pocztowego.

Kartki korespondencyjne można także rekomendować, w tym jednak razie nie wolno adresu napisać ołówkiem.

Druki. Wszelkie druki, litografie, sztychy, fotografie i książki można posyłać pod opaską, których można nabyć w urzędzie pocztowym. Opaski mogą być także robione w domu. Należytość wynosi do wszystkich miejscowości państwa austryackiego i do Niemiec, jakoteż do Bośni i Hercegowiny do 50 gr. 3 hal., od 50 do 100 gr. 5 hal., od 100—250 gr. 10 hal., od

250—500 gr. 20 hal., od 500—1000 gr. 30 hal. Do wszystkich innych państw do związku pocztowego należących za każde 50 gr. 5 hal.

Pod opaską nie wolno posyłać listów. Pod jedną opaską można kilka przedmiotów posyłać, jeżeli adresowane są do jednej osoby. Adres ma być napisany na opasce. Oprócz adresu, daty i podpisu, żadnych innych dopisków robić nie wolno, wolno tylko ołówkiem zakreślać miejsca na marginesie, na które chce się zwrócić szczególną uwagę. Korekty wolno posyłać ze stosownemi poprawkami, które nawet w braku miejsca na marginesie, mogą być dopełnione na osobnym arkuszu i wolno także odpowiednie kartki manuskryptu do korekty dołączyć.

Próby towarów nie powinny przedstawiać żadnej wartości kupieckiej. Muszą one być zapakowane w woreczkach, żeby można łatwo przekonać się o ich zawartości, które nie śmią być dłuższe niż 30, szersze niż 20, a wyższe niż 10 cm., albo przesyłać wolno w rulonach, które nie śmią być dłuższe niż 30 cm., a średnicy 15 cm. nie przekraczają.

Ciężar próbek towa ów co najwyżej wynosić może 250 gr.

Opłata wynosi w monarchii austryacko-węgierskiej do Bośni i Hercegowiny, jakoteż i do Niemiec do 250 gr. 10 hal., do 350 gr. 20 hal. Do innych zaś państw do związku pocztowego należących za każde 50 gr. 5 hal., najmniej jednak 25 hal.

Przekazy pieniężne (Postanweisungen). Do 1000 kor. posyłać można do wszystkich urzędów pocztowych monarchii austryacko - węgierskiej i Bośni i Hercegowiny nietylko w listach, ale także za pomocą t. z. przekazów, których można nabyć w urzędach pocztowych po 3 hal.

Przekazów pocztowych na większą kwotę niż 1000 kor. opiewających pojedynczo nie przyjmuje się, względnie nie wypłaca się.

Przekazów pieniężnych nie wolno wypełniać ołówkiem zwyczajnym lub atramentowym.

Porto opłaca się przez przylepienie marek na przekazie. Kwotę przesłać się mającą należy na przekazie wypisać liczbami i słowami i złożyć ją w urzędzie pocztowym.

Opłata wynosi:

	do	20 kor.		—.10 hal.	
od	20 ,,	100	,,	—.20	,,
,,	100 ,,	300	,,	—.40	,,
,,	300 ,,	600	,,	—.60	,,
,,	600 ,,	1000	,,	1.—	kor.

Za przekazami pieniężnymi można przesyłać pieniądze i za granicę.

Można przesyłać przekazy do wszystkich państw europejskich i wielu zamorskich — ale trzeba je pisać według monety istniejącej w danem państwie. Przekazy do obcych państw są odmienne, nazywają się ,,internacyonalne" t. j. międzynarodowe.

Przekazy pieniężne telegraficzne można posyłać do takich miejscowości, gdzie jest biuro telegraficzne rządowe, do wysokości 1000 kor. Opłata jest ta sama, co przy przekazach zwykłych z dodatkiem opłaty za telegram.

Pakiety pocztowe. Adres każdej przesyłki pocztowej, jakoteż przekaz przesyłkowy musi być zaopatrzony w imię i nazwisko odbiorcy, miejsce przeznaczenia z podaniem kraju, powiatu i ostatniej poczty.

Zawartość pakietu należy tak na pakiecie, jak i na przekazie przesyłkowym podać.

Podanie wartości jest zostawione do woli przesyłającemu.

Do każdej przesyłki pocztowej należy dodać przekaz przesyłkowy, który kosztuje 12 hal.

Lewy odcinek przekazu przesyłkowego może być zapisanym i przez odbiorcę odciętym.

Przekazy przesyłkowe są: 1) do przesyłek bez zaliczki z zielonego papieru; 2) do przesyłek za zaliczką z szaro - niebieskiego papieru.

Najmniej kosztuje przesyłka w 5 klg. ważących pakietach w granicach mo-

narchii (ponad 10 mil odległości) 60 hal.

Wysokość opłaty przesyłek pocztowych zależy od ciężaru, wartości i oddalenia od miejsca nadania do miejsca przeznaczenia.

Deklaracyę cłową należy dołączyć do wszystkich przesyłek pakietowych z Au-Węgier do Niemiec bez względu na wagę.

Do przesyłek pakietowych do Niemiec należy dołączyć statystyczną deklaracyę.

Opłata za pakiety wynosi:

Przy przesyłkach do 5 klg. włącznie na odległość 10 mil, 30 hal.; powyżej odległości 10 mil 60 hal. Za przesyłki powyżej 5—15 klg. za każdy klg. na odległość 10 mil 6 hal., na odległość 20 mil 12 hal., 50 mil 24 hal., 100 mil 36 hal., 150 mil 48 hal., powyżej 150 mil 60 hal.

Przy nieopłaconych przesyłkach dolicza się dodatek 12 hal.

Najlepiej i najtaniej przychodzi każdemu przesyłać w pakietach 5 klg. w całej monarchii (powyżej 10 mil odległości) 60 hal. **Taksa wartościowa** wynosi do 100 kor. 6 hal., od 100 kor. do 600 kor. 12 hal., do 900 kor. 18 hal., do 1200 kor. 24 hal., do 1500 kor. 30 hal., do 1800 kor. 36 hal., do 2100 kor. 42 hal. **Prowizya zaliczkowa** wynosi do 24 kor. 12 hal., do 28 kor. 14 hal., do 32 kor. 16 hal., do 36 kor. 18 hal., do 40 kor. 20 hal., za każde dalsze 4 kor. 2 hal.

Przesyłki za zaliczką można nadawać na wszystkich urzędach pocztowych, które upoważnione są do poczty wozowej, w monarchii austryacko-węgierskiej aż do wysokości 1000 kor.

Przy przesyłkach za zaliczką bierze na siebie urząd pocztowy odpowiedzialność, kwotę wymienioną przez nadawcę od adresata powziąć i przez urząd nadawczy pocztowy nadawcy wypłacić.

Przesyłki za zaliczką do **Niemiec** nadawane być mogą z podaniem wartości i bez takowego aż do 50 klg. i do 1000 koron.

Za granicę należy używać tak zwanych międzynarodowych przekazów przesyłkowych, które są na różowym papierze drukowane. Do każdej przesyłki należy dodać deklaracyę cłową, następnie przy przesyłkach podlegających statystyce zagranicznego handlu, należy jeszcze dołączyć statystyczną deklaracyę. Opłata przy przesyłkach pakietowych do Niemiec jest taka sama, jak przy przesyłkach wewnątrz monarchii austr.-węg.

Wprowadzono niedawno dla kupców **„karty legitymacyjne“** za opłatą 2 koron. Za ich okazaniem można otrzymywać listy polecone, towary i przekazy „poste restante“ w całem państwie austryackiem. Dotychczas żądano paszportu lub metryki.

TELEGRAMY. Użytkowanie telegrafu jest każdemu dozwolonem.

Tajemnicę telegramów zachowuje się pod największą dyskrecyą.

Telegram napisany być musi wyraźnie, zrozumiale i takiemi niemieckiemi lub łacińskiemi literami, względnie znakami lub cyframi, któreby można odtelegrafować. Przy każdym telegramie w Austro-Węgrzech (wraz z Bośnią, Hercegowiną i Lichtenstein) jak i do Niemiec płaci się za każde słowo 6 hal., co najmniej 60 hal.). Słowo nie śmie obejmować więcej niż 15 liter lub 5 cyfr. Litery i cyfry zbywające, liczy się na nowo. Do innych zaś państw europejskich, jakoteż do wszystkich prawie zamorskich opłaca się taksę 60 hal., a do tego jeszcze taksę słowną, która jest rozmaitą.

Zapłacona odpowiedź. Nadawca może żądaną od adresata odpowiedź zapłacić, a w tym razie przed adresem nadmienić ma wyraźnie **Rp.** Jeżeli nadawca ilości słów na odpowiedź nie poda, to na nią liczy się 10 słów.

Wesoła wiadomość

dla suchotników

Chorych na piersi	Chorych na bladaczkę
Chorych na płuca	Skrofulicznych
Astmatyków	Anemicznych

Wreszcie wynaleziono środek, który wyżej wymienionym chorym przynosi od lat oczekiwaną ulgę i wyleczenie choroby. Środkiem tym jest

Aptekarza Vèrtesa syrup wapniowo-żelazowy

Syrup ten już u setek tysięcy osób okazał się **znakomicie działającym** środkiem i dlatego bywa przez najwybitniejszych lekarzy i profesorów zalecany i używany jako lek **najskuteczniejszy** tak na **koklusz, rachitis,** (choroba angielska), **plucie krwią, chudnięcie, w chorobach kobiecych,** jakoteż **w osłabieniach** wszelkiego rodzaju.

Wskutek tego, że apt. **Vertesa syrup wapniowo-żelazowy** zawiera lekko strawne żelazo i fosforan wapna, działa on bardzo skutecznie na tworzenie się krwi i poprawę krwi u wszystkich chorych na powyższe słabości, u osłabionych, chudych osób, u uzdrowieńców, a często wywiera wprost **nieoczekiwany dobroczynny skutek.** Pobudza on całą czynność życiową, wzmacnia cały organizm, przyczynia się do tworzenia silnych kości, chorzy po zażyciu go dostają apetyt, śpią spokojnie, łagodzi on kaszel, rozpuszcza flegmę, znikają nocne poty, ustępuje osłabienie, chorzy czują się weselsi, silniejsi i wyglądają o wiele lepiej. Równocześnie wpływa on na podniesienie się wagi ciała i jest wskutek tego **znakomitym środkiem** przeciw **chudości.**



Z powodu swego przyjemnego smaku i zapachu **syrup wapniowo-żelazowy** apt. **Vértesa** chętnie zażywają nawet ci, którzy lekarstw znosić nie mogą, a także dzieci. U dzieci skrofulicznych, u takich, które w rozwoju swym nie postępują, są słabej konstytucyi, chorowite, następuje szybko ogólne polepszenie i usunięcie zjawisk chorobowych. Znakomite też skutki osiąga się u młodych dziewcząt w perjodzie ich rozwoju, jak również u kobiet w krytycznym wieku, przy nieregularnym perjodzie.

O wiele łatwiej strawny i o wiele przyjemniejszy do zażywania niż tran i chętnie jest używany zamiast tranu.

1 flaszka franko pocztą 3·50 kor. 4 flaszki wystarczające zupełnie na jedną kuracyę franko 10 kor.

Jedynie prawdziwy dostać można u wytwórcy:

L. VÉRTES, apteka pod „Orłem“,

LUGOS Nr. 532 BANAT.

Najlepiej wypróbowane środki domowe (żadne tajemnicze, gdyż składniki tychże wszędzie są podane):

LUDWIK VERTES, apt. pod ORŁEM, w LUGOSZU, Nr. 532. BANAT.

Przy zamówieniach niżej 10 kor. liczy się za list przesyłkowy i skrzynkę 40 hal., przy zamówieniach od 10 kor. począwszy za pakiet 5 klg. ważący, za opakowanie nic się nie liczy i **przesyła się opłacenie**, w Austro-Węgrzech i dla Niemiec, za poprzedniem nadesłaniem kwoty przynależnej. Zamówienia **posterestante** uskutecznia się **tylko** za poprzed. nadesłaniem kwoty przynależn.: przesyłek liczbowych nie wysyła się wcale. Poniżej 2 K. nie wysyła się. Odsprzedający otrzymują znaczny opust.

Gdy zamówienie nie za przekazem pocztowym zostało zrobionem ale w liście **osobnym** lub zapomocą kartki korespondencyjnej należy się nadmienić, że **kwota przynależna wysłaną została za przekazem pocztowym**; przekazy pocztowe bowiem przybywają zwykle **o 1 dzień** później, aniżeli listy, i jeżeli w liście nie zostało nadmienione, że przynależność została wysłaną za przekazem pocztowem, przesyłka opóźnia się, wskutek czego zwiększają się koszta.

Dalsze najskuteczniejsze środki, zawsze świeżo przypraw. według lekar. przepisu.

Środek przeciw tasiemcowi



aptek. Vertes'a, wypróbowany w niezliczonych wypadkach wywiera **nader zbawienne skutki** i oprócz tego tem się odznacza między innymi środkami przeciw tasiemcowi, że chory nie doznaje żadnego bólu i osłabienia ani żołądka nie nadwyręża, co inne środki za sobą pociągają, ten zaś przeciwnie ułatwia trawienie, co więcej, mogą go zażywać i dzieci, gdyż nie sprawia najmniejszego obrzydzenia w zażywaniu. Nie szkodzi nawet wtedy gdy i tasiemca niema. — Tasiemiec **wraz z głową,** wychodzi w zniszczonym stanie, dlatego o wzroście powtórnym nie może być mowy.

Poczem poznaje się istnienie wewnątrz tasiemca? Potem, że on noszącemu go sprawia dokuczliwe boleści, jak kurcze żołądkowe, wymioty, uczucie ścieśnienia brzusznego, jak gdyby kłębek aż do szyi się wznosił, wiatry i wzdęcie w brzuchu, omdlenie i zawrót głowy, bezkrwistość, brak apetytu lub nienasycenie, osłabienie i niechęć do pracy, odbijanie się kwaśne, kruczenie w brzuchu, brak trawienia, posępność i t. d. jako zewnętrzne oznaki można nadmienić: podkute oczy, nienaturalną białość białek ocznych, blade oblicze, obsypany język, chudość, nabrzmienie brzucha. — Puszka 7 K. 65 h., opłacenie. — Przy zamówieniu uprasza się o podanie wieku.

Astmowe

papierosy i proszek przeciw astmie, wąskim piersiom ciężkiemu oddechowi skuteczne. 1 puszka proszku 2 K. 65 h. opł.

Epilepsyi

Środek przeciw tańcowi św. **Witta i padaczce,** przeciw kurczom nerek i żołądka, bezsenności itp. Używany z najlepszym skutkiem. — Puszka 6·25 koron opłacenie.

Maść

przeciw **liszajom,** tak świerzbiącym jak rozlewającym się i suchym; przeciw nieznośnym **wyrzutom skórnym** chociażby zastarzałym nader skuteczna. Słoik 4 K. 60 h. opł.

Moczowi

Środek przeciw w **łóżku.** Skutek szybki i wyprób. Puszka 10 K. opł.

Olejek

słuchu, dr. Browna leczy szybko i pewnie reumatyczny i nerwowy **szum uszu, głuchotę, kłucie** w uszach, cieknięcie z uszu i inne choroby uszne. — Flaszka 4·25 kor. opł.

Piasek

i kamień. Znakomicie wypróbowanym środkiem do usunięcia tych bolesnych cierpień jest **Diurin.** Puszka 4 K 60 hal. opł.

Pot

Środek **dra Skotta na pot świerzb.** Skutecznie działa przeciw poceniu się rąk, nóg, podpasza, przeciw t. zw. wilkowi, tudzież przeciw świerzbieniu wszelkiego rodzaju. Puszka 4 korony opł.

Puchlinę

wszelkiego rodzaju jako i skutki tejże, **żółtaczkę, choroby wątrobian**, usuwa w krótkim czasie skutecznie **Hydropin.** Flaszka 3 kor. 50 hal. opł.

Rany

zapalenia, wrzody, usuwa w krótkim czasie **maść domowa z Lugosza,** wypróbowany środek leczniczy Puszka 1 kor.

Woda

do ócz barona Bruckenthala. Działa nader skutecznie na utrzymanie, wzmocnienie i przywrócenie wzroku. Flaszka 3 kor. opł.

OPILSTWO.

Kto z tego nałogu chce być wyleczonym, ten niechaj zażywa **z wyśmienitym skutkiem**, wypróbowany i według szczególnegoprzepisu lekarskiego w **aptece** pod **Orłem w Lugoszu.** Nr.532 Banat, przyprawionego środka przeciw opilstwu. Pijakowi można podać nawet bez jego wiedzy, ponieważ środek ten jest bez smaku i zapachu. Flaszka 6 koron. Podwójna przy nieznośnych cierpieniach konieczna 8 kor. 80 hal. — 8 mar. — 2 dol. — 10 franków.

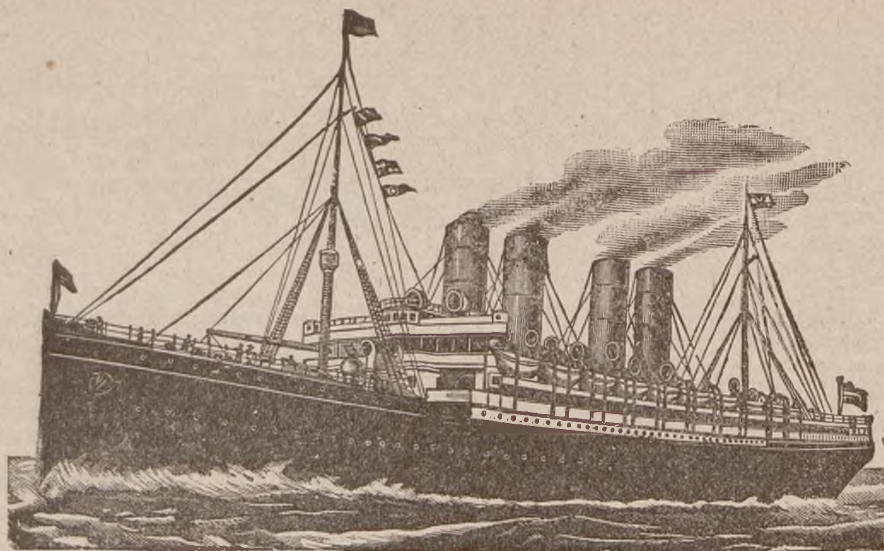
Upraszam o nadesłanie mi podwójnej flaszki dla jednego człowieka; pierwsza pańska przesyłka wyleczyła tego człowieka, któremu pański **Antibetin** zaleciłem, a żona jego składa panu niniejszem serdeczną podziękę.

Alojzy Mooslachner. Radstadt.

Składam serdeczną panu podziękę za te dwie flaszki tego środka, który 2 osoby zupełnie wyleczył, i upraszam o nadesłanie mi jeszcze 2 flaszek po 8 kor. 80 hal., gdyż chcę 2 zawołanych nałogowców wyleczyć.

Jan Krizel, Krajowa.

Aptekarza Vertesa wódka francuska powinna być w każdym domu.



NADESŁANE.

Jeżeli szukacie pomocy przeciw podagrze, bolom reumatycznym, kolce, darciu w kościach, bolom w krzyżach i t. d. to radzimy prawdziwy Kriegnera Reparator (Spiritus petrae camphoratus) Zamiast bezużytecznych prób z francuskiemi wódkami, jest rozsądniej użyć prawdziwego Reparatoru Kriegnera, gdyż tylko ten środek jest skutecznym na te cierpienia.

Wytwarza go wyłącznie fabryka Kriegnera Budapeszt Baross u. 2.; tu też proszę zamówienia adresować. Przez pocztę posyła się 5 małych flaszek za 5 k. opłatnie, lub 3 duże flaszki za 6 kor. Ten stary, wypróbowany środek na pewno pomoże! Proszę spróbować!

Najlepszy sposób na oszczędność.

Wielu ludzi łudzi się, że robią oszczędności, gdy kupując przedmiot niezbędny, jak najmniej pieniędzy nań wydają.

Taki sposób kupowania prowadzi właśnie wręcz do przeciwieństwa oszczędności. Bo przypuśćmy, że ktoś musi sobie kupić kieszonkowy zegarek, zwraca się więc pisemnie do bazaru, który obok wielu innych artykułów ofiarowuje także tanie zegarki i każe sobie taki zegarek przysłać.

Zegarek ten jednak nigdy dokładnie nie idzie. Albo spieszy się, a wtedy przychodzi się wszędzie i zawsze za wcześnie, musi się czekać i traci niepotrzebnie czas, pomijając już to, że taki niepotrzebny pośpiech jest powodem wielu nieprzyjemności.

Jeśli znów zegarek spaźnia się, przychodzi człowiek zawsze zapóźno, spóźnia często pociąg, termin w sądzie, jarmark i t. p., a to jest wszakże powodem wielu przykrości i szkód.

Już po bardzo krótkim czasie staje taki zegarek bazarowy niespodzianie, bo z powodu źle domykającej się nakrywki sam przez się już djabła wart zegarek przypada prochem i bezpowrotnie się psuje, kończy się na tem, że człowiek właściwie wcale zegarka nie ma i nigdy nie orjentuje się w czasie.

Tak więc daje człowiek zegarek do naprawy, co naturalnie kosztuje pieniądze, ale już bardzo prędko kłapacz znowu się psuje, naprawa znowu kosztuje, bo taki tandetny mechanizm nie może wogóle długo służyć.

Tak w kółko: irytacya, opóźnienia, niepewności, koszta naprawy. I kto teraz śmie twierdzić, że przy zakupnie „taniego“ zegarka bazarowego cokolwiek się zaoszczędza? Nie można zresztą także nawet i wymagać, aby zegarek bazarowy dobrze szedł. Bo przecież bazary nie są fabrykami zegarków, nie rozporządzają zawodowcami, którzyby się na zegarkach rozumieli, jeno usiłują obok przeróżnych innych przedmiotów dla zarobku sprzedawać także i zegarki.

Kto się cokolwiek na zegarku rozumie, wie, że najlepsze są tylko zegarki szwajcarskie i taki właśnie kupi, gdyż zegarki te dobrze się przymykają, przed wysłaniem zostają przez fachowców zbadane, na sekundę dokładnie uregulowane i w następstwie tego są potem bardzo dokładne i precyzyjne.

Nie trzeba jednak pisać aż do Szwajcaryi i płacić wysokie cło, by kupić wprost we fabryce prawdziwy zegarek szwajcarski.

Znany światowy dom wysyłkowy zegarków H. Suttner, Lublana (Laibach) Nr. 578 posiada własną protokołowaną fabrykę zegarków w Szwajcaryi, której marka „Iko“ ma sławę w świecie. Stamtąd można wprost bez zagranicznej korespondencyi, bez cła, bez kosztów pośrednictwa sprowadzić prawdziwy szwajcarski zegarek po najtańszej oryginalnej cenie fabrycznej już od K 4·10 wzwyż za gwarancyą.

Tysiączne uznania z całego świata, między temi liczne z Ameryki stwierdzają, że Suttnera prawdziwe zegarki szwajcarskie są niezrównane co do swej dokładności, trwałości i wartości. To właśnie nie jest bazar, lecz fabryka zegarków, w której każdy zegarek przed wysyłką ulega dokładnemu zbadaniu, ustawieniu i uregulowaniu przez fachowców.

Kto chce kupić solidny dobry zegarek, albo wyroby ze złota i srebra, przedmioty ozdobne i t. d., niechaj zażąda darmo i opłatnie ilustrowanego katalogu ozdobnego H. Suttnera w Lublanie (Laibach) Nr. 578. Oszczędza się w ten sposób dużo pieniędzy za naprawę, dużo spóźnień, irytacyi i szkód i ten tylko jest jedyny racyonalny sposób oszczędzania.

Mały wyciąg z cennika fabryki zegarów H. SUTTNER w Lublanie (Laibach) Nr. 578.

Nr.	410.	Niklowy patent. zegarek Rosskopf, 36 godzin idący, z emaliowaną tarczą . .	K. 4.10
„	518.	Płaski niklowy cylinder remontoir, silny mechanizm	„ 7.50
„	101.	Srebrny Anker-remont. płaski z posrebrzaną lub pozłacaną tarczą . . .	„ 11.00
„	803.	Niklowy lub stalowy damski cyl. rem. mechanizm	„ 7.90
„	804.	Srebrny cyl. rem. damski, silne pokrywki mechanizm doskonały, 6 rubinów .	„ 9.50
„	2324.	Łańcuszek do przeciągania, amerykańskie duoble złoto	„ 5.50
„	550.	Damski niklowy łańcuszek, misternie wykonany	„ 1.70
		Taki sam srebrny z zasuwką	„ 5.90
„	1204.	Niklowy anker budzik, doskonały mechanizm, najlepsza jakość 20 cm. wysoki z wskazownikiem dat	„ 5.—
„	1203.	Niklowy budzik anker, dobra jakość	„ 3.60
		Taki sam 29 cm. wysoki, doskonały mechanizm, bardzo godny polecenia . .	„ 4.60
„	1371.	Zegar kukułkowy z pięknie rzeźbioną szafką, silny mechanizm, wołanie kukułki co pół i godziny, głośno bijący, do naciągania na łańcuszek i wagi K. 9.75, zadatek .	„ 2.—
„	1372.	Zegar kukułkowy przepięknie wykonany i rzeźbiony K 12.50, zadatek . .	„ 2.—
„	1360.	Zegar ścienny bijący, do naciągania łańcuszkiem, z 2 ciężarkami K 4.80, zadatek	„ 2.—
„	1362.	Zegar ścienny bijący, z szklaną tarczą, łańcuszkiem i 2 ciężarkami, 30 cm. średnicy, K 5.95 zadatek	„ 2.—

Wysyłka za zaliczką albo przedpłatą. Niepodobające wymienia się lub zwraca za nie pieniądze.

Szkaplerzyk dla zdrowych i chorych

(W ślad naszego kalendarza).

Pouczenia, które Czytelnikom naszym dajemy, oparte są na zdobytem doświadczeniu i na stwierdzonych niejednokrotnie wynikach leczniczych. Jakże często potrzebną jest doraźna pomoc, **jeszcze przed przybyciem lekarza** w nieszczęśliwych wypadkach, nagłych zasłabnięciach lub nieoczekiwanych bólach. Oby wskazówki te w podobnych wypadkach oddały każdemu potrzebne a należyte usługi.

Oparzeliny leczy się mąką, która usuwa ból, jeśli się nią posypie miejsce spalone albo poparzone. Znacznie skuteczniejsze i szybsze jest działanie, jeśli się poparzone miejsce zwilża fluidem Fellera z marką „Elsa-Fluid" względnie spaleniznę leczy mieszaniną 3 części oleju lnianego lub oliwy stołowej i 1 część fluidu Fellera. W ten sposób zapobiega się równocześnie tworzeniu się pęcherzy.

Duszność. Z rana wypić należy szklankę świeżej wody, wieczorem letnią kąpiel na nogi z wywaru kwiatu siana a pierś natrzeć fluidem Fellera i kilka razy głęboko odetchnąć przy otwartem oknie.

Biegunkę leczy się przez spożywanie zupy perłowej lub ryżowej, wina tarniowego kawy dębowej, lub dębowej kory. Polecenia godnem jest również ugotowanie salepu, który nabyć można w każdej aptece za kilka halerzy.

Wymioty uspokajano już niejednokrotnie ugotowaną miętą pieprzową.

Przeziębienia wszelkiego rodzaju, gośćcowe, reumatyczne bole, kłucie, postrzal (Hexenschuss), ból gardła, influenza, katar, ból głowy i piersi, ból oczu, gorączka są stanami chorobowemi, których zaniedbywać nie wolno. Zewsząd dochodzą nas słowa najwyższego uznania od wszystkich, którzy w wypadkach podobnych używali przez lekarza zalecanego i u nas dziś już słynnego fluidu Fellera z marką „Elsa-fluid". Sami przekonaliśmy się, że Fluid Fellera usuwa szybko nawet bole zastarzałe, uwalnia flegmę, łagodzi kaszel, uśmierza bole kurczowe, chroni przed katarem i innemi cierpieniąmi. Czytelnicy nasi postąpią rozsądnie, jeśli w domu zaopatrzą się w ten wypróbowany środek, bo wszak nigdy wiedzieć nie można, kiedy może być potrzebny. Jest on zresztą bardzo tani, gdyż 12 małych, 6 podwójnych, albo 2 specyalne flaszki kosztują tylko K 5 opłatnie; 24 małych, 12 podwójnych, albo 4 specyalne flaszki opłatnie K 8.60. W prawdziwie dobrym wyrobie do nabycia tylko u aptekarza E. V. Fellera w Stubicy nr. 710 (Kroacya).

Odmrożone członki należy silnie natrzeć miękkim śniegiem i natychmiast osuszyć. Dobrze działa również natarcie gliceryną zmieszaną po równej części z żółtkiem.

Nagniotki i zrogowaciałą skórę usuwa się szybko i bezboleśnie przez użycie Fellera plastru na nagniotki, który już za 1 koronę, nabyć można u aptekarza E. V. Fellera w Stubicy nr. 710 (Kroacya). Stamtąd również sprowadzić należy Fellera sztyfcik migrenowy na ból głowy, szum w uszach i newralgiczne boleści. Sztuka kosztuje 80 halerzy i wystarcza na bardzo długi czas.

Ukąszenia przez owady. Żądła pszczół, ós, much unieszkodliwia się przez natarcie odnośnego miejsca wspomnianym sztyfcikiem migrenowym, lecz jeszcze jest lepiej tuż po ukłuciu miejsce to natrzeć Fellera fluidem z marką „Elsa-fluid", by w ten sposób zapobiedz opuchlinie i przykremu świerzbowi.

Bole żołądka, obstrukcya, brak apetytu, skłonność do wymiotów, zgaga, kurcze, ból brzucha, zawroty głowy i inne przykre skutki, wynikłe z nienormalnego funkcyonowania żołądka i jelit wielu ludziom już zatruły życie. Baczyć należy, by żołądka nie przeładowywać i utrzymywać go w zdrowym stanie. Skoro zaś występują pewne przypadłości żołądkowe, dobrze jest wiedzieć, jak bardzo powszechnie chwalą oddawna uznane pigułki rumbarbarowe Fellera z m. „Elsa-pigułki", które ułatwiają trawienie, pobudzają apetyt, uśmierzają kurcze i boleści i regulują wymianę materyi. Są zupełnie nieszkodliwe, nie podrażniają jelit, działają łagodnie i pewnie. Skuteczne są również przeciw tyciu! Należy obstalować 6 paczek opłatnie za K 4. albo 12 paczek za K 7.60 u jedynego wytwórcy E. V. Fellera, aptekarza w Stubicy nr. 710 (Kroacya).

Krwotoki nosa łagodzi się zazwyczaj przez wchłanianie nosem zimnej wody zmieszanej z octem.

Bezsenność jest stałym objawem u ludzi nerwowych na tle przepracowania (nacierania fluidem Fellera są w tym wypadku bardzo zbawienne), częstokroć przyczyną bezsenności jest także niedokrewność, lub zepsuty żołądek (a wtedy używa się ze skutkiem Fellera pigułek) jako nasenny środek służy często przed spaniem kwaśne jabłko, przechadzka, podczas której głęboko należy oddechać, albo oddechanie głębokie przy otwartem oknie.

Skrofuły, niedokrewność, wysypkę, migdałki u dzieci zwłaszcza, usuwa rybi tran. A najlepszym jest prawdziwy czysty tran z dorsza, który jednakże musi być zawsze świeży. Nabyć go można za 5 koron w 2 dużych flaszkach opłatnie u aptekarza E. V. Fellera w Stubicy nr. 710 (Kroacya).

Ból zębów, który — jak to mówią — może człowieka doprowadzić do „szału" usuwa się za pomocą fluidu Fellera z m. „Elsa-Fluid" w sposób następujący: Na dziurę w zębie nałożyć watę przesiąkniętą kilkoma kroplami, w każdym razie jednak należy dziąsla i policzki natrzeć fluidem Fellera. Zapobiedz można bolom zęba, krtani i gardła przez przepłukiwanie mieszaniną wody z fluidem Fellera.

Cudownych środków dzisiaj wszak niema i nie wierzymy w nie zresztą, lecz niemniej zawsze przywiązywać należy wagę do uznanych środków domowych. Takimi są właśnie wymienione Fellera fluid i Fellera pigułki. Przekonani jesteśmy o wdzięczności wszystkich, którzy tego znakomitego środka domowego spróbują. Że zaś istnieje dużą naśladownictw, należy dobrze zapamiętać adres, pod którym preparaty te w niefałszowanej jakości dostać można. Rozmyślnie adres ten powtarzamy: E. V. Feller, aptekarz w Stubicy nr. 710 (Kroacya).

W końcu nie chcieliśmy Czytelników naszych zbyt długo nudzić i wierzymy, że tym skaplerzykiem chorym i zdrowym dobrą wyświadczymy przysługę, a kończąc życzymy wszystkim najlepszego zdrowia i wołamy radośnie: **Niech żyje rok 1914.**

NA NOWY ROK.

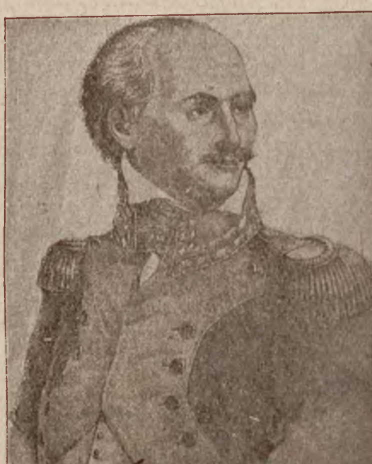
Noworoczne święcim święto....
Chociaż przeszła nieszczęść chmara,
Lecz nic w Polsce nie zaczęto,
Ciągle jeno bieda stara!
Jasna zorza na Bałkanie,
Co błysnęła Słowiańszczyźnie
Mogła przynieść też świtanie
I tu u nas, tu w Ojczyźnie!!
Lecz rok minął... Nowy idzie,
A tu dla nas jedna dola,
Niema końca dawnej biedzie:
Jedna ciągle wciąż niewola!
Wszędzie tylko ucisk wroga,
Czy w Poznaniu, czy w Warszawie..
Prześladowań męka sroga,
Że oddechu brak już prawie....
Lata przeszły.... Nowy idzie....
Z nim otucha w sercu wzrasta:
Może przyjdzie koniec biedzie
I na ziemi polskiej Piasta!
Bracia drodzy! choć łza w oku,
Choć nam braknie często chleba,
To łzy otrzeć, a w tym roku
Skupiać nam się wszystkim trzeba!
Może chwila niedaleka,
W której przyjdzie zerwać pęta,
Wszak czas bieży, czas nie czeka...
Wezwać może Polska święta!!...
Więc się krzepmy, Bracia rolni,
Budźmy śpiących życia słowy
A powstaniem może wolni....
Czego życzę w ten Rok Nowy!!

Antoni St. Bassara.

POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE.

(W 120 rocznicę).

Po drugim rozbiorze pozostał z Polski maleńki tylko kraik, nad którym sprawował rządy ambasador rosyjski, jenerał Igelstrom, mieszkający stale w Warszawie. Posiadał on władzę większą od króla polskiego. Wzięto się teraz gorliwie do zaprowadzenia w Polsce nowego porządku; przedewszystkiem obsadzono ją wojskiem rosyjskiem, którego komendy stały w Warszawie, Krakowie, Lublinie i we wszystkich znaczniejszych miejscach. Wojsko polskie postanowiono rozpuścić i zostawić z niego tylko 15.000. Po całym kraju polskim uwijali się Moskale, jakby w własnym domu; dokazywali sobie, uciskali Polaków i znęcali się nad nimi.



Antoni Madaliński.

Trudno opisać, jak smutne wrażenie wywarł na narodzie polskim gwałt świeżo dokonany. Wszystkie warstwy ludności opanowała rozpacz; tylko umysły zupełnie upadłe, stojące na żołdzie Rosyi, obojętnie patrzały na nieszczęsną dolę narodu, a dbając jedynie o korzyść osobistą, pozostały nadal wiernemi narzędziami dumnej carycy, która im za usługi te hojnie płaciła.

Do ogólnego rozgoryczenia przyczyniały się surowe rządy Igelstroma: prześladowano i więziono najcnotliwszych obywateli i wyszydzano nieszczęśliwy naród polski. Ucisk ten, doznawane upokorzenia, boleść ze strat niepowetowanych, mianowicie jednak przeświadczenie, że postępowanie niedołężnego króla ułatwiło Katarzynie ujarzmienie narodu, drażniły uczucia gorących patryotów. Jedni opłakiwali w zaciszu nieszczęście ojczyzny, inni szukali za jej granicami pociechy; u wszystkich przecież odzywało się jedno pragnienie: orężem zmazać zadane narodowi krzywdy. Poznał też niebawem cały ogół patryotycznie usposobionych osób, że nie było innego ratunku, tylko: *albo stargać hańbiące więzy, które nałożyła przemoc, albo, pokazawszy ostatni znak życia narodowego, zginąć w sposób godny wielkiej przeszłości.* Stąd też lubo zalegała Polskę grobowa cisza, lubo się zdawało, że pod wrażeniem ostatnich wypadków nieszczęśliwych wszelka działalność narodu obumarła, to jednak miały się rzeczy zupełnie inaczej.

Temu wyczekiwaniu, pełnemu obaw, niepokoju i niecierpliwiącego się zapału położył ostatecznie kres brygadyer Antoni Madaliński, Wielkopolanin. Stał on z komendą swoją, załogą w Pułtusku i okolicy Ostrołęki i odebrał

rozkaz, aby ją rozpuścił. Wtajemniczony w spisek, nie wypełnił polecenia, ale zgromadził ze swej załogi 700 ułanów i na ich czele opuścił na dniu 12 marca 1794 roku Pułtusk, uderzył na drobne komendy pruskie, odebrał im kasy wojskowe, powywracał słupy z orłami pruskimi i udał się ku Krakowu.

Krok ten Madalińskiego był pierwszem hasłem powstania; pobudzona nim szlachta sandomierska, poczęła tworzyć zbrojne oddziały. Widząc patryoci, że niepodobieństwem byłoby dłużej czekać, zawiadomili o tem co zaszło Kościuszkę, który też na dniu 23 marca r. 1794 przybył do Krakowa, gdzie nazajutrz nastąpiło uroczyste ogłoszenie aktu powstania.



Tadeusz Kościuszko.

Zaraz po ogłoszeniu powstania poczęły się garnąć do niego oddziały kosynierów i pikinierów, złożone z Krakowian i Górali. Kościuszko zajął się pilnie ćwiczeniem ich w obrotach wojskowych i dnia 1 kwietnia wyruszył z Krakowa na czele, choć nie zbyt licznego oddziału, ale ożywionego duchem jak najlepszym.

Czwartego dnia t. j. 4 kwietnia, stanął Kościuszko w okolicy Racławic.

Moskale, ujrzawszy stosunkowo niewielką liczbę Polaków i to w połowie chłopów, licho uzbrojonych, sądzili, że zwycięstwo przypadnie im pewne. Ustawili się do bitwy tak, aby otoczyć Kościuszkę; podzielili się na trzy oddziały: jeden zmierzał w jedną stronę, gdzie stał mały lasek, drugi chciał uderzyć z drugiej strony, a trzeci ustawił się z dwunastu armatami i począł z nich strzelać do naszych.

Kościuszko, poznawszy ich zamiary, ustawił swe szeregi, aby odpierać mogły ze wszech stron ataki nieprzyjacielskie. Jednem skrzydłem dowodził Madaliński, drugiem jenerał Zajączek; nad kolumną środkową miał komendę sam Kościuszko. Niebawem rozpoczęła się bitwa. Moskale przypuścili pierwsi atak, który Polacy mężnie odparli; powtórzyło się to po kilka razy. Polskim szeregom utrudniały walkę moskiewskie armaty; prażyły one nietylko rzęsistym ogniem, ale pod zasłoną ich formowały się oddziały nieprzyjacielskie do coraz nowszych ataków. Poznał to Kościuszko i postanowił temu zaradzić. Spiął wierzchowca ostrogami, stanął przed oddziałem wieśniaków krakowskich, skierował szablę w stronę, gdzie stały armaty i krzyknął:

— Hej, chłopcy! Zabrać mi te armaty! Bóg i Ojczyzna! Naprzód wiara!

Na tę komendę krótką, doraźną, ruszyli się włościanie. Ze wszystkich piersi wydobył się okrzyk:

— „Bóg i ojczyzna! Wiwat wolność! wiwat Kościuszko!“

Kosynierzy rzucili się pod wodzą Naczelnika na moskiewskie armaty. W biegu pospiesznym słychać było nawoływania:

— Szymku! Maćku! Bartku! — a dalej! — to znów okrzyki: — Jezu! Marya! ratuj od nagłej śmierci!

Nagle zagrzmiał straszny huk; Moskale dali ognia kartaczami. Pomiędzy kosynierami zwinęło się kilku ku ziemi, ale Kościuszko przed nimi z wyciągniętą szablą pędzi naprzód, a woła:

— Bóg i ojczyzna! Śmierć lub zwycięstwo!

Więc dzielna wiara, nie zachwiawszy się ani na chwilę, biegnie naprzód, za ukochanym Naczelnikiem. Tak mi-

nęli połowę drogi do bateryi, na której działa były ustawione, gdy znów huk straszny rozległ się w powietrzu, i znów kilku zwaliło się z nóg; — Moskale wystrzelili po raz drugi, — ale Kościuszko ciągle na przodzie, a wiara z kosami jak burza, jak fala morska pędzi za nim.

I nie zdążyli już Moskale wystrzelić po raz trzeci; nabili wprawdzie raz jeszcze armaty i lonty zapalili, ale w tejże chwili wskoczył na baterye Wojtek Bartos, gospodarz ze wsi Rzędowic i nuże płatać jedną ręką po karkach moskiewskich, a drugą ręką zmiatać czapką proch z panewki i tłumić lont tlejący.

Doskoczyli za nim w lot: Świstacki, Gwiździcki, Dębowski i inni i tną kosami w lewo i prawo i zabierjąa armaty jednę po drugiej. Przy jednej z nich został już tylko jeden Moskal; przypada do niego góral i jak go kropnie siekierką pomiędzy oczy, tak Moskal padł od razu trupem na ziemię. Wtedy dzielny zuch siada na konia, obraca armatę przeciw Moskalom, przykłada lont zapalony i pada strzał, a, kartacze przeznaczone na Polaków, ubiły 12 Moskali.


Głowacki zdobywa armaty.

Straszna kośba nie potrwała długo; kosynierzy uwinęli się szybko z kanonierami i zabrali wszystkie 12 armat. Bohaterska ta odwaga włościan rzuciła postrach na nieprzyjaciela; począł też ustępować na wszystkich punktach, a po kilku godzinach krwawej pracy, rozprószyli się Moskale na wszystkie strony, pozostawiwszy po sobie rannych i trupów.

Do ataku szło włościan 320; podczas biegu padło tylko 13 chłopów; wogóle stracił Kościuszko w bitwie pod Racławicami według własnego obliczenia: 100 w zabitych; rannych było drugie 100. — Moskali padło do 2000; do niewoli wzięli Polacy: pułkownika, kapitana, porucznika i kilkunastu szeregowych. Najcenniejszą zdobyczą było dla Kościuszki 12dział wielkiego i mniejszego kalibru z zaprzęgami i amunicyą.

O godzinie ósmej skończyła się bitwa, która trwała 5 godzin. Mrok zapadał, gdy Kościuszko na koniu stanął pod laskiem, zebrał na około siebie swych wojowników; wojsko regularne i chłopów w sukmanach i krakuskach, a uchyliwszy swej błękitnej czapki, podziękował włościanom w imię Ojczyzny za przysługę, którą jej dziś wyświadczyli. Potem pochwalił osobno męstwo Bartosa, którego nazwał Bartoszem Głowackim i oficerem mianował; uznał również odwagę: Gwiździckiego, i reszty towarzyszów Bartosza, i zaszczycił oddział kosynierów, którzy się gracko z armatami rosyjskiemi sprawili, tytułem: regimentu *Grenadyerów Krakowskich.* Najwyższym przecież zaszczytem dla włościan było, że Kościuszko przywdział na siebie, z szacunku dla nich, po bitwie racławickiej sukmanę wieśniaka krakowskiego, którą nosił przez cały czas powstania i w niej, krwią zbroczony od ran, odebranych pod Maciejowicami, dostał się do niewoli.

Utworzony przez Kościuszkę batalion Grenadyerów Krakowskich wytrwał z kosą w ręku przez całe powstanie; jak pod Racławicami, tak samo walczył mężnie pod Szczekocinami, Warszawą, Maciejowicami i należał jeszcze do obrony Pragi, zmniejszając się przez czas ten z 1000 głów do 352. Komendantami jego byli z ko-

lei: Taszycki, jenerał major ziemi krakowskiej, później Krzycki i Jabłonowski, pułkownicy.

We wszystkich tych spotkaniach okazywali Grenadyerzy Krakowscy równą dzielność i odwagę; gdziekolwiek ich było potrzeba, wystarczyło krótkie zachęcenie Kościuszki: „Chłopcy naprzód!“ a szli na wszystkie niebezpieczeństwa i zwyciężali. Mieli oni chorągiew swą własną, którą im sprawiła pewna bogata pani. Chorągiew ta była bardzo piękną: na jasno czerwonem tle wyszyty był snop zboża, przez który przechodziły na krzyż pika i kosa. Na wierzchu umieszczona była krakowska czapka; wokoło wieniec z liści dębowych, a na górze jaśniał napis: „Żywią i bronią!“ Kosynierzy krakowscy chorągiew tę swoją okryli chwałą.

„Saskie zapusty“



Hulaj królu i senacie,
Hulaj waszmość panie bracie,
Hulaj wiara, hulaj dusza,
Od korony do kontusza.
Hulaj dusza, hulaj wiara,
Bo rozkoszy pełna czara.
Na bok szable, kordelasy,
Hulajmy, niech żyją Sasy.
Na bok mieszczany i chamy,
Niechaj sobie pochulamy.
Póki mamy pełne kasy,
Hulajmy, niech żyją Sasy!
Dobrze nam, bracia, przy winie,
Przy żoneczce i pierzynie.
Daj nam Boże takie czasy,
Hulajmy, niech żyją Sasy,
Rozszalała zawierucha,
Zgnilizna wulkanem bucha,
Brać hula, popuszcza pasy,
Bo zapust zrobiły Sasy.
Widząc nasz skarbiec niepusty,
Te Saskie pluchy Augusty.
Przyszli tutaj siać zgniliznę,
Zrujnowali nam Ojczyznę.
Dźwięczą szklanki, pląsy, wrzawa,
Hejże zapustna zabawa.
Przy żoneczce i przy winie,
A rzeczpospolita ginie.
Hulają sobie Augusty,
Królowie grzechu, rozpusty,
Wśród tych szału huraganów,
Słychać zdala szczęk kajdanów.
Skończyły się i zapusty,
Znikły z widowni Augusty.
Lecz my musim pościć sami,
Obciążeni kajdanami.

Andrzej Wróbel.

LEGENDA NOWOROCZNA.

Niebotyczne góry, obsypane drobnemi perełkami szronu, lśniły się osrebrzone jasnymi promieniami księżyca.

Wąską, karkołomną ścieżką, przez dzikie kozy wydeptaną, śmiałą, bosą nóżką, schodziło z wyżyn maleńkie pacholę.

Nad urwistą, bezdenną prawie przepaścią, spotkało na swej ścieżce starca, który powolnym krokiem, podpierając się na grubym kiju, postępował do góry. Pochylony wiekiem starzec, odziany był w ciepły kożuch, a długa, siwa broda spadała mu na piersi. Spotkawszy się z maleńkiem chłopięciem, stanął, bo na wąskiej ścieżce rozminąć się nie można było i jeden z nich musiał zsunąć się w przepaśc, a ściana skały była prostopadła i śliska, tak, iż na niej utrzymać się nie można było.

— Precz mi z drogi — zawołał ostrym głosem starzec — zawadzasz mi, a spieszyć się muszę.

— Gdzież ci ustąpię — odpowiedziało pacholę — widzisz przecie, że to jest niemożliwe, ale któż ty jesteś, że tak szorstko odzywasz się do mnie?

— Jestem stary rok. Idę panu zdać rachunek z mej działalności i odpocząć po przebytych trudach.

— Ach! to ty jesteś tym niegodziwcem? ty tyle nieszczęść na świat zesłałeś? O! pamiętne będzie twe panowanie. Spojrz tam na południe, widzisz, ile tam matek, żon i dzieci okrytych kirem żałoby, wylewają łzy rozpaczy za swymi synami, mężami i ojcami, którzy ginąć musieli w obronie swych współbraci. Tyś zalał biedną krainę potokami wody, sprowadziłeś głód i nędzę. Tyś także prowadził dalsze piekielne wynalazki, dla prędszego wytępienia ludzi... Tyle nieszczęść razem, żaden z twych poprzednich na świat nie sprowadził. Panowanie twoje na kartach księgi światowej niezatartemi głoskami zapisane będzie.

— Któż ty jesteś, malcze, iż z taką śmiałością czynisz mi zarzuty? — zawołał oburzony starzec.

— Jestem twym następcą. „Nowy Rok“ się zowie — odpowiedziało pacholę.

— Cóż ty dobrego niesiesz światu, że tak wyszydzasz moje panowanie? — zapytał rok stary.

— Ja — odpowiedziało pacholę — niosę ludziom Wiarę, gdy wszyscy uwierzą w własne swe siły, zdobywać będą naukę i wiedzę, by się zrównać z innemi, bo tylko w ten sposób staną się siłą odporną dla tych, którzy ich dzisiaj gnębią. Niosę im Nadzieję, że po dniach smutku i niedoli nastąpią dni radości i wesela. Niosę im Miłość chrześciańską, którą złączę wszystkie bratnie narody, by wspólnie dla własnego dobra pracowały.

Upokorzony starzec pochylił się przed swoim małym następcą i zapytał:

— Więc chcesz mnie wtrącić w przepaść, by nieść ludziom te piękne obietnice?

— Nie chcę twej zguby — odpowiedział Nowy Rok. — Połóż się na ścieżce, a ja przejdę po twym grzbiecie.

Starzec położył się na pochyłej ścieżce, a młody Nowy Rok lekko nóżką przeszedł po grzbiecie jego, niosąc ludziom Wiarę, Nadzieję i Miłość.



ŚWIĘTA RODZINA W NAZARECIE.

Zaczarowany flet.

Trzej królowie Wschodu, Baltazar, Melchior i Gaspar, byli, jak wiadomo, wielkimi mędrcami, a nawet magami. Gdy im się ukazała gwiazda, oznajmiająca narodziny Dzieciątka Jezus w Betleem, postanowili udać się niezwłocznie do tej lichej mieściny, aby złożyć hołd Niemowlęciu, w którem przeczuwali Boga i ofiarować Mu dary monarsze: myrrę, kadzidło i złoto. Nie znając drogi, zabłądzili w gęstym borze i dopiero pod wieczór zdołali wybrnąć z tej matni i dostać się do jakiejś wioski. Znużenie im mocno dokuczało, bowiem błąkali się w lesie długo, a przytem szkatułki z darami były tak ciężkie, że im ręce od dźwigania ich zdrętwiały. Łatwo się też domyśleć, że głód i pragnienie również nie żartem ich trapiły. Znalazłszy się przeto we wsi, zapukali do pierwszej z brzegu chaty, prosząc o gościnność.

Chata owa stała tuż pod lasem, a należała do drwala, nazwiskiem Fleuriot. Był on bardzo biedny, z nędznego zarobku musiał utrzymywać żonę i czworo drobnych dzieci. Wszyscy oni mieszkali we wspomnianej chacie pod lasem, a raczej w lepiance, wzniesionej z gliny i słomy, nakrytej ziemią i mchem; ściany takie nie zabezpieczały od wiatru i mrozu, a nakrycie, w razie ulewnego deszczu, przepuszczało do wnętrza całe potoki wody. Trzej królowie, wyczerpani z sił, upadający ze znużenia, zapukali do małych drzwi z prostych tarcic zbitych, a gdy drwal otworzył je, przedstawili mu swoje położenie.



— Zostawię ci pamiątkę.

— Nie możemy postąpić ani kroku dalej, musimy posilić się i spocząć. Wszak nie odmówisz nam łyżki strawy i noclegu? — prosili.

— Źleście trafili, dobrzy ludzie — rzekł Fleuriot, potrząsając smutnie głową. — W całym dobytku posiadam zaledwie jedno łóżko dla siebie i tapczan dla moich maleństw, a za posiłek mogę wam tylko ofiarować ziemniaki i chleb czarny. Jeżeli nie jesteście

wybredni, wejdźcie, a jakoś damy sobie radę.

Królowie nie czekali na powtórne wezwanie, weszli skwapliwie do izby, z wielkim apetytem zjedli podane im ziemniaki i doskonale się wyspali na twardem łóżku, którego im drwal i żona jego ustąpili. Jeden tylko Gaspar, rozmiłowany w wygodach i zawsze ich poszukujący, mruczał pod nosem na taki nocleg, bo, co prawda, kaducznie mu było ciasno pomiędzy opasłym Baltazarem i barczystym Melchiorem.

Nazajutrz z rana, zanim w dalszą puścili się drogę, Baltazar, który odznaczał się szczodrością, rzekł do drwala:

— Pragnę ci czemkolwiek wynagrodzić gościnność, mój poczciwcze.

— Ależ myśmy ją wam ofiarowali z dobrego serca, nie z myślą zysku, zaprotestował drwal, wyciągając na wszelki wypadek rękę.

— Pieniędzy nie mam — mówił dalej Baltazar — natomiast zostawię ci pamiątkę, z której będziesz z pewnością więcej zadowolony, niż z pieniędzy.

Sięgnął do kieszeni, wydobył z niej flet wschodni, podał go drwalowi i nie zważając na wyraz zawodu, który niemiłosiernie wykrzywił twarz biedaka, objaśnił go jeszcze:

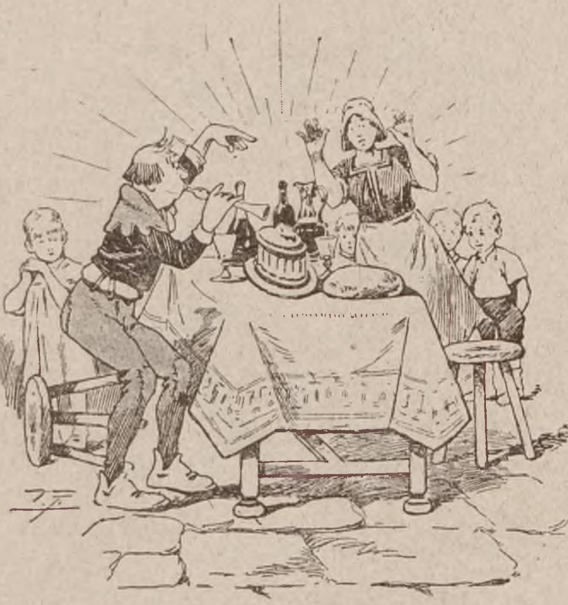
— O czem pomyślisz, grając na tym flecie, to się natychmiast spełni. Weź tę pamiątkę, korzystaj z niej rozsądnie, uczciwie, bez nadużycia; pamiętaj także nigdy nie odmawiać wsparcia i gościnności biedakom. Jeśli tych warunków nie spełnisz, bardzo źle na tem wyjdziesz.

Gdy trzej królowie znikli na zakręcie drogi, drwal rzekł do swej żony, spoglądając pogardliwie na niepozorny flet, który trzymał w ręku:

— To mi podarunek! Nędzny flet... Mogliby się zdobyć na coś lepszego. Powiedział, że ma się spełnić wszystko, czego zażądam... Z pewnością zadrwił sobie z nas. W każdym razie — spróbuję!

Odchrząknąwszy, krzyknął:

— Chciałbym mieć porządne śniadanie... ot... chleb biały, pasztet ze zwierzyny i butelkę dobrego wina! Potem zaczął wygrywać na flecie piosnkę ludową.



Niewidzalne dłonie nakryły stół...

Zaledwie kilka tonów wydobył, osłupiał ze zdziwienia: niewidzialne dłonie nakryły stół białym cienkim obrusem i ustawiły na nim żądane przedmioty.

— Na brodę mego dziadka przysięgam, żem się ani spodziewał czegoś podobnego — mruczał, przyglądając się wytrzeszczonemi oczyma nęcącej zastawie. — Czy ja śnię?

Zbliżywszy się do stołu, skosztował cudownych potraw, które okazały się wyśmienitemi.

Przekonawszy się, że nieznajomi podróżni nie zadrwili z niego, zaczął korzystać z hojności cudownego instrumentu, ośmielając się coraz bardziej. Grał na nim od rana do wieczora, wciąż żądając czegoś nowego. Flet

zatem dostarczył mu kosztownej odzieży dla niego, żony i dzieci, wypełnił kieszenie pieniędzmi, obficie zastawiał stół, słowem spełniał każde jego żądanie. Wkrótce niedawno ubogi drwal stał się największym bogaczem okolicy.

Oczywiście, że bogacz nie mógł mieszkać w nędznej lepiance. Drwal zażądał wspaniałego pałacu, świetnych mebli, wzorzystych makat i dywanów i wszystko to niezwłocznie otrzymał. Wówczas pomyślał, że przecież trzeba było upamiętnić zagospodarowanie się w nowej siedzibie. Zażądał tedy najwspanialszej uczty. Flet wciąż był posłusznym. Dokoła po królewsku zastawionego stołu, lśniącego od srebra i zalanego potokami światła, drwal zgromadził najwybitniejszych mieszkańców okolicy, sam zasiadł na miejscu honorowem, mając przy sobie żonę, przystrojoną w najkosztowniejsze materye i obwieszoną klejnotami, jak wystawa złotnika. Goście raczyli się wykwintnemi potrawami, najdroższe małmazye lały się strumieniami, a kapela, umieszczona na pozłocistej galeryi, przygrywała tej ochocie biesiadników. Ażeby nic nie zamąciło zabawy, nakazał służbie surowo, iżby na dziedziniec pałacowy nie ważyła się wpuszczać żebraków, a nawet ustawił dwóch wygalowanych drabów przed bramą, poleciwszy im kijami odpędzać od pałacu wszelkich nędzarzy.



Znalazł się wraz z żoną i dziećmi przed swoją lepianką pod lasem.

Tego wieczora właśnie, trzej królowie, złożywszy hołd i dary Dzieciątku Jezus, wracali z Betleem. Wydostawszy się z lasu, poznali wioskę, w której niedawno nocowali, a zobaczywszy wspaniały pałac, cały oświetlony i dowiedziawszy się, kto w nim mieszka, wymienili znaczące spojrzenia.

— Radbym się przekonać — odezwał się Gaspar ironicznie do Baltazara—czy obdarowany przez ciebie poczciwiec nie nadużył cudownego fletu a zwłaszcza, czy zostawszy bogaczem, pamięta o obowiązku względem biednych, który mu położyłeś za warunek.

—Zobaczymy, odparł Baltazar.

W chwilę potem królowie, przebrani za żebraków, zbliżyli się do bramy pałacu, prosząc o nocleg. Zostali tu źle przyjęcibo draby, spełniając ściśle rozkaz pana, poczęstowali ich kijami, co tak oburzyło mniemanych żebraków, że zaczęli donośnie gromić służalców. Wszczął się wrzask i rwetes. Drwal, rozgniewany tą niespodzianką, wyjrzał oknem, a spostrzegłszy żebraków, kazał spuścić z łańcuchów wielkie brytany. Psy rzuciły się na żebraków, którzy zaledwie zdołali ujść przed niemi. Gaspar jednak został poszwankowany — je-

den z brytanów nadwyrężył mu łydkę.

— Przewidywałem takie przyjęcie! — mruczał, opatrując szwank.

— Należy mu się nauka — grzmiał olbrzymi Melchior — przekona się, że nie można bezkarnie obrażać monarchów Wschodu!

— Tylko spokojnie i z godnością — mitygował oburzonych towarzyszy dobroduszny Baltazar — winny poniesie karę, ale trzeba zachować pozory.

Tymczasem biesiadnicy wrócili do stołów i ucztowali w dalszym ciągu wesoło. Wino się lało, muzyka wygrywała skocznie, niektórzy z rozochoconych gości zawodzili pieśni.

Wniesiono cukry, marmolady, owoce i ciasta. Drwal uzbrojony nożem złotym, zabrał się do krajania olbrzymiej strucli, gdy nagle rozległ się w dziedzińcu turkot karocy, zaprzężonej w cztery przepyszne konie, przystrojone w pozłociste czuby i okryte wyszywanemi srebrem derami. Drwal mniemał, że przybywają znów jacy znakomici goście, rozkazał tedy rozewrzeć podwoje naoścież i sam, ująwszy pięcioramienny świecznik, pospieszył na spotkanie pożądanych przybyszów. Niebawem do komnaty weszli majestatycznie trzej królowie. Na skroniach ich jaśniały korony złote, przyodziani zaś byli w purpurę, usianą drogiemi kamieniami. Gospodarz odrazu poznał swoich dobrodziejów, witał ich przeto uniżenie, zapraszając jak najuprzejmiej do stołu.

— Zapraszasz nas do stołu? — odezwał się surowo Baltazar. — Nigdy nie przyjmujemy gościny u samoluba i pyszałka, który nie ma serca dla biedaków i jeszcze ich poniewiera!

— Także to wypełniasz warunki? — zagrzmiał Melchior ponuro. — Winszuję ci, bratku, ale nie zazdroszczę...

— Ach! ty szczujesz psami nędzarzy? — syknął Gaspar, macając się po nadwyrężonej łydce. — Poczekaj furfancie, zagram ci melodyę, jakiej jeszcze nie słyszałeś...

I wydobywszy z kieszeni flet, zupełnie podobny do ofiarowanego drwalowi przez Baltazara, przyłożył go do ust.

Rozległ się przerażający świst, zerwał się jakby huragan, a po chwili stół, goście, pałac — wszystko znikło, drwal zaś znalazł się wraz z żoną i dziećmi przed swoją lepianką pod lasem w łachmanach i boso.

— Ktoby się mógł spodziewać takiej awantury? — myślał rozcierając zmarznięte dłonie — ale nic straconego, mam przecież flet!

Napróżno jednak przetrząsał dziurawe kieszenie, magiczny flet znikł wraz z trzema królami.

Odtąd weszło w zwyczaj, że gdy krają ciasto w dzień Trzech Króli, zawsze część pozostawiają dla biednych.

Andrzej T.

»DO OBIEŻYSASA!«

Hej, ty bracie! całe lata
Jeździsz gdzieś tam w pruskie kraje,
Zapominasz, gdzie twa chata,
Gdzie ta niwa, co chleb daje.
  Ty już tylko coś z niemiecka
  Wciąż szwargoczesz jak najęty;
  A mówiono ci od dziecka,
  Że ojczysty język święty!
Co ty czynisz, bracie drogi,
Czyś zapomniał polską mowę,
Czy ci milszy język wrogi,
Te wyrazy Prusakowe?
  Z duszy drogiej nam ojczyzny,
  Tam do Boga skarga leci:
  Zamiast goić dawne blizny,
  To ją ranią własne dzieci!

Wawrzyniec Pietrucha.

Trzej królowie.

Idą nieznani z trzech krain dalekich; dyademy koron błyszczą skier tysiącem, szaty utkane z promieni świetlanych; spieszą jakby na skrzydłach Archanioła za drogowskazem, który z firmamentu rzuca snop iskier, z których każda przemienia się w jasność i społem tworzą drogę świetlistą aż do Betlejemu. Chociaż z odległych spieszą lądów, z za mórz, gór i rzek tysiąca, a jednak jedna gwiazda przewodnia ich wiedzie i zgodnem tętnem biją serca w piersiach.

Spotkali się na dolinie obszernej, otoczonej pagórkami i wzdrygnęły się ich serca zgrozą, bo wokół zobaczyli śmierć i zniszczenie; białe piszczele błyszczały na tle szarej ziemi.

Niedawno życiem biły ciał tysiące, ale nadeszła chwila straszna obrachunku; przechyliła się szala w rękach Wszechmocnego, wybiła godzina zniszczenia na zegarze ludów i przyszła straszna chwila gromów i walki zaciętej.

Legły tysiące, zachwiały się drzewa i grób pochłonął tysiące na wieki nieznane. „Requiescat in pace“ — zaszumiało nad doliną i trzej nieznani mkną za śladem jasnym, przez dalsze ziemie, łąki, bory i ugory, aż napotkali znów ziemię, w której przed laty tyle nieszczęść się przewaliło; gdzie przed laty rzesze młodych przytuliła ziemia „Matka“, ta ziemia mogił i krzyżów. Jeden z nich przemówił:

— Ach tu straszne były rzeczy.

— Już temu lat sto dwadzieścia mija — rzekł drugi.

Lecz i dla nich jasna zorza spłynie od Betlejem, — dodał trzeci.

A wtem zdala od małego kościółka doszło ich echo pieśni:

„Mędrcy świata monarchowie
Gdzie spiesznie dążycie?“

Rozweselone lica zwrócili w tę stronę, skąd echo płynęło, pobłogosławili ziemię i pomknęli do Tego, który losami świata włada i zanieśli modły do tronu o lepszą dolę dla uciśnionych a wiernych.

J. Jarmuła.

WESOŁY KĄCIK.

Zgubiony Żyd. — Żydzie byłeś ty w wojsku?... pytał stary wiarus handlarza.

— Co ni miałem być! — Ja nawet zginułem!

— Zginąłeś? a żyjesz?

— Ny! chce pan, to panu opowiem.

— Bardzom ciekawy!

— Jak się zrobiła wojna, to pan burmistrz nas wsistkich w Pinczowie wymóstrował na pikuniarzy.

— Cóż to za wojsko?

— Mi mieliśmy piki od tyczkowego grochu i dlategośmy sobie tak nazowali; jak nieprzyjaciół buł o kilka mile. to mi wsiscy ksiknęliśmy: ura... on sobie zląkł i poszed... ale potem drugi niepsijaciół miał złe przewodniki i psised do nas, jak mi biliśmy na musztre. Jak zaczeliśmy robić gewałt!... hałas!... wojne!... takeśmy wsiscy zginęli! — Dopiero w parę kilka tygodni, jak pan burmistrz ogłosił licytacye, takeśmy się Bogu ziękować wsiscy znaleźli!

Na wojnie. — I cóż panie doktorze, jak tam było na wojnie?

— Okropnie, powiadam panu. Wieczorem człowiek kładł się spać zdrów i cały, a nazajutrz budził się zabity przez nieprzyjaciela.

W golarni. Młody człowiek wszedł do golarni, by się kazać ogolić. Golarz namydlił mu twarz i tak go zostawił.

— Dlaczego muszę tak długo czekać? — zapytał wkońcu z niecierpliwiony młodzieniec.

— Przebacz pan, ale chciałem zaczekać, aż broda wyrośnie.

Spalenie wróżki.

We Włoszech bohaterką święta Trzech Króli jest wróżka Befana. Włosi straszą nią dzieci w wigilię tego święta; w niektórych miastach, jak w Rzymie, we Florencyi i innych, obwożą po ulicach olbrzymią jej postać, zrobioną z gałganów, przy blasku pochodni oraz przy odgłosie muzyki, śpiewów i krzyków. W Rzymie towarzyszą pochodowi dzieci z poczernionemi twarzami, niosąc pończochy, pełne rozmaitych łakoci i zabawek, dmąc przytem w długie trąbki. Befana bowiem, w wigilię Trzech Króli, odwiedza dzieci, wpadając kominem do domów i zostawiając dla nich podarki w zawieszonych w kuchni pończochach; dobre dzieci otrzymują smaczne łakocie i piękne zabawki, natomiast krnąbrne i złe — rózgi, popiół oraz listy z upomnieniem i groźbą.



We Florencyi i w Neapolu spalają wyobrażenia Befany na stosie. Wróżka owa ma przedstawiać królowę zimy, a spalenie jej uważają za zapowiedź końca tej pory roku i nadejścia rozkosznej wiosny. Scenę spalenia przedstawia nasz obrazek.

Żyd świadkiem.

(Zdarzenie prawdziwe).

Było to w zapusty, w pewnej miejscowości naszego kraju wtedy, gdy się to jeszcze odbywały po karczmach pohulanki i muzyki. W wiosce tej stała stara karczma na rozstajnych drogach. W tej karczmie siedział żydek Mojsie, z swoją żoną Ryfką i pięciorgiem małych bachorów, na dzierżawnem. Dobrze mu się powodziło, bo ludzie z całej wsi Basiówki, schodzili się do owej żydowskiej nory.

Co niedzielę i święto muzyka wygrywała różne tramle i obertasy, a młodzi parobcy i dziewczęta krążyli dokoła jak szaleni, popijając gorzałę. Żyd aż brodę z radości głaskał, mając pełno gości, co chwila dolewając wódki i piwa, ale także nie szczędził przytem i wody.

Gdy jednej niedzieli zeszło się tej gawiedzi pełna karczma i muzyka zaczęła grać, a parobcy poszli w tany, na nieszczęście żyda przyszło do karczmy dwóch parobków: Bartek Grela i Kuba Zakała; jeden od gospodarza Mitręgi a drugi od Zabawy.

Ci dwaj parobcy, zalawszy sobie pały, poczęli się ze sobą kłócić, aż przyszło od słowa aż do pięści, a od pięści aż do kołów. Kuba, uniesiony gniewem i pijany jak bela, uderzył Bartłomieja w głowę, aż go krew oblała; upadł na ziemię prawie nieżywy. W izbie karczemnej zrobił się wielki harmider: tłoczono się do drzwi, aby uciec. Muzykanci pouciekali oknem. W izbie zrobiło się pusto: nie pozostał tylko Grela i Zakała, oraz Mojsie i Ryfka ze swoimi bachorami.

Żyd zły był na Grelę, że mu udaremnił cały świetny interes. Grela skakał jak szalony, wywijając buczakiem po izbie. Żyd schował się za szynkwas, wystawiając tylko brodę.

Tymczasem Grela wyszedł z karczmy i poszedł do domu, zataczając kręgi po drodze, za nim opuścił karczmę także i Zakała.

Na drugi dzień w poniedziałek Zakała poszedł do sądu z rozbitą głową i zaskarżył Grelę, podając za świadka żyda. Po kilku dniach sąd zawezwał Grelę i Zakałę na rozprawę a żyda jako świadka. Po przybyciu do sądu, sędzia wezwał obie strony do sali rozpraw.

Ponieważ Grela wypierał się, że Zakały nie bił, więc sędzia wezwał żyda i pyta, czy widział, jak Grela uderzył Zakałę kijem w głowę. Żyd począł się kręcić, ale wezwany powtórnie do odpowiedzi, pada:

— Ny, przedświetny sądzie! ja nic nie widział, bo było wielka ciżba.

Zagrożony jednak przysięgą, widział żyd, że nie żarty, więc mówi:

— Prześwietny sządzie! ja tyle mogłem tylko widzieć, że Grela trzymał dobry kawał kija w ręku a czasem go położył Zakale na głowie, ale nie długo go trzymal, tylko zdejmował i widziałem prawdziwą krew chrześcijańską, co ciekła, ale nie wiem z czego, czy z kija, czy też z głowy.

Sędzia, widząc krętactwo żyda, zawyrokował Grelę na trzy tygodnie kary i zwrot kosztów.

Zakała przeleżał miesiąc, zanim się mu głowa wygoiła.

Od tego czasu Grela zawsze na Zakałę patrzał zazdrosnem okiem.

Gdy się pan dziedzic o tem zajściu dowiedział, zaraz wypędził żyda z karczmy, karczmę sprzedał a na miejscu postawił krzyż z męką Pana Jezusa. Żyd poszedł do Niebylca na komorne i handlował jajami, skórkami i cielętami; Ryfka ze zmartwienia zmarła wkrótce, a bachory się rozeszły po kraju.

Jędrzej Czarnik.



Modlitwa Polaków.

Z tej biednej ziemi, z tej łez doliny
Tęskny się w niebo unosi dźwięk,
Skarga to straszna polskiej krainy,
Polskiego ludu ostatni jęk.
Lachów kraina, w ciężkie okowy
Zakuta, cierpi przeszło sto lat,
Za polskie imię, za polską mowę
Czeka ją Sybir, więzienie, bat.
O wielki Boże! łaskawy Panie!
Spojrzyj na przykry Polaków los,
Ukój ich bóle, ucisz ich łkanie
I odwróć od nas okrutny cios!
Wróg nas przeklęty nad miarę gnębi,
Chcąc nawet ducha w kajdany skuć;
Wszyscy więc z serca wołamy głębi:
— Zlituj się Panie, wolność nam
wróć!
O Utajony na krzyżu Chryste!
Najlichsza muszka ochronę ma,
A nam wydarli łany ojczyste,
Nam jednym dotąd nie wyschła łza.
O Utajony na krzyżu Panie,
Nawet mróweczka ma własny
gmach,
I liszka w norze ma swe mieszkanie,
A gdzież Polaków ojczysty dach?
Wiosną budujesz domki ślimacze,
By te stworzonka też mogły żyć;
Myż jedni tylko wieczni tułacze
Mamy na ziemi ojczystej być?

Królowo Polski, święta Dziewico,
Osłodo naszych zbolałych dusz,
Niewyczerpana łaski Krynico
Bądź nam pociechą wśród życia
burz!
Ojczyzna nasza w niewoli jęczy
I do Twych świętych tuli się stóp,
Wróg ją jak Nero katuje, męczy,
Twierdząc szatańsko, że ona — trup.
Matko, coś niegdyś pod Często-
chową
Swą pokazała najeźdźcom moc,
Teraz Cię Polska o łaskę nową
Prosi: — Ach rozpędź niewoli noc!

O wielki Święty, nasz Stanisławie,
Kraj nasz okrywa niewoli cień,
Wstawiaj się za nim w ziomków Twych
sprawie
Do Stwórcy, by dał wolności dzień.
Łaskawy Pan Bóg Ciebie wysłucha,
Za Polakami prośbę Swą wznieś,
Synom Ojczyzny racz dodać ducha,
Wiarę, nadzieję w sercach ich
wskrześ!
Bądź nam pociechą wśród tej niedoli,
Obdarz nas biednych pełnią Swych
łask,
A gdy przecierpim wszystko, co boli,
Zabłyśnie dla nas jutrzenki brzask!...

Łukasz Dorosz.

Przygoda Łykalskiego.

Kasper Łykalski był sobie pracowitym rzemieślnikiem, ale lubiał czasem łyknąć za wiele, czemu zapewne nazwisko było winne, bo jakżeż Łykalski nie miał łykać wódki lub piwa.

Zdarzyło się pewnego razu w poniedziałek, że pan Kasper zamiast siedzieć w warsztacie, poszedł „pod port Artur“ i tam pił z kolegami, a raczej łykał aż miło.

Było już późno wieczorem, kiedy wyszedł ze szynku uczciwie podchmielony. W drodze spotkał go jakiś pan czarno ubrany i wdał się z nim w rozmowę. Łykalski skarżył się na ciężkie czasy, drożyznę, że mało pieniędzy i roboty, że czeladź harda i t. d. Nieznajomy przytakiwał, aż w końcu powiedział mu pod sekretem, że wie o wielkim skarbie, który jest przechowany dla Kaspra, pod warunkiem jednak, by porzucił rzemiosło.

Łykalski chętnie zgodził się na to i poszedł z nieznajomym panem po bardzo bagnistej i górzystej drodze za miasto szukać obiecanego skarbu, ciesząc się naprzód i układając w myśli, co z nim ma zrobić. Nareszcie pan ów wskazał mu miejsce, gdzie skarb miał się znajdować, ale w tej chwili ujrzał Łykalski przed sobą jakąś postać z rogami, ogonem i końskiem kopytem. Poznał zaraz, że to djabeł, czyhający na jego duszę. Gdy jednak Łykalski przeżegnał się, bies zaraz znikł, a na ziemi ukazała się kupa pieniędzy.

Zabrawszy je, Łykalski zaczął sobie dopiero teraz wesołe życie. Już nie chodził po szynkach, ale po winiarniach, kawiarniach i cukierniach, chodził na bale i grał w karty; z żoną, bo była prosta kobieta, choć wzorowa gospodyni i poczciwa małżonka, nie żył razem, bo zalecał się do pięknych i młodych panienek. Czasem widział zdaleka owego nieznajomego pana, co to się w djabła zamienił, ale nic sobie z tego nie robił. Jednakże za czas jakiś tak Kasper przepuścił pieniądze, że i do dawnych szynków nie miał za co wstąpić na kieliszek.

Wtem spotyka go ów nieznajomy i żąda zwrotu pieniędzy, a gdy Kasper się opierał, chwycił go szponami i począł ciągnąć do piekielnych otchłani. Kasper, widząc, że nie żarty, począł ogromnie wrzeszczeć i szamotać się z djabłem, ale na nic: Ten żadną miarą nie chciał go puścić. Kasper, już omdlewający ze zmęczenia, dobywa ostatnich sił, aby się koniecznie obronić — gdy nagle, co widzi — oto rzekomy djabeł zamienił się w policyanta.

Łykalskiemu wszystko to tylko się śniło, kiedy leżał w kałuży, a gdy się szamotał z policyantem, który go chciał stamtąd usunąć, myślał, że djabeł wlecze go do piekła. Zrozumiawszy całą rzecz, poszedł Kasper do domu, gdzie oczywiście żona, okładając go laską, wytrzeźwiła go do reszty.

Sen ów taki wywarł wpływ na Kaspra, że odtąd unikał szynków, a gdy go wzięła chętka na szklankę piwa, to wypił ją w domu w towarzystwie żony.

Franciszek Krzanowski.

Wierzchowce i zaprzęgi.

My do jazdy wierzchem używamy jedynie konia. Inne narody natomiast używają różnych zwierząt, zależnie od warunków klimatycznych.

Na północy, w mroźnej Syberyi, spostrzegamy postacie krajowców, szczelnie spowinięte w futra i kożuchy, jadące na renach. Wielkich ciężarów zwierzęta te dźwigać nie mogą, natomiast szybko pędzą po tundrach mniej ciężko objuczone. Zaprzągnięte do sań, ciągną je cierpliwie i bez wybryków.

Wół u nas używany jest wyłącznie do pracy rolnej lub do przewożenia ciężarów; z wielką cierpliwością ciągnie w jarzmie pług lub wóz ciężko naładowany. Są jednak kraje w innych częściach świata, gdzie używany jest pod wierzch i uważany za lepszego wierzchowca niż koń. Tam prawie nie spotyka się innych wierzchowców.

W Azyi i Afryce wybitnem zwierzęciem jest wół z garbem, zwany zebu. Szybkie te i wytrwałe zwierzęta służą w Indyach do paradnych zaprzęgów i wysoko są cenione; jako wierzchowce, mogą codziennie dźwigać na swym grzbiecie jeźdźca przez 15 godzin z rzędu; tysiące zebu towarzyszy wojskom indyjskim jako zwierzęta juczne i pociągowe. W Afryce spotykamy zdrobniały gatunek zebu.



JAZDA NA ZEBU.

Ważną rolę jako wierzchowiec i zwierzę juczne, gra wielbłąd. Nazwano go bardzo właściwie „okrętem pustyni", gdyż jak okręt, przerzynający fale morskie, łączy z sobą opasujące je brzegi, tak również bez wielbłąda dalekie granice piaszczystego morza pozostałyby na wieki wzajemnie sobie nieznane, a pustynia nie otworzyłaby przed człowiekiem swoich tajemnic.

Istnieją dwa gatunki wielbłąda: z jednym garbem, dromader, w Afryce i zachodniej Azyi, oraz wielbłąd dwugarbowy, w Azyi środkowej i południowej Rosyi. Wielbłądy dzikie spotyka się i dziś jeszcze

w Azyi środkowej. Najlepszym wierzchowcem jest dromedar, niesie lekko, szybko, robi przeszło milę na godzinę, a może kłusować dziesięć godzin bez zmęczenia. W zaprzęgu mniej jest pożyteczny i tylko tam go używają jako pociągowca, gdzie niema koni ani wołów. W takich miejscowościach używają go również do robót w polach.

Na płaskowzgórzach Andów, w południowej Ameryce, w kraju, wyniesionym na 3.000 do 4.000 metrów nad powierzchnią morza, dzikie równiny są ojczyzną lamy, która dla tamtejszych mieszkańców jest tem, czem wielbłąd dla pustyni a ren dla krain północnych. Nietylko mleko i mięso lamy służy za pokarm, skóry na okrycie, a wełna na tkaniny, lecz jedynie za ich pomocą można przewozić towary przez skaliste grzbiety Andów.

Nie można na lamę nakładać więcej nad centnar ładunku; jeśli ciężar jest zbyt wielki, zwierzę kładzie się i nie powstanie aż mu ulżą. W kopalniach srebra, mimo niewielkiej siły, lamy są nieocenione, gdyż znoszą cenną rudę z takich urwistych skał, na których kopyto osła lub muła nie znajdzie należytego oparcia.

Dobrem zwierzęciem jucznem, pociągowem i wierzchowem, jest osieł. Ma on swoje wady, ale ma też niepospolite zalety. Tam, gdzie mało dbają o niego, w krajach europejskich, więcej na północ położonych, nie wykazuje tych zalet; lecz w Hiszpanii, Turcyi, Egipcie i Arabii, gdzie doglądają go starannie, jest wprost nieocenionym. To też w Arabii za dobrego osła wierzchowego trzeba zapłacić 1000 do 1500 kor.; ale taki wierzchowiec dźwiga jeźdzca przez cały dzień niemal a w truchcie i w galopie nawet okazuje się doskonałym. Bardzo ładne osły siwe znajdują się w Andaluzyi i w Arabii. Pod względem wzrostu, wśród osłów panuje rozmaitość.

W południowej Afryce spotyka się oryginalne gatunki konia: zebry i kwaggi. Gatunki te przez długi czas uchodziły za niemożliwe do oswojenia i ułożenia. Niekiedy zjawiały się w Europie ich zaprzęgi, jako nadzwyczajna osobliwość. Sprowadzali je milionerzy lub też przysyłano je jako podarunki dla osobistości wybitnych. Przed kilku laty podziw budził w Londynie zaprząg zeber, sprowadzony przez Rotszylda i takiż zaprząg w Paryżu, przysłany prezydentowi Faureowi. Dziś wiemy, że zarówno zebra, jak i kwagga, dają się doskonale oswajać i układać. W Afryce wschodniej istnieje już hodowla zeber.



JAZDA NA LAMACH.

Wielce oryginalnym wierzchowcem jest struś. Struś przebywa rozległe pustynie w tak szybkim biegu, że go rączy koń nie może doścignąć. Kroki jego, następujące po sobie z błyskawiczną szybkością, zajmują po 12 do 13 stóp przestrzeni tak, że struś przez

pewien czas mógłby się ścigać z pociągiem drogi żelaznej.

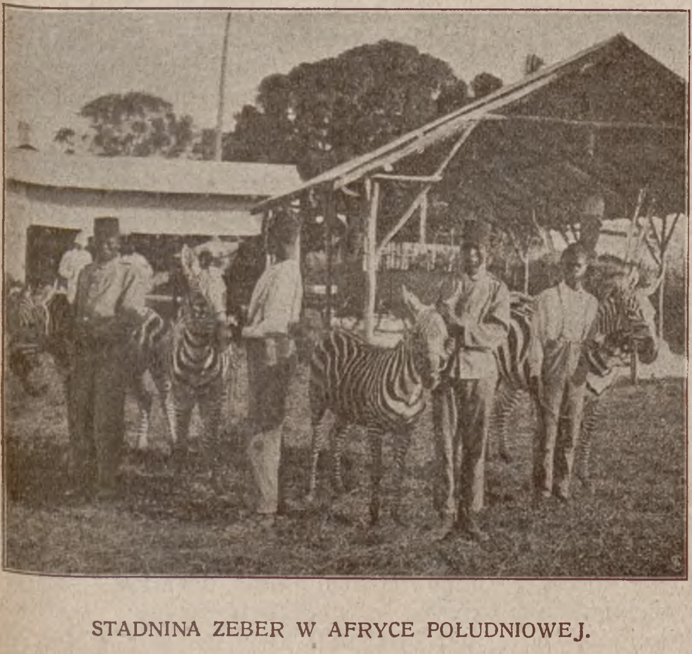
Obecnie o strusiach wierzchowych nie słychać — chyba o próbach ułożenia tego ptaka pod wierzch i nawet do zaprzęgu, które chociaż się udają pomyślnie, przecież nie zostały jeszcze zastosowane w praktyce.

Pewien farmer amerykański zaprzęga do małych wózków świnie, które wcale sprawnie pełnią obowiązki pociągowców. Hodowcy aligatorów, rodzaj krokodyli, dostarczający te niebezpieczne płazy do zwierzyńców i cyrków, również wytwarzają z nich posłuszne zaprzęgi, a podobno niewiele z tem mają zachodu.



OSŁY ANDALUZYJSKIE I INDYJSKIE POD WIERZCHEM.

Wędrowni kuglarze często zjawiają się na jarmarkach z tresowanemi pchłami, ciągnącemi maleńkie wózki. Ciekawą zaiste jest rzeczą, że tak maleńkie żyjątka okazują tak dużą zmyślność. Niedawno w Wiedniu pokazywano pchłę, która ciągnęła armatkę srebrną, przewyższającą 70 razy ciężar owadu. Dziwnem się też wydaje, że pchły w zaprzęgu nie skaczą. To także rezultat nauki. Pchła bowiem oswaja się w ten sposób, iż trzyma ją się w maleńkiem pudełku ze szklaną przykrywką, gdzie się odzwyczaja od skakania.



STADNINA ZEBER W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

Pchła jest najmniejszym pociągowcem — przeciwstawieniem zaś jej pod względem wielkości jest słoń. Ten olbrzym świata zwierzęcego od tysięcy lat znajduje się w służbie człowieka, dźwiga wielkie ciężary, służy mu jako zwierzę juczne, wierzchowe, używany jest do polowania na tygrysy i t. p.



Pierwszy kwiecień.

Kto nie zna prima aprilis! Niebezpieczny to dzień i niejeden pada ofiarą żartów znajomych, chociaż się zarzeka, że nikt go zwieść nie potrafi. Bo pomimo, że tylko dzieci bywają posyłane do apteki po sadło komara, lub do kupca po nasienie nici, albo porcyą gotowanego śniegu, albo pieczonego piasku, to są jednak często żarty, w które i starzy i młodzi ludzie wierzą, mianowicie od czasu, gdy gazety i tygodniki zaczęły uprawiać zwodzenia na pierwszego kwietnia. Zdarzyło się nawet raz w jednej z najlepszych i najwięcej uczęszczanych kawiarń w Berlinie, że kelnerzy schowali wszystkie gazety w wszystkich językach z dnia 1-go kwietnia i podali je gościom tego samego dnia — lecz o rok później. Czytający nie wiedzieli z początku, co się stało, nikt bowiem na datę nie zważał — zdawało im się, że raz to już czytali, albo że słyszeli o tem, co czytają i zamieszanie było niezmierne i ogólne. Lecz ponieważ żart był niezły, przeto nikt się nie gniewał na dowcipnych kelnerów.

Dawniej bywały jednak żarty w dniu tym mniej niewinne i zabawne — przeciwnie nawet — często dawały się we znaki porządnie zwiedzionemu. Do urządzania takich ,,dowcipów" posługiwał się car, Piotr Wielki, swymi dworzanami i oficerami; kazał naprzykład zwołać wszystkich do teatru i czekać noc całą na przedstawienie, które się nie odbyło wogóle. Na takie żarty mógł sobie też tylko pozwolić Piotr Wielki. Raz kazał podpalić jakiś dom i dzwonić i trąbić ,,na pożar", a gdy się ludzie zbiegli, aby ratować, przyjął wszystkich bardzo uprzejmie i ugościł bardzo obficie.

Nie każdemu jednak uchodzą bezkarnie podobne żarty. Doświadczył tego pewien arystokrata austryacki, który chciał zapewne naśladować Piotra Wielkiego. W r. 1745, gdy cesarzowa Marya Teresa nie wiedziała już sama, w jaki sposób przestrzegać wszelkich praw moralności i dobrych obyczajów, został hrabia Ullo Thun, jeden z największych magnatów czeskich wypędzony z Wiednia. Żył on tak lekkomyślnie, że cesarzowa nie chciała go mieć w swej stolicy i kazała mu zamieszkać stale w jego dobrach. Ale wesoły hrabia nie myślał wieść żywota pustelnika, zaprosił raczej kilku przyjaciół równych sobie usposobieniem i stał się wnet postrachem całej okolicy. Nikt nie był bezpiecznym w jego sąsiedztwie — każdemu płatał figle bardzo nieraz dotkliwe. Ale jednym z najdziwniejszych ,,żartów" był żart na 1 kwietnia w r. 1746. Na

najwyższej skale sasko-czeskiej Szwajcaryi, wznoszącej się naprzeciw wsi Tissa, a będącej jego własnością, kazał ułożyć ogromny stos suchego drzewa ze stu naładowanych wozów, oblać go smołą i dziegciem i w nocy z 31 marca na 1 kwietnia podpalić równocześnie na dziesięciu miejscach. Zdawało się, że płomienie dotykają nieba, a łuna ognia tego była tak ogromną, że widać ją było na kilka mil wokoło. I w Saksonii i w Czechach, aż do Cieplic widzieli ludzie ów pożar straszliwy. Z wszystkich stron spieszono na ratunek, po kamienistych drogach pędziły sikawki, tłumy ludzi biegły przez góry i doliny na pomoc. Hrabia Thun zaś kazał wszystkie sikawki, jakie się w dobrach jego znajdowały, napełnić wodą i ustawić w półkole — tak, że gdy ludzie i konie bez tchu nieomal wpadły do wsi, przywitano je promieniami zimnej wody. On sam z swoimi gośćmi śmiał się ,,do rozpuku" z zwiedzionych i drwił i szydził z łatwowiernych.

— Pierwszy kwiecień! Pierwszy kwiecień!" — krzyczał nieustannie.

Zwiedzeni nie ważyli się odpowiedzieć mu na to — milcząc, wracali do domu, złorzecząc i przeklinając w duszy niegodziwego żartownisia. Ale kara go za to nie minęła — tego samego jeszcze roku w sierpniu spaliły się najpiękniejsze jego lasy, i nikt nie przybył, aby je ratować.

Skąd powstał zwyczaj zwodzenia na 1 kwietnia, tego nikt nie wie — zwyczaj ten panuje na całym prawie ucywilizowanym świecie i nawet już w Indyach, od niepamiętnych czasów — zwodzono się i żartowano z siebie nawzajem w święto Hul, przypadające albo w końcu marca, albo na początku kwietnia. Może miało to oznaczać niestałość pogody, która z początkiem wiosny drwi sobie z ludzi i zwodzi ich, gdy słońce zaświeci i gdy się pewnym jest pogody — zaczyna padać deszcz i przymrozek ścina kwiatki!

I dziś jeszcze bywają żarty na 1-go kwietnia bardzo ,,śmiałe" i nie dla każdego przyjemne. Przed kilku laty np. spotkało się kilku wyższych urzędników w Turynie dnia 31 marca w winiarni. Jeden z nich, nie znoszący wina, a zmuszony do picia, stracił wnet przytomność do tego stopnia, że absolutnie nie wiedział, co się z nim dzieje. Przyjaciele zanieśli go do jego mieszkania i zbandażowali mu prawą nogę tak, jak gdyby była złamana. To samo powiedzieli służącemu, zalecając mu staranną nad panem opiekę. Gdy nazajutrz rano, po dobrze przespanej nocy, obudził się biedny pacyent, i gdy dowiedział się od służącego, że ma złamaną nogę, popadł w rozpacz prawdziwą i zaczął się uskarżać na okrutny ból w nodze. Około południa przyszli znajomi z lekarzem, który zdjąwszy bandaż, zawołał wesoło:

,,To cud prawdziwy! Noga już uleczona! Takie cuda dzieją się jednak tylko 1-go kwietnia!"

Zwiedziony uniósł się w pierwszej chwili straszliwym gniewem, lecz w końcu rad, że nie potrzebuje leżeć kilka tygodni w łóżku, zaczął się śmiać i wybaczył chętnie ów ,,niewinny" figiel.

W każdym razie czynią najlepiej zwiedzeni, jeżeli się śmieją. Gniew nic tu nie pomoże — przeciwnie, cieszy tylko tego, któremu się żart udał. Wszakże każdy ma te same prawa — każdemu wolno zwodzić innych — trzebą się tylko zręcznie zabrać do tego. O rzeczywiście niewinny a dobry figiel nikt się obrazić nie może.

M. P.

REWOLUCYA W WARSZAWIE I WILNIE.

Wiadomości, dochodzące do stolicy o odważnym kroku Madalińskiego, o powstaniu Kościuszki i wypadkach zaszłych w Krakowie, wpłynęły silnie na mieszczan warszawskich i poczęły w nich budzić ducha narodowego. Na 17 kwietnia godzinę 12 w nocy, naznaczono chwilę wybuchu powstania. Wszystko stoi przygotowane, — armaty uszykowane, — ładunki porobione i na wozy ułożone, — każdy z członków związku, wszyscy oficerowie, w spisek wtajemniczeni, czuwająna swych posterunkach. Oczekują jeszcze tylko mieszczan, których w liczbie 500 zobowiązał się dostawić szewc Kiliński, a którzy pod dowództwem przebranych oficerów mieli zacząć akcyą szturmu na pałac Igelstroma. Wszystko czeka na nich niecierpliwie; wtem pędzi konno w największym pośpiechu oficer moskiewski, a komendant patrolu ułanów polskich strzela do niego z karabinu. Strzał ten uważają związkowi za znak umówiony. Oficerowie gwardyi i pułku Działyńskiego komenderują kompanie swe pod broń i ustawiają je na przeznaczone stanowiska. Oficerowie artyleryi zataczają działa na celniejsze przechody ulic i poczynają strzelać do ukazujących się Moskali.



Ignacy Zakrzewski.



Stanisław Mokrowski.

Straż pałacu Igelstroma, składająca się z jednego batalionu piechoty i czterech dział, skierowanych ku wrotom dziedzińca, prażona ogniem armat polskich, cofa się z ulicy do wnętrza pałacu. Ze wszystkich stron zaczyna się straszliwa kanonada; — armaty moskiewskie krzyżowym ogniem bronią uparcie domu Igelstroma. Po całem mieście wszczyna się ogólne poruszenie; jedni tarasują drzwi i okna domów, inni biegną do zbrojowni, zaopatrują się w broń i biorą udział w walce. Tu zarzynają śpiących jeszcze Moskali, tam rozbrajają ich i zamykają do sklepów i piwnic. Ktokolwiek ukaże się z domu Igelstroma, pada trupem; — straż przyboczna króla, pod dowództwem kapitana Strzałkowskiego, opuszcza posterunek i łączy się z powstańcami.

Na pułk Działyńskiego, będącego pod komendą pułkownika Haumana, nacierają cztery bataliony piechoty moskiewskiej, które prowadził książe Gagaryn. Odzywają się

z obu stron armaty i w jednej chwili pokrywa się ulica stosami trupów. Nie kontent z walki takiej adjutant z pułku Działyńskiego, Lipnicki, komenderuje: „na bagnety!“ uderza na Rosyan i łamie ich szyki. Gagaryn pada trupem, a wojsko jego Polacy w pień wycinają.

Oswojeni z hukiem armat i widokiem lejącej się strumieniami krwi, przybywają Warszawianie znużonemu wojsku z dzielną pomocą. Wszędzie po ulicach i placach wre zacięta walka: jedni z okien strzelają do Moskali, a biorąc na cel głównie oficerów i dowódzców, zadają im straszną klęskę. Pewna Warszawianka zastrzeliła ich kilkunastu własną ręką; armaty obsługują niedorostki i chłopcy. Kiliński na czele mieszczan dokazuje cudów męstwa, równą odznacza się odwagą i dzielnością cech rzeźniczy. Ogromne tłumy biegną zdobyć pałac znienawidzonego Igelstroma, gdzie z nich wielka liczba ginie. Tymczasem nadchodzi noc i przerywa zapalczywość walki.



Franciszek Wyszkowski.

Uradowany lud warszawski widokiem pewnego zwycięstwa i pozbycia się Moskali, gromadzi się na ratuszu i ogłasza, jeszcze wśród ogólnej wrzawy, Ignacego Zakrzewskiego prezydentem miasta, a Mokronowski obejmuje główne naczelnictwo nad siłą zbrojną warszawską.

Nazajutrz o świcie już odezwały się znów armaty; z domu Igelstroma sypią działa ogień bezustanny, ale po ulicach Moskali już nie widać; jedni zginęli w walce wczorajszej, innych zabrano do niewoli, a mała tylko garstka zdołała wysunąć się z miasta. Nareszcie przed wieczorem zdobywają Warszawianie dom Igelstroma; on sam uchodzi do pałacu Krasińskich, zamyka się w nim i żąda kapitulacyi. Zyskawszy fortelem tym nieco czasu, ucieka spiesznie w towarzystwie jenerałów i 900 szeregowców, dąży ogrodami i opłotkami do murów miasta i uchodzi do obozu pruskiego, stojącego w pobliżu miasta. Czterdzieści i dwie armaty rosyjskie z amunicyą, — bagaże wojskowe, — pałac Igelstroma wraz z kawaleryą, wszystkimi papierami, sprzętami i bogactwami dostały się w ręce zwycięskich Polaków.

Po wyjściu ostatnich Moskali z Warszawy wydaje Mokronowski rozkaz zamknięcia bram, sprowadzenia dział nad Wisłę, obwarowania rynków i ulic naprawienia uszkodzonych murów miasta. Lud, uniesiony radością pozbycia się wroga, wydaje nieustanne okrzyki: „Niech żyje naród!“ „Niech żyje wolność!“ „Niech żyje Kościuszko!“ Zwolna ustaje szał walki; ludność niesie pomoc rannym, tak swoim, jako i nieprzyjaciołom; chowapoległych, gasi ogień gorejących jeszcze domów, tylko na palący się dom znienawidzonego Igelstroma patrzy obojętnie i pozwala obrócić mu się w popiół i perzynę.

Cała walka trwała jedenaście godzin; 2000 wojska polskiego walczyło z pomocą Warszawian przeciw 8000 Moskali; Polaków padło 320 mężczyzn i 6 kobiet; rannych było 174 mężczyzn i pięć kobiet. Moskali padło 2265, rannych było 122, do niewoli dostało się: 161 oficerów i 1764 szeregowców.

W kilka dni później wybuchło powstanie w Wilnie, mieście stołecznem litewskiem.

Dnia 24 kwietnia ogłoszono na rynku akt powstania; Jakóba Jasińskiego okrzyknięto jednomyślnie naczelnikiem siły zbrojnej litewskiej.

W krótkim czasie po wypadkach tych wybuchło powstanie w kilku miejscach.

Kościuszko, przeszedłszy granicę województwa sandomierskiego, stanął 5 maja w Połańcu, o trzy mile od Moskali, obozujących pod Staszowem. Ponieważ nieprzyjaciel odebrał w ostatnim czasie znaczne posiłki, nie czuł się Kościuszko dość silnym, aby na niego uderzyć, ale wezwał jenerała Grochowskiego, operującego nad Bugiem, aby się z nim połączył, tymczasem zaś postanowił zająć silne stanowisko w okolicy Połańca. W tym celu wybrał wzgórek, przyległy do Wisły, którego prawe skrzydło opierało się o głęboką rzeczkę, wpadającą do Wisły; lewe zaś zasłaniał las. Przy zbiegu obu rzek wznosił się stary okop obozowy po nad równinę. Stanowisko to z natury już obronne, umocnił jeszcze Kościuszko trzema rzędami bateryj i redut, obwarowanych palisadami, które zasłaniały cały przód obozu.



Józef Wodzicki.

Zaledwie Kościuszko prace te ukończył, nadciągnął jenerał rosyjski Denisow z silnym korpusem, rozłożył się w pobliżu obozem i rozpoczął ataki, które ponawiał codziennie. Wszystkie jednak wysiłki Moskali około zdobycia obozu polskiego, okazały się bezskutecznemi; Kościuszko wytrwał w silnem tem stanowisku do 20 maja. W czasie tym nieustannie zajmował się to powiększaniem armii, to załatwieniem najróżniejszych spraw i potrzeb bieżących.

Gdy tak Kościuszko, z jednej strony staczając walki z nieprzyjacielem, z drugiej strony załatwiając nawał spraw bieżących, dźwigał ciężar odpowiedzialności, jaki złożył na barki jego naród, przygotowywały się w Warszawie smutne zajścia, które serce jego zaprawić miały goryczą. Powodem do nich było niezaufanie, z jakiem patrzał lud warszawski na Stanisława Augusta, który uległością swoją wobec Katarzyny wzbudzał podejrzenie, jakoby wobec powstania narodu wrogie zajmował stanowisko. Rozpoczęły się przeto w Warszawie zaburzenia, co wielce utrudniało pracę Kościuszce. Niezgoda gotowała klęskę Ojczyźnie.

Pierwsze niepowodzenie spotkało Kościuszkę pod Szczekocinami, gdzie przegrał bitwę, w której 14.000 Polaków walczyło przeciw blisko 24.000 Moskalom i Prusakom. Straciło tu wojsko polskie około 1000 poległych, między nimi 2 jenerałów i 20 oficerów; stracili również Polacy 8 armat. Straty nieprzyjacielskie były znacznie większe; król pruski, donosząc o bitwie tej swemu synowi, pisze, że wygranych takich nie życzy sobie mieć więcej. W bitwie tej poległ zasłużony jenerał Wodzicki.

Kościuszko, opuściwszy plac boju, udał się przez Okszę pod Małagoszcz, potem przez Chęciny do Kielc, gdzie stanął obozem 9 czerwca.

Bitwa pod Szczekocinami była jakoby wstępem szeregu niepowodzeń, które poczęły zagrażać sprawie narodowej. W okolicy Dubienki rozłożone oddziały polskie broniły od połowy maja przejścia Moskalom przez Bug.

Połączyły się tu oddziały polskie, nadeszłe z Ukrainy; jak: brygada

Wyszkowskiego i Kopcia pułk przedniej sztaży pułkownika Zagórskiego i resztki wojsk regularnych z okolicy. Na rozkaz Kościuszki objął nad pojedyńczemi oddziałami temi naczelną komendę brygadyer Wyszkowski Codziennie niemal zachodziły tu utarczki z Moskalami, usiłującymi koniecznie przeprawić się przez rzekę, z których oddziały polskie pod dzielnem dowództwem Wyszkowskiego wychodziły zwycięzko.

Podczas tego Kościuszko posuwał się zwolna ku Warszawie. Połączenie się Prusaków z Moskalami pogorszyło położenie sprawy narodowej. Opuściwszy pole bitwy pod Szczekocinami odgadł, że po przejściu armii rosyjskiej przez Bug, pokusi się nieprzyjaciel o zajęcie Warszawy i postanowił spiesznemi marszami zbliżyć się do stolicy i pokrzyżować zamiary wroga.


Józef Zajączek.

Sprzymierzone wojska pruskie i moskiewskie usiłowały go odciąć od stolicy. Nie narażając się nigdzie na bitwę większą, nacierały w podjazdach ostrożnych, usiłując upatrzeć gdzieśkolwiek słabą stronę w kolumnach polskich, aby módz którą z nich od reszty wojska oderwać, a przez to ułatwić sobie przystęp do Warszawy. Z końcem czerwca zaczęły się też codzienne niemal utarczki, zwłaszcza od strony Łowicza. Wszystkie przecież wypadały na korzyść wojsk polskich.

Wśród codziennych tych utarczek zbliżały się wojska polskie coraz bardziej pod Warszawę. Równocześnie stawiły się pod Warszawą korpusy Zajączka i Mokronowskiego.

W ślad za wojskami polskiemi zbliżał się ku stolicy nieprzyjaciel. Dnia 13 lipca ukazały się pod Warszawą wojska pruskie i stanęły naprzeciw obozu Mokronowskiego. Nadciągnęli równocześnie i Moskale i rozłożyli się pod Służewem naprzeciw stanowiska Kościuszki. Wojska pruskie liczyły 21.000 żołnierza i 40 dział, rosyjskie: 15.000 i 67 dział; liczył więc nieprzyjaciel razem 36.000 wojska i 107 armat.

Po otoczeniu wojsk polskich przez armię pruską i rosyjską w dniu 13 lipca zaczęło się oblężenie Warszawy.

W pierwszych tygodniach stały wojska z obu stron prawie bezczynne; zachodziły tylko mało znaczne utarczki między strażami przedniemi.

Energiczniejsza walka zaczęła się dopiero z końcem lipca.

Bitwy te były początkiem krwawych zapasów, które powtarzały się pod Warszawą z dniem każdym.

Co noc niepokoiły oddziały polskie nieprzyjaciela licznemi wycieczkami, a wszystkie odznaczały się nadzwyczajną odwagą.

Król pruski, któremu zdobywanie Warszawy widocznie przykrzyć się zaczynało, wysłał dnia 2 sierpnia wezwanie do króla Poniatowskiego, aby się miasto poddało: takie samo wezwanie przesłał jenerał Szwerin komendantowi Warszawy, Orłowskiemu. Stanisław August odpowiedział królowi pruskiemu, że Warszawa, mając tyle walecznego wojska pod przewodnictwem Naczelnika, nie widzi jeszcze potrzeby kapitulacyi. Nazajutrz kazał król pruski burzyć wiatraki, pragnąc przez to ogłodzić miasto. Tymczasem nadeszło w nocy z 19 na 20 sierpnia 20 wielkich armat z Wrocławia. Niebawem wzięli się Prusacy do usypania nowych bateryi i gwałtownego ostrzeliwania miasta. Dnia 23 sierpnia

rozpoczęli silną kanonadę na obóz Mokronowskiego, nad którym objął komendę ks. Józef Poniatowski; nazajutrz przypuścili do niego szturm, przecież ze znacznemi stratami odparci zostali. Dnia 26 sierpnia ponowili atak jeszcze silniejszy; książę Poniatowski, opadnięty przez przeważające siły, nie mógł wstrzymać szturmu i musiał się cofnąć; Prusacy opanowali wskutek tego tak zwane ,,Szwedzkie Okopy i reduty w Wawrzyszewie. Książę Poniatowski, odebrawszy ranę, złożył dowództwo, które Kościuszko oddał Henrykowi Dąbrowskiemu. W nocy z dnia 27 na 28 sierpnia zdobyli jeszcze Prusacy o świcie wysokie baterye i szańce, ktore natychmiast osadzili; poczem rozegrała się bitwa najkrwawsza i najważniejsza z całego oblężenia. Prusacy, ośmieleni łatwością zajęcia przed dwoma dniami kilku mniej znacznych pozycyi, ponowili atak na obóz Dąbrowskiego pod Wawrzyszewem. Bitwa rozpoczęła się o 4 godzinie z rana i rozszerzyła się na całą przestrzeń prawego skrzydła od Woli do Wisły. Wojska polskie poczęły się po kilku odpartych atakach z umysłu cofać, a Prusacy, zapędziwszy się za niemi, doszli aż do Powązek. Tu oczekiwał na nich Kościuszko ze swym korpusem; na przedzie stało wojsko obywatelskie warszawskie i



Józef Ks. Poniatowski



Henryk Dąbrowski

dzielnie odparło natarcie wroga, poczem nadciągnął batalion pieszy pod komendą Dąbrowskiego, równocześnie ozwały się działa polskie. Przyszło do nader krwawego starcia. Wojska pruskie, poniósłaszy ciężkie straty w rannych i zabitych, musiały się cofnąć. Bitwa trwała do 9 godziny wieczorem. Kościuszko, trzymając w ręku pomarańczę, której sokiem chłodził sobie spieczone usta, śledził przebieg bitwy z największym spokojem, w którym przebijała się pewność zwycięstwa. Straty pruskie wynosiły w rannych i zabitych do 3.000 ludzi; dwa pruskie regimenta piesze wyginęły prawie do szczętu i musiały być z dalszej akcyi wycofane. Wielkiem męstwem odznaczyła się milicya warszawska i brygada Kołyski; jenerał Dąbrowski za dowody dzielności i nieustraszonej odwagi odebrał w nagrodę od Naczelnika złotą obrączkę z napisem: ,,Ojczyzna swemu Obrońcy!

Nie był to jeszcze koniec niepowodzeń wojsk pruskich. Dnia 30 sierpnia o godzinie 1 z północy wysunęli się Polacy z okopów pod Czystem, a podszedłszy cichaczem pod pruskie baterye, wykłuli załogę i zagwoździli 9 armat. Nazajutrz napadł oddział polski na pruski batalion fizyljerów i wyciął go w pień.

Król pruski postanowił 1 września

przypuścić ogólny szturm na Warszawę; czekał tylko na armaty wielkiego kalibru i amunicyę, które miały nadejść Wisłą z Grudziądza. Tymczasem wybuchło w Wielkopolsce powstanie; Kasztelan Mniewski, jenerał powstania Kujawskiego, uderzył z garstką powstańców dnia 22 sierpnia na jedenaście galarów, płynących Wisłą i wiozących amunicyę, mającą łużyć do szturmowania Warszawy; po krótkiej utarczce zdobyli powstańcy wielkopolscy galary, co mogli zabrali z nich, a resztę zatopili.

Liczne klęski, a zwłaszcza szerzące się w obozie choroby wojska, zniechęciły króla pruskiego do dalszego oblęgania; nietylko więc, że zaniechał zamierzonego szturmu na Warszawę, ale zaprzestał dalszej walki. W nocy z dnia 5 na 6 września pościągali Prusacy cichaczem wszystkie działa z wałów, a nad ranem ujrzeli Polacy wojska pruskie i rosyjskie odciągające od stolicy. Nie chciano oczom swoim uwierzyć! Na wieść o odstąpieniu nieprzyjaciela radość wielka poruszyła obozy i miasto całe. Nie śmiano uderzyć na wroga, z obawy, aby w pozornym odwrocie nie kryła się zasadzka. Zagrzmiały tylko rozliczne działa na bateryach polskich odgłosem tryumfu i pożegnania! Tak skończyło się dwumiesięczne blisko oblężenie Warszawy, a obrona jej należy do najdzielniejszych czynów Kościuszki.

Niegdyś a dzisiaj.

Kuligiem szalały wpierw polskie zapusty
Przez stepy, przez śnieżne obszary
I zda się, że jeszcze brzmią sanek janczary,
Że masek, gdzieś słychać śmiech pusty.
Czas wspólnej uciechy, niewinna ochota,
Co w jednę kraj łączy rodzinę,
Co łańcuch braterstwa tem silniej zamota,
Po trudach szle wytchnień godzinę.
Gdy północ wybiła, popielec od proga
Wszedł groźnie — przerwano zabawę.
Szał uciekł, post serca niósł w skrusze do Boga
Dziecięce, posłuszne bo prawe...
Czy dzisiaj zabawa tak serca jednoczy?
Mdłe wszystko: karnawał i posty;
Nie dzieci to bożych rozhowor ochoczy,
Lecz wybryk niesforny, wart chłosty.
W zabawie, nikt uciech nie szuka kaskady,
Co rzeźwi i siły pokrzepi,
Lecz strojów nad możność, nad możność parady.
Ni w dworach, ni w chatach nie lepiej..
Popielec wejść nie śmie tam w porę, bo nie to,
Że każą mu czekać za drzwiami:
Choć północ wydzwoni — pod szaleństw podnietą,
Chciwemi szał piją ustami.
Parada, wybryki... tak wszystko niekarne;
Z kieszenią, z sumieniem niesnaski.
Modlitwa, post teraz, to dziecię figlarne,
Co spełnia powinność jak z łaski.
Choć dużo przebacza dziecięcej swywoli
Ten Ojciec, co kocha bez miary,
Lecz nie dziw, że wiedzie do szkoły niedoli,
Gdy słuchać Go niechcą bez kary.

Korczak.

ICEK „HERBATNIK".

(MONOLOG)

Państwo miszlą, co ja idę z domu? To państwo sobie milą. Ja zupełnie idę z insze instytucye, ja idę z... koze. Ale ja nie idę z takie koze, co to daje mlik, ino z takie koze, co sze nazywa kryminał.

Co? Państwo sze pytają, za co mnie tam wsadzili!

Za kołnierz.

Tam są bardzo grzeczne ludzie, te dozorcy; jak mnie poproszyli szedziecz, to mnie niechczeli puszczycz i ja szedżałem przez cztery mieszące.

Bardzo grzeczni ludzie!....

Ja jezdem zupełnie niewinny. Ja proszę państwo, mam fach w rękę, jezdem meldowany, mam żonę i dziecki, i jezdem bardzo porządny człowiek, ino co tera jest taki szwiat, co wszistkie miszlą, że jak ino żyd, to musi bycz złodziej...

Ny, co na to poradzisz, kiedy ludzie tak miszlą....

Ja, na ten przykład, jezdem sobie taki „herbatnik". Państwo wiedzą, co jest herbatnik? Nie? To ja zaraz państwo powiem. Ja mam na Żelone ulice taki sklepik, co sprzedaje herbate w różne gatunki....

To kilkie tygodniów temu przriszedł do mój sklep taki pan od komisye i wzion u mnie pare paczki herbate do zbadania, a na drugi dzień, to mnie wzieli do koze.

Uni gadali, co w moje herbate jest połowe popiół i połowe wimoczki a herbate to niema wcale....

Ale ja jestem całkiem niewinny.

Bo co to komu szkodży, co w moje herbate buło troche popiołu? Czy popiół — to trucizna? To jest żadne trucizne! Szczury także szedżą często w popiół, a są zdrowe i do doktory nie chodzą i felczery nie potrzebują. To nie jest żadne trucizne!

A że w moje herbate buło wimoczki, ny to nie żadne zbrodnie!

Co ja temu winien, co państwo już raz te herbate zaparzali, to przecie nie ja zaparzałem....

Ale jaki to buł gatunek te herbate! A jaj! sam cymes!

To nie byle kto mi sprzedawał te wimoczki. Służąca, co jest u tapicera i chłopak od introligator i lokaj od sam bankier! To buł piszny gatunek herbate! Aromatik — bez domieszki!

To Dawid Cukierbaum i jego mame Ruchle, to uni na Gazowe ulice fabrykowali te herbate, ale ja nie...

Uni dawali za dużo popiół. Jak im zabrali dwa cetnary te herbate, to buł sam popiół i ogonki od stare herbate albo kurz herbaczany. To co innego! Za trzy marki funt herbate — to buło u nich to samo, co za 3 czeskie. Same wimoczki i popiół!...

Żeby im sze co stało! Co oni nam, porządnym fabrykantom narobili!...

Co ja winien?

Ja przecie panom takie paskustwo nie sprzedaje, a jak przyńdzie taki głupi chłop, co chce dużo i tanio w ładne paczke, to ja sze z nim targuje i on robi dobry interes a ja zarabiam... Co to szkodzi? Przecie taki cham sze nie pozna na herbate!

Ja jezdem niewinny, to zara poznali, bo jak ja ino złożył kaucyje, to mnie zara wypuszczali...

I wszystkie ludzie gadają, co żydy — to złodzieje!

Ny bardzo wiele szkode, co w te całe herbate sprawe nie ma ani jeden katolyk, ino same żydy... Bo jakby buł chocz jeden katolyk, toby można zaraz krzyknąc, co te antysemytniki to są bardzo podłe ludże...

POWRÓT.

Niechaj będzie pochwalony,
Pątnik w nasze idzie strony.
Z szerokiego kraju świata
I ojczystą ziemię wita.
O rodzinną wioskę pyta,
O matulę, ojca, brata,
O krzyż na rozdrożu stary,
Gdzie w upały, letnie skwary
Słuchał gawęd, klechd bajarzy.
O tę brzozę, co na straży
Stała na brzegu krynicy,
Nad którą żale tęsknicy
Koił rankiem, wieczorami.
O staruszka dęba pyta,
W którym przeszłość śpi ukryta,
Okupiona żalem, łzami.
O ten kościół, wkół lipami
Omszałemi otoczony.
O te stare pyta dzwony,
Co mu pieśnią snu dzwoniły
I powieki łzą perliły....

— Ojciec żyje?
— W ziemi leży
Obok sióstr, braci, macierzy.
— A przyjaciel też nie żyje?
— Motyl z kwiatów rosę pije,
Co na jego wzrosły grobie.
— Gdzież dziewice? Żyjąż obie,
Te, z któremi jam przed laty
Młodość prześnił?
— W obce światy
Poszły obie....
— Brzoza biała
Szumi jeszcze, jak szumiała?
— Piorun spalił płaczkę-brzozę
I zielone rozwiał włosy
Po dolinie; między łozę
Pochylił się z Bożą-Męką
Krzyż, zniszczony czasu ręką.
— A krynica?
— Żar słoneczny
Wypił z wiekiem krynic rosy...
Na jej miejscu rosną wrzosy...
— A kościółek? — ten świąteczny
Obraz naszej Bożej Matki?
— Już go niema — dziś już nowy
Stoi, świeci wysmukłemi
Wieżycami błyszczącemi....
Ot to szczątki i ostatki:
Głazy dawne, których mowy
Nie zrozumie młode plemię....
Obraz — został jak przed laty!...

* * *

Przed ołtarza poszedł kraty
Pielgrzym i upadł na ziemię
Cicho; jeno drżące wargi
Wyszeptały modły, skargi...
A Matuchna wraz z dzieciną
Na drogę go przeżegnała,
Balsam niebios w serce wlała.

Na mogiłki wyszedł smutne
Ojca, matki, — z głuchym jękiem
Padł samotny...
Z dzwonu dźwiękiem
Poszedł dalej, a okrutne
Mary wiodły go w daleki
Kraj, za góry, lasy rzeki,
Na życie biedne, tułacze...
Na cmentarzu jodła płacze,
Jak płakała przed godziną...

Władysław Łukasik.

Spuchł.

(Zabawny figiel).

Młodzież zamiast cnotami zajmuje się figlami! — jest to prawda starego przysłowia, którą potwierdza następująca historyjka.

W Nowogródku na Litwie podczas wojen Napoleona I. formował się pułk 19-ty ułanów, do którego garnęła się młodzież polska, synowie bogatych i ubogich rodzin.

W dworku Choińskich mieściło się około 30 ochotników, pomiędzy którymi żył Bohuszewicz, młodzieniec dobrej familii, usposobienia flegmatycznego, (leniwo-powolnego), przytem spaśny, lecz bardzo lubiący nauki.

Pustoty żadne wcale go nie zajmowały i kiedy inni wieczorem zajęli się kartami lub szklanką, on się rozbierał, kładł się na swej pościeli i brał w ręce książkę, których zapas dość dobry miał z sobą, i czytał dopóty, póki nie zasnął. A że uczeni z powszechności są ospali, więc i on nie ocknął się zazwyczaj wcześniej, aż wiele hałasu koło niego narobiono.

Z czasem przywykł i do tej niewygody, tak, że krzyk innych niełatwo go budził. Miał służącego, który mu czyścił i kładł odzienie i broń w porządku, a książki przeczytane zabierał do tłumoka.

Pewnego ranka przychodzi koncept Korbutowi, który był jednym z kolegów, żeby Bohuszewiczowi figla wypłatać. Przywoławszy tedy szeregowca (prostego wojaka) Jankowskiego, który był z profesyi krawcem, szepnął mu, ażeby zwężył spodnie i mundur śpiącego Bohuszewicza, fastrygując naprędce szwy przy bokach.

Jankowski, młody także chłopak, plan ten wykonał z nadzwyczajną szybkością, i ubranie położył na swojem miejscu. Co gdy się stało, zmówił się z kolegami, aby wmawiać w Bohuszewicza, że on spuchł, nie nastając na niego wszakże zbyt mocno, dopóki sam się o tem nie przekona. Stosownie do sprawy zmówiwszy się, sami udawać śpiących, trącili Bohuszewicza, by się obudził.

Bohuszewicz, raz w swem życiu ocknąwszy się — jak mu się zdawało — najwcześniej, mszcząc się za figle i niepokoje dawniejsze, począł innych budzić, aby wstawali, a każdy budząc się niby z rozmarzenia, klął Bohuszewicza, że ich niepokoi, lecz jeden po drugim — jakby od niechcenia — podniósł na niego oczy, i zawołał: — co tobie, Bohuszu? — tak go bowiem przez skrócenie nazywali, — a tyś spuchł? — i znowu do spania się zabierali.

Bohuszewicz już tyle razy poprzednio zwodzony, brał to za żart i nie wierzył temu, bo na zdrowiu swojem czuł się najlepiej. Jednak, gdy jeden po drugim toż samo twierdził: że spuchł! — był nieco zaniepokojony, lecz zasnąć już nie mógł, a po chwili niejakiej krzyknął na służącego, by mu się pomógł ubierać.

Sługa o spisku nic nie wiedząc, w prostocie ducha nadstawia mu pantalony (spodnie czyli galoty) lecz noga do połowy tylko wlazła, a dalej nie idzie.

— Co to jest Janku? — zawołał przerażony Bohuszewicz, — czy ja spuchłem?

— Zdaje się, że nie, panie! — odpowiada służący.

— Ale tu wszyscy mówią, że ja spuchłem.

— Zdaje się, — że tu jest coś podobnego, panie! — odpowiada służący, — bo dlaczegoby noga nie lazła w te same spodnie, które panu wczoraj tak wygodnie służyły!

— Pokaż mi, czy to nie cudze? — a wyczytawszy na podszewce własną ręką napisane swe imię i nazwisko, upadł na pościel, gorzkiemi zalewając się łzami. Służący mocno do pana przywiązany, trzymając w ręku owe nieszczęśliwe spodnie, oka z niego nie spuścił: aż pan zakłopotany zawołał żałośnie:

— Janku! — jam jest chory! — rzuć na stronę to, co trzymasz w ręku, a biegnij po doktora! — co Janek bez straty czasu wykonał.

Słyszeli tę całą rozmowę — niby śpiący młodzi swawolnicy, i dopiero jeden po drugim budząc się, pytają! — Co tobie Bohusz? — ale Bohuszewicz ani słowa nie odpowiada im na to, tylko ciężko wzdycha.

— Co tobie Bohusz? — powtarzają się pytania, aże nareszcie znudzony, odezwał się smutnie: — Alboż niewidzicie, że ja jestem chory?

— Nie pleć, żeś chory! — odpowiadają inni, — objadłeś się wczoraj, a dzisiaj na ćwiczenia iść ci się nie chce! Ale ten zarzut Bohusz pokrył milczeniem.

Aż tu i doktora zadyszany sługa prowadzi. Ten, zbliżywszy się do chorego, zapytuje się poważnie: Co panu takiego?

— Ja sam nie wiem, ale zdaje mi się, że to wodna puchlina! — odpowiada Bohuszewicz.

— Kto panu to powiedział? — zapytuje doktór, a Bohusz na to: Na co się pytać, co jest widoczne!

Doktor pyta, czy go co boli.

Bohuszewicz smutny odpowiada, że nic!

Lekarz bierze go za rękę, ale puls bije dobrze. Więc pyta znowu: Cóż panu dało powód do myślenia o wodnej puchlinie — może się to panu śniło!

— A gdzie tam śniło! — odpowiada Bohusz.

— Toć nogi tak są opuchłe, że w spodnie nie wlezą!

— Pokaż mi pan swoje nogi!

Bohuszewicz, z ostrożnością odchyliwszy kołdrę, wystawia swą mięsistą łydkę.

Lekarz pocisnął palcem po nodze i powiada, że ciało jest zdrowe, a Bohusz twierdzi inaczej.

Koledzy, obstąpiwszy łoże, posądzają Bohusza, że udaje. Tymczasem Jankowski, wkręciwszy się za krzesło, wyciągnął fastrygę z jednej i drugiej nogawicy, a spodnie położył na swojem miejscu.

Doktor rozgniewany grzmi: Cóż pana upoważniło sprowadzać mnie, kiedy niema po co?

Bohuszewicz się tłumaczy, że on tak jest opuchły, że nogi jego w spodnie nie wlezą.

Doktor oświadcza, że chciałby to widzieć, a chory utrzymuje, że próba ta niepotrzebna, bo on spuchnięcia tego pewny. Nareszcie, żeby lekarza przekonać, woła na sługę: Janku podawaj spodnie!

Janek mu znowu takowe nastawił; ale o dziwo! — wlazły w nie nogi bez trudności wszelkiej.

Bohusz woła: Janku co to jest?

Janek: Ja nie wiem, panie!

Bohusz: A wszakże nogi pierwej nie wlazły?

Janek: A nie wlazły, panie!

Doktór zniecierpliwiony powiada: Panie! — pan ze mnie zażartowałeś, a jam u pana nie zasłużył na to! — oświadczam panu, że będę się na to skarżył przed pułkownikiem!

Koledzy wdają się z pośrednictwem i nalegają na Bohuszewicza, żeby doktora zapłacił i zachował sekret.

Bohusz nie mógł pojąć co się z nim stało, dobył dukata, wetknął lekarzowi w rękę i odchodzącego najmocniej zapewniał, że przed godziną w istocie był opuchły.

Po wyjściu doktora, koledzy w śmiech i utrzymują, że Bohusz, sprzykrzył już sobie służbę wojskową i chce się z niej zmyśleniem choroby uwolnić. Ale ten zmartwiony nie odpowiadając, spieszy się z ubieraniem, aby się naj-

prędzej mógł pozbyć swych kolegów.

— Janku! podawaj mundur, lecz ten włożony spiąć się na żaden sposób nie daje.

Bohusz więc krzyczy: Janku co to jest u katów?

Janek jak zwykle odpowiada: Ja nie wiem, panie!

Już teraz wziął mundur w ściślejsze zbadanie; razem obydwaj wykryli nić, szew na plecach zwężającą. Dopiero się wyjaśniło czoło Bohusza; począł się śmiać razem z innymi, bo do gniewu nie był porywczy.

Tak to tak! młodzież zamiast cnotami, zajmuje się figlami! — Tak bywało i tak podobno będzie dalej!

DO NASZEJ MŁODZIEŻY.

I.

Hej młodzieży, młodzieży.
Tyś ojczyzny nadzieją!
Świat do ciebie należy
Zwykłą losów koleją.
Przeszły ojców dni chwały,
Już się chylą ich głowy,
Które pokrył szron biały,
W ciemny otwór grobowy.
W trudach przeszły ich lata,
Pomarszczyły im czoła;
Wam oddając ster świata,
Przeznaczenie was woła.
Raźno tedy, młodzieży,
Przy ojcowskiej czyń radzie,
Co do ciebie należy,
Co-ć na barki los kładzie.

II.

Do młodych należy ster świata,
Do ludzi, co pełni są siły,
Bo starych zgarbiły już lata
I dłonie ich moc swą straciły.
Do młodych uśmiecha się życie,
Dni przyszłe przed nimi otwarte,
O młodzi, wy wprzód wciąż dążycie,
Spełniając dziejowych ksiąg kartę.
O młodzi, wam przypadł w udziale
Za niebios zrządzeniem los błogi
Świat naprzód pchać zwolna, lecz stale
I nowe torować mu drogi.
Choć starzy na barki młodzieży,
Bezsilni, ciężary swe kładą,
Lecz do nich, do ojców, należy
Wieść synów w ich drodze swą radą,
By wszystko, co w życiu zyskali,
A czego nie dadzą nauki,
W spuściźnie swym synom oddali,
A przez nich przelali na wnuki.
A waszą, wy młodzi, jest rzeczą
Tych słuchać, co świecą wam wzo-
I radą, pod ojców iść pieczą, [rem
Ażebyście dobrym szli torem.
Tak ci też, co żyli przed wami —
Jak świadczą minione już wieki,
Choć pełni sił, nie szli w świat sami,
Lecz ojców szukali opieki.
Ą którzy pomocą i radą
Wzgardzili, ufając w swe siły,
Złamani do grobów się kładą,
Z wyrzutem odchodzą w mogiły.
Bo świata łódź płynie w bezdroże,
W ocean bezmierny, w bezbrzeże,
A łodzią kierować nie może,
Kto z sobą kompasu nie bierze.
Bo żeglarz niewprawny gdy świata
Łódź z drogi wytkniętej wyrzuci,
I wieki przeminą i lata,
Nim ona znów na nią powróci.

Arkadyusz Szarek.



MACIEK BZDURA GADA:

Wysedsy człowiek z wojska, to jakby się po raz piąty na świat narodził, tak się mi lekuśko bez štruzaka i kapustraka zrobiło. Inom się w swoje manatki przyodział, w których się urodziłem, podskocyłem w górę z całego serca i cemduchu wypuściłem ze siebie całego ducha wojskowego. Ale opuścić wojsko to nie štuka, to kuzden potrafi, jak go wypuscą, lec wysedsy, trza se posukać roboty, abo baby, abo jakiego inksego nieszczęścia.

O babę to na tem Bożem świecie nic trudno, jako ze kuzda dzieucha, ino jej mliko pod nosem obeschnie, juz o chłopakach myśli, ale zaraz po jednem uciemierzeniu brać se zaraz inse, to chyba ani świętyby nie zechciał. Latego i ja pedziałem se: Na takie samobójstwo mam jesce i po pięćdziesięciu rokach cas!

Że to o mojem rodzinnem miejscu ani niebosćka matsia nie wiedzieli, latego wybrałem się z mojemi kamratami do Psi Wólki, z której mnie przed trzema rokami do wojska oddali.

Co to była za uciecha, jagem do Psi Wólki przyjechał, to jaze strach! Luda się na drogę wywaliło jaze ze cworo, wysed ujków burek, Kaśka Myrdąlonka i Ignac od Furgaca, a wszystko się to mojem powrotem tak ciesyło, ze jaz mnie samego zbirоł śmich.

— Maciuś — pada Kaśka — to juz się teraz na wieki wieków amen pobierzewa?

— Acha? — ja jej na to — zeń się ze suchą wirzbą, abo sobie jakiego inksego cywila posukaj, ale se na cysarzkie dziecko pyska nie ładuj! Ty myślis, ze ja na to bez trzy roki komyśniaka jad, zebym się z lada Kaśką zenił? Juści!... W mieście ja nie takie widział, jak się do nasego kaprala uśmichały. Jakbym ino był rzyk:

— Panie kapral! dejcie i mnie ftórej kawałecek, — tobym był nie jedną dostał. A miastowe kapeluśnice to nie takie jak wsiowskie dziwki; miastowa to ci nie ino gęby da, jeźli mas ze dwie šterny na kołnierzu, ale i kawałek ścirwa wiecorem na rondelku wyniesie. Kto się bez trzy roki na takie delicyje napatrzył, ten tak na zawołanie od jednego razu wsiowskiej dziwki się nie cypi.

Jagem to tak dokumentnie Kaśce wyłuscył, wywaliła na mnie ślipie i pada: — Cekaj zatracony! zebym sto lot miała na ciebie cekać, to ty musis być mój, piesecki kołtonie!

Na takie grzecne przemówienie juzem o mało nie zmiękł, ale przypomniało mi się, co pewnego razu jeden mędrzec z Psi Wólki pedzioł, ze koniowi nie wierz z tyłu, bo kopnie, strzelbie z przodu, bo strzeli, a babie z zadny strony, bo wszędzie ma sposoby, któremi ci dokucyć potrafi.

Po takiem pomyśleniu przezegnałem się uściwie i posedem dali we wieś na opatrzność boską.

Ledwiem used parę kroków, natknąłem się na Grzymałową, moją późniejsą gospodynią i padam:

— Serwus, matka! Zróbcie štelung i meldujcie, co nowego we wsi słychać?

Myślałem, ze pieruny z jasnego nieba lecą, jak Grzymałowa do mnie się ozwali. — Ja ci dom, pokrako, štelung — prawią — jak chycę pogrzybaca! A gdzieś, dziadowski synu, zgubił język, któryś od Pana Jezusa dostał, kiedy mnie jakąsik świńską mową witas?... Burek! a huziano tego świaba!

— Ocho! — myśle se — baba i pies, to zawiele dwa nieszczęścia na jeden raz.

Spokorniałem i od razu zacynam grzecnie z insyj becki:

— Nie wścikajcie się, pani matko, bo ja nie zaden śwab, ino urlopnik, wysły z wojska i sukający jakiego beszeftigungu.

— Cego?

— To jest niby roboty — wyjaśniłem.

— Acha! roboty! — pani matka na to. — Mnie się widzi, ze tobie prędzejby się zarcie przydało, jak robota, bo ci ten komyśniacek porządnie kiski wystrugał.

— Oj, święte słowa, pani matko — rzekę ja — zjadłoby się, choćby lochę z prosiętami, bo kiski marsia urocystego grają, ze jaz na tamten świat słychać.

Zawołali mnie Grzymalina do izby, nalali do ciarapki zuru, nasypali na miskę zimiocków, a człowiek jad i jad ze štyry godziny, póki choć co grubsa głodu nie zaspokoił.

Jak się juz jedzenie skońcyło, tak pani matka rzeką:

— No i jakże, cy ci się już roboty odniechciało?

— A kajzby tam — ja na to. — Jak se cłek dokumentnie poi, to go dopiro oskoma na charówkę zbira. Toć nie pytajcie, cy ochota jest, ale padajcie, co i gdzie, a uźrycie jak się zwinę!

I tym sposobem, bez zadny umowy, zostałem u Grzymaliny na służbie.

Z pocątku nowa opiekunka moich ręców i mojego zarcia bardzo mi się uzdała, ale zapoźni przekonałem się, ze to nie takie smaki, jak się widziało. Robota bez cały boży dzień, a jedzenie ino trzy razy na dobę po godzince. A do tego jakie jesce jedzenie! Sobie jajeśnicka i klusecki, gospodarzowi choć casem ogryzek jakiego ścirwa, a mnie ciągiem ino zur i zimniaki.

A zeby to choć robota robotą! Nie ino ciągiem samo jakiesik swęndanie się koło chałupy! To drew urąb, to ogonom daj zryć, to gady ze zyta pozganiaj i tak dali a na dziewuchę to ani zyrknąć nie wolno, bo gospodyni zaraz się drą:

— Maciek! ty zbereźniku jakisi! juz ci się w cudzą skodę liść zachciwa?

I jakze się tu kiedy cłekowi przyjdzie ozenić, jak se przedtem baby nie wypróbuje? Wiadomo przecie kuzdemu, ze nim chłop škapę kupi, to ją i przejedzie przódzi, i w zęby zaglądnie, i za ogon pociągnie; abo nim kupi krowę, to spróbuje, cy będzie mlicna, a ino jednę babę tak bez uprzedniego oglądnięcia brać?

A moja gospodyni tak właśnie chcieli, abym ja na zadną dzieuchę ani nie zyrknął i bez to się ani do zeniacki nie przysposobił.

Ale ja se i tak dawałem radę! Jak gospodyni pośli na jarmak, abo gdzie indzi, to ja hyc! na płot i dalijze rozwazać gdzie i jaka idzie. Choć co prawda w Psi Wólce nie było w cem wybierać.

Tak do pośpasowania, do beštefrantów, to tam tego ciarachu nie brakowało, ale do porządny ozeniacki, to jem porządny chłopak był nie potrzebny, ino morgi a półtoracnia chałupa.

Mimo tego jednak zawse mi się widziało, ze jakasik Kaśka Myrdalonka toby się mi przydała, bo jak się cłek rozeźli, to ni ma na kiem swoi złości wytrzepać.

Jak chłop ma babę, to się nie potrzebuje o nic trapić: dokucy mu kto w karcmie, on to na babie odbije; przegra proces — baba odpokutuje; nie powiedzie się mu jaka kalkulacyja — znowu baba ma za swoje... Choć co prawda, to taka robota jest niesłuśna i babie się krzywda dzieje, boć przecie i baba boskie stworzenie!

Ale u nas to jesce takie tureckie casy, ze baby prawie za nic się nie ma!

U Anglików abo w Hameryce to baby nawet poślicami chciałyby być, i będą, jak jesce cejnieco powojują...

Mój Boże! chciałby ja, zeby taka moja psiwólcańska gospodyni zostali poślicą. Jakby jeden abo drugi poseł, abo minister nie chcioł się na co zgodzić, jakby złapali pogrzybaca, toby rozegnali wszyćkich ciarachów, co ino dzie-

siątki bierą, a nic nie robią, do chałpy, a sami ućciwyby porządek zaprowadzili. Ale z tego, zdaje mi się, nic nie będzie, bo jakem jem to raz pedzioł, to wyscyrzyli na mnie ślipia i padają:

— Pójdzies, hyclu! A wis ty kto się w politykę bawi?... Ino ci, co się jem robić nie chce, to patrzą, aby co gdzie za durnickę oblizali. Mnie Pan Jezus dał zdrowe gicale, to jesce na siebie urobić potrafię.

Morowa baba!

Ale bo tez niftóry babie i chłop nie wyrówna. Są między babami baby, co chłopami być powinny, a są między chłopami chłopy, co za dobrą babę nie obstoją. Co mi to na ten przykład za chłop, ftóry jak dwa kieliski chlapnie. to juz nie wie, cy ma głowę na karku. Łeb mu wtedy lata, jak nieprzymierzając cielę bez powrózka, nogi się selencą, a język kołkiem staje. Babieby to usło, ale chłop powinien mieć łeb, jak pieruny i wszyćko bez awantury wytrzymać, albo nie chlać wódcyska wcale.

Chłop, jak się opije, to myśli, ze Pana Boga za kolana złapie, a tu temcasem jego dyjabeł za kark wlece. Ja jakbym był dzieuchą to za pijacynę nigdybym się nie wydał. Pijak to merusieńce jak to prosie, ino ze prosięciu śmierdzi z pod ogona, a pijakowi z gęby!

*

Jak przysły zapusty, tak moja psiwólcańską gospodyni padają:

— Słuchaj, Maciuś, dogodnyś mi bardzok, ale ze ja nie ino swego scęścia patrzę, więc ci padam: Zeń się!

— Acha! padacie: Zeń się? Ale powidzcie mi, co wam z tego przyjdzie?...

— Co? — gosposia na to. — Ano juz się tak dawno nie swascyło nigdzie, to zdałoby się trochę rozrusać...

— I pchły przetrzepać — dokońcyłem. — Wy myślicie, ze wyście ino jedna taka przyścipna, a tu takich przyścipnych więcy na świecie, co nie patrzą, jak, gdzie, z kiem, po co, na co... ale prą do zeniacki ludzi, którzy często o małżeństwie nie mają pojęcia, aby ino swoje gnaty rozrusać.

Mnie się tam z zeniacką nie spieszy, bo co mi z niej przyjdzie? dzieciskami cię człowiek obsypie, babę i strapienie na kark weźmie: strapacyje wiele a korzyści ani za grajcar... Kto nie wierzy niech wywiedzie babę na jarmak, a przekona się, ile mu będą za nią zydy dawały? Przecieć wiadoma rzec, ze zyd wszyśko kupi, a zadny baby ani za bezdurne nie chce.

Pytołem się różnych ludzi, jaka korzyść z baby, to jeden ino ręką kiwnął, drugi się uśmichnął, a trzeci pokazał podrapaną gębę. Kto insy toby ta nie wiedział, co to wszyćko znacy, ale ja?..

Przecie w cały Psi Wólce wiadomo, że najscęśliwsą osobą w całej wsi, to jegomość, a la cego?... Bo baby ni mają!

La tego tez i ja bez całą moją służbę w Psi Wólce anim się razu nie ozenił, ale zylimy se z gospodynią, jak dwie siostry. Ale padają starzy ludzie, ze przy jedny dziurze i kot zdechnie, la tego tez i ja pocąłem wnetki przemyśliwać, aby się na insą służbę przeniść i insy, a śwarniejsy se gospodyni posukać. Śpekulowałem rozmaicie, zaglądałem tu i tam, ale mi się nigdzie nijak nie zdawało, bo kuzda baba jakisik feler miała.

— Idź ty gupi — padał mi Bartek — jak nima w całem kraju kota bez ogona, tak nima na całym świecie bab bez wadów.

Nie wierzyłem mu i ulubiła mi się gróbarka z Zatracony Wsi, bo myślołem, ze gróbarki, znające się nie ino na żywych, ale i na umrzykach, żywego a do tego śwarnego chłopaka usanować potrafią. I bez to od godów zgodziłem się do gróbarki w Zatracony Wsi.

Ale o moich przygodach „zatraconych" opowiem wam dopiro na bezrok, bo jakby je teraz gosposia przecytali, toby ani sam Bartek nie pomógł.

Latego na teraz zycę wam scęśliwy drogi i ostańcie z Panem Jezusem!

WESOŁY KĄCIK.

To co innego! a A gdzie to wasz mąż, pani Jakóbowa?

— W szpitalu.

— A to nieszczęście, taki zdrowiuteńki, niedawnom go przecież widziała!

— Kiedy, moja pani Kasprowa, mąż mój jest teraz posługaczem w szpitalu.

— A, to co innego!

Nie było czasu. Jakto, ojcze, macie już lat 58 i nie chorowaliście ani razu?

— A dyć prawda, nigdy na to nie było czasu.

Mądry lekarz. — Ach, jak mnie głowa boli!

— To niech mamusia przyłoży sobie do głowy przybytek.

— Jaki przybytek, co ty pleciesz?

— Ja nie plotę, przecież tatuś zawsze mówi, że od przybytku głowa nie boli.

— Ach, panie doktorze, mam taki straszny katar! Co mam używać?

— Chustki do nosa.

Przed gankiem w błocie.

— Pietrek zajeżdżaj!

— Wio! hej! wio! hej!

— A no zajeżdżajże prędzej!

— Wijo! Wijo! Hej kasztan! Wijo Kaśka! hej cygan! chlast! chlast!

— A ruszaj że się tam, ruszaj!

— Dosyć, ja się wielmożny panie rusom, jeno kunie nie chcom!

Gospodarz w oborze do pilnującego krów:

— Wojciechu, co słychać z krowami? Mówią, że w okolicy strasznie pada bydło.

— Dla Boga! żeby nam choć Pan Bóg zachował Wielmożnego Pana.

— A nie wstyd to wam żebrać? Człek jeszcze młody, zdrów, silny i już rękę po dziadowsku wyciąga.

— Wielmożny panie, mój dziad był dziadem, mój pradziad był dziadem, toć i ja nim ostanę...

W zapale. Stary weteran opowiada rozmaite przygody wojenne:

— W tym strasznym dniu straciliśmy naszego dzielnego dowódzcę. Kula działowa urwała mu głowę — pamiętam ostatnie jego słowa: Pogrzebcie mnie, gdzie padłem.

Przerwana żałoba. (Wojciechowa straciła męża. Spieszące z pociechą kumy zastają wdowę przed potężną miską kapusty z kiełbasą).

— No, cóż kuma porabiasz? — pytają goście.

— Od samego rana płakałam, szlocha Wojciechowa — a jak zjem, to znów zacznę płakać.

Na targu. — Ależ ta kura pewnie chora, bo taka smutna.

— Na moje sumienie zdrowa, tylko tak posmutniała z tego, co pani tak mało za nią daje.

Nieporozumienie. Do wagonu kolei żelaznej wszedł pewien wieśniak, wesoło ćmiąc fajeczkę. Jedna z obecnych kobiet zagaduje go przeto, czy nie wie, że jest w oddziale dla niepalących. Kmiotek, podrapawszy się więc za uchem, rzecze: Adyć nie obawiajcie się, gdyż skoro przybędzie konduktor, wtenczas fajeczkę schowam pod ławkę.

Dziwny kij. Żyd szedł lasem i, ujrzawszy wilka, zaczął celować do niego kijem, mniemając, że wilka odstraszy.

Wtem myśliwy strzelił z poza krzewu, a żyd rzecze do siebie zdumiony:

— Nu, już 20 lat mam ten kij, a nie wiedziałem, że un nabity...

SIEDM GWIAZD.

(Opowiadanie ludu nadwiślańskiego).

Jak to było dawno, nikt nie wie. Może i ten dąb najstarszy w lesie nie pamięta, może i mchem zarosła wieżyca starego zamku nie słyszała, ani widziała tego, dość, że bardzo wiele już lat temu zawołał raz Pan Bóg siedm gwiazd do siebie i rzekł im tak:

— Widzę, że ludzie nie są szczęśliwi na ziemi; poszlę im tam więc dary. Idźcie, zmieńcie się w dziewice i roznoście te dary. Ale, że każdą rzecz, kupioną tam na ziemi, lepiej szanują, niż darmo otrzymaną, starajcie się dary niby sprzedawać.

Gwiazdy stały w milczeniu. Gdy Anioł jasny trzy razy uderzył skrzydły, zmieniły się w dziewice, a Pan Bóg im rzekł:

— Ty pierwsza weźmiesz rozum dla ludzi na sprzedaż, bo bez niego wiele procesów, biedy i nieszczęść dzieje się na ziemi. Ty, druga, gwiazdo, zanieś cnotę.

Gdy tej będzie więcej, znikną kłótnie, kradzieże i przekleństwa. Ty, trzecia, zaniesiesz zdrowie. Słyszę, jak ludzie narzekają wciąż na rozmaite choroby; gdy dostaną więcej zdrowia, może będą już zadowoleni. Czwarta, poniesiesz długie życie. Tyle tam płaczu, gdy kto zawcześnie umrze i odchodzić musi od majątku, spróbuję, czy ich długie życie zadowoli. Ty, piąta, gwiazdeczko, poniesiesz honory. Są tacy, co wiecznie się żalą na stan ubogi, chcą mieć zaszczyty, sławę, dostojeństwa, a może będą szczęśliwi, rozważą, że kto chce mieć sławę, musi żyć roztropnie i pracować godnie!...

Gwiazda zadumała się smutnie, stojąc wraz z innemi.

— Szósta — mówił Pan Bóg dalej — zaniesie rozrywki i przyjemności światowe, a siódma pieniądze. Dam już to wszystko, za czem tak chciwie ludzie gonią. Będę uważał, czy im owe dary dadzą prawdziwe szczęście.

Nadpłynęła chmura złoto-różowa. Zasłoniła owym gwiazdom widok nieba, a inna wzięła je na swe ramiona i zniosła na ziemię.

Pierwsza gwiazda poszła po ziemi, a idąc od wsi do wsi, od miasta do miasta, wołała:

— Mam rozum na sprzedaż, kupujcie go!

— Rozum? — zawołał ktoś — czy ty nie wiesz, że każdy ma swój, po co mu cudzego — i odszedł dalej.

— Pewno waryatka — rzekł drugi — trzeba ją zamknąć do domu obłąkanych. Gdyby każdy miał rozum, nie byłoby głupich. Kogóż byśmy uczyli? Trzeba ją wyprowadzić do Wisły i utopić.

Ale gwiazda znikła z oczu.

Szła dalej wołając: Rozum na sprzedaż. Ale nikt go nie kupował; każdy mówił: Ja mam swój!

Ze smutkiem dążyła gwiazda dalej, wzywając, aby kupowano rozumu, ale bez skutku. Bogaci go nie chcieli, ubodzy woleli bochenek chleba, młodzi mówili, że czas im jeszcze, aby wszystko wiedzieli, a starzy powiadali, że lada chwila trzeba się przenieść do ziemi.

Byłaby biedna gwiazda wróciła do Pana z niczem, ale na szczęście zapukała do izdebki mędrca, poświęcają-

cego się nauce przez całe życie. Gdy się dowiedział, co nosi, powitał ją z radością i rzekł:

— Ażeby pracować dla dobra braci, nigdy nie ma się za wiele rozumu. Kupię twój towar, umieszczę go w książkach dobrych; w ten sposób będą się ludzie oświecać.

Gwiazda odeszła, a gdy wróciła do nieba, rzekła:

— Wszyscy wzgardzili rozumem, mówili, że go mają dość, tylko mędrzec i uczony człek ocenił ten Boski dar.

Druga gwiazda szła ślad w ślad za pierwszą siostrą i wołała dźwięcznym głosem:

— Cnotę kupujcie!

Na to wołanie jedni się śmiali, drudzy odwracali obojętnie, a inni urągali.

— Po co wydawać grosz ostatni na cnotę, czy ona da chleb lub dostatek — mówili ubodzy.

— Dziś świat nie szuka cnoty, lepiej dbać o majątek; dziś inne czasy! Wynoś się z twoją cnotą — powiadali bogaci.

Biedna z załzawionemi oczyma szła dalej, a serce jej biło żywo. W tem napotyka dziewczę, zbierające kwiaty na ołtarz Boga Rodzicy.

— Ta pewnie cnotę uszanuje — szepnęła do siebie gwiazda i dała ją dziewczynce, a od niej otrzymała za to bukiecik bławatków.

Wróciwszy do nieba, złożyła gwiazda kwiaty u stóp Boga a łzy srebrne lśniły na nich.

Tego samego dnia, kiedy druga gwiazda do nieba wracała, do dużego miasta weszła trzecia, wołając co siły:

— Zdrowie na sprzedaż, zdrowie! zdrowie!

Na ten głos zbiegli się wszyscy ze wszystkich ulic, ręce wyciągając i wołając:

— Mnie zdrowie, mnie sprzedaj, ja zapłacę.

— Ile za niego? — pytali inni.

A byli i tacy, którzy pytali, czem żywić zdrowie.

Gwiazda, oblężona przez kupców, rzekła:

— Zdrowie jada raz na dzień, pije czystą wodę, kładzie się spać późno, a ze wschodem słońca wstaje, pracuje, nie zna złości żadnej. Kto mu tego nie da, darmo go kupuje.

— O wa — mruczeli jedni — co mi po takiem zdrowiu, które pić nie daje.

— Mamy za co płacić — szeptali inni.

— Jak się nie złościć! E... idź sobie z takim towarem precz!

Gwiazda poszła dalej i znów zawołała:

— Zdrowie! Zdrowie!

Gdy grabarze i fabrykanci trumien to usłyszeli, poskoczyli i wyrwali jej z rąk skrzynkę, a uciekłszy z nią, zakopali ją głęboko w ziemię, mówiąc:

— Gdy ona zdrowie sprzeda, z czegóż my będziemy żyli?

Biedna gwiazda załamała ręce i popłynęła ku niebu, żaląc się tam na to, co ją na ziemi spotkało.

Znów na ziemi pojawiła się czwarta gwiazda, a idąc, wołała:

— Długie życie do sprzedaży, długie życie!

Mnóstwo ludzi zbiegło się na owo wołanie, a tak się cisnęli, że omal jedni drugich nie podusili. Znieśli wszystkie swoje skarby, jakie mieli, aby tylko żyć długo. Taki zamęt i hałas powstał koło gwiazdy, sprzedającej długie życie, że aż wojsko przyszło dla uspokojenia. Każdy wyciągał ręce.

— Mnie, mnie! Ja dam 100 koron — wołał jeden.

— Ja dam 1000 koron — krzyczał drugi — a byli i tacy, którzy miliony obiecywali.

Uśmiechnęła się gwiazda, a pomyślawszy chwilę, rzekła:

— Zaraz, moi bracia, dam wam każdemu, ale czyście kupowali towary od moich trzech sióstr, które tu były przedemną?

— A cóż twoje siostry sprzedawały?

— Jedna rozum!

— Nie kupowaliśmy, bo nam go wcale nie trza.

— Druga cnotę!

— I tego nie, bo to dziś nic nie warte!

— Trzecia zdrowie!

— I tego nie kupiliśmy, bo ona żądała od nas pracy i postu.

— Więc bardzo mi przykro — odrzekła gwiazda, że odejdziecie odemnie z niczem. Ludziom, którzy nie mają rozumu, cnoty i zdrowia, długie życie na nic się nie przyda.

Zamknęła gwiazda swe pudło prędko, a z figłów rzuciła kawałeczek swego towaru papudze, siedzącej na kamienicy. (Odtąd papugi żyją 300 lat). Odeszła do nieba i tam złożyła pudło, a pozostałe siostry witały ją ze ciekawie patrząc, jak też one swoje towary sprzedadzą.

Piąta wbiegła żywo do tegoż miasta i głosiła śmiało:

— Honor, sławę i godności niosę!

Jeszcze silniej, jeszcze liczniej niż do długiego życia poczęto się zbiegać, krzyczeć, wrzeszczeć. Narobiono ciżby, przepychania, tak, że wytrącono gwieździe owo pudło. Towar się wysypał na ziemię, a ludzie poczęli się bić, aby każdy coś osiągnął. Jeśli ktoś bodaj najmniejszy kawałeczek dostał, uciekał czemprędzej, aby mu nie odebrano.

I kiedy się już wszyscy porozbiegali, podniosła gwiazda pudło z ziemi i zobaczyła ze zdziwieniem, że na dnie pozostał prawdziwy honor, a wysypały się tylko odznaki.

Wróciwszy do nieba oddała, pudło, a do sióstr swych rzekła:

— Będzie na ziemi wiele ludzi, chcących uchodzić za mądrych, dobrych, poczciwych i wielkich, ale mało uzyska prawdziwą sławę, bo wzięto tylko oznaki honorowe, a nie samą jego siłę i zasługę.

Ledwie porozbiegali się ludzie do domów, aż tu nowy krzyk powstał w mieście. Co żyło, biegło w jedną stronę, mówiąc:

— Biegnijcie, a prędko: przyszła jakaś dziewica, która sprzedaje przyjemności i rozrywki!

Zdawało się, że nogi połamią w tej gonitwie, aby nabyć owe przyjemności i rozrywki, a straż pożarna uderzyła w dzwon, sądząc, iż pali się w mieście.

I stało się to samo co z poprzednią gwiazdą: przewrócono ją, podeptano, wysypane przyjemności chciwie rozchwytując i wydzierając sobie nawzajem. Nie zważano, co kto uchwycił, a więc kobiety chwyciły polowanie, mężczyźni koronki i suknie, słabi taniec, głusi muzykę i śpiew, ślepi malarstwo, starzy miłość i wesele, babki wianki i gorsety, a panienki szable i karabiny. Każdy szedł więc zachmurzony mówiąc:

— Co mi potem? Co mi to za przyjemność!...

Gwiazda, uchodząc z tego zgiełku i wrzawy, zabłądziła i doszła do lasów niepołomskich, gdzie spostrzegła swą siostrę, w rowie leżącą przy drodze.

— Cóż tu robisz powiedz siostrzyczko? — zapytała.

— Niosłam pieniądze ludziom — odrzekła siódma gwiazda — ale mnie złapali jacyś rabusie z tego lasu, zabrali wszystko, a mnie o mało życia nie pozbawili!

Jęknęła gwiazda boleśnie, podniosła swą siostrę i uleciała z nią ku niebu.

Gdy stanęły wszystkie w niebie rzekł Pan Bóg:

— Będzie, jak było, lecz szczęścia nie będzie na świecie, bo ludzie nie umieją go zdobyć! Aby być szczęśliwym, trzeba umieć żyć, działać, myśleć i czuć. Mała liczba ludzi to umie i ci są tylko szczęśliwi.

Kazimierz Tokarski.

NIEDZIELA PALMOWA I WIELKI TYDZIEŃ.

Ongi w Niedzielę Palmową, zwaną także Kwietnią, poprzedzającą, jak wiadomo, Wielki Tydzień, na pamiątkę wjazdu do Jerozolimy Zbawiciela, któremu dzieci zachodziły drogę, rzucając na nią kwiaty, gałązki palm i śpiewając radośnie, panięta polskie, synowie rodzin senatorskich, w białe szaty przybrani, przynosili królowi palmy. Najznakomitsze panie starały się, aby ich dzieci przyjęte były do tego obrzędu. Gdy wszakże Jan Kazimierz, z powodu wojen ustawicznych, nigdy prawie na Wielkanoc nie znajdował się w stolicy, zwyczaj ten został zapomniany. W kościołach tylko parafialnych, gdzie były szkoły, wybierano chłopców do procesyi, przystrojonych czysto. Ci z bukietami u boku, fontazie na ręku mając przewiązane chustką jedwabną lub wstążką, trzymali palmy, ozdobione podobnież. Dla dostojniejszych osób starał się zakrystyan przygotować palmy zielonością okryte, trzymając pręty wierzbowe w wodzie, w ciepłym pokoju, w oknie na świetle słonecznem, przez parę tygodni.



— Ja nie biję, palma bije!

Niedziela, poprzedzająca święto Zmartwychwstania, obudzała radość powszechną. Po skończonem nabożeństwie, młodzież szkolna w kościele, uszykowawszy się we dwa rzędy, prawiła mowy wierszem o śledziu, poście, biedzie szkolnej, kołaczach, plackach i kiełbasach poświęconych. Po nich wysuwały się wyrostki miejskie i wiejskie, poprzebierani za pielgrzymów, olejkarzy, żołnierzy, w kołpakach ze złoconego papieru, z młotkami na długich kijach, niby berdyszami, z wąsami i brodami z konopi, w infułach błyszczących lub z mieczami drewnianymi. I ci także, jak uczniowie, zdobywali się na różne mowy, które miały na celu rozśmieszenie.

Już we Wstępną Środę wycinano zwykle rózgi wierzbowe, albo z malin i porzeczek i wstawiano do dzbanka z wodą w mieszkaniu, aby rozwinęły się, rozkwitły, czyli jak po staropolsku mówiono: ,,rozkściały" ma Palmową Niedzielę. Gdy dzień ten uroczysty nastąpił, kto wstał raniej, ten z palmą w ręku biegł budzić innycn, a budząc i chłoszcząc ich żartobliwie, wołał: ,,Wierzba (lub palma) bije, nie ja biję, za tydzień — Wielki Dzień, za sześć noc — Wielka Noc". Palmy takie niosą do poświęcenia, co kapłan dopełnia przed nabożeństwem, a ceremonia ta dała właśnie powód do nazwy niedzieli, poprzedzającej Wielkanoc, Palmową, Wierzbną lub Kwietnią. W kościele wszyscy trzymają palmy w ręku. Po ich poświęceniu, przypisywane im są zbawienne własności. Mikołaj Rej żartobliwie nadmienia: ,,W Kwietnią Niedzielę, kto *bagniątka*, czyli *kotki*, t. j. pączka z palmy wielkanocnej nie połknął, ten zbawienia nie otrzymał". Wierzono bowiem, że połknięcie pączka wierzbowego (zwanego jeszcze *bazią*) z palmy wielkanocnej zdrowie przynosi. Aby dobytek nie uległ chorobie i zarazie podczas lata, gospodarz wypędza go pierwszy raz w pole na wiosnę z palmą w ręku. Palmy poświęcone przechowują w domu zwykle zatknięte za obrazami świętych, a z nadejściem zimy lub Wielkiejnocy, rzucane są w płomień.



NIEDZIELA PALMOWA

w miasteczku włoskiem, położonem w górach Sabańskich.

W Poznańskiem wiją palmy z srebrnobiałych bazi wierzbowych i lśniącoszarych kitek trzciny rzecznej, do których dołączają tatarak, kłokoczynę i inne rośliny. Gdy po nabożeństwie

powrócą z niemi pasterze, którzy je zwykle niosą do kościoła, obchodzą najprzód dom trzy razy, uderzają palmą trzykroć o każdy węgieł, aby w domu nie było much i robactwa. Potem idą do stajni i tam kruszą części palm do żłobów, aby choroba bydłu szkodliwa w nich się nie ukrywała, krowy palmami omiatają, aby się ich nie chwyciła zaraza, wreszcie koniom ocierają niemi nozdrza, aby żadnej choroby nie powąchały. Krzyżyki z palmy, umieszczone na kalenicy strzechy, chronią chatę od piorunów, a zatknięte w rolę, odwracają chmury gradowe. Palma, ustawiona w oknie, odpędza złe duchy. Bazie wierzbowe z palmy, zażyte wewnątrz, chronią od febry i od bolu gardła. Zadają je też bydłu z ziemniakami lub rzucają do przeznaczonego na siew zboża. Pasm, któremi palma była związana, używają pasterze, wyganiając po raz pierwszy w pole bydło. Wplecione do bata, odganiają dyabła, który bydło wówczas zaczepia.



Dziatwa całuje stopy posągu Ś-go Piotra w katedrze rzymskiej.

Z Niedzielą Palmową łączy się wiele baśni, osnutych na tle ukrytych w ziemi skarbów, strzeżonych przez złe duchy. Skarby owe dnia tego „zły" przesusza na słońcu, a sam, zostawiwszy je odkryte, musi iść do kościoła słuchać Ewangelii. Kto skarb taki znajdzie w polu, podczas nieobecności czarta, brać może pełnemi garściami srebro i złoto; gdy jednak czytanie Ewangelii w kościele się skończy, „zły" wraca i na rok cały ukrywa znów zaklęte bogactwa. Najczęściej skarby te znajdują się w pobliżu dróg rozstajnych. Zdobycie i używanie ich nie przynosi jednak szczęścia, jak świadczą następujące opowieści:

Pewien gospodarz udał się w Niedzielę Palmową na miejsce, gdzie, według podania, miał się znajdować skarb. Przyszedłszy, ukrył się i zaczął odmawiać modlitwy. Niebawem otworzyła się skała, a z niej wyskoczył mały, czarny człowieczek, obejrzał się na wszystkie strony i pobiegł ku kościołowi. Wówczas gospodarz opuścił swą kryjówkę, wszedł do pieczary skalnej i nabrawszy pieniędzy, znowu się ukrył, bo właśnie dyabeł już wracał. Jakoż wróciwszy, wpadł do pieczary, po chwili zaś wyniósł z niej skórę wołową, rozłożył ją na ziemi i rozpatrzywszy się w niej pilnie, jakby coś czytał, mruknął głośno:

— Wiem, kto mi zabrał pieniądze!

Gospodarz pomyślał, że dyabeł tylko go straszy, nie oddał mu więc pieniędzy, zaniósł je do domu. W nocy przyśniło mu się, że dyabeł stanął przed nim i upominał się o zwrot skarbu, grożąc:

— Jeżeli mi pieniędzy nie oddasz, to nogę postradasz i umrzesz.

Rano wychodzi gospodarz przed chałupę, a tu dyabeł siedzi na drabinie, przystawionej do strzechy i upomina się o skarb. Rozgniewany gospodarz pochwycił za siekierę i rzucił się z nią na dyabła, lecz tak go coś zaślepiło, że sam sobie nogę uciął, a dyabeł wpadł do izby, porwał pieniądze ze skrzyni i czmychnął z nimi kominem.

Z innej baśni dowiadujemy się, że kiedyś w Niedzielę Palmową pewna kobieta została w chacie sama z rocznem dzieckiem, gdy inni domownicy udali się do kościoła. Dzień był pogodny, słoneczny. Matka, wziąwszy dziecko na rękę, dała mu jabłko czerwone, od jesieni przechowywane w komorze i wyszła w pole. Naraz spostrzegła otwartą w ziemi jamę, napełnioną po brzegi złotymi i srebrnymi pieniądzmi. Posadziwszy więc dziecko na zaklętych skarbach, zaczęła szybko zgarniać złoto do zapaski, a napełniwszy ją, zaniosła do domu, zostawiając dziecko w jamie, zamierzała bowiem znów wrócić. Tymczasem wróciwszy, nie znalazła już ani śladu jamy. Wszędzie zieleniła się murawa, a wraz ze skarbami, znikło jej ukochane dzieciątko. Daremnie długie miesiące z płaczem chodziła w to miejsce, które zrazu dało jej szczęście, zaspakajając żądze łatwego zdobycia bogactwa, ale stało się grobem dzieciątka. Dopiero po roku, gdy wszystek skarb zabrany rozdała pomiędzy ubogich, nic nie używszy dla siebie, znów w Niedzielę Kwietnią, podczas nabożeństwa w kościele, ujrzała otwartą jamę ze skarbami, na których siedziało żywe i zdrowe dzieciątko, z czerwonem jabłkiem w rączce. Tym razem nie ruszyła skarbów czartowskich, porwała dziecko i uniosła je do domu.



Ceremoniał omywania nóg w klasztorze Trinita Dei Pelegrini.

Ale nietylko u nas, lecz w całym świecie katolickim obchodzą Niedzielę Palmową uroczyście. Tłumy spieszą dokościoła z palmami, ale ludzie, szczególniej kobiety, wystrojeni jak na jakie gody. Widzimy to na obrazku, przedstawiającym Niedzielę Palmową w miasteczku włoskiem, położonem w górach Sabińskich.

* * *

Szczególniejszą cechę ma Wielki Tydzień w Rzymie, w którym odbywa się całowanie stóp posągu św. Piotra.

Obok jednego z filarów katedry rzymskiej, po prawej stronie kościoła, siadła postać samego Księcia Apostołów, ze spiżu ulana. Baldachim jedwabny, rozpięty nad nią. Stopy Ś-go Piotra spoczęły na takiem wzniesieniu od posadzki, że stoją prawie na równi z twarzą osób przechodzących. Nie dziw, że pokolenia po pokoleniach koło postaci tej przepływając, a rzewnie całując stopy posągu, zostawiły ślady czci swojej. I rzeczywiście. Wielki pa-

lec prawej stopy niemal w większej części znikł z upływem wieków od dotknięcia się ust wiernych. Żaden pielgrzym nie minie posągu bez ucałowania tej stopy, a zwłaszcza adoracya jest tłumna w Wielkim Tygodniu. Wówczas też wszyscy mieszkańcy Rzymu, od dzieci maleńkich począwszy, a na sędziwych starcach skończywszy, dążą do katedry, aby złożyć hołd Księciu Apostołów, którego artysta przedstawił w ubiorze starorzymskim, w lewej ręce piastującego klucze, jako berło mocy sobie danej, a prawą błogosławiącego pokolenia.

Obrazek nasz przedstawia dwóch chłopczyków, chcących ucałować stopy św. Apostoła. Ponieważ są za mali, aby dostać do stóp, jeden drugiego podnosi w górę i tym sposobem osiągają upragniony cel.

Zaraz po błogosławieństwie w Wielki Czwartek, następuje t. zw. *Lavanda*, t. j. umywanie przez Papieża nóg ubogim pielgrzymom. Obrzęd prawdziwie wspaniały i wzruszający. Odbywa się on w bocznej kaplicy przy kościele Ś-go Piotra, gdzie się znajdują zebrani natenczas, prócz kardynałów i dygnitarzy kościelnych, wszyscy posłowie zagraniczni i cały wielki świat rzymski: urzędnicy w paradnych mundurach, damy w czerni i tylko w welonach na głowie. Ojciec Ś-ty zasiada na tronie pod baldachimem, mając po obu stronach szereg kardynałów. Pielgrzymi, w liczbie 13, ubrani w długie białe suknie, w jakich zwykle apostołów malują, w wysokich nakształt infuł czapkach, siedzą półkolem na podwyższonych siedzeniach. Liczba 13 jest na pamiątkę cudownego niegdyś zjawienia się anioła pomiędzy 12 pielgrzymami, podczas gdy jeden z pierwszych Papieży względem nich tego obrządku dopełniał. Ojciec Ś-ty po odmówieniu obrzędowej modlitwy, przepasuje się białem płótnem i mając poza sobą kilku kardynałów, niosących miednicę, nalewkę i ręczniki, zbliża się kolejno do każdego z pielgrzymów, a powitawszy go niskim ukłonem, leje wodę na obnażone stopy, ociera je ręcznikiem i całuje.



Kwesta dobroczynna.

W Wielki Piątek i w Wielką Sobotę, zarówno w Rzymie, jak i w innych miastach włoskich bogate panie zbierają ofiary na cele dobroczynne. Scenę takiego zbierania ofiar przedstawia również nasz obrazek.

Zaczarowany klasztor.

(Powiastka lud.).

Niektórzy starzy ludzie opowiadają wiele ciekawych powiastek o starodawnym klasztorze pod Dobromilem na t. z. „Łysej górze". Z pewnością są one nieprawdziwe, ale wam przytoczę jedną z najciekawszych:

I tak — żyli sobie dawniej w jednej wsi pod Dobromilem dosyć biedni ludzie, chłop i baba. Cały ich majątek stanowił niewielki domek drewniany, przy nim mały ogród, trochę dobytku, i niedaleko morg pola. Przy dobrej gospodarce, możeby tam jeszcze pchał biedę, ale że on był chorowity z przepracowania, więc nie mógł wszystkiemu podołać, a ona znów zaglądała do kieliszka, przeto gospodarka szła nijako, a wskutek tego zaczęli popadać w dług. O opał się wiele nie troszczyli, bo zbierali patyki w lesie, który się niedaleko znajdował.

Pewnego razu, gdy chłop powracał z lasu z patykami, rozważał sobie po drodze swoje położenie i bardzo się złościł i przeklinał, że tak haruje ponad siły, a tu bieda coraz gorsza.

Dobrze — myślał sobie — że jeszcze dzieci nie mam, ale jakbym ich miał, toby dopiero była zgryzota. Ot tak! — żebym znalazł teraz choć „ze dwie stówki" w gotówce, toby było „fain"! tobym się omaścił! hej! hej!

Aż tu, gdy tak sobie rozważa, zeskakuje z drzewa wiewiórka, z niej się robi dyabeł i stanąwszy przed chłopem, tak do niego mówi:

— Słuchaj człowieku, narzekasz na biedę i na brak pieniędzy — przystań na mój warunek, a ja ci ich dam wiele zechcesz.

Chłop zrazu przeraził się i nie wiedział, co miał robić, ale potem wzięła go chętka na pieniądze, więc mowi:

— A cóż to za warunek?

— To nie jest nic trudnego — dyabeł na to — ja ci podam cyrograf, a ty mi podpiszesz na nim, jako że oddajesz mi na zawsze tę zgryzotę, którąś dzisiaj nabył. Zgodził się chłop na to z uciechą, bo nie tylko, że się zgryzoty pozbędzie, ale i pieniędzy będzie miał moc.

Gdy już chłop podpisał ugodę, tedy dyabeł rzecze:

— Musisz pójść prosto na Łysą górę do tego zwaliska, ale żebyś do domu nie wstępował, boby wszystko przepadło, tam jest nasza kwatera, i ja tam już będę na ciebie czekał.

Po tych słowach zniknął.

Chłop, nie tracąc czasu, wysypał patyki, wziął pod pachę worek i dalej na Łysą górę. Jak tylko tam przyszedł, zjawił się jego dobrodziej i poprowadził go do głębokich piwnic. Szli przez różne korytarze, przez różne drzwi i bramy, które się za nimi zamykały z wielkim trzaskiem, aż zaszli do wielkiej sali. W pośrodku stał stół, przy którym wokoło siedzieli dyabli i radzili nad czemś, a na stole leżał stos papieru. Nieco dalej były drzwi, które prowadziły do skarbca, z którego znów rozchodziły się korytarze w różne strony.

Gdy w podziemiach zobaczono chłopka, rozległ się krzyk:

— A jak sie masz bratku! po pieniądze! po pieniądze! ha! ha! ha!

O ugodzie już dyabli wiedzieli, więc zaraz go zaprowadzili do skarbca i dali mu z pół worka złota. Na odchodnem zakazali mu surowo mówić o tej ugodzie, tylko tyle pozwalając, że jakby się kto pytał, skąd ma pieniądze, to niech powie, że mu dali dyabli z „Łysej góry"; w przeciwnym zaś razie, znikną mu one napowrót.

Ucieszony chłop zaledwie je mógł donieść do domu. Lecz tu się przekonał, że nietylko nie pozbył się zgryzoty, lecz jeszcze nowa przybyła. A mianowicie, narodziło się im dziecko.

Teraz dopiero zrozumiał, że tą zgryzotą, którą podpisał dyabłu, a jak to sam nazwał, idąc z patykami do domu — jest dziecko. Rozpacz go ogarnęła na myśl, że duszę dziecka zapisał dyabłu. A ponieważ był nieoświeconym, więc nie wiedział, że dusza zależy od tego, jakim jest człowiek, jeśli jest grzeszny, to i bez zapisu pójdzie do piekła, a jeśli jest pobożny, to i zapis nic nie zaszkodzi, lecz dusza pójdzie do nieba! No ale koniec końcem, zgryźli się bardzo oboje i chociaż gospodarka się poprawiła i byli bardzo majętni, nie byli szczęśliwi. Z drugiej strony, sąsiedzi bardzo się dziwili, skąd on się tak zbogacił, a najbardziej była ciekawa pewna wdowa, Janowa, która miała także małe dziecko. Raz przyszła więc do naszego chłopka i zaczęła się wypytywać o jego powodzeniu i skąd ma tyle pieniędzy.

— Skąd? — odrzekł—Dyabli z Łysej góry mi dali, jak chcecie, idźcie tam a oni wam dadzą!

Usłyszawszy to Janowa, nie mówiła już wiele, lecz wyniósłszy się z chaty, wybrała się na drugi dzień z dzieckiem na wskazane miejsce. A była to na szczęście Wielka Sobota, dzień — w którym Pan Jezus wstąpił do piekieł, a przed Nim dyabli chowają się ze strachu. Więc przyszedłszy tam, poszła zaraz do piwnic i korytarzem zaszła aż do tej wielkiej sali. Ponieważ wszystkie drzwi były pootwierane, więc zobaczyła już zdaleka w skarbcu nieprzeliczone mnóstwo pieniędzy. Położywszy więc szybko dziecko na stole, skoczyła do skarbca i zaczęła garnąć pieniądze do fartucha. Naraz drzwi od sali trzasnęły z wielkim zamachem i dziecko zostało zamknięte. Ona wtedy zaczęła płakać i krzyczeć w niebogłosy, pieniądze porozsypywała, lecz wszystko nadaremnie. Rad nierad musiała wyjść kurytarzami na powierzchnię i strapiona bardzo idzie do domu.

W drodze napotyka jakiegoś zakonnika, który się jej pyta, dlaczego tak płacze, więc ona mu opowiedziała o wszystkiem. Zakonnik, gdy się dowiedział o tem, tak do niej mówi:

— Niepłacz kobieto, jest jeszcze nadzieja. Módl się tylko przez cały rok gorąco do Boga i czekaj aż do Zmartwychwstania Pańskiego. Z dyabłem się nie wdawaj, bo kto raz się wda z nimi, trudno się potem oderwać. Oni od Wielkiego Piątku aż do Rezurekcyi nie mają żadnej mocy i wówczas drzwi tam wszystkie będą pootwierane, z wyjątkiem od wielkiej sali, w której jest twoje dziecko. Musisz więc pójść na drugi rok przed Rezurekcyą do tych piwnic i uklęknąwszy przed drzwiami wielkiej sali, modlić się gorąco, a gdy będą dzwonić podczas procesyi, te drzwi się otworzą, więc wówczas złap dziecko i prędko uciekaj, bo za kilka minut zamkną się nazad.

Po tych słowach zakonnik szybko się oddalił.

Biedna kobieta czyniła wszystko, jak jej ten zakonnik powiedział, modliła się gorąco, a gdy przyszedł czas oznaczony, klękła przed owemi drzwiami i modląc się, czekała. Gdy zaczęli dzwonić w kościele, drzwi się otwarły, a matka zobaczyła siedzące dziecko swoje na stole. Skoczyła, złapała dziecko i zaledwie minęła próg z powrotem, drzwi się znów zamknęły z silnym trzaskiem i dał się słyszeć przeraźliwy gwizd, że aż krew cierpła w żyłach. Następnie wyszedłszy z piwnic i podziękowawszy Bogu za ocalone dziecko, pytała się go, czem ono żyło przez cały rok. A dziecię tak odpowiedziało:

— Do mnie przychodzili co dzień jacyś panowie, w czarnych ubraniach i dawali mi mleko z chlebem, kawy, bułki, i mówili mi zawsze, że mama zaraz przyjdzie.

Takim więc sposobem kobieta owa uratowała dziecko.

Kazimierz Drzewicki

Obóz cyganów.



Hej pod lasem, na wyraju, jakiś gwar się wszczął nielada : wóz zajechał, osób kilka, i już obóz się rozkłada. Wyciągają brudne szmaty, garnki, miski i narzędzie ; ten i ów się patrzy, dziwi : co to będzie?... co to będzie?

Rozprószyła się gromada po wieśniaczych chat szeregu ; tamta wróży, ten kupuje, a ów kradnie, co przy brzegu....

— Co za ludzie, z jakich krajów na skraj lasu tu przygnani? — ten i ów się zapytuje.

— Toć cygani! tak, cygani!

Tam pod lasem na ustroniu jakiś gwar się z rosą ściele : gra na skrzypkach cygan stary, cyganicha warzy ziele, a z oddali cyganiątko od chat wioski młode bieży. Twarz się śmieje... W rękach kury : nocna zdobycz dla macierzy!

Cygan żyje jak to ptaszę, co je, co mu z nieba spadnie ; cygan znowu tem się żywi, co wyprosi, lub ukradnie! Cygan nie ma, jak to ptaszę, ani roli, ani chaty ; chociaż głodu czasem zazna, ale wolny, więc bogaty!....

Nie mieniałby cygan doli za największe skarby świata, bo mu milej niż w pałacach, na wolności płyną lata!

Nie mieniałby cygan doli za zaszczyty i korony, bo mu milszy wietrzyk polny i przez ptaki śpiew nucony! Nie mieniałby cygan doli, choć głód cierpieć mu wypadnie, bo jak pracą nie przysporzy, to wyłudzi, lub ukradnie!....

Antoni St. Bassara.

TANIEC BAJADERY.

W życiu religijnem i prywatnem Hindusów poważną rolę mają bajadery, tancerki i śpiewaczki publiczne. Dzielą się one na dwie główne klasy: *devadasi* t. j. niewolnice bogów, poświęcające się



służbie religijnej w świątyniach; drugą klasę stanowią bajadery wędrowne. Powaga i wziętość *devadasi* zależy od ich pochodzenia, a także od wielkości i bogactwa świątyni, w której pełnią służbę religijną; pochodzą jednak zawsze z najbogatszych rodzin krajowych i muszą być wolne od wszelkich ułomności ciała. Podczas uroczystości religijnych, bajadery opiewają dzieła bogów, tańczą przed ich posągami, przystrajają posągi owe kwiatami i wogóle spełniają wszelkie posługi obrzędowe. Wolne są tylko od uczestniczenia przy ofiarach całopalnych. *Devadasi* niższego stopnia wybierane są z najlepszych rodzin rzemieślniczych, żyją poza murami świątyń i uczestniczą jedynie w publicznych uroczystościach religijnych.

Bajadery drugiej kategoryi tem się różnią od *devadasi*, że żyją zupełnie swobodnie, wędrują po kraju i uczestniczą, w charakterze tancerek, w różnych uroczystościach domowych; wogóle służą do urozmaicenia zabaw ludzi prywatnych. Są one albo niezależne i wówczas, łącznie z muzykantami, tworzą gromadki koczujące, złożone zwykle z 10—12 osób; bądź też pozostają pod nadzorem starej tancerki, która lwią część zysków zabiera sobie, resztę zaś dochodów przeznacza na utrzymanie bajaderek. Niektóre z nich są prawdziwemi niewolnicami tych staruszek.

Ubiór bajader jest oryginalny i malowniczy, a taniec ich stanowi właściwie pantominę, połączoną ze śpiewem i wygłaszaniem różnych słów.

Konne procesye wielkanocne.

Łużyczanie, szczep słowiański, pospolicie przez Niemców Wendami zwani, siebie samych nazywają Serbami, ziemię zaś ojczystą zowią Łużycą. Tysiąc już lat zostają pod panowaniem germańskiem, jednak nie zatracili narodowości, przechowują z miłością wielką język, tradycye, a poniekąd i strój narodowy. Na Kongresie Wiedeńskim 1815 r., północno-zachodnia część Górnych Łużyc z Budyszynem weszła w skład Królestwa Saskiego, a północno - wschodnia i całe Dolne Łużyce dostały się Prusom. Według uczonego Łużyczanina, prof. Muki, ludność Łużyczan, ogółem biorąc, dochodzi 177.000. Pod względem wyznania wśród tej ludności przeważają ewangelicy augsburscy. Oba jednak wyznania żyją w zgodzie, zarówno proboszcz, jak i pastor, Serb z przekonania, duchem swoim ożywia parafię. Uczucia jednak patryotyczne silniej się przejawiają wśród ludności katolickiej, która niechętnie zrzuca strój praojców i gorliwiej uczestniczy w pracy nad odrodzeniem narodowem. Praca ta rozpoczęła się w r. 1846, z chwilą założenia Towarzystwa Maticy Serbskiej, do którego należy każdy prawie Serb.



Wielkanocna procesya konna wyrusza ze wsi.

Umiłowanie tradycyi spostrzedz można wśród Łużyczan na każdym kroku, zwłaszcza podczas obchodów świątecznych i uroczystości rodzinnych. Tak naprzykład Łużyczanie katolicy od wieków przechowują zwyczaj konnych procesyj wielkanocnych, które

odbywają się ściśle według zostawionego przez ojców ceremoniału. Procesya taka odbywa się w każdej parafii. Ludność przygotowuje się do niej już w Wielki Piątek, zaplatając grzywy koni słomą, gromadząc wstęgi różnobarwne i inne potrzebne przybory.



Wielkanocna procesya konna na cmentarzu.

W pierwsze święto, około godziny 1-ej, dzwony kościelne dają znak rozpoczęcia procesyi. Wówczas gromadzi się przed kościołem grupa jeźdźców parami. Konie są świetnie przystrojone. Ich ufryzowane grzywy i ogony, ich łby i uzdy są ozdobione różnobarwnemi wstęgami i kwiatami, na niebieskich lub czerwonych czaprakach siodeł widnieje wyhaftowany Baranek z chorągiewką. Jeźdźcy przywdziali wysokie cylindry, surduty długie i palone buty. Pierwsze dwie pary trzymają chorągwie kościelne, jeździec następnej pary trzyma wizerunek Zbawiciela zmartwychwstałego z chorągiewką, a wszyscy pozostali mają krzyże. Procesya, przy odgłosie dzwonów kościelnych, udaje się do sąsiedniego kościoła, śpiewając hymn o Zmartwychwstaniu Pańskiem. Znalazłszy się na miejscu, jeźdzcy okrążają po trzykroć kościół, witani odgłosem dzwonów, potem tyleż razy okrążają główny plac wioski. Następuje wypoczynek, podczas którego sąsiedzi traktują gości przysmakami świątecznemi. Trwa to niedługo. Goście znów dosiadają koni i udają się na cmentarz, a okrążywszy go trzykrotnie i odmówiwszy głośno ,,Pozdrowienie Anielskie'', wracają do swojej wsi. Są to zatem pobożne odwiedziny sąsiedzkie budujące, wzmacniające uczucia religijne i stosunki przyjazne wśród ludności.

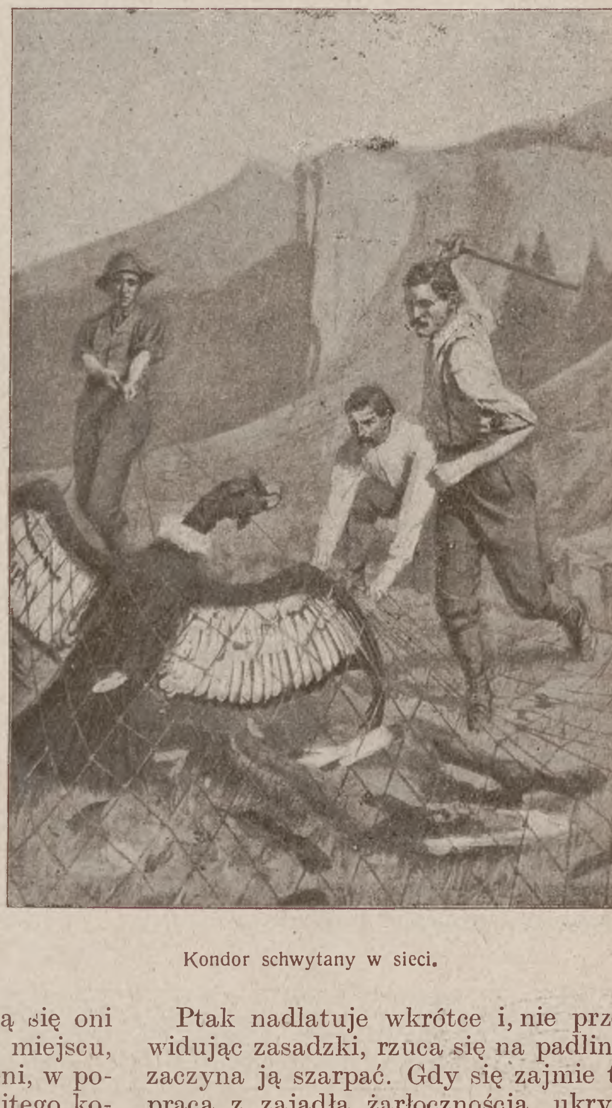
Parafij katolickich Łużyczanie sascy mają siedm, a pruscy jedną. Księża katolicy są przeważnie synami ludu, a niejeden wysoki dostojnik Kościoła spędza wywczasy w chacie rodzinnej. Pastorami są zawsze synowie pastorów lub nauczycieli wiejskich. Zaznaczyć należy, że chociaż ludność obu wyznań żyje w zupełnej zgodzie, to jednak małżeństwa mieszane pod względem religijnym uchodzą za wielkie poniżenie.

CHWYTANIE KONDORÓW.

Pomiędzy sępami Ameryki, naczelne miejsce zajmuje olbrzymi kondor, jako główny przedstawiciel tej grupy. Ptak ten od dzióba do ogona mierzy metr, a gdy skrzydła rozpostrze, dochodzą one do trzech metrów.

Indyanie chwytają go w szczególny sposób. Rozścielają na ziemi świeżo zdjętą skórę krowią, przy której wiszą jeszcze kawałki mięsa, pod skórą zaś ukrywa się Indyanin, zaopatrzony w mocne sznury. Wkrótce zlatują się kondory i rzucają się na mniemaną zdobycz, Indyanin zaś chwyta je za nogi, obwija je w skórę i obwiązuje sznurami. Inni spieszą mu na pomoc, wkrótce też stają się panami skrępowanego ptaka i niosą go w tryumfie do wioski, gdzie im służy do okrutnej zabawy w walce z bykiem. Głodzą go przez dni kilka, a potem przywiązują do grzbietu byka, któremu poprzednio poprzecinano skórę na bokach. Wściekłość, z jaką zgłodniały ptak szarpie żywe mięso zwierzęcia, stanowi właśnie najprzyjemniejsze dla barbarzyńców widowisko.

Również w oryginalny sposób chwytają żywcem kondora mieszkańcy Peruwii i Chili. O wiośnie udają się oni w góry i tam, w ustronnem miejscu, budują rodzaj domku z kamieni, w pobliżu którego umieszczają zabitego konia lub lamę, na sieci z mocnych sznurów; do sieci przywiązują grube linki i te przeprowadzają do domku, gdzie ukryci, oczekują na zjawienie się kondora.



Kondor schwytany w sieci.

Ptak nadlatuje wkrótce i, nie przewidując zasadzki, rzuca się na padlinę, zaczyna ją szarpać. Gdy się zajmie tą pracą z zajadłą żarłocznością, ukryci

w domu ludzie pociągają za linki. Sieć szybko owija ptaka, a wtedy łowcy zabijają go pałką. Niebawem zjawiają się inne kondory, które ulegają podobnemu losowi. W ten sposób łowcy w ciągu jednego dnia zdobywają 5 lub więcej nawet ptaków, których pióra używają do ozdabiania nakryć głowy.

Kondory rozmnażają się bardzo skąpo; w gnieździe znajduje się zawsze jedno tylko jaje.

FURTYANKA.

—»Nie! nie! nie!—nie chcę już tego klasztora;
Ciągłe czuwanie zbyt mnie utrudziło,...
Od świtu przy tej furcie do wieczora!
Już by się i psu tutaj uprzykrzyło!

Dość mi już tego klasztornego chleba
I ciągłych postów, modlitw i śpiewania,
Nudnych rozmyślań i wzdychań do nieba,...
To — do znudzenia, do zwaryowania!...

Dziś jeszcze ujdę z tej nędznej klauzury,..
Niech sobie siostry bezemnie śpiewają,
Dość tego!... rzucam te klasztorne mury,
Świat i rozkosze życia mnie wołają...«

To mówiąc, kornet szybko zrzuca z głowy
I szaty mniszki co tchu z siebie zwleka,
A biały posąg Matki Jezusowej
W te zakonnicy szatki przyobleka:

— »Panno przeczysta! — rzecze: »toć i Tobie
Stać na posągu pewnie się sprzykrzyło?...
Więc pozwól, że Cię furtyanką zrobię,
Bo mnie tu żadną nikt nie wstrzyma siłą.

Idę stąd szukać uciech tego świata,
Ty więc przy furcie zastąp mnie łaskawie,
Bądź furtyanką jakie dwa, trzy lata,
Zanim z powrotem znów się tu pojawię«.

I posągowi Najświętszej Dziewicy
Cały pęk kluczów w białe dłonie wraża,
Mówiąc o każdym: »Ten od rozmownicy,
A ten od furty, ten od refektarza. —«

To powiedziawszy w grzesznem obłąkaniu,
Na ślub niepomna i na wstyd niewieści,
Porzuca klasztor już w świeckim przebraniu,
I w wirze świata przepada bez wieści.

I Bóg wie jeden, gdzie się wałęsała,..
Gdzie przez lat siedem losy nią rzucały,
Uciech szukając i rozkoszy ciała,
Co siły młode przedwcześnie stargały.

Bóg to wie jeden! — I niespostrzeżenie
Zbiegło lat siedem, gdyby jedna chwila,.. —
Minęło grzeszne zmysłów upojenie,...
Kto słodycz pije — i gorycz wychyla.

Przyszło nareszcie i upamiętanie:
Zdąża pod klasztor zbiegła zakonnica,
Staje u furty, a na jej spotkanie
Spieszy w habicie... Najświętsza Dziewica!

— »Jesteś nareszcie!... dobrze, żeś wróciła;
Wracaj za kratę, w klasztorne krużganki;
Całych lat siedem — jakoś mnie prosiła —
Pełniłam za cię służbę furtyanki.

Bierz klucze, wdziewaj klasztorne odzienie,
Nikt nie wie o twej tu nieobecności;
O tem — gdzieś była — zachowaj milczenie
I pełnij nadal twoje powinności.« —

I mniszka bierze klucze z rąk Madonny:
— »Pani! o Pani!« Z ócz łez potok tryska...
Przywdziewa kornet i habit zakonny
I do dawnego wraca stanowiska. —

Jacek Obrochta.

Pierwszy raz na paszę...



Hejże, bydełko, hejże na pole, już na wyraju trawka się kole i już zawodzą śpiewacy leśni swoje wiośniane, cudowne pieśni!

Hejże, bydełko, hejże na pole, na bujne łany, rozłogie role, bo już majowe błysnęły zorze, piękna pogoda wszędzie na dworze!

Jaśkowi lica radością płoną... Matusia kropi wodą święconą swe żywicielki, a te się cieszą i na pastwisko ochoczo śpieszą.

Jaś dostał wielką kromicę chleba i do omasty, co było trzeba, a na dodatek jajek na drogę, aby krzepiły w drodze niebogę.

Szczęśliwy Jasiek! Co za uciecha! Aż się mu życie całe uśmiecha: życie mu będzie biegło wśród fraszek, wśród płochych figlów, pośród igraszek!

Bo kiedy krówki w pole wyżenie, będzie układał w stosy kamienie, a z nich budował zamki zaklęte, stopą człowieka jeszcze nietknięte.

Królewna mu się w zamkach tych marzy, która go kiedyś rączką obdarzy i zaprowadzić do stołu może, gdzie są smaczności takie, mój Boże!

Paś się bydełko! Marz, chłopcze młody, zażywaj szczęścia sielskiej swobody, póki ci życie marzeń nie zmaże i łzą serdeczną płakać nie każe!...

Antoni St. Bassara

„Straszna próba“.

W portowem mieście włoskiem Genui, żył bogaty kupiec Józef Bertolini. Prowadził on bardzo rozległy handel towarami kolonialnymi, miał swój okręt silny i obszerny ładunkowy, którym jego kapitan Venunzio, płynąc przez morze Śródziemne, kanał Suez, morze Czerwone i ocean Indyjski aż do Hindostanu, sprowadzał stamtąd przeróżne płody gorącej strefy, na których w ojczystem mieście pan jego znaczne zarabiał sumy.

Kupiec żył samotny, bezżenny, bo chociaż dobiegał czwartego krzyżyka, oddany podróżom i spekulacyom kupieckim, nie oglądnął się dotychczas za dozgonną towarzyszką życia. Powodzenie jego było stałem, majątek wzrastał i kupiec uczuł wreszcie jakąś dziwną próżnię dokoła siebie a niewytłumaczona tęsknota zaczęła owładać jego sercem, iż pod ich wpływem postanowił się ożenić.

Sąsiad jego, ubogi wdowiec, Antonio Giraldini miał córkę, ośmnastoletnią Carmen, cud dziewicę o anielskiej postaci i anielskiem sercu. Temu to sąsiadowi o córkę oświadczył się kupiec i został z najżywszą radością przez oboje przyjęty.

Szczęście młodej pary było bez granic; on otaczał ją zbytkiem na każdym kroku, ona zaś pokochała go gorąco dziewiczem sercem namiętnej Włoszki, odzywając się zawsze doń:

— Beppino, o carissimo mio!

Tak w niezmąconem szczęściu upłynął rok ich małżeńskiego pożycia aż do czasu, gdy kupiec wraz z swoim kapitanem, w handlowej sprawie udał się do Indyi Wschodnich. Przy pożegnaniu młoda kobieta wylewała strumienie łez, błagając męża o powrót najrychlejszy.

Kupiec wyjechał wreszcie, a załatwiwszy szczęśliwie sprawy kupieckie w Hindostanie, po paru tygodniach wracał już do ojczyzny. Gdy wpłynął na morze Śródziemne, powziął wielce nierozważną i niebezpieczną myśl. Oto, chcąc się naocznie przekonać, czy żona w jego nieobecności tęskni za nim i zawsze jednakową miłością ku niemu pała, wymógłszy tajemnicę na załodze okrętowej, wysiadł w Neapolu, a samemu kapitanowi polecił powiedzieć żonie, iż wróci później innym okrętem.

Na tę wiadomość młoda kobieta zalała się łzami, lecz musiała się pogodzić smutną koniecznością, tęskniąc coraz bardziej za nieobecnym.

Tymczasem kupiec, prowadząc dalej niebezpieczny żart, wrócił w zupełnem przebraniu do Genui i założył sklep pod przybranem nazwiskiem w pobliżu sklepu Bertoliniego, aby zbliska przyglądać się życiu swej żony.

Mijały dni, tygodnie i miesiące; młoda kobieta dręczyła się, rozpaczała zalana łzami żalu i bólu za nieobecnym mężem, który opanowany dziwną przekorą, prowadził dalej swój niebezpieczny żart, jak ten, kto ma rozkosz w tem, aby rozdrapywać własne rany a na dobitek rozpowszechnił po Genui niedorzeczne pogłoski, iż Bertolini utonął podczas rozbicia okrętu na oceanie Indyjskim.

W takich męczarniach przebyła nieszczęśliwa kobieta półtora roku, więdnąc jak kwiat, którego korzenie robak podgryza a przytem handel, prowadzony wątłą kobiecą ręką, począł upa-

dać. Wtedy na usilne naleganie życzliwych sąsiadek młoda kobieta, straciwszy już wszelką nadzieję powrotu męża, postanowiła oddać swą rękę biednemu i uczciwemu młodzieńcowi.

Gdy już młoda para klęczała u stóp ołtarza i miała wyrzec sakramentalne słowa przysięgi, nagle naprzeciw niej, w stroju, w jakim przed półtora rokiem opuszczał ukochaną żonę, ukląkł kupiec Bertolini. Młoda kobieta, ujrzawszy go, zbladła śmiertelnie a krzyknąwszy okropnym głosem:

—Beppino, o carissimo mio!—z wyciągniętymi dłońmi, jak biała lilia, złamana podmuchem wichru, upadła na posadzkę.

Powstał w kościele straszny popłoch, cucono omdlałą na różne sposoby, zbiegli się lekarze, lecz nadaremnie, gdyż nieszczęśliwej kobiecie pod wpływem nagłego wzruszenia pękło serce. Kupiec oszalały z bólu, chciał już popełnić samobójstwo, lecz jako człowiek religijny, zaniechał zbrodniczej myśli i postanowił sam siebie srodze ukarać za tak nierozważny czyn. Oto zapisał cały swój majątek na cele dobroczynne, a sam, wziąwszy lutnię jako jedyną spuściznę po drogiej zmarłej, przeprawił się na wyspę Korsykę i tam, w nadbrzeżnej skale wydrążywszy sobie mieszkanie, postanowił jako pustelnik przepędzić życie aż do śmierci.

I tak płynęły mu dni, przeplatane modlitwą i łzami za utraconem szczęściem, którego się tak nieoględnie i lekkomyślnie sam pozbawił.

Nieraz, usiadłszy na skale nad morzem, wydobywał z lutni tęskne dźwięki a przy blasku księżyca, zapatrzywszy się ku północy, w stronę ukochanej Genui, słał bolesne westchnienie. I pod wpływem żalu, tęsknoty, bólu i miłości, napisał następującą elegię:

Towarzyszko życia wiosny, powiernico młodej duszy, drżący strun twych dźwięk żałosny me westchnienia niech zagłuszy! Niechaj głos twój z moim zlany, jak sen koi me boleści; niech obity o skał ściany biedne tylko serce pieści! W zbiegłych latach mych kolei nie doznałem szczęścia wcale, prócz tęsknoty, bez nadziei, ciągły zawód, ciągłe żale! Coraz chwila chwilę zgania, jak kwiaty lata więdnieją, aż ja ziemię tę porzucę i tułaczkę skończę moją! Ach, wieczności się nie lękam; śmierć nie robi wstrętu we mnie, bo tam znajdę te dni piękne, których szukam tu daremnie!

Pewnego poranku ubodzy rybacy znaleźli kupca leżącego na skale i ujętego snem wiecznym a w zmartwiałej dłoni, trzymał jeszcze lutnię.

Teofil Tryczyński.

„Świt nadchodzi."

Patrz mój bracie w ten tęczowy
  Lepszej doli świt,
Gdzie się barwi złotem prawdy
  Wieszczów naszych mit..
Patrz mój bracie w tę różową
  Brzasku swobód dal,
Gdzie się Orzeł wznosi biały
  Nad łąkami hal..
Słuchaj bracie, w dzielnej dłoni
  Drży zapału młot,
Duch oświaty ponad chaty
  Nasze pędzi w lot..
W cichej przedtem, ciemnej wiosce
  Już kaganiec lśni,
A oświata z sobą wiedzie
  Wiosnę nowych dni.,
Pomóż synu biednej matce
  Z grobu wrogów wstać,
A pomożesz, gdy pokochasz
  Twą roboczą brać!

Władysław Łukasik.

DLA OJCZYZNY.

(Fragment z 1863—4)

Nadeszła burza ciężarna gromami i jękiem i wszystko, co było najmilsze, uszło w dal— co piękne, zdruzgotane legło u stóp Moskala-hyeny, co młode — ramiona silne podało niewolniczym łańcuchom. Przez ziemię polską przeszedł anioł-niszczyciel, zostawił łzy, jęki, rozpacz i zwątpienie... Omal, że nie zabrakło serc, któreby cierpieć mogły, bo wszystkie, które ukochanie Ojczyzny kryły w sobie, zginęły w walce — na szubienicach — lub lodach Sybiru... I nie było w tej ziemi „Mogił i krzyżów“ nic — jeno krew... krew i łzy...

*

Odpoczywali w lesie, a raczej kryli się, jak ścigana zwierzyna przed sforą psów zajadłych. Była ich garstka zaledwie, trzystu powstańców, uratowanych z rozbitego oddziału Jankowskiego około wsi Wiązowy. Kilka mil dzieliło ich od Warszawy, od Dębia Wielkiego parę kilometrów zaledwie, a jednak powstańcy już od dni kilku cierpieli głód dotkliwy. Prawie zapomnieli, że były kiedyś godziny dobre, gdy słońce jaśniało nad ich umęczonemi głowami, a życie zdawało się nieść nowe jutrznie i nowe blaski...

Tyle dni — tyle tygodni nic — tylko straszna, wyczerpująca walka i rąk i serc... Rąk — z przeważającemi siłami Moskali — serc — ze sobą, własną wiarą i nadzieją, że ta obfita, krwawa siejba wyda upragnione owoce. Rozpacz wlokła się za nimi wszędzie mętną, ponurą smugą, krwawe szpony wbijała w piersi młode, żądne walki — zwycięstwa!...

I opadały znużone ręce, oczy nabierały suchych, dzikich błysków, jeno serca bić nie przestawały, jeno one jedne drżały bólem — siłą i walką...

A Bóg?...

Znać czuwał nad nimi, bo im nie skąpił daru największego : chęci ofiary.

*

Dowódca rozbitej garstki, Stefan Wierzbicki, sparty o pień drzewa, dumał jakoś boleśnie.

— Ludzie zmęczeni, głodni, zziębnięci... Po chleb ni iść komu, ni iść z czem. Pieniędzy brak, a Moskale na tropie — zwęszą powstańca, zapełnią kozakami las, że marzyć trudno o wygranej... O Boże — co dalej... co dalej?...

— Dusze tych ludzi hartowne, skarżyć się nie umiałyby ni Bogu, ni sobie nawet... I bez skargi żyć można — ale bez wiary?... A jakież fakta dziejowe wrócą nam i nagrodzą tę krew przelaną, te ofiary tysiąca męczenników pędzonych do więzień i na Sybir?...

Dowódca wstrząsnął się nagle :

— Nie!... nie!... mnie nie wolno sądzić wypadków, a tylko własną duszę, by nie zachwiała się...

I powlókł się sennym, znużonym krokiem do ogniska powstańców.

Część ich spała twardo na mokrej ziemi, część czyściła broń, naprawiała

ubranie, a byli i tacy, co głowy sparli o drzewa i nieruchomie patrzyli w przestrzeń...

— Tych rozpacz kąsa, pomyślał z bólem Wierzbicki i wrócił na dawne miejsce.

— Co im powiem? czem posilę te dusze głodne zwycięstw i wolności?... nadzieją? — alboż nie blednie coraz więcej?...

I jak roje natrętnych much odpędzał blade widziadła nędzy i klęski. Siłą woli inny przedmiot dumań wezwał do siebie.

Ale uśmiechu nie wskrzesiło to w jego twarzy... Warszawa... mały, jasny pokoik i wdzięczna sylwetka młodego dziewczęcia. Oczy czarne, głębokie, a takie smutne i łzawe dziwnie...

— Dlaczego smutne?... On nie wie, ale czuje, że w nich kryje się bolesna tajemnica jej życia...

— Czy kocha?

Słuchała zawsze z drżeniem wzruszenia jego słów cichych, serdecznych... Nie odtrącała, ale nie dawała w zamian ni szczerszego uścisku ręki.... Tylko raz ostatni, gdy żegnał ją, idąc do walki, rzuciła mu głucho:

— Pamiętaj — słabą jestem — i woli swej mieć mi nie wolno... Cokolwiek się stanie, przebacz mi...

Zrozumieć nie mógł tych słów i lęk go brał straszny, śmiertelny.

— Może gdy wróci nakoniec tam — do Warszawy — ona już...

— Nie! nie!... to jedno, co zostało mu w życiu... Raczej katorga lub Sybir, niż życie samotne, życie bez niej, bez Zochny... z myślą, że ona do innego należy...

Skurcz bólu przebiegł mu twarz — czoło przesłonił szary cień...

I nie miał ten człowiek nic, coby jasnym promieniem padło mu na pierś zbolałą.

Powstał ruch przy ognisku. Szmer cichy, przechodzący w stłumioną burzę.

Szedł ku niemu jeden z powstańców.

— Poruczniku, jesteśmy zdradzeni. Uchodzić stąd trzeba nam szybko.

Porwał się Wierzbicki — blady, z ogniem w oczach.

— Kto zdradził? skąd ta wiadomość?...

— W Nowomińsku kozacy. Zdradziła kobieta jakaś, która, jak donosi chłop, stamtąd teraz przybyły, pełni rolę szpiega... Już tam kilka oddziałów rozbili, o nas mają wieści...

— Gdzie ta kobieta?

— Jest tam przy ognisku... związaną przywlókł tu ów chłop... papiery są przy niej — listy pułkownika kozaków Czernozubowa...

— Dała się związać?

— Szła nocą ku naszym lasom, chłopi już ją tam znali... zresztą — ponoć nie broniła się bardzo...

— Stawić ją tu — przedemnie!

Porucznik został sam. Pałało mu czoło, oczy...

— Zdradzeni!... uchodzić?... gdzie?...

Coś łamało się w nim i bólem i wątpieniem i rozpaczą...

Rękami objął czoło, tłumiąc jęk, co darł się ze zbolałej piersi.

I znowu szmer...

Stanęła przed nim kobieta — stanęła ta, która zgubiła jego i jego braci-druhów...

Spojrzał — i trupia bladość wystąpiła na twarz...

— Ty!... Zocha!...

A ona złożyła ręce, jak do modlitwy.

— Życie weź, a nie potępiaj!... Przysięgłam konającej matce, że Czernozubowa słuchać będę, jak ojca... opiekunem jest moim... On spełnienia przysięgi nie zażądał — aż teraz! A zagroził... strasznie!... Przysięgę spełnić musiałam... Bałam się — nie śmierci, lecz hańby... Ty mi przebacz... Ty śmiercią ukarz — a źle mię nie sądź!...

A on z uporem pijanego człowieka patrzał w jej oczy smutne i łzawe... Skupiał się w sobie, siły zbierał, jak lew, gdy gotuje się do śmiertelnej

walki... Nie drgnął — nie podniósł jej nawet wówczas, gdy klękła przed nim i nogi całować zaczęła. Panował nad każdym nerwem, nad każdą kroplą krwi... W duszy przewalało mu się coś huraganem — coś jęczało skargą — coś gryzło pierś, paliło ogniem...

Odwrócił się do stojących powstańców:

— Jesteśmy żołnierzami — mówił głośno, na pozór spokojnym głosem — co nasze prawo wojskowe każe czynić z tymi, którzy stają się winni zdrady lub szpiegostwa?

— Rozstrzelać — rzuciło kilku.

Drżącą ręką wskazał kobietę.

Zrozumieli rozkaz...

Gdy w chwil kilka potem rozległa się głośna salwa — porucznik klęczał na mokrej, szarej ziemi i zbielałemi ustami jęczał:

— Przebacz i nie odtrącaj tej ofiary Boże!... bom dla Ojczyzny poświęcił, co najmilszego miałem na ziemi... Ty wiesz, że inaczej, mnie Polakowi, uczynić nie było wolno...

*

Szła noc i szarym mrokiem spowijała mu duszę na wieczny smutek i wieczny ból...

Marya Prajerówna.

SEN DZIECIĄTKA JEZUS.

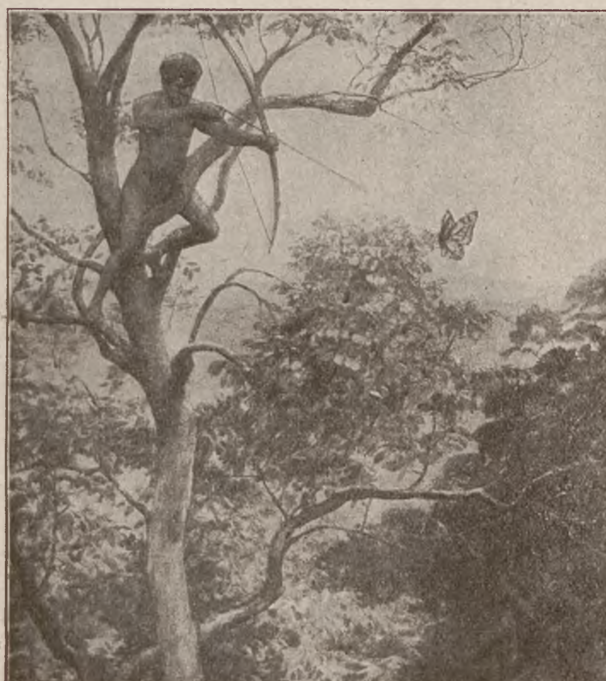
Raniutko, ledwie powstawszy z łoża,
Spieszy do Syna Mateńka Boża,
Spi Jej smutnego życia pociecha,
Tylko się słodko przez sen uśmiecha.
Schylona patrzy w buziaczek hoży...
Wtem Dziecię modre oczka otworzy
I: — „Mamo"! — szepnie słodko i miło:
„Żebyś wiedziała, co mi się śniło"?!
—„Powiedz mój Synu"! — A na to Dzie-
—„Tak mi się śniło: że w Nazarecie [cię:
Stali poganie, miasto zajęli
I ten nasz domek zbezcześcić chcieli.
A pustką nasze mieszkanie stało,
Wróg się do niego dobywa śmiało,
I szturm do okien przypuszcza srogi,...
Już drzwi podważa, wyrywa progi.
Lecz wtem na zastęp nieprzyjacielski
Uderzy z nieba hufiec anielski,...
Wróg pierzcha... Wtedy czterej Anieli
Domek za cztery węgły ujęli
I z posad ziemi, od fundamentu
Dźwignęli w górę tegoż momentu.
Tak, Mamo!.. ciężkie kamienne mury
Unieśli — gdyby piórko do góry.
I głos zahuczał: — Precz najezdnicy!
Nie dla was domek Boga Rodzicy!...
I nie przestąpią przez jego progi
W przybytek Maryi pohańców nogi!—
I w oczach zgrai zlękłej, zdumionej,
Popłynął domek w dalekie strony,
Nad zdobytego miasteczka gruzy,
Za góry, morza, aż.. do Raguzy.
Tu spoczął domek w powietrznym biegu
I osiadł chwilę na morskim brzegu,
Skąd go Anieli znów na odległy
Unieśli morza brzeg przeciwległy.
Tu, gdy go wnieśli Święci Anieli,
Mnóstwo doń Twoich Mamo czcicieli
Ze wsi, z miast, z świata całego płynie,
I śliczną nad nim stawia świątynię.
Od fundamentu do samej góry
Stroi go w rzeźby, w złoto, marmury,
A dla Królowej, Pani na Niebie,
Stawia w nim Ołtarz Mamo... dla Ciebie!
I tam, do tego domku naszego
Płyną pielgrzymki z świata całego,
By widzieć z bliska i wejść do wnętrza
Tam, gdzie mieszkała Matka Najświętsza;
By skropić łzami święte. podłogi,
Deptane stopką mej Mamy drogiej,
Oglądać ściany — gdzie się krzątała,
Warzyła strawę, pieluszki prała.
Gdzie jej zwiastował Poseł anielski,
Gdzie stał Józefa warsztat ciesielski
I kolebeczka Twojego Syna,
Gdzie żyła z Bogiem Święta Rodzina.
I cóż powiecie?... Toć co do joty
Spełnił się ten sen Jezunia złoty,
I domek Maryi — gdy widzieć chcecie—
Pójdźcie oglądać ze mną w Lorecie.
Tam spieszą zdawna Maryi czciciele,
Tam wznoszą modły w cudnym kościele,
Tam świętość nasza, tam skarb jedyny,
Tam stoi Domek Świętej Rodziny.

Jacek Obrochta.

ŁOWY NA MOTYLE.

Łapanie motyli należy do ulubionych rozrywek młodzieży, która nieraz całemi godzinami ugania się za niemi z siatką po łąkach i polach. Rozrywce tej nic nie można zarzucić, o ile nie jest ona bezmyślną, o ile nie łapie się każdego spotkanego motyla i nie wsadza go się żywcem na szpilkę lub nie zabija w inny sposób barbarzyński, aby następnie zapomnieć o nim, umieścić byłe jak w pudełku, lub nawet wprost wyrzucić. Łapaniem motyli mogą zajmować się jedynie ci, którym chodzi rzeczywiście o zapoznanie się z temi owadami oraz o urządzenie sobie systematycznego zbioru. Ale i ci powinni pamiętać o tem, żeby nie męczyć motyli przy łapaniu i zabijać je o ile możności bez bolu.

Poważne zbiory przyrodnicze, uniwersyteckie lub prywatne zaopatrują w okazy motyli wyszkoleni specyaliści, podróżnicy, przyrodnicy lub ich ajenci. Odbywają oni poszukiwania po całym świecie. Jednym z najsłynniejszych i najszczęśliwszych łowców motyli jest Anglik Mack. Powrócił on niedawno do Londynu ze swoich wycieczek, które trwały 23 lata, a czas ten spędził przeważnie w Nowej Gwinei i na wyspach Salomona, gdzie zebrał niezmiernie obfity i cenny plon. Między innemi zdobył okazy jednego z najrzadszych, największych i najpiękniejszych gatunków motyli podzwrotnikowych, mianowicie gatunku *Troides Chimaera.* Motyle te zdobywają krajowcy Nowej Gwinei za pomocą delikatnych strzał trzcinowych, rozszczepionych na



Łowy na motyle w Nowej Gwinei.

czworo przy końcu. Wystarcza, żeby koniec jednego rozszczepienia dotknął ciała motyla, a owad pada, jeżeli nie zabity, to przynajmniej raniony. Papuasi są mistrzami w tych łowach. Ponieważ *Troides Chimaera* siada zwykle na kwiatach pewnych drzew, Papuas wdrapuje się na drzewo i tam czatuje na zdobycz, którą poraża strzałą, a oczekujący pod drzewem towarzysz łowca chwyta spadającego motyla.

RACŁAWICE.

Słońce głowę wychyliło,
Racławice oświeciło,
Ozłociło te sukmany,
Lud siermiężny, lud kochany,
Który to w sukmanie, boso,
Na Moskala poszedł z kosą...
Poszedł bronić swej ojczyzny,
Ukochanej swej spuścizny,
Która się dziś we krwi wala
Od zbrodniczych rąk Moskala...

Ocknęły się chłopskie strzechy,
Więc poznali swoje grzechy
Złączyli się w moc potężną,
W armię wielką, choć siermiężną,
W Imię Ojczyzny i Boga
Wyruszyli w bój, na wroga!

Kościuszko ich na bój wiedzie,
Na rumaku przodem jedzie,
Armia Jego z kosą w dłoni
Idzie — przytem piosnką dzwoni...
Skra zapału błyszczy w oku,
Twarze ich pełne uroku
Serce głośnem tętnem bije:
— Matka Polska niechaj żyje!

Idą... i już widzą zdala
Niezliczony tłum Moskala.
A więc Bartosz krzyknie! — Żywo
Chłopcy na to wielkie żniwo!

Tak więc wiara rusza żwawo;
Siecze, tnie w lewo i w prawo.
Krzyki, lament, zamieszanie
Popłoch straszny i... konanie...
Moskal targa włos na głowie,
A tu nasi, co się zowie,
Tną na wszystkie cztery strony,
Jakby z nieba szły pioruny. .
Moskal z armat klątwą strzela —
Bartos krzyknie! — Chłopcy wiela
Was tu? Hajże na harmaty!
Niech poznają te psubraty,
Że to z nami nieprzelewki,
Żeśmy chłopy, a nie dziewki!.

Po tych słowach aż zagrzmiało!..
Bartos rzucił się na działo...
Zastęp cały zmienił front,
Bartos przykrył czapką lont...

I już zdobyte armaty!
Słychać brawa i wiwaty:
— Niechaj żyje nam Głowacki;
Boć zdolny on do wojacki!
Trupa z wrogów pełno leży,
Krew strugami po nich bieży,
A co reszta pozostała
W jary, lasy hen pierzchała! . .

Cichy wieczór swe zasłony
Spuścił... gwiazdek miliony
Na niebiosach zajaśniało...
Księżyc wychylił twarz białą
I oświecił walki pole...
A w głębokim, krwawym dole
Widać trupy... Cicho drzemią...
Zawisł śmierci znak nad ziemią.

Sto dwadzieścia lat już temu
Pogromowi moskiewskiemu
Sto dwadzieścia lat, a jeszsze
Dziś Moskala biorą dreszcze,
Kiedy wspomni lub zobaczy
Ten w sukmanie lud prostaczy...

Cześć wam zacni bohatery
My dziś kładziem laur szczery
Wam na groby z łzą wdzięczności
Za te cuda waleczności!

Robert Rydz.

U WRÓŻKI.



Kiedy rodzic zmarł ich stary, smutek okrył dziewcząt lica, taki wielki nie do wiary, jakby jaka upiorzyca. W przyszłość patrzą, przyszłość ważą, co przyniesie im w udziale; czy ich szczęściem nieba zdarzą, czy nie dadzą szczęścia wcale.

Staszek zabrał serce Broni i popłynął gdzieś za morza... Któż za morzem go dogoni?... Niech się dzieje wola Boża!...

Jaguś Walka pokochała — oboje się pokochali; w nim nadzieję szczęścia miała, lecz do wojska go zabrali. Czas tak szybko wszystkim bieży, jej się wloką młode lata: smutno wzdycha przy macierzy, hen, za Walkiem na kraj świata!

Hania jeszcze bardzo płocha, niby kocha, a nie kocha, tak coś w sercu jej się kręci, że odchodzi od pamięci. Takby rada, takby rada, a tu jakoś nie wypada, takby chciała, tak chce jej się kochać, kochać, a boi się!...

Więc trzy siostry, trzy rodzone, wybrały się w jednę stronę do wróżychy, co pod lasem przyszłość ludziom wróży czasem.

Więc wróżycha czyta z twarzy, kreśli znaki, zioła warzy i tak prawi:

— Już dla Broni nigdzie szczęścia!... Nie dogoni nigdy tego, kto za wody w dal popłynął zdrowy, młody!....

Krzykła Bronia, Jaguś wzdycha...

Głos zabrała znów wróżycha:

— Choć was słowo moje smuci, lecz i Walek już nie wróci!....

Chciała mówić jeszcze dalej, lecz głos przyszedł gdzieś z oddali: słychać było jakieś krzyki i zarżały wnet koniki. Więc wybiegła z chaty Hania... Chwilę rączką wzrok przysłania... i powraca z twarzą bladą, krzycząc:

— Jezu! chłopcy jadą!...

Skończyło się krótkim strachem, bo powrócił Walek z Stachem... A bogdaj was wzięło licho z przepowiednią i wróżychą. *Antoni St. Bassara.*

„Do broni, ludu, powstańmy wraz!“

Byliśmy narodem wielkim, potężnym, mieliśmy państwo, sięgające od morza do morza, mieliśmy wolność i przeszłość świetlaną, uśmiechającą się do nas. W kraju panował dobrobyt i bogactwo, bo mieliśmy własnych królów, którzy prawdziwie po macierzyńsku opiekowali się nami, a ludność była zadowolona z ojcowskich rządów Piastów i Jagiellonów. Lecz to mocarne państwo zaczęło zwolna tracić swoją moc i znaczenie, bo po wymarciu własnych królów, powołano na tron Polski obcych, którzy prawie, że nic nie dbali o tę przybraną ojczyznę, więc nic dziwnego, że ten potężny naród zaczął zwolna chylić się do upadku. Wogóle w całej historyi polskiej niema tak bardzo upokarzającej epoki, jak czasy panowania dwu obcych królów mianowicie Sasów, Augusta II i jego syna Augusta III.

Już w XVII. wieku było źle, bo już tryumfowały złota wolność i nieposłuszeństwo, ale zato gospodarzami Polski byli Polacy, a jeśli chcieli gospodarować cudzoziemcy, to naród zrywał się i wyganiał ich z Polski. Ale w wieku XVIII. było gorzej. Mniejsza z tem, że zasiadali królowie obcy na tronie polskim, bo przecież i Stefan Batory był cudzoziemcem, ale Batory pokochał Polskę i dbał o nią jak o rodzoną ojczyznę. Tymczasem August II Polski nie kochał, a tembardziej August III, jako istota bez serca i bez rozumu, nie mógł Polski kochać. Stokroć gorszą jest rzeczą, że nie ci Sasowie rządzili, ale królowie obcy, którzy gospodarowali jak głodne gęsi w stodole, zwalczając wszelki opór groźbą lub orężem. I tak król szwedzki Karol XII wypędził Augusta II z Polski, a wprowadził na tron Stanisława Leszczyńskiego. Nieco później car rosyjski Piotr Wielki strącił z tronu Leszczyńskiego, którego Karol ustanowił królem polskim, a wprowadził Augusta. Ale o naprawie nie myślano. Magnaci i szlachta dbali tylko o siebie, a o upadającej Polsce zupełnie nie myśleli i cieszyli się, że Polska nierządem stoi. Na domiar tego wymyślili, że słabość Polski jest jej siłą, bo słabej Polski potrzebują sąsiedzi, a tego, kogo się potrzebuje, oszczędza się przecie.

Ludzie szlachetni nie podzielali tych potwornych poglądów. Widzieli bowiem, na co się zanosi i chcieli ratować Polskę, ale wobec ogłupienia innych, sprawić nic nie mogli na razie.

Kiedy za panowania ostatniego króla Stanisława Augusta Polacy lepiej przejrzeli na oczy i pragnęli ratować ojczyznę, było już za późno, bo na ratunek nie pozwolili sąsiedzi.

Rosya i Prusy rządziły jak we własnym kraju i one to wraz z Austryą dokonały w roku 1772 pierwszego rozbioru Polski. Posłowie bagnetami kozaków moskiewskich zostali zmuszeni do podpisania podziału swej ojczyzny. Jednak honor Polaków uratował Tadeusz Rejtan, który na kolanach błagał i zaklinał, aby nie opuszczali nieszczęśliwej Polski. A gdy głuchy był Polak na głos męstwa, cnotliwy Rejtan rzuca się pod nogi nieczułych braci. Tam jęcząc, krzyczy:

— „Zdepczcie mnie, kaleczcie mnie, kiedy ojczyznę gubicie“.

Po pierwszym rozbiorze Polacy lepiej jeszcze przejrzeli na oczy, poznali,

że już. już są nad przepaścią i zginą z pewnością, jeżeli w tym najwyższym czasie nie pomyślą o ratunku. Dlatego też na sejmach toczono ustawicznie liczne narady i uchwalono wiele zbawiennych zmian.

Stanowcza poprawa Polski ukazała się w Konstytucyi 3 Maja. Konstytucya ta, pierwsza na całym świecie, zawierała wiele dobrych uchwał, a jedno z najlepszych było to, że chłopa, który dotychczas był uważany za bydlę robocze, brała w opiekę i zmniejszała mu ilość dni pańszczyźnianych.

A Rosya i Prusy spostrzegły, że Polska otrząsnęła się z długiego odrętwienia, że powoli zaczyna stawać na nogach, więc wszelkiemi siłami starały się przeszkodzić dalszej poprawie i z tego też powodu dokonały drugiego rozbioru Polski.

Ale Polacy na ten rozbiór odpowiedzieli powstaniem Kościuszkowskiem. Tadeusz Kościuszko, chluba narodu polskiego, obrany naczelnikiem powstania, pierwszy zrozumiał, że siła każdego narodu tkwi w tym szarym tłumie — chłopie. I rzeczywiście chłop pokazał swoją siłę w bitwie pod Racławicami, gdzie z kosami rzucił się na armaty moskiewskie i rozbił w puch przeważającą siłę najezdzcy. W następnej bitwie pod Maciejowicami Kościuszko raniony dostał się do niewoli, a powstanie bez wodza upaść musiało*) Moskale, widząc, że Polska jest bardzo osłabiona i niezdolna do dalszej obrony, zaraz w następnym roku dokonali wraz z Austryą i Prusami trzeciego rozbioru Polski. Drugi rozbiór Polski, upadek powstania Kościuszkowskiego, wreszcie ostateczna utrata niepodległości głębokiem echem smutku i bólu odbiły się niemal na całym narodzie. Polacy jednak nie stracili nadziei wyzwolenia. Potworzywszy legiony, walczyli przy boku Napoleona, pod piramidami egipskiemi w zwycięskich pochodach przechodzili morza, góry, rzeki. Pochodom ich zawsze towarzyszyła nadzieja wolności, sądząc, że przy pomocy Napoleona odzyskają upragnioną wolność. Lecz nadzieja ich nie ziściła się i nadarmo uwiedzeni słodkiem pochlebstwem Napoleona przelali morze krwi, walcząc pod obcem niebem za cudzą sprawę.

Po daremnych wysiłkach nastało pewne odrętwienie, ale idea wolności nie zaginęła. Ona jako pochodnia przodowała Polakom, których po raz pierwszy spotkały knuty, nahaje i pochody w zimne krainy Sybiru.

Najwięcej jednak Polakom we znaki dał się książę Konstanty, o którym niektórzy ludzie powiadają, że to było bydlę w człowieku. On to po części stał się przyczyną powstania listopadowego z roku 1830 i 1831. Ile krwi, ile łez wycisnęły knuty moskiewskie na Polakach nikt nie zliczy, chyba Bóg.

Ale nietylko Polacy pod zaborem rosyjskim myśleli o wolności. Marzyli o niej i Polacy, będący pod zaborem austryackiem. A gdy pierwsze odgłosy o powstaniu obiły się o Wiedeń, przewrotna ręka rządu ulękła się kos racławickich i dokonała swego, bo, podburzając chłopa przeciw panu, stłumiła powstanie w samym zarodku.

Lecz najgorzej powodziło się Polakom pod zaborem rosyjskim. Tu rok rocznie zabierano tłumy Polaków do kopalń uralskich i sybirskich, gdzie po kilkuletniej pracy z wycieńczenia wyziewali ducha. Srogie rządy cara, tu tak bardzo dały się we znaki Polakom, że ci jeszcze raz postanowili chwycić za oręż i próbować szczęścia w powstaniu. Postanowili iść na bój wielki, święty a nieśmiertelny. Lecz bojowników było trochę za mało, bo Moskale, spodziewając się powstania ze strony Polaków, wywieźli w głąb Rosyi cały zastęp młodzieży, pozbawiając w ten sposób najlepszych obrońców ojczyzny, a powtóre nie wszyscy chłopi byli wtedy uświadomieni, bo nie wszystkim świecił kaganiec oświaty.

---

*) O powstaniu Kościuszkowskiem piszemy na innem miejscu. (Przyp. Red.)

I tu po nadaremnych wysiłkach Polacy musieli uledz przemocy i poddać się rządom batiuszki, którego miłościwa ręka tego tylko hojnie obdarowywała, kto mu donosił o sprawcach powstania.

Po tem powstaniu Polacy byli wystawieni na większe męki niż kiedykolwiek. Znów zaroiły się katorgi i więzienia pochwytanymi powstańcami, zaroiły się szlaki od kibitek, wiozących skutych kajdanami Polaków w zimne krainy Sybiru. Ziemie polskie opanowała martwota, a zdala słychać było brzęk kajdan i świst nahajek i jęki biczowanych. Miłościwa ręka batiuszki postanowiła ukrócić „dumę Polaków", nie pozwalając budować polskich szkół, a wszystkie inne, jakie dotychczas istniały, skonfiskowała.

Lecz nietylko pod zaborem rosyjskim źle się powodziło, gdyż pod Prusakiem zaczęły się pokazywać grube, wielkie czarne chmury, które dzisiaj dosięgły niebywałych granic! Oto kanclerz niemiecki Bismark postawił sobie za cel wytępienie i wyrugowanie Polaków, znajdujących się pod zaborem pruskim, z granic cesarstwa niemieckiego. Plany jego, jak widzimy, zostały dzisiaj wprowadzone w czyn. Podobnie jak Moskale zaczęli Prusacy znęcać się nad Polakami, zamykając im szkoły polskie, a w miejsce ich wprowadzili niemieckie, zmuszając dzieci, by odmawiały pacierz w języku niemieckim i mówiły po niemiecku.

Ale czarniejsza większa chmura zawisła nad głowami Polaków, t. j. ustawa z roku 1908 o wywłaszczeniu, mocą której Niemcy pozbawiają Polaków mienia i dachu, a jakby dla wzgardy pozwolili stawiać stajnie i chlewy dla bydła i nierogacizny, nie pozwalając natomiast budować mieszkań ludzkich. Ustawiczne jęki i płacze prześladowanych dzieci polskich z nad Warty obijają się o nasze uszy jakby skarga i prośba o pomoc i ratunek.

Jeszcze nie ucichły płacze, jeszcze nie zagoiły się rany, zadane ręką tyrańską dzieciom we Wrześni, a już z przeciwnych krańców Polski zawisła straszna łuna nad głowami unitów. Oto Moskal wydziera nam szmat ziemi ojczystej i przeznacza go na wynarodowienie, na rusyfikacyę. Jakich okrucieństw dopuszcza się względem unitów, wydzierając im wiarę, a zmuszając ich do przejścia na prawosławie, to przechodzi ludzkie pojęcie. Krzywda! stokrotna krzywda nam się dzieje w chwili obecnej, a my stoimy z założonemi rękami i patrzymy bezmyślnie na męki prześladowanych. Chyba Bóg nie pozwoli, by nam wydzierano mowę polską i religię, która jest niejako ostoją w życiu człowieka, niejako portem przystani, w której okręt czuje się bezpieczny przed burzami i huraganami. A czyż my tak dalej będziemy patrzeć na te gwałty i bezprawia? Nie, my nie pozwolimy, by nam Moskal pluł w twarz, a Niemiec dzieci nam germanizował, z których stanie hufiec nasz, duch będzie nam hetmanił.

„Nam twierdzą będzie każdy próg, tak nam dopomóż Bóg!"

Ty zaś, chłopie polski, pamiętaj, że w tobie tkwi siła narodu, że w tobie przyszłość. Pamiętaj, że przyjdzie czas kiedy i tobie nie pozwolą mówić po polsku i wydrą ci wiarę i religię, jeśli zawczasu nie przygotujesz się do obrony swej wiary, swego domu i kawałka roli, który jest w twojem posiadaniu, a ten kawałek roli jest częścią twej ojczyzny, o której całość musisz dbać.

Jeżeli w przyszłości chcesz bronić zagona ojczystego, to trzeba się nauczyć, jak się go ma bronić. A przygotowywać się trzeba ciągle i stale, przez oświatę, przez uświadamianie się wzajemne, bo nie wiemy ani dnia, ani godziny, kiedy Ojczyzna powoła nas do jej obrony. Krzepmy się i tężmy na duchu i ciele, abyśmy byli gotowi w chwili powołania.

Stanisław Kochanek,
włościanin z Mędrzechowa.

O tępieniu królików w Kalifornii.

Małe, trwożliwe, o miłym wyglądzie króliki, rozmnażając się nadzwyczaj szybko, czynią niesłychane spustoszenia w lasach, ogrodach i na polach. Z pierwotnej swej ojczyzny, z zachodnich brzegów morza Śródziemnego, przywędrowały one w końcu średniowiecza do krajów na północy Alp położonych, stąd znalazły drogę za ocean, do północnej i środkowej Ameryki oraz do Australii, a rozmnożywszy się w tamtych krajach, stały się plagą mieszkańców. Królik już w piątym miesiącu jest zdolny do rozmnażania się. Potomstwo jednej samicy, wydającej siedm razy do roku po ośm młodych, po czterech latach dochodzi do ilości milion 274 tysięcy 840 sztuk! Można sobie wyobrazić szkody, jakie wyrządzić mogą tak mnożne stworzenia. W Nowej Zelandyi i Australii niszczą doszczętnie pastwiska. Rozmaite sposoby walki z nimi najczęściej nie prowadzą do celu. W Nowej Walii administracya wydała w przeciągu dziesięciolecia 15 milionów koron, nie osiągnąwszy żadnego prawie rezultatu.

Mieszkańcy Kalifornii również się nie mogą pozbyć plagi króliczej. Tamtejsi farmerzy urządzają na króliki gromadne obławy, w których uczestniczą całe okolice. Na takie łowy stawiają się wszyscy: młodzi i starzy, kobiety i dzieci. Obława uważana jest za nieudaną, jeżeli nie padnie co najmniej 100.000 królików.



Obława na króliki.

Łowy owe odbywają się w ten sposób. Na oznaczonem stanowisku zjawia się około tysiąca osób, pieszo, na koniach, na wozach, wózkach, z psami, z trąbami i bębnami najrozmaitszego rodzaju. Wszyscy ustawiają się w półkole, o kilka kilometrów od wielkiego ogrodzenia, do którego mają być zapędzane króliki i gdzie je mają zabijać

oczekujący już tam ludzie. Po ustawieniu się, przewodniczący daje znak. Wówczas obława posuwa się naprzód z wielkim wrzaskiem, krzykiem i łoskotem.

Wszczyna się alarm nie do opisania. Istne piekło... Przerażone króliki tracą przytomność. Uciekają najprzód dziesiątkami, potem setkami, potem tysiącami. Łowcy posuwają się zwartą ścianą, a końce linii półkolistej powoli zbliżają się do siebie tak, że króliki, nie mogąc się wymknąć na prawo ani na lewo, pędzą naoślep w pułapkę, gdzie giną pod ciosami czekających na nie ludzi. Tego rodzaju walka z klęską wzbudza dreszcz zgrozy, a przytem poniża człowieka, wyrabiając w nim upodobania barbarzyńskie.

Poległym cześć..

Kiedy niewoli przeszło lat trzydzieści,
Naród do pracy nabrał nowych sił.
Przeląkł się carat, gdy go doszły wieści,
Że Polak pragnie, by w wolności żył.

Więc czynowników rozesłał gromady,
Aby w kajdany zakuć polski lud. —
Na polskiej ziemi wśród pląsów, biesiady
Nie znali co znój — nie znali co trud

Zawisła groźna, silna ręka cara —
Jęk uciśnionych rozległ się wśród chat;
Każdą myśl polską spotykała kara,
Obfite żniwo zbierał krwawy kat.

I zgrzyt szubienic, pomęczonych jęki
Rozbrzmiały echem aż po szczyty gór,
Płynęły rzewne, bojowe piosenki;
Zaszumiał groźnie ciemny, polski bór.

Młodzieńcze roty — bolem przepełnione
Powstały zgodnie, jak zbożowy łan,
By oswobodzić niewinnie męczone,
Ukoić bojem naród polski z ran.

Na polskiej ziemi rozległ się szczęk broni,
Szare ugory zabarwiła krew;
A choć walczyli zwarcie dłoń przy dłoni,
Zmogła ich przemoc, jak zarazy wiew.

Na bojowisku nowych mogił krzyże
Zaświadczą kiedyś na dziejowy sąd,
Zbrojnymi hufce zaroją się niże —
Wróg uznać musi popełniony błąd.

Z krwi męczenników i poległych kości
Wynijdzie rycerz — wtedy zadrży wróg:
To będzie sędzia zbrodni i podłości,
A godło jego to — „Polska i Bóg”. —

J. Jarmuła.

W majową, cichą noc!

W majową, cichą, jasną noc
Wstępuje w duszę jakaś moc,
Że nikną bole dawnych dni,
Że człek o szczęściu znowu śni.

Majowa, jasna, cicha noc
Przynosi sercu taką moc,
Że wtedy cały świat
Ukochać człekby rad!

Wśród śpiewu ptasząt, wiosny
Jasny się z nocy robi dzień, [tchnień
Ociera człowiek z oczu łzy
I nowe budzi w sercu sny!

A kiedy w nockę taką śnię,
To kochać, kochać chcę...
O! wtedy; wtedy cały świat,
To dla mnie jeden wielki brat!!

Przez jedną taką cichą noc
Złość wszelką traci moc,
Że z niej zanika wszelki ślad,
Miłości wschodzi kwiat...

O święć się, święć się, nocko ty!
Która osuszasz ludzkie łzy,
Co siejesz blaski swe
Na wszystko w świecie złe!

Roztaczaj szczęścia blask,
Miłości wzniecaj brzask,
Upiększaj sobą świat
Do końca jego lat!!

Antoni St. Bassara.

MŁODY MĘCZENNIK.

Okropne działy się rzeczy, podczas pierwszej rewolucyi francuskiej. Ludzie zamieniali się w krwiożercze zwierzęta i zapominali o Bogu, kierując głównie nienawiść swoją ku wiernym sługom Kościoła, ku tym księżom, którzy przekonań swoich zmienić nie chcieli. Niezliczona liczba onych szlachetnych mężów musiała ponieść śmierć z ręki kata, i szczęśliwymi byli ci, którzy zdołali ujść rąk rozbestwionej tłuszczy. Ale byli to wygnańcy, tułający się od wsi do wsi, po lasach i kryjówkach, którym nie szczędzono wprawdzie przytułku i pomocy, a którzy pomimo to wpadali w ręce okrutnych wrogów.

Jednym z takich bezdomnych tułaczy był ksiądz Dryant, który po długich wędrówkach znalazł nareszcie przytułek w zamku hrabiny Balles. Tutaj wypełniał w skrytości wszystkie swoje obowiązki duszpasterza i pozyskał w krótkim czasie miłość i szacunek całej okolicy. Owdowiała hrabina kazała jeden z pokoi zamienić na kaplicę, ale tak, aby w przeciągu kilku minut można było wszystko usunąć, co kaplicę przypominało; było to koniecznem, ponieważ nikt nie był pewnym przed szpiegami, i biada tym, którzy pod swoim dachem pozwalali na odprawianie nabożeństwa lub przechowywali duchownych. Hrabinę zaś ostrzeżono też już przed szpiegami.

I tak zbliżały się święta Zielonych Świątek i dzień, w którym jedyny syn hrabiny miał przystąpić razem z kilku innymi chłopcami do pierwszej Komunii św. Ksiądz Dryant przygotował dziecko bardzo starannie i uroczystość ta odbyła się z niezwykłą powagą, wszyscy obecni mieli łzy w oczach i nigdy pewnie nie modlono się w tej kaplicy tak gorąco, jak tego dnia. Ale przy końcu nabożeństwa stało się coś nadzwyczajnego, — nagle bowiem otworzono gwałtownie drzwi i jeden ze służących wbiegł śmiertelnie blady do kaplicy.

— Idą, idą, — wyjąkał bez tchu prawie, — cała gromada, z czerwonemi chorągwiami i dobytemi szablami.

Hrabina zadrżała, nie tracąc jednak przytomności umysłu, kazała czemprędzej wynosić obrazy i uporządkować pokój tak, aby nikt nie poznał, że się tu Msza św. odprawiała. I zaledwie wszystko ukończono, wpadła zgraja rewolucyonistów pod przewodnictwem pewnego ślusarza, którego dziki wyraz twarzy zdradzał aż nadto wyraźnie jego charakter i skłonności.

— Wydajcie nam księdza, — krzyknął groźnie, stając przed hrabiną z podniesioną pięścią.

— O kim to mówicie? — odrzekła hrabina na pozór spokojna.

— Przechowujecie księdza w waszym domu! Nieprzyjaciela Francyi, zdrajcę ojczyzny!

— Mylicie się obywatelu! Zdrajcy naszej ojczyzny nie przyjęłabym nigdy w mój dom!

Hrabina nie kłamała, bo nieszczęśliwi prześladowani byli z pewnością lepszymi patryotami niż owi okrutnicy, którzy piękny i bogaty kraj zamieniali w pustynię.

Ślusarz zdumiony, spojrzał na nią, ale nie zadowalniał się tą odpowiedzią,

kazał swoim towarzyszom przeszukać cały zamek.

Z dzikim okrzykiem radości rzucili się naprzód. Łamiąc kosztowne meble, niszcząc wszystko, co im w ręce wpadło, przetrząsnęli wszystkie kąty, lecz daremnie, i z prawdziwą wściekłością wrócili do mieszkalnego pokoju hrabiny.

Tutaj zastali jej syna samego.

— Hej, arystokrato! — krzyknął jeden z tłuszczy, — powiedz nam natychmiast gdzie ksiądz, inaczej źle z tobą będzie.

I dobywszy miecza, podniósł nad głową chłopca. Chciał go widocznie zastraszyć i zmusić do wydania duchownego, ale chłopiec stał spokojnie i niewzruszony.

— Nie mogę żądania waszego wypełnić, — odpowiedział.

— Czemu?

Chłopiec kłamać nie chciał, ale nie chciał też wskazać ukrycia swojego ukochanego „ojca Dryanta“. Dlatego dał wymijającą odpowiedź, która jeszcze więcej rozdrażniła srogiego złoczyńcę.

— Przeklęty psie, — krzyknął teraz dowódca bandy, — jesteś już taki niegodziwy!

I schwyciwszy jasne, długie włosy chłopca, przywlókł go do siebie, towarzysz jego zaś uderzył go tak silnie, że biedny zatoczył się i upadł na ziemię.

— Gdzie ksiądz? Powiedz natychmiast, bo cię zabijemy, — wołała rozjuszona zgraja.

Dziecko drżało z przerażenia. Z natężeniem wszystkich sił podniosło się i stanęło naprzeciw swoim prześladowcom, blade i chwiejne, lecz pozornie spokojne.

— Gdzie ksiądz?

— Nie mogę tego powiedzieć!

Rewolucyoniści szaleli ze złości. Wszystkie meble w pokoju zostały w mgnieniu oka połamane, a jeden z nich, zbliżywszy się do obrazu Najświętszej Maryi Panny, zamierzał go rzucić na ziemię.

Chłopiec zbladł jeszcze więcej i przycisnął się mimowoli do ściany. Złoczyńca miał znieważyć obraz Matki Boskiej, którą ks. Dryant tak mu polecił kochać i wielbić! I co gorsze jeszcze, — za tym obrazem znajdowały się drzwi do kryjówki księdza! Jak łatwo mogli je ci ludzie odkryć! Jedno uderzenie w mur wystarczało, aby zdradzić próżne poza nim miejsce, a w wynajdywaniu kryjówek wszyscy bardzo byli wprawni!

Chłopiec objął obraz swymi drobnymi ramionami i stanął odważnie w jego obronie.

— Precz! — krzyknął ślusarz, — wynoś się stąd, bo cię zabiję na miejscu!

Ale chłopiec nie ustępował i jeszcze silniej obejmował ramy obrazu. Ten opór rozwścieklił rewolucyonistów do najwyższego stopnia, jeden z nich przyskoczył w szalonej złości i uderzył chłopca sztyletem w pierś.

Z cichym jękiem pochyliło się nieszczęśliwe dziecko i opuściło ręce, a strumień krwi zbroczył strojne jego ubranie.

— Młody hrabia zabity, — szepnął ślusarz zmieszany.

I jak gdyby widok tej krwi niewinnej wrócił im przytomność, opuścili jeden po drugim pokój, cicho, bez szelestu, i nikt już nie myślał o szukaniu księdza.

W przeciągu kilka minut nie było w zamku ani jednego napastnika.

— — — — — — — — — —

Hrabina znalazła syna nieprzytomnego przed obrazem Matki Boskiej. Mały bohater, który z poświęceniem własnego życia ocalił obraz od zniewagi i swego ukochanego nauczyciela od okrutnej śmierci, leżał teraz na łóżku z zamkniętemi oczami, w głębokiem zemdleniu. Hrabina klęczała, płacząc głośno przy nim, ksiądz zaś starał się przywrócić go wszelkimi środkami do przytomności.

— Zamordowali mi mojego syna — biedne, nieszczęśliwe dziecko!

— Nie trać pani odwagi, — po-

cieszał ją zacny kapłan, — nie wszystko jeszcze stracone. Syn twój żyje, może go Bóg ocali!

— Mój syn! Mój syn!

Ani hrabina, ani ksiądz nie wiedzieli, co zaszło przed obrazem Matki Boskiej, myśleli oni oboje, że rewolucyoniści zamordowali chłopca dlatego, że był arystokratą.

I nareszcie, po długich usiłowaniach, otworzył mały męczennik oczy i z wyrazem niewysłowionej miłości spojrzał na hrabinę i na księdza.

— Matko! — szepnął zbielałemi ustami.

Hrabina zerwała się i przycisnęła głowę jego do serca.

— Mój Karol żyje! — zawołała.— O Boże, dzięki Tobie!

Ksiądz ucieszył się także z całego serca, ale jedno spojrzenie przekonało go, że chłopiec jest umierający. Głuche rzężenie dobyło się ze zranionej piersi, na usta wystąpił szum krwawy.

— Boli mnie... boli... — szepnęło dziecko, — ja umieram...

— Nie, Karolu, nie umrzesz, — krzyknęła hrabina. — Nie możesz mnie opuścić.

Ale i ona poznała, że niema dla niego ratunku.

— Matko, — szeptał chłopiec — ja idę teraz do mojego Zbawiciela... do Tego, którego przed kilku godzinami przyjąłem. Idę do Niego chętnie i cieszę się bardzo, że ocaliłem obraz i mojego kochanego ojca Dryanta.

— Co to znaczy?—zawołała hrabina.

— Rewolucyoniści chcieli znieważyć obraz... i szukali ojca Dryanta, a ja... nie pozwoliłem na to.

Teraz zrozumiała hrabina wszystko, a ksiądz, wzruszony do głębi, padł na kolana i głośnym wybuchnął płaczem.

— Jesteś bohaterem i męczennikiem, rzekł uroczyście.

Karolek uśmiechnął się, spojrzał raz jeszcze na matkę i zamknął oczy — na wieki.

Hrabina zemdlała.

— — — — — — — — — —

Lata minęły od tego czasu. Rewolucya skończyła się wkrótce potem, a przywódcy jej albo ponieśli śmierć na rusztowaniu, albo musieli opuścić Francyę i potomność wspomina ich dziś z wstrętem i pogardą.

Krwią zalany kraj odzyskał wnet dawniejszą świetność i pobożność, dobre obyczaje i pilność zawitały na nowo do Francyi. Kościoły zostały odbudowane, w klasztorach zamieszkali znów zakonnicy i zakonnice, a księża wracali na opustoszałe parafie. Dawniejsza bezbożność znikła zupełnie.

Pamięć małego bohatera-męczennika nie zaginęła wcale, imię jego wymawiane było z czcią i szacunkiem, i wszystkie matki stawiały go za wzór swoim synom. Hrabina zbudowała w swych dobrach klasztor i dom dla chorych dzieci, a ksiądz Dryant był tam aż do śmierci doradcą duchownym i pocieszycielem biednych.

NIERAZ TAK BYWA.

W życiu nieraz to tak bywa,
Że z ust jeszcze płynie skarga,
A już gdzieś tam śmiech się zrywa
I ból serca sobą targa.
W życiu nieraz śmiech ze łzami
Na przemiany się przewija,
Że nie wiemy wtedy sami,
Skąd śmiech płynie, a łza czyja!

W życiu wszystko pomieszane:
Śmiech ze łzami, łzy ze śmiechem,
Gdy łzy jeszcze nie wylane,
Już im śmiech wtóruje echem!
I tak życie się przewija,
Mkną ze łzami szczęścia słowa
I tak życie całe mija,
Jakby jaka baśń tęczowa....

Antoni St. Bassara.

Legendy o różach.

Róża, królowa kwiatów, rozwija w czerwcu swe cudne, wonne, różnobarwne korony i panuje w ogrodach wszechwładnie przez całe lato.

Jaką potęgę zdobył sobie ten kwiat przepiękny, tego najlepszym jest dowodem fakt, że dziś istnieje już 5000 odmian, wytworzonych przez ogrodników i lubowników z małej stosunkowo ilości gatunków róży.

Pochodząc pierwotnie z krajów zachodniej Azyi, mianowicie z Persyi (gdzie do dziś jeszcze kwitnie hodowla róż w niesłychanych ilościach), przewiezioną została przed tysiącami lat do Egiptu. Aleksander Wielki przyniósł ją z swych zwycięskich wypraw do Grecyi, stamtąd dostała się do Rzymu i później do wszystkich krajów Europy aż do najdalszej północy. Wszędzie zaś, gdzie się ukazała, uznano ją zaraz jako królowę kwiatów.

Nic też więc dziwnego, że do róży, wszędzie wielbionej i podziwianej, przyłączyło się mnóstwo podań i baśni, wysławiających jej piękność i zalety.

Już w Starym Testamencie jest kilka razy mowa o różach, znanych zapewne żydom w niewoli babilońskiej. Jedno z starożytnych podań twierdzi, że róża powstała z krwi zamordowanego Abla, jak bardzo zaś żydzi cenili róże, widać już z tego, że talmud przepisuje dla oblubienic wieńce z róż i mirtu.

Persowie dowodzą natomiast, że róża jest darem Ałłaha, jak nazywają Boga.

Razu pewnego przyszły kwiaty do Ałłaha i prosiły o króla dla siebie. Ałłah zgodził się na to życzenie i dał mi jako królowę białą różę wraz z strzegącemi ją cierniami. Gdy człowiek ją ujrzał, był tak zachwycony jej pięknością, że, nie zważając na ciernie, przycisnął ją do serca. Ale ostre ciernie zraniły go — krew trysnęła na listki róży i nadała im barwę różową — środkowe tylko listki pozostały białe.

Mahometanom jest róża do dziś świętą, podług koranu bowiem powstała z kropli potu, to też żaden Mahometanin nie nadepnąłby nawet zwiędłego listka róży.

U Greków była róża kwiatem piękności i miłości. Odgrywała ona w życiu ludowem Greków bardzo ważną rolę. Narzeczona miała w dniu ślubu wianek z róż i mirtu i drzwi domu, w którym mieszkała, strojone także były różami, Grecy zaś sami i Greczynki zdobili się różami przy każdej uroczystości.

Ale róża była także oznaką śmierci; ciała poległych bowiem bohaterów zdobiono różami, tak samo jak i grobowce zmarłych, i na znak żałoby noszono róże na piersi i na czole. Tak samo robili i Rzymianie, którzy nawet na pamiątkę zmarłych obchodzili święto róż w maju, t. zw. Rosalia.

Róża była im zarazem oznaką waleczności i dobrych obyczajów, bo wracający zwycięscy otrzymywali wieńce z róż — jako najwyższą nagrodę!

Na uroczystościach rzymskich używano nieraz róż w bajecznych ilościach. Nie tylko bowiem, że całe ściany zdobione były girlandami z róż, ale nadto unosił się sufit z róż ponad biesiadnikami i deszcz róż spadał na nich. Cesarz Neron, ten, który tak prześladował chrześcijan, spotrzebował raz

za 100.000 koron róż. Tyle kwiatów nie mogły Włochy same naturalnie dostarczyć — więc całe ładunki okrętowe przychodziły z Aleksandryi i Azyi Mniejszej do Rzymu.

Z początkiem chrześcijaństwa ustało trochę zamiłowanie do róż, ale kwiat ten pozyskał wnet serca chrześcijan i ofiarowano go nawet Najśw. Maryi Pannie. Malarze starożytni przedstawiają też najczęściej Matkę Boską otoczoną trzema wieńcami z róż. Wierzono wówczas ogólnie, że w blizkości miejsca, na którem znajdował się obraz Matki Boskiej, wyrasta krzak białej róży.

U starych Germanów była róża oznaką śmierci, sławne oręże nazywano często „różą“, a pole walki „ogrodem różanym“; stąd więc pochodzi zapewne, że w Szwajcaryi nazywają stare, w lasach położone cmentarze „ogrodami różanemi“. Cmentarze w Szwajcaryi są tak jak i dawniejsze w Niemczech, otoczone płotami z róż.

Znane są róże świętej Elżbiety Turyngskiej, która wbrew woli męża roznosiła chleb ubogim. A gdy ją raz mąż spotkał z koszem chleba i gdy groźnie ją spytał, co w koszu jest — „róże“ — odrzekła, zdejmując wieko. I rzeczywiście — kosz był pełen ślicznych róż!

Wielkie znaczenie w Kościele katolickim ma róża złota, której Papież udziela kobietom, odznaczającym się zaletami serca i umysłu i mającym zasługi co do rozkrzewiania religii katolickiej i t. p.

Rozmaite domy książęce mają w herbach róże — najsławniejszemi z nich są róże domów York i Lancaster w Anglii. Rodziny te walczyły sto lat o tron angielski, a walki czerwonej i białej róży były zacięte i krwawe.

Królowie i książęta lubili róże i na dworach ich odgrywał kwiat ten ważną nieraz rolę. Róże blado-różowe były ulubionemi cesarzowej rosyjskiej Elżbiety — cesarzowa Józefina miała także zamiłowanie do róż biało-różowych.

W niektórych krajach odbywają się dziś jeszcze „święta róż“, i tak n. p. w Francyi i Włoszech, gdzie najcnotliwsza dziewczyna we wsi otrzymuje tytuł „królowej róż.“

Niezliczoną też jest ilość wierszy i piosenek na cześć róży, i póki świat światem, póki istnieje młodość i miłość, póty trwać będzie czar królowej kwiatów i jej piękności.

„KRAKOWIAK.“

W nadwiślańskiem mieście
Przesławnym Krakowie
Wychodzi gazeta,
Co się „Rolą“ zowie.
Ludek ją ukochał,
Jakby niwę swoją;
Bo w niej znajdzie słowa,
Co mu serce koją.
Dla ludu wydana,
Gardzi polityką.
Brzydzi się niezgodą
I szachrajską kliką.
Jak na dobrej roli
Rosną ciężkie kłosy,
Tak też i w tem piśmie
Dość ożywczej rosy...
By kto nie powiedział:
„Chwała u drzwi stała“,
Naszą „Rolę“ czyta
Chmura włościan cała.
Kto ją raz przeczyta,
Pokocha a szczerze,
Później abonuje
Numer po numerze...
Bracia Włościanie!
Gazety czytajcie!
Ale pisma „Roli“
Też nie opuszczajcie!

Walenty Pasierb.

DZIECI JAPOŃSKIE.

Małżeństwa japońskie nie miewają dużo dzieci; rzadko można spotkać aż troje w jednej rodzinie. Ale za to dzieci te wychowywane są nadzwyczaj starannie, w sposób miły i łagodny. Kraj ten — według trafnego wyrażenia jakiegoś Anglika — jest rajem dla dzieci. Rodzice nie przyczyniają im nigdy przykrości i bolu, gdyż kary cielesne są tam nieznane, biorą natomiast udział w zabawach dzieci, urozmaicając je z niezwykłą pomysłowością. Dziwnie miły widok ma przed sobą Europejczyk w pierwszy lepszy dzień słoneczny, gdy tłumy Japończyków wylegają na pola i błonia podmiejskie. Wszędzie mnóstwo dzieci, bawiących się z niezrównaną swobodą. Rodzice zaś myślą tylko o tem, jakby uprzyjemnić dzieciom zabawę i sami zaczynają się z niemi bawić, obdarzają je łakociami, choć sami poprzestają najczęściej na filiżance herbaty lub odrobinie tytuniu.



— Po ryżu filiżanka herbaty.



— Najprzód porcya ryżu.

Dzieci japońskie ssą pierś matki tak długo, jak same tego pragną. To też niemałe zdziwienie budzi w cudzoziemcach widok cztero i pięcioletnich malców, porzucających towarzyszów zabawy i przybiegających do matek, które im nigdy piersi nie odmawiają. Chłopcy ssą, stojąc lub klęcząc, jak małe jelonki.

Należy wymienić jeszcze jedną dobrą stronę tamtejszych zwyczajów dla dzieci: nie są one nigdy spowijane w pieluchy. Wogóle całe lata dziecinne upływają Japończykom na zabawach. Kiedy w siódmym roku życia biorą się do elementarza, to i to nawet traktowane jest raczej jako rozrywka.

Miłość do dzieci wszczepiają od wczesnej młodości córkom swoim Japonki; często też z rozrzewnieniem wi-

dzimy, jak te małe, ledwie na własnych nóżętach trzymające się laleczki dźwigają już na plecach braciszka lub siostrzyczkę. Gdziekolwiek się obrócimy, wszędzie, po sklepach i u kramarzy wędrownych, spotykamy się z zabawkami. Podczas każdej uroczystości religijnej, na placu przed świątynią, znajdują się stosy misternych zabawek. Każdy kiermasz jest świętem dziatwy. Matka-Japonka nie darowałaby sobie, żeby przy takiej sposobności nie kupić dziecku jakiego drobiazgu. A zabawki w Japonii tak tanie, że najbiedniejsi mogą niemi dzieci obdarzać.

Japończycy wszystkich prawie sfer i każdego wieku lubią się bawić, jak dzieci.

— „Widziałem dziada, ojca i syna, trzy pokolenia, zajęte puszczaniem latawca — opowiada pewien podróżnik — Japonki z wyższej sfery wychodzą bardzo rzadko, a w domu skracają sobie czas zabawkami, które też często są prawdziwemi dziełami sztuki".

W Chinach dzieci uczą się mówić, powtarzając rozmaite obelgi, wymysły i szkalowania, słyszane u rodziców. W Japonii żaden nieprzyzwoity wyraz nie wyrwie się z ust rodzicielskich, tam wielką zwracają na to uwagę. Japończycy troskliwie doglądają dzieci, lecz zostawiają im zupełną swobodę. Dzieci japońskie tylko w wyjątkowych razach są karcone, gdyż karanie dzieci w Japonii uważają za niewłaściwość, za oznakę nieumiejętności wychowania. Zresztą dziatwa japońska jest niezmiernie grzeczna i posłuszna. Chłopcy nawet rzadko bardzo okazują niesforność, lecz i wówczas dość spojrzenia surowego, aby swawolnika do porządku doprowadzić.



— A teraz trzeba umyć naczynia.

Rózga na dzieci jest w Japonii zupełnie **nieznaną**; mają wszakże Japończycy bardziej radykalny środek na krnąbrne dzieciaki, a tym jest przypalanie pleców, ramion lub bioder swawolnika za pomocą kulek *moks*. Co pewien czas, każdy dorosły Japończyk poddaje się kuracyi „moksowej": przypala sobie plecy, w równych odstępach, maleńkiemi kulkami, przygotowanemi z włókien pewnego gatunku bylicy; ma to chronić niezawodnie od różnych chorób. Otóż spalanie na ciele owych kulek *moks* wywołuje ból krótkotrwały lecz bardzo silny, który dorośli znoszą z wytrwałością, ale dzieci wprost wyją podczas tej operacyi. To też groźba zastosowania jej najniesforniejsze dzieci do porządku przyprowadza.

NA CICHY LOTÓW SEN.

Na cichy lotów sen,
W bezbrzeżną nocy dal...
Popłynę...

I w chyży bujny lot
Stęsknione skrzydła me
Rozwinę.

Przelecę ciemny las
I obszar naszych pól
Kwiecistych.

Nad dachy naszych chat
Nad strumieniem wód
Ojczystych.

Aż gdzieś w daleki szlak..
Kędy już żaden ptak
Niedolata,

Na cichy lotów sen
Popłynie ze mną pieśń,
Moja skrzydlata.

Stefania Szybowiczówna.

O LIPCE I LIPCU.

(Ze świata legend).

Kiedy Jezusowa Matka uciekać musiała z Dzieciątkiem do Egiptu, zdarzyło się w drodze, że Herod już ich doganiał ze swą służbą okrutną. Wtedy Marya szybko w pole skoczyła i za jakiemiś krzakami przystanąwszy na chwilę, zaczęła się rozglądać, gdzieby to się można było ukryć bezpiecznie. Kilka drzew stało nieopodal. Spojrzała na nie biedna matka, tuląc synka do piersi, ale żadne z nich nie zaprosiło do siebie zagrożonych tułaczy; wszystkie szemrały sobie z jednaką obojętnością... Trzeba wszakże było spieszyć się, bo już zdala dochodziły głosy żołnierzy Heroda.

— Co my tu biedni poczniemy? — pomyślała nieszczęśliwa niewiasta, przypatrując się dużej brzozie, która była tak białą, iż ukrywszy się za nią, dałoby się zniknąć w swoich równie białych szatach dla oczu ścigających.

— Moja brzozo — rzecze tedy do niej uprzejmie — przyjmij nas też na chwilę do siebie; schronimy się tu bezpiecznie i nie odnajdą nas zbójcy, którzy puścili się w pogoń za nami... Nie bój się, nic ci przecież nie zrobią, pójdą sami dalej, na momencik nas przytul do siebie.

Ale brzózka nic nie powiedziała, tylko warkoczki swoje na wiatr rozpuściła i tak się rozpłakała, tak się rozszlochała głośno, żeby jej nie utulił do jutra; tymczasem ledwie za chwilkę mogliby byli dopędzić tułaczy Herodowi żołdacy i zapewne zbliżyliby się dowiedzieć, co się tam stało, iż tak brzoza płacze...

Aż się mały Jezusek zadziwił i rączki wyciągając ku chwiejącej się na wietrze beksie, szczebiotał:

— Mamo, czemu ona płacze?

A Marya na to:

— Niech sobie tam płacze do końca świata! My co żywo uciekajmy do jej sąsiadki...

I poskoczyła do osiki.

— Moja kochana osiczynko, przyjmij nas na chwileczkę do siebie, żebyśmy się mogli ukryć przed pościgiem... Potem zaraz sobie pójdziemy dalej... Przyjmiesz nas osiko? Bo twoja siostra brzózka bała się okropnie Heroda i płacze...

Ale osika ledwo to usłyszała, zaczęła drżeć ze strachu od stóp do głowy, szepcąc:

— Boję się, boję się Heroda!

— Ale nie bój się, osiczynko, weź nas do siebie, zobaczysz, że ci się nic nie stanie...

— Nie chcę, nie chcę — powtarzała osika — boję się, nie mogę... bo się strasznie boję!...

Wtedy o kilka kroków stojąca lipka stara ozwała się poważnie:

— Schowaj się, niewiasto, co prędzej, bo cię zobaczą Herodowi żołnierze!

Więc Marya, nie wiele się namyślając — wsunęła się z Dzieciątkiem za szeroki pień gościnnej lipy i odrazu

zauważyła, iż nie sposób, by ich ścigający zbójcy mogli dojrzeć w tem schronieniu... A tuż... tuż... głosy męzkie było słychać i zaraz ruch zrobił się w pobliżu...

Wszelako Marya nie widziała z poza lipy nikogo i nikt jej nie mógł nawet tam dojrzeć, przytulonej z dzieckiem do lipowej kory.

Poskoczyli w tę stronę żołnierze, pokręcili się tu i owdzie i zabrali się... Wkrótce Marya usłyszała głosy coraz bardziej się oddalające.

— Poszli sobie... więc dzięki poczciwej lipie, uniknęliśmy pościgu; największe niebezpieczeństwo już nas minęło... Bóg łaskaw zesłał nam w porę starą lipkę...

A tymczasem Jezusek rwał listki z gałązek gościnnego drzewa i splatał z nich wianuszek, bawiąc się spokojnie, jak gdyby nigdy nie groziło im nic złego... Marya zaś oprzytomniawszy zupełnie z przerażenia, spoglądała z wdzięcznością na wspaniałą lipki koronę zieloną.

— Dziękujemy ci, dobra starucho, żeś nas tak chętnie schroniła i ocaliła...

— Niema za co, mateczko, dobrze przynajmniej, iż to było jeszcze w porę... Idźcie sobie z Bogiem w drogę, a przedtem to sobie jeszcze nazbierajcie lipowego kwiecia; w niejednej chorobie będzie to skuteczne lekarstwo...

— Bóg zapłać! Weźmiemy sobie zaraz..

— I lipowe liście teżby się wam przydały.

— Dziękujemy ci, dobra lipko, nazbieramy sobie... I obcym ludziom chorym będziemy mogli służyć lekarstwem...

Ale strasznie była Marya znużona podróżą i ucieczką spieszną zwłaszcza... W tej chwili iść już nie mogła — cała spocona i zziajana, usiadła w cieniu na murawie. A Jezusek mały, bawiąc się ciągle — ot, jak dziecko, wziął jakąś szmatkę białą z matczynego zawiniątka i jak gdyby chciał pot otrzeć z czoła swej rodzicielki — przycisnął płótno do jej mokrej twarzy... A kiedy je odjął — matka ujrzała wyraźną podobiznę swoją na płótnie potem podróżnej zroszonem...

— To mama! mama! — szeptało chłopię uradowane, przypatrując się cudnemu portretowi, który za chwilę zawiesił Jezus na lipie, przystroiwszy obrazek w zielony wianek i pęczek kwiatków, jakie znalazł w trawie.

Kiedy Marya wypoczęła, wzięła dziecko na ręce i opuściła z nim swoje pod lipą schronienie.

Przechodzili koło brzózki białej, która bezustannie płakała — i koło osiki, która drżała, jak gdyby jeszcze Herod ze swem wojskiem stał w pobliżu groźny...

— Mamo — zapytał Jezusek — czemu ona się tak trzęsie ciągle? czego ona się boi?

— Niegrzeczna, niepoczciwa osika — odparła mu matka.—Wiecznie tak będzie drżała ze strachu, za karę... że ciebie syneczku, nie chciała schronić u siebie!

I do dziś dnia listki osiki drżą i drżą ciągle, choćby wiatru nie było, a brzozy płaczą, trzęsąc rozpaczliwie swemi warkoczykami, jak gdyby co dzień zbliżała się burza pełna grozy a niemiłosierna.

Tylko lipka odwieczna chętnie da schronienie każdemu i ukoi tułacza zdrożonego w swym cieniu gościnnym.

A wieśniacy pobożni, przekonani, iż „w lipcu najchętniej przemieszkuje Panna Marya“ — wieszają zawsze wizerunki Matki Jezusowej na starym pniu lipy i przez całe lato przystrajają obrazek, daszkiem osłonięty, to w kwiecia wiązanki proste z pól i z lasów, to znów w zielone wianuszki, pokłosiem z chabrami przeplatane...

A dobra Matka Niebieskiego Pana, co rok w lipcu, od jednego święta do drugiego, (od „Narodzenia“ do „Szkaplerznej“) — chodzi po świecie od lipki do lipki — oglądać, czy jej obrazeczki ładne i czy kwiatki świeże na

nich zawieszone... Popatrzy, popatrzy, uśmiechnie się ślicznie ludziom dobrym na podziękowanie — i pójdzie dalej i dalej, żeby obejść wszystkie... Co się do której zbliży, to się lipka tak rozpachnie, żeby człowiek pod nią nie ustał w tej chwili, bo odurzyłoby go napewno...

Za to kołem lipkę otoczą roje pszczółek.

I brzęczą i brzęczą nad lipowem kwieciem, a co miodu zbiorą trochę, to go naprzód niosą do złotego ulika, który w rękach pod lipą trzyma Niebieska Królowa... Potem dopiero resztę miodu ludziom pszczółki zanoszą do pasieki, a gospodarze powiadają, że nie ma lepszego miodu nad lipcowy.

Mało kto z nich wszakże wie o tem, iż co najprzedniejszy miód z lipki złożyły pszczoły do ula Najpoczciwszej Matki, która wróciwszy ze swej pielgrzymki lipcowej po ziemi, rozdaje hojnie miód lipowy sierotkom; im zaś która więcej na świecie wycierpiała, tem więcej słodziutkiego miodu dostanie od Niebieskiej Opiekunki — dla osłody gorzkiej i łzawej doli sierocej.

Do naszych wychodźców.

Gdy porzucisz swą wioseczkę,
W obce pójdziesz kraje,
Polską w ustach miej piosneczkę,
Polskie obyczaje.

Gdy na obcą ziemię stąpisz,
To Polskę zakładaj.
Sercu swemu nie poskąpisz,
Lecz po polsku gadaj.

Czyś ty widział, żeby Niemiec
Rumienił się z tego,
Że polskiego nie zna słowa
I wyrzekł się swego?

Taksamo i ty czyń, bracie,
Nie wstydź się swej mowy
Tej przepięknej w maju szacie
Nuty narodowej...

Aby znowu duszę krzepić
»Rolę« czytaj pilnie...
Daj tę szóstkę co masz przepić:
A czyń to przychylnie.

Wnet bieluchne orle pióra
Zatrzepocą stale,
A na wrogu zadrży skóra,
Przerazi go wcale.

I ucichną Niemcy, Rusy,
Co pluli nam w kaszę.
Znikną wszelkie ich zakusy,
Polskę zwolnią naszę.

Z poniewierki tej wiekowej
Staniemy jak z stali,
Jak pioruny, gromy Boże,
Jak rycerze biali.

I przeleci wiatr w dolinie;
Zadrży Zygmunt stary...
W szczęściu życie nam popłynie,
Znikną trwożne mary...

Załopocą orły białe
Na ognistym szlaku —
I popędzą hufce całe
W królewskim orszaku.

— — — — — — —

Michał Mikoś.

LIPCOWA BAJKA.

(BAJKA).

Dawnymi czasy przyszła raz do nas z zamorza straszna cholera. Marli wtedy ludzie jak muchy. Chodziła śmierć po wsiach i miastach od drzwi do drzwi, a skąd ją jałowcem wykadzono, tam właziła w dom kominem i kosiła, kosiła — niby trawę na siano.

Ludziska modlili się mocno do Pana Jezusa, żeby cholerę wygnał od nas hen, aż za morze znowu i za góry. I Matkę Boską prosili, żeby Synowi Swemu wyłożyła, jaka to szkoda nas tak morowem powietrzem mordować, a jako lepiejby było puścić cholerę na pogan...

Wszystko jednakowoż nie pomogło.

Ale ci przecież raz, po strasznie długiej spiekocie, spuścił Pan Jezus deszcz.

— Dziękujcie Bogu — mówili dobrodzieje z ambony — może się teraz od nas odwróci nieszczęście.

Ba, ale tu lało tak z nieba, że naród na nowo zaczął narzekać. Śmierć bestya kosiła i w deszcz.

Jałowcu już brakło na cholerę, ale zarazem i ludzi brakło do pola. Żniwa już tuż miały się zaczynać, a deszcz dalej prał zboże, jak baby kijanką koszule.

Naród w płacz...

Aż tu pastuchy wpadają do wsi z krzykiem, że Dunajec wylał. Litości Jezu! cholerze nie koniec, a tu jeszcze powódź!

Aliści Pan Bóg wie, co robi.

Właśnie przeszło Kostusi przeprawić się przez Dunajec, kiedy rzeka wezbrała ogromnie i rozlała się szeroko. Widzi to śmierć i skrobie się w głowę markotna. Tędy jej droga wypadła do drugiej wsi. Mosty pozrywało — co tu robić...

Akuratnie deszcz ustał trochę.

Śmierć tedy, nie wiele myśląc, zaostrzyła kosę na kamieniu rzetelnie, potem drzewa nacięła i w mig zrobiła sobie łódkę. Spuściła ją na wodę i cieszy się. Potem wsiadła w nią Kostusia, jakby jej to nic nowego nie było, i płynie, a kosą wiosłuje, niby flisak z pod Krakowa.

Widzi to Pan Jezus i powiada sobie:

— Na to ja rzeki rozlałem, żebyś ty czółnem przepłynęła; chciałabyś ty i mnie w pole wyprowadzić?... poczekaj!...

Dostała się śmierć na drugą stronę.

W tem miejscu wśród pola, jeszcze nie zalanego, stała ogromna stara lipa, która właśnie zakwitła cała i rozpachniała się, że ino było patrzec i wąchać.

Rok w rok w lipcu tak kwitła, ale tym razem już jakoś Pan Jezus zrobił, że taka szła od niej woń mocna, iż się ani waż dostąpić do lipy.

Śmierć wyłazi ze swego czółenka, pewna, że zaraz zacznie machać kosą na nowo wśród biednego narodu.

A tu jej coś w nosie kręci, kręci...

Kostusia obejrzała się na wsze strony i widzi, że jałowcem nikt jej nie pragnie wykadzić; chce więc iść dalej, ale ani

rusz, nie może. W nosie coś kręci — ba i w głowie się jej kręci, aż się zachwiała; zemdliło ją.

To ją tak woń lipcowego kwiecia odurzyła strasznie.

Za chwilę przewróciła się pod lipę jak długa i dźwignąć się nie mogła.

Zobaczyli to od wsi pastuchy. Ostawili w polu krowięta. Wlezie która w pańskie, a niechta! pobiegli pod lipę, nawołując innych z daleka.

— Mamy cię, złodziejskie nasienie! — wykrzyknęli radośnie, a widząc, że śmierć się nie rusza, schylili się nad nią i zaczęli tarmosić bestyę, co wlazło.

Potem w kilku podźwignęli ją z ziemi i wpakowali w ogromne dziupło w lipie. Zatarli ręce szczęśliwi, że się śmierci pozbyli na zawsze, zatkali dziurę czółenkiem Kostusi i popędzili ku wsi z wesołą nowiną.

Cóż, kiedy jedno głupstwo zrobili; zamurowali śmierć razem z jej kosą.

Cholera wprawdzie zaraz ustała i powódź opadła, a ludzie całkiem nie wymierali; ale trwało to tylko przez lipiec, dopóki śmierć w dziupli czuła kwiat lipowy i spała.

Ledwie sierpień nastał, zbudziła się ona w swem zamknięciu, kosą przerżnęła czółenko i wylazła na świat boży.

I dalej bestya kosi, jak kosiła po swojemu.

SKUTKI WÓDKI.

Żył człowiek — pijak prawdziwy,
(Takich dużo, to nie dziwy).
Z rana, we dnie, wieczór, w nocy
Upijał się do niemocy!

Aż do straty przytomności
Zażywał tej przyjemności!
Z przyjemności tej te skutki,
Że wciąż pragnął więcej wódki.

Pił wciąż, to też niema rady:
Przepił wszystko, zszedł na dziady!
W domu pustki, on tymczasem
Gdzieś tam siedzi przed szynkfasem.

Dziecko chore na suchoty,
Żona zmarła ze zgryzoty;
On nawet z jałmużny grosze
Zaraz przepijał potrosze.

Zmieszał się mu rozum w głowie,
Plątał się mu język w mowie
Tylko „wódki" wołał raźnie
Zawsze „dobrej" to wyraźnie.

Aż na niego, na samego
Przyszedł koniec, bo pewnego
Czasu, pijany powracał
Tak, że drogę nosem macał.

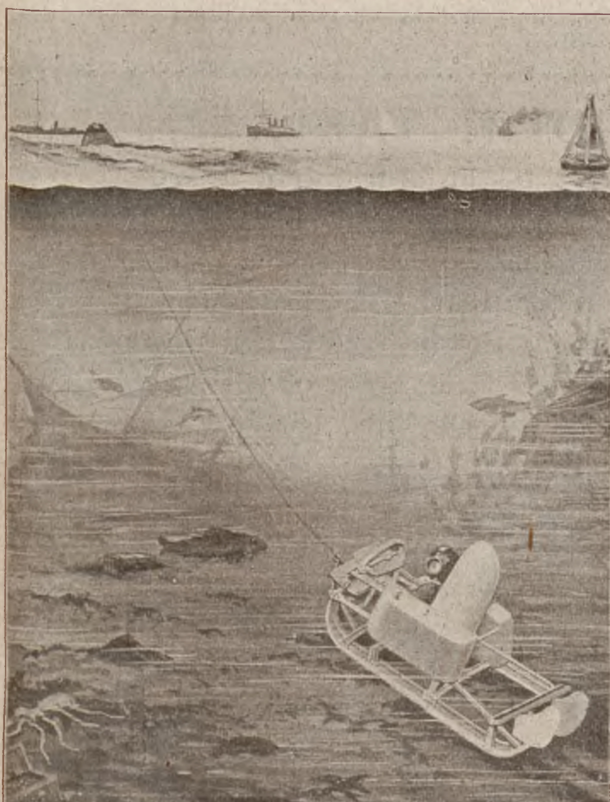
Wpadł do dołu przydrożnego
Znaleźli go nieżywego,
Bo już z pijanego ciała
Dusza wiecznie odleciała

Mili ludzie, jakie skutki
Wynikają z picia wódki,
Przypatrzcie się, zobaczycie,
Jak pijacy kończą życie.

Szczepan Orzech.

SANKI PODWODNE.

Sanki podwodne — oto nowy środek, przy którego pomocy człowiek pragnie opanować tajemnicze głębie oceanów, dotąd dla niego niemal niedostępne. Bo chociaż oddawna króluje już na powierzchni wód, chociaż okręty jego prują zuchwale bałwany, to jednak w głębie przepastne dostaje się tylko nurek, związany ściśle ze statkiem pomocniczym, dostarczającym mu powietrza do oddychania, oraz łódź podwodna, której załoga nie może opuścić ścian swego schronienia, dokonywać na dnie morskiem badań, lecz musi poprzestać na roli skrępowanego warunkami widza. A ileż to zdobyczy zyskałaby wiedza, gdyby człowiek mógł swobodnie działać na dnie morza... Kryją się tam nieznane jeszcze, niesłychanie bogate ławice koralowe; kryją się żyjątka, których życie tak mało jeszcze zostało zbadane; spoczywają szczątki tylu okrętów... Ażeby wedrzeć się w głąb morza, sięgnąć po skarby wspomniane, potrzeba przyrządu, umożliwiającego swobodne poruszanie się w dowolnym kierunku pod wodą, przebywanie tam i szybkie przesuwanie się przez dowolny przeciąg czasu. Przyrząd taki może się przydać i poszukiwaczowi zatopionych skarbów, i uczonemu, i wreszcie marynarzowi wojskowemu, szukającemu dziś z niezmiernym trudem, niemal naoślep, oderwanych burzą min podwodnych i torped, które błądzą w przestworżach bez wybuchu, grożąc zniszczeniem bezcelowem przepływającym statkom handlowym i wojennym.



Wynalazek sanek podwodnych ułatwi, jak się zdaje, wypełnienie wszystkich wyżej wspomnianych zadań. Sanki owe możnaby nazwać aeroplanem, umożliwiającym ruch w głębinach wód, gdyż posiadają one pływaki takie same, jak aeroplany, przeznaczone do opadania na wodzie. Nie mają tylko motoru, który zastępuje w tym wypadku holowniczy statek motorowy, ciągnący sanki przy

pomocy liny stalowej, połączony telefonicznie z nurkiem, dostarczający nadto nurkowi prądu elektrycznego do oświetlenia głębin wodnych.

Nowością stroju samego nurka jest umieszczony w blaszanej skrzynce na piersiach nabój potasowy, pochłaniający wydychany przez nurka kwas węglowy. Zapas powietrza znajduje się w stalowych rezerwoarach na sankach, nurek zaś jest połączony z rezerwoarem rurą gumową. Wskutek tego, nie może się oddalić od sanek na większą odległość, ale za to, siedząc na sankach, posiada niemal zupełną swobodę ruchu, bo trzeba wiedzieć, że łódź motorowa jest najzupełniej posłuszną jego rozkazom, to jest, że bądź zatrzymuje się na żądanem przez niego miejscu, bądź pędzi naprzód całą siłą motoru. Wystarcza, aby nurek nastawił odpowiednio ster wysokości, — aby podnosił się w górę lub opuszczał w głąb. W razie nagłego niebezpieczeństwa, posiada on zawsze jeszcze zapasowy środek ratunku: jeżeli bowiem wypełni powietrzem pływaki, w czasie pobytu na dnie morza wypełnione wodą, wypływa natychmiast z największych głębin, jak strzała, na powierzchnię.

O! GDYBY TAK!

O! gdybyście Wy tak wszyscy Polskie dzieci dalsi, bliscy,
Tak wieśniacy jak panowie, pamiętali o swej mowie!
Gdy ci gdzie wyjechać trzeba dla rozrywki czy dla chleba,
Jeżeli masz rozum zdrowy, to nie wstydź się swojej mowy!
Gdyś zaś wrócił w swoje strony, czy do ojców, czy do żony,
To powiem ci — bez urazy — wyrzuć precz obce wyrazy!
Te: verfluchty, Fotry, guty, Stejeramty, Sify, Kiety
Nie zdadzą się psu na buty!
Nieraz się słyszy, niestety,
Mowę takiej podobizny; ale rozważ, Polski bracie,
Gdyby pies zjadł tej niemczyzny, pewnie dostałby wścieklizny,
Przestrogę w tem daję dla cię, że z twej mowy tak się dzieje,
Obcy i swój się naśmieje.
Tyś swój język z piersi matki wyssał, więc go jak skarb rzadki
Od kolebki do mogiły, czysty zachowaj i miły
Bo ojczystej mowy dźwięki, koją smutek, żal i jęki,
Bo przodki twe nim mówiły!

O! gdyby tak, bracie miły, znów te czasy powróciły,
By od Niemna do Bałtyku, od Bałtyku do Czarnego
W jednym mówiono języku, Niemca nie byłoby żadnego
Jeden był strój narodowy i dźwięk słodkiej, polskiej mowy!

Franciszek Zydroń.

BITWA POD MACIEJOWICAMI.

Kościuszko po zniesieniu oblężęnia Warszawy postanowił nie dopuścić do połączenia się wojsk rosyjskich, wracających z pod stolicy, z wojskami rosyjskiemi, załogującemi na Litwie. Sprawa ta była tem ważniejszą, że z Litwy dochodziły go niepomyślne wiadomości. Po odebraniu naczelnej komendy nad siłą zbrojną litewską Jasińskiemu, a oddaniu jej Michałowi Wielhorskiemu, poczęły się na Litwie niepowodzenia.

Wielhorski, widząc, że do spełnienia powierzonego mu zadania jest za słabym, zażądał po krótkim czasie zwolnienia z nałożonych nań obowiązków. Kościuszko uczynił prośbie jego zadość i posłał w miejsce jego Mokronowskiego, a do czasu przybycia jego oddał komendę Chlewińskiemu. Mokronowski nie dojechał do Wilna, gdyż już poprzednio zdobyli je Moskale

Wiadomość o klęsce tej zaniepokoiła wielce Kościuszkę; Moskale bowiem, mając w ręku Wilno, mogli skupić swe siły, a znosząc jeden po drugim oddziały powstańcze, łatwą było dla nich rzeczą zapanować nad prawym brzegiem Wisły.



Jakób Jasiński

Zrozumieć łatwo, że w takiem położeniu rzeczy chodziło Kościuszce bardzo o to, aby Moskale, cofający się z pod Warszawy, nie dotarli do Litwy, co przyczyniłoby jeszcze bardziej niebezpieczeństwa.

Ściągnął więc wszystkie siły pod Maciejowice.

Dzień 10 października poprzedzała noc ciemna i ponura. Powietrze było dżdżyste i chłodne; miejsca niskie rozmokłe jesiennemi szarugami. Po obu stronach wojsk migały tu i ówdzie słabe ognie obozowe, na pozór zdawało się, że wszystko spoczywa w głębokim śnie pogrążone, tymczasem było inaczej. Wczesnym rankiem, o godzinie 5, ozwał się huk wystrzału armatniego. W tejże samej chwili ozwał się gwar wojenny; po obu stronach posłyszano komendy. Moskale pierwsi przypuścili szturm do środka i prawego skrzydła polskiego. Bagnisty grunt utrudniał wojskom ich pochód, więc posuwały się tylko bardzo wolno; zaciągnione po deskach na bagna armaty moskiewskie ozwały się niebawem. Ogień ich przecież mało co szkodził, bo pociski przechodziły ponad głowami Polaków i uderzały w wierzchołki drzew. Strasznego spustoszenia dokonywały natomiast w szeregach moskiewskich armaty polskie, któremi początkowo Kościuszko sam kierował. Żołnierze rosyjscy poczęli się chwiać, ale parci coraz nowszemi posiłkami, ponawiali atak. Już się przybliżyli do stóp wzgórza, które zajmowali Polacy, ale przyjęci gradem kul, musieli ustąpić. Początek ten bitwy zapowiadał się Polakom szczęśliwie,

ale niestety, wkrótce nastąpić miała straszna zmiana.

Moskale, cztery razy silniejsi, ponawiali atak jeden po drugim i zbliżali się, mimo znacznych strat, coraz bardziej. Ogień ich począł razić coraz dotkliwiej; grad kul i granatów, gwiżdżąc bez ustanku, siał okropne zniszczenie. Kościuszko, pod którym padły trzy konie, dosiadł czwartego i z wielką przytomnością umysłu stawał wszędzie, gdziekolwiek obecność jego najwięcej była potrzebną. Z wielkiem upragnieniem spoglądał w stronę, z której miały się pojawić posiłki pod dowództwem Ponińskiego, ale te nie przybywały. Wtem zatętniała ziemia pod kopytami kawaleryi rosyjskiej, a wraz z nią stanął do boju doborowy pułk sybirskich grenadyerów. Moskale ponawiają szturm jeden po drugim. Ogień z ręcznej strzelby zmiata kupami walczących. Ziemia okrywa się gęsto trupami. Polacy stoją ak mur, nie proszą o pardon i nie pozwalają się brać w niewolę; z równem męztwem nacierają Moskale. Jęk ranionych i konających napełnia powietrze; nikt przecież z wojsk polskich nie opuszcza miejsca, na którem walczyć zaczął.



Karol Kniaziewicz

Pułk Działyńskiego, stojąc jak wrosły w miejscu, które zajął, zginął niemal cały. Na drugi dzień mundury na poszarpanych ciałach poległych bohaterów znaczyły na pobojowisku linię i stanowisko, na którem walczyli. Jenerał Kniaziewicz wytrwał wśród gradu kul jak mur na lewem skrzydle; połowa jego oddziału poniosła już była śmierć, gdy drugą połowę zbiera Kościuszko, ustawia w czworobok i zachęca do dalszego wytrwania. Nadeszła ostateczna chwila, w którejby pomoc, na którą liczył Kościuszko, mogła jeszcze przeważyć szalę zwycięztwa na stronę Polaków, ale Ponińskiego jak nie widać, tak nie widać.

W tem raportują Kościuszce, że Rosyanie przedarli się przez błota i przypuszczają szturm do prawego skrzydła; równocześnie donosi Kopeć, że jazda rosyjska przeprawiła się przez Okszeją i naciera z lewej strony. Popadały konie u armat, amunicya zaczęła się wyczerpywać. Pułkownik Krzycki, przez sześć godzin stojąc w ogniu na jednem miejscu, nie zdołała utrzymać dłużej swego oddziału; posunął się naprzód, przez co powstał w linii bojowej otwór. Niemcewicz raportuje Kościuszce, że jazda rosyjska spieszy pędem do otworu tego. Najbliżsi Kościuszki nalegają na niego, aby się cofnał, ale ten ani słuchać o tem nie chce; ciągle jeszcze oczekuje posiłków, ale Poniński się nie pokazuje.

W tej chwili donosi oficer Kościuszce, że regiment gwardyi konnej, zwany Mirowskim, uchodzi z placu boju! Kościuszko wysyła Niemcewicza i Drzewieckiego, aby wstrzymali pierzchających. Niemcewicz staje na czele szwadronu powstańców brzesko-litewskich, rzuca się naprzód, ale kula z pistoletu przeszywa mu rękę. Oddział brzesko - litewski uchodzi, a Niemcewicz z Drzewieckim dostają się do niewoli.

Powstaje w szeregach polskich zamęt i nieład; wtenczas Kościuszko rzuca się sam na lewe skrzydło, na lichym i zmęczonym koniu chłopskim, za uchodzącą kawaleryą, aby ją wstrzymać. Gdy pędził krawędzią małego zagajnika, spostrzegł go stary kozak, nazwiskiem Potopin, a domyślając się

w nim oficera, jadącego z rozkazami, puścił się za nim w pogoń. Mając lepszego konia, dopędził go wkrótce i uderzył lancą, zadawszy mu w bok lewy nieznaczną ranę; równocześnie zawołał na niego, aby się poddał. Ponieważ Kościuszko, nie zważając na to, jechał dalej, uderzył kozak lancą powtórnie, a nie mogąc go sięgnąć, ukłół konia tak silnie, że ten wspiął się na tylne nogi, rzucił się w bok, gdzie było miejsce bagniste i ugrzązł pod szyję. Kościuszko spadł przez głowę konia, upadł w bagno ugrzązł prawą ręką, w której trzyma pałasz, pod ramię. Kozak uderzył go znów lancą w krzyże, aby go zabić, gdy w tejże chwili leżący w pobliżu ciężko ranny kozak polski zawołał na niego: „Nie zabijaj go, to Kościuszko!“ Zdumiał się Potopin, wyciągnął z krzyży Kościuszki lancę, a zeszedłszy z konia, począł wypróżniać jego kieszenie.

Gdy mu już odebrał pugilares, mały złoty zegarek, pierścień i pięć dukatów ze sakiewką, nadjechał oddział ułanów rosyjskich. Koń Potopina puszczony samopas, widząc konnicę, począł ku niej podążać. Stary kozak, obawiając się utraty konia, odszedł od Kościuszki i pobiegł za nim. Kościuszko w tej chwili podniósł się i usiłował wydobyć się z bagna. Widząc to dowódzca poblizkiego oddziału konnicy rosyjskiej, niejaki Postuchowski, dopadł do niego i uderzył go pałaszem w głowę tak silnie, że mu przeciął tylną kość czaszki i szyję aż do kości łopatki. Od cięcia tego Kościuszko, nie wydawszy ani głosu, padł nieprzytomny. Tymczasem Potopin, zabezpieczywszy konia, wrócił się do Kościuszki, wylał w ranę jego wszystką gorzałkę, jaką miał, zabrał jeszcze wierzchnią suknię jego i obuwie i pojechał dalej, zostawiwszy go leżącego bezprzytomnie na ziemi.



Julian Ursyn Niemcewicz

Gdy się to działo, zawrzała walka na prawem skrzydle z nową zajadłością. Resztki piechoty polskiej, ustąpiwszy z placu boju, schroniły się do zamku folwarku zwanego Podzamcze, stojącego opodal. Z okrzykiem: „to za Warszawę!“ rzuciły się za niemi świeże zastępy Moskali z bagnetem w ręku, zdobywając każde wschody, każde piętro, każdy pokój. Żaden z Polaków nie myślał o poddaniu się; mordowano się nawzajem i wyrzucano trupy oknami. Rzeź taka trwała przez dwie godziny.

Około godziny 12 zakończyła się bitwa. Moskale stali się panami placu boju, Polacy ponieśli zupełną klęskę. Padło ich około 6000; przeszło tysiąc, między nimi kilku jenerałów i kilkunastu oficerów, dostało się do niewoli. Moskale zabrali niemal całą artyleryę; mała cząstka wojska uszła śmierci i niewoli. Około godziny czwartej z południa zbliżył się w okolicę pobojowiska z korpusem swym książę Poniński, a dowiedziawszy się o wyniku bitwy, zabrał resztki wojska ocalonego i cofnął się pod Warszawę.

Po skończonej bitwie poczęto szukać Kościuszkę, o którym wieść się rozeszła, że poległ. Odszukał go Drzewiecki, wzięty do niewoli, którego major rosyjski w tym celu wysłał na pobojowisko. Znalazł go otoczonego kilku kozakami, a przekonawszy się,

9*

że jeszcze żyje, kazał go przenieść do zamku. Na wezwanie starego kozaka, który rannego nie odstępował, związali kozacy cztery lance swoje, przykryli je gałęziami i trawą, i sporządzili w ten sposób nosze, które Drzewiecki okrył swym płaszczem. Włożono potem na nie Kościuszkę i zaniesiono go do zamku.

Nazajutrz opatrzono rany jego ; okazało się, że miał dwie powyżej bioder od lancy kozackiej, kontuzyę w nogę od kuli armatniej i cięcie w głowę. Ostatnia była najniebezpieczniejszą. — Kościuszko leżał ciągle bez przytomności ; dopiero gdy nazajutrz Moskale, obchodząc w ustawionej na pobojowisku cerkwi nabożeństwo dziękczynne, wystrzelili od razu ze wszystkich dział i z ręcznej broni przy odgłosie bębnów, trąb i kotłów, wskutek straszliwego huku tego ocknął się z omdlenia, a widząc obok siebie Niemcewicza, zapytał go, gdzie jest i co znaczą wystrzały? Dowiedziawszy się smutnej prawdy, odwrócił się z ciężkiem westchnieniem i przez długi czas leżał tak w ponurem milczeniu.

Przegrana pod Maciejowicami, a raczej wzięcie Kościuszki do niewoli sprowadziło upadek powstania, którego był duszą. Brakło dowódzcy, nic nie pomogły wysiłki wojska. Okrutny jenerał rosyjski Suworow spalił przedmieście Warszawy Pragę, a mieszkańców jej, 12 tysięcy starców, kobiet i dzieci w pień wyciął, 14 tysięcy najlepszych synów ojczyzny napełniło lochy sybirskie.

W następnym roku, 24 października 1795 r. nastąpił trzeci rozbiór Polski i tym sposobem wymazano ją z karty Europy. Mimo to Polska nie zginęła, gdyż żyje ona w sercach naszych.

OJCZYZNO MOJA!

Ojczyzno moja! biedna męczennico
Dzisiaj do krzyża niewoli przybita:
Trzy sępy straszne targają Twe lico
I na Twych dłoniach krwawy łańcuch zgrzyta.
Ale nie długo będziesz niewolnicą,
Bo Ci wolności słońce wnet zaświta,
A pod niem pękną Twe straszne okowy...
Na skroń Twą włożym wieniec laurowy,
Bo wiara Synów Twoich niezmierzona
Mocno wierzymy, że przyjdzie wesele!
Że wolność złota rozłoży ramiona
Nad nami, w Twoim Ojczyzno kościele.
Wyjdziesz zwycięzko! wyjdziesz niezwalczona!
Z wroga Twojego zostaną piszczele,
Które się będą u tronu Twojego
Tarzały w prochu aż do dnia sądnego...
Bowiem ta wielka wiara Twoich Synów
Zdejmie Cię z krzyża, sprowadzi z Golgoty
Kędy wrogowie chciwi krwawych czynów
W Twe biedne piersi topili swe groty!..
Lecz dziś powstaniesz na wieńcach wawrzynów
I pójdziesz w złote wolności namioty,
Ponad którymi Orzeł Biały wzleci,
Chociaż po krwawych kolejach stuleci...
Nie straszne dla nas są szubienic zgrzyty!
Nie straszne dzisiaj są germańskie prawa,
Bo w nas duch wielki, który nad ich szczyty
Wyjdzie jak groźna z piorunów postawa!
Od niej wróg padnie gromami przeszyty
Bory zaszumią: Sława Polsce, Sława!
A ponad niemi śpiewakowie leśni
Zanucą wielki czar — zwycięstwa pieśni...
— — — — — — — — — — —
Witaj Ojczyzno! Witaj Matko moja!
Tyś nie umarła, chociaż leżysz w grobie,
Bowiem siermiężna dziatwa wierna Twoja
Z bronią słoneczną pełni straż przy Tobie
I czerpie wodę z ożywczego zdroja,
Który się jeden znajduje na globie
Jeden, który jest Synem złotej zorzy
Z niego się matko gmach wolności stworzy!

A więc nie będziesz Polsko męczennicą
Choć-eś do krzyża niewoli przybita
I choć trzy sępy targają Twe lico
I na Twych dłoniach krwawy łańcuch zgrzyta...
Ale nie jesteś Polsko niewolnicą,
Bo Ci jutrzenka swobody już świta!...
A pod nią pękną Twe krwawe okowy
Skroń Twą ozdobi wieniec laurowy.

Robert Rydz.

SEN MARA.

(Fantazya).

Jak oko daleko sięga, rozległa się ogromna równina. Słońce właśnie w tej chwili wschodzi i oświeca krajobraz. Patrzę! Przedemną fale ludu, niby łąka strojna w różnobarwne kwiaty, powiewem wiatru rozkołysane. Widzę w tem morzu ludzkiem różne kolory sukman i nakryć głów: są tu sukmany krakowskie i pyszne rogatki; widzę dzielnych lecz smutnych Warszawiaków, widzę nieulęknionych Poznańczyków z koroną cierniową na sercu.

Wszyscy gromadzą się w jeden punkt zborny koło naszych Karpat ukochanych. Twarze ich smutne, lecz wzrok ich stanowczy a wola, zdaje się, nieugięta. Niby borsuki zbudzone ze snu zimowego gromadzą się ze wszystkich stron z zachodu, północy i wschodu. Cisza wkoło, myślałbyś, że życie całkiem uleciało z tego tłumu; widać tylko uściski dłoni bratniej.

Ze zdumieniem i trwogą spoglądam, co się dziać będzie. Wtem zjawia się przewodnik-pielgrzym z głową odkrytą, trzymając w swych rękach krzyż w górę wzniesiony, na którym widnieje napis: „W tym znaku zwyciężysz“.

Pielgrzym z krzyżem podąża naprzód a za nim nieprzeliczone zastępy. Pod jego wpływem ożywiają się serca, pierzcha bojaźń i smutek a wstępuje odwaga i męstwo.

Dążymy dalej w kierunku Karpat. Wtem zjawia się koło krzyża chorągiew z Orłem Polskim, Pogonią i Matką Boską Częstochowską. Uzbrojeni w tak święte odznaki i niby opancerzeni stajemy już u podnóża Karpat. Od strony gór słychać jakoby trąbkę wojenną i stuk tysięcy rycerzy, pędzących w naszą stronę. Tego zdaje się oczekiwać nasz przewodnik. Wyszedłszy na pagórek, przybrał postać bohatera-rycerza, wdział hełm na głowę i głosem donośnym przemówił do zebranego tłumu:

— Bracia drodzy, bracia kochani! godzina wyzwolenia nadeszła, krew braci naszych, która setki lat wołała o pomstę do Boga, wymodliła u Pana zmiłowanie: dziś rozstrzygną się losy nasze i zniesiona będzie niewola i kajdany, któremi byliśmy sromotnie skrępowani. Boże! dodaj nam siły i odwagi! A Ty, Królowo Korony Polskiej, otocz nas swoją świętą opieką, jakoś broniła ojców naszych, daj zwycięstwo i dzieciom ich.

Wśród słów tych cały naród pada na kolana a wezwanie dokończa słowem:

— Amen.

Wtedy przewodnik zawołał głosem straszliwym:

— Wyjdź smoku dwugłowy, któryś lat setki pożerał biedną brać moją, dzisiaj koniec twemu panowaniu! Dziś czas, by naród uciśniony zgniótł twój grzbiet, dziś czas, byś pełzał i tarzał się w błocie nędzny jaszczurze!

I stało się coś strasznego. Potwór okropny, dwugłowy, wychyla się z północy; z paszczy jego zieje ogień, niby z czeluści piekielnych i ryk okropny słychać wokoło. Struchlały rzesze. Lecz znak krzyża góruje. Patrzą narody na znak zwycięstwa i gotują się do boju. Bogu polecają swoje dusze. A smok ryczy, zdaje się, że pożre całe narody. Lecz nie! Koniec jego panowania się zbliża, bo oto rozlega się hasło do

boju, otucha wstępuje w serca nasze. Tysiące rycerzy z gór karpackich spieszy z pieśnią na ustach: „Boga Rodzico Dziewico, Bogiem sławiona Maryo“, i myślałbyś, że to nie wojsko, ale całe zastępy Aniołów spieszą stoczyć bitwę, jakiej jeszcze nie było. Rycerze skrzydlaci z słowami: „Jezus Marya!“ wpadli na wroga i sieką okropnie. W złości bezsilnej szarpie swe cielsko obrzydłe.

Skończyło się! Orzeł rozwinął swe skrzydła i buja nad Polską ziemią, patrząc z obrzydzeniem na poległego wroga, a dzwony Wawelu grzmią i grają radośnie. Bracia złączeni ściskają się razem, jakby po długiej wędrówce. Radość niezmierna rozpiera nasze piersi: całujemy świętą ziemię rodzinną, a z duszy naszej rozlega się głos na całą polską ziemię: „Ciebie Boże chwalimy!“

Sen to był tylko, który minął ale w duszy została nadzieja, że kiedyś przyjdzie dzień taki uroczysty.

Katarzyna Nawrocka

PÓJDĘ.

Pójdę, Polsko, w krwawe tany,
Na śmiertelny bój,
Bo nad życie mi kochany
Kraj ojczysty mój.
  Rzucę niskie ściany moje,
  Słomną strzechę mą,
  I podążę w krwawe boje
  Wolność zyskać krwią.
Rzucę matkę, krewnych, bliźnich,
Wszystką słabszą brać,
A zabiorę zdrowych wszystkich
Krew serdeczną lać.
  Pójdę, pójdę, zaraz, do dnia,
  Ino zagrzmi róg,
  A powiedzie mnie do ognia
  Ojciec mój i Bóg.
A czy wrócę, czy nie, z matni,
Wszystko jedno mi:
Ja nie pierwszy, nie ostatni,
W bój niejedni szli.
  Obowiązek spełnić święty
  Musi każdy z nas:
  Pójść ochotnie w bój zawzięty,
  Gdy zawoła czas.

Józef Kobylański.

FUJARKA.

Graj pastuszku mój jedyny,
Niechaj płynie
Po dolinie
Głos z skręconej twej wierzbiny.
  Fujareczko ma! Smutne tony
  Wydobywaj
  rozlewaj
  Je na wszystkie polskie strony.
Śpiewaj nasze smutne dzieje,
Krwawe rany
I kajdany;
O tym wietrze, co nam wieje
  Zawsze w oczy — o tej burzy,
  Co się sroży
  Coraz gorzej
  I nieszczęścia nowe wróży.
Nasze łzy, co płyną szparko,
Nasze bole
I niedole
Wciąż wygrywaj, ty fujarko.
  Czy to wieczór, czy to z rana
  Graj nam pieśni
  Niech się prześni,
  Wolna Polska ukochana.

Józef Kobylański.

Historya o pięknym królewiczu i prześlicznej królewnie.

Królewna pobladła i posmutniała, a miało to swój właściwy powód, miała bowiem zostać żoną pewnego królewicza, którego nie znała i którego nie kochała i który właśnie miał przybyć, aby ją poślubić.

Daremnie błagała ojca:

— Nie każ mu przychodzić. Nie mogę żoną jego zostać, albowiem go nie kocham.

Król jeno śmiał się z tego i mówił:

— Niech przybędzie, obejrz go sobie, a reszta już się znajdzie; lecz co się tyczy miłości, to jest ona w małżeństwie zupełnie zbyteczna. A czy myśmy się może kochali? Wszak nie!

— I królowa potrząsła głową: nie, oni się nigdy nie kochali, a jednak...

— A jednak żyliśmy szczęśliwie ze sobą, więc....

I królowa głośno westchnęła i łzy jej cisnęły się do oczu i szepnęła cichutko, tak cicho, że pewnie nikt tego nie słyszał:

— Tak jest... szczęśliwie... żyliśmy...

— Lecz nie płakała nad sobą, tylko nad swoją córką. I przystąpiła do niej i wzięła ją w swoje objęcia:

— Oby los litościwszym się okazał względem ciebie, aniżeli względem mnie! — rzekła.

Czyż on istotnie będzie dla królewny litościwy, czyli też nie, któż to zdoła przewidzieć? Tyle pewna, że gdy wraz ze swoim smutkiem wyszła do ogrodu, właśnie tędy przechodził młody grajek. I ujrzał on królewnę i ona ujrzała jego. I była *ona* tak całkiem inną, niżeli wszystkie te, które *on* dotychczas widywał, a *on* był tak całkiem inny, niż wszyscy, których *ona* widywała, że zdumieniu swemu aż wyraz dali:

— Jakaś ty piękna!

I rzuciła mu kwiat, a on uderzył w struny swej gęśli i zaśpiewał jej pieśń. Taką pieśń, jakiej jeszcze nie słyszała. Pieśń, co się w serce wkrada, pieśń, co człeka sidli, jako sen słodki tumani, pieśń, co zniewala na wieki i już nie puszcza. Słodką, wspaniałą, wieczną pieśń miłości. Pieśń, co choć zamilkła, wciąż jeszcze drga echem w sercu naszem.

Taką pieśń zaśpiewał. I odszedł precz smutek i odeszła troska i w sercu królewny niczego nie było jeno błogość, bo w niem śpiewało teraz i radowało się tysiącem głosów, jak gdyby tam wszyscy ptaszkowie leśni zamieszkali i chóry anielskie zawodziły swe pienia.

Gdy na zamek wróciła, oblicze jej promieniało szczęściem i błogością. Niestety, jakże srodze rozwiał się jej sen złoty, gdy jej oznajmiono, że właśnie przybył królewicz, starający się o jej rękę.

Blada i skromna weszła do sali. Głęboko skłonili się rycerze; on zaś, królewicz, pospieszył do pięknej królewny i rzekł:

— Pozwólcie, abym zgiął przed wami kolano, jako przed królową swoją.

Boleśnie zadrgnęła jej piękna twarzyczka, gdy odrzekła:

— Powstańcie, królewiczu, nie to miejsce wam się przynależy, albowiem królową waszą zostać nie mogę.

Królewicz spojrzał na nią blady jak śmierć.

— O, nie mówcie tak, — błagał, — bo jak możecie w tej samej chwili, kiedy mi zadajecie ranę miłości, zadać cios śmiertelny. Wiem dobrze, że niegodny was jestem, bo gdzież śmiertelnik, co godzien byłby takiej piękności, lecz czemuż mnie odpychacie od siebie, czemuż?

— Bo już kocham! —

Po cichu to powiedziała, ale bywają wyrazy, które każdy posłyszy, chociażby one wyszły z ust, jako nieme i bezszelestne tchnienie.

— Dziecię krnąbrne! — żachnął się król.

Ale królewicz wdał się w to.

— Tak nie mówcie, panie królu. Lepiej, że mi królewna, wyjawiając prawdę, zada śmierć, zamiast by mi miała przez milczenie zatruć życie.

Tymczasem miał grajek inne zdarzenie.

Uszczęśliwiony myślą o pięknej królewnie, uszczęśliwiony myślą o miłości, która serce jego, i jaźń i jestestwo ogarniała całe, legł wśród cienia leśnego na trawie i śnił. Wciąż o niej śnił, aż wreszcie zasnął z błogim uśmiechem na ustach, ocienionych delikatnie złocistym puszkiem. A wtedy śnił znowu.

Śnił, że z lasu wyszła rusałka i zbliżyła się doń bez szelestu, że się schyliła nad nim i pocałowała go. Wtem ocknął się, schwycił ją i powstrzymał.

— Puszczaj mnie! — zatrzepotała się.

A on na to:

— Dopiero, gdy spełnisz moje życzenie.

— A mianowicie?

— Uczyń mnie dostojnym, uczyń mnie bogatym, uczyń mnie księciem i królewiczem.

Rusałka smutnie potrząsła główką.

— Ażali nie jesteś szczęśliwy jako ten, którym jesteś?

— Owszem, — zawołał grajek, — ale właśnie dlatego; właśnie, że jestem szczęśliwy, pragnę być jeszcze szczęśliwszy, pragnę jeszcze więcej uszczęśliwiać.

— W jaki sposób zdoła uszczęśliwić godność i bogactwo? — zapytała rusałka.

— W jaki sposób zdoła uszczęśliwić ubóstwo i imię nieznane tego, co żył tak jak ona, jako królewna? — znowu on zapytał.

— Skoro się kocha...

— Nawet wtedy nie, gdy się kocha.

I rusałka musiała jego żądaniu zadość uczynić. Z westchnieniem i niechęcią rzekła:

— Obyś nigdy tego nie pożałował!

* * *

Wjeżdżał na wspaniałym koniu arabskim; w aksamitnej bekieszy, w strusich piórach na dumnym kołpaku, a za nim wjeżdżała dumna świta rycerzy i wasali.

Nowy książe się zjawił i prosił o rękę królewny.

Król przyjął obcego królewicza z otwartemi rękoma; zawołano królewnę.

Blada i skromna weszła do sali. Głęboko skłonili się rycerze, on zaś, królewicz, przybiegł do pięknej królewny.

— Zezwólcie — rzekł, — abym zgiął przed wami kolano, jako przed swoją królową.

— Powstańcie królewiczu, nie to miejsce wam się przynależy, albowiem nie mogę zostać waszą królową, moje serce oddałam komu innemu.

— Komu? — zapytał królewicz i nie wypuścił jej dłoni ze swej ręki i wciąż jeszcze przed nią klęczał.

— Grajkowi!

Królewicz się rozradował:

— Spojrz jeno na mnie, toć ja nim jestem, ja, twój grajek.

W nagłym przestrachu spojrzała na niego.

— Na Boga żywego, nie, och nie! Królewicz nie może być moim grajkiem. A jeśli wy nim w istocie jesteście, natenczas — biada ci, biedne ty serce moje — natenczas stracony już dla mnie mój grajek!

Daremne były prośby i groźby, daremne namowy i przedkładania.

Potrząsała tylko główką i łzy po licu jej spłynęły. — Już utraciłam mojego grajka. Żaden w świecie królewicz mi go nie zastąpi.

Wielką była jej boleść. Ale królewicz musiał się z tem pogodzić. Wszystko utracił, stracił szczęście, stracił miłość.

O, jakże często lepiej grajkowi niżeli takiemu królewiczowi. Czegożby on za to nie dał, gdyby choć na chwilę mógł być znowu grajkiem.

„Nie zginęła"..

Hej! nie zginęła Polska nasza cała,
Póki tchu w piersiach każdego Polaka,
Póki Krakowiak śpiewa Krakowiaka,
Liczba Jej synów wcale nie stopniała,
Lecz rośnie zawsze do wielkiej potęgi
Śród mniejszej braci wioskowej siermięgi.

I póki Wisła do morza hen płynie
Pomiędzy wioski, miasta i ugory,
Czy to wśród lepszej, czy to gorszej pory
I nigdy, nigdy od wieków nie ginie —
Dotąd też imię polskie słynąć będzie
Na polskiej ziemi, na tej polskiej grzędzie.

Hej! nie zginęła jeszcze polska mowa,
Choć ją wróg tłumi, kazi, poniewiera,
Lecz ona jakoś wcale nie umiera,
Jeszcze potężniej i czyściej się chowa —
To znak najlepszy, to proroctwa znamię,
Że kiedyś stanie przy ramieniu ramię...

Gdzie język ginie — tam ginie i naród;
Bo język kluczem każdego narodu,
Język spuścizną ojcowskiego rodu,
A gdzie on ginie — tam jest zguby zaród...
Przeklęty Polak, przeklęte to plemię,
Co gubi język i tę polską ziemię.

Jeszcze nam w sercach miłość nie wygasła
Ku tej Ojczyźnie złamanej swym bólem,
Za drogą Matką, za tym polskim królem...
W synowskiem sercu jeszcze bardziej wzrosła,
Gdy się syn patrzy na swej Matki smutek —
I to odniesie pożądany skutek...

Miłość Ojczyzny, to chluba Polaka;
I póki ona jeszcze w sercu gości,
Póki skra wiary, ducha waleczności
Otacza nimbem każdego rodaka —
Póty nam jeszcze wątpić się nie godzi,
Bo nasza Matka jeszcze synów rodzi...

Adam Jesionek.

PIŚMIENNICTWO LUDOWE.

Pomimo wezwań do pracy nad oświatą ludu, literatura ludowa leży dotychczas prawie odłogiem. Mamy wprawdzie arcydzieła o chłopie polskim, wnikające w jego najmniejsze drobiny życia codziennego, podchwytujące jego myśli i pragnienia, odzwierciedlające jego marzenia cele; mamy wiele dzieł traktujących o chłopie polskim, ale brak nam literatury prawdziwie ludowej. Powieści i nowele takich pisarzy jak Kazimierz Przerwa Tetmajer, Władysław Reymont, Edmund Zechenter i inni dają nam poznać wszechstronnie życie i dusze ludu wiejskiego, ale są to utwory pisane o chłopie, ale nie dla chłopa.

I jakiż tego powód?

Dwa są sprzeczne zdania pod tym względem: jedni twierdzą, że lud nasz doszedł już do tego stopnia oświaty, iż wszystko czytać może; inni, że najpierw trzeba przygotować grunt wśród tego ludu a dopiero potem dać mu do czytania to, co w literaturze naszej posiadamy.

Zdaniem naszem ani jedni, ani drudzy nie mają słuszności. Wprawdzie wielu z naszego ludu doszło już do tego stopnia oświaty, że może z pożytkiem czytać większość utworów naszej literatury, ale dla ogółu jest ona jeszcze nieprzystępna. Dla tego ogółu trzebaby stworzyć literaturę oddzielną, która byłaby niejako wstępem do literatury ogólnej.

Cóż na tem polu zrobiono?

Już wprawdzie za istnienia państwa polskiego zaczęto się tu i ówdzie zajmować chłopem polskim, ale była to praca oderwana, a przeto nie obfita w owoce. Ci, ktorzy podejmowali się pracy nad chłopem, nie znali go, a przeto nie mogli skutecznie pracować. Do zapoznania się z życiem ludu wiejskiego potrzeba było wiele pracy i podjęli jej się pierwsi *Adam Czarnocki* i *Oskar Kolberg*, gromadząc bogate materyały z zakresu życia ludu wiejskiego.

Za ich przykładem poszli inni i coraz więcej spotykamy utworów, przeznaczonych dla ludu wiejskiego. Ale były to maleńkie kropelki światła w oceanie ciemnoty.

W roku 1817 zaczęła wychodzić pierwsza gazetka, przeznaczona dla ludu wiejskiego p. t. *Gazeta wiejska*, redagowana przez ks. F. Grossa.

Jak nikłą była u nas oświata, można stąd wnioskować, że ta jedna jedyna gazetka ludowa zdołała się utrzymać zaledwie dwa lata: przestała wychodzić z powodu braku funduszów i... czytelników.

Dwadzieścia lat lud polski nie miał żadnej gazetki, aż w roku 1837, powstałe w Paryżu Towarzystwo demokratyczne, rozpoczęło wydawnictwo czasopisma p. t. *Lud polski*, które rozrzucało bezpłatnie pomiędzy lud. Od tego czasu ruch na polu litaratury ludowej staje się coraz żywszy. W trzeh dzielnicach zabiera się do pracy do niwie oświaty trzech działaczy: pod

zaborem pruskim *Karol Miarka*, w zaborze rosyjskim *Karol Prószyński*, (Promyk), w Galicyi *ks. Stanisław Stojałowski*. Każdy z nich idzie inną drogą, ale wszyscy dążą do jednego celu: do podniesienia ludu wiejskiego moralnie i materyalnie.

Karol Miarka założył w Mikutowie, na Śląsku, księgarnię, z której setki książek rozeszło się pomiędzy lud wiejski; Karol Prószyński rozpoczął wydawnictwo *Gazety Świątecznej*, liczącej dziś dziesiątki tysięcy czytelników; ks. Stanisław Stojałowski puścił w świat swojego *Wieńca-Pszczółkę*, które z biegiem lat zamieniły się na pismo wyłącznie polityczne.

Od tego czasu we wszystkich trzech zaborach powstają coraz to nowe wydawnictwa, z których jedne po krótkim żywocie przestały istnieć, inne dotrwały do dni dzisiejszych i liczą coraz większe rzesze czytelników.

Gazetki, przeznaczone dla ludu, w zaborach pruskim i rosyjskim, zatrzymały pierwotny swój cel i charakter oświecania ludu i podnoszenia go moralnie i materyalnie; gazetki, wychodzące w Galicyi, w znacznej mierze zatraciły dawny, piękny cel budzenia ducha uśpionych, a jęły się walk politycznych, przynosząc temsamem częstokroć więcej szkody, aniżeli pożytku.

Gazetki polityczne, rozrzucane szczodrą ręką przez agitatorów politycznych rugowały z pod strzech gazetki oświatowe, zajmując ich miejsce. Upadły tym sposobem gazetki oświatowe jak *Chata i Nowiny*, *Krakus*, *Niedziela*, a coraz bardziej rozpowszechniały się pisemka polityczne: *Wieniec-Pszczółka*, *Przyjaciel Ludu*, *Ojczyzna* i t. p.

Ale walka stronnicza zadowalała tylko niektórych, inni pragnęli oświaty, niezaprawionej waśnią społeczną. Ci albo nie czytali nic, albo z pism politycznych czytali to, co nic wspólnego z polityką nie miało. Tacy czytelnicy oglądali się za pismem, któreby im dawało zdrową strawę, niezaprawioną jadem nienawiści. Znaleźli ją przed kilku laty w *Roli*, do której zwrócili się z całem ukochaniem. Jak było potrzeba tej zdrowej oświaty szerokim rzeszom ludu wiejskiego, najlepszy dowód w tem, że żadna z gazetek ludowych nie skupiła w tak krótkim czasie tak wielkiej rzeszy czytelników, jak *Rola*.

Około *Roli* zaczęli się skupiać nietylko ci, których polityka nic nie obchodziła, ale nawet zawodowi politycy, którzy obok swej politycznej gazetki, chcieli mieć w swym domu pismo wyłącznie oświatowe.

Oprócz pragnących oświaty, skupili się około *Roli* i ci, którym Bóg nie poskąpił talentu, aby mogli dla swych współbraci owocnie pracować, a więc ludzie piszący dla ludu, i nasi poeci z pod słomianej strzechy.

Pracami swemi zasilali i zasilają *Rolę* przedewszystkiem ci „śpiewacy wiejscy“, których nie kształciły szkoły, dające wielką naukę, ale których Bóg obdarzył „iskrą świętą“, rzucającą swe promienie do serc bliźnich.

Jak Rey i Kochanowski są praojcami literatury polskiej, tak *Kuraś* i *Jantek z Bugaja* będą kiedyś praojcami literatury chłopskiej. Są oni bowiem i będą pierwszymi z pod słomianej strzechy, którzy utworami swymi wznieśli się wysoko ponad poziom zwykłych wierszorobów, a z pod których pióra wypłynęły niejednokrotnie prawdziwe perły poezyi polskiej.

Za nimi zerwało się wielu innych do lotu, z których w przyszłości może niejeden swym poprzednikom wyrówna. Siłą i pięknością wiersza zaznacza się młody jeszcze, bo niewiele więcej ponad dwadzieścia lat liczący *Robert Rydz* a w ślad za nim idą również młodzi, początkujący pisarze z wiejskich chat, jak *Wawrzyniec Pietrucha*, *Władysław Łukasik*, *Piotr Lipowiak*, *Walenty Pasierb*, *K. Polak*-Kapuściński i inni, a wszyscy mają to wspólnego, że za pióro chwytają jedynie w chwilach przerwy po ciężkiej pracy rolnej.

Z żalem zaznaczyć należy, że Józef Nocek, drukujący dawniej ładne poezye w pismach ludowych, obecnie drukuje tylko wiersze polityczne.

Rwą się ci „śpiewacy wiejscy" na szczyty, ale niestety, ciężka dola wytrąca im pióro z ręki i zmusza do twardej walki o chleb codzienny. Społeczeństwo zaś, zamiast podać im pomocną rękę, pozostaje głuche na ich szamotanie się ducha z ciężkim losem, i ledwo dopiero przed dwoma laty drogą ofiar zdobyło się na skromny dar w postaci zagrody włościańskiej dla Ferdynanda Kurasia, aby w ten sposób osłodzić mu nieco dolę.

A któż jest ten Ferdynand Kuraś i jakie jego życie?

Piękne jego utwory znamy i zachwycamy się ich pięknością, ale powinniśmy poznać bliżej także ich twórcę.

Niktby nie przypuszczał, czytając przepiękne utwory Kurasia, że poeta ten to ubogi szewc wiejski, dotknięty od dzieciństwa głuchotą, a wskutek tego prawie zupełnie pozbawiony mowy. Troska o liczną rodzinę i twarda praca nie odwodzi go jednak od wzlotów w krainę marzeń.

Poeta w liście do jednego z przyjaciół, tak opowiada szczegóły swego życia:

„Urodziłem się d. 22 lutego 1871 r. w Tarnobrzegu, w domku, położonym tuż przy kościele z cudownym obrazem Matki Boskiej, skąd można doskonale widzieć szeleszczącą srebrną wstęgę królowej rzek naszych. Gdy miałem lat siedm, zapisano mnie do szkoły w Sobowie. W pierwszym już roku dużo tam skorzystałem, ale gdy się zbliżał czas drugiego roku szkolnego, Panu Bogu podobało się mnie doświadczyć. Zachorowałem ciężko i to do tego stopnia, że wszyscy już zwątpili o mojem wyzdrowieniu. Ale łaska Boża dozwoliła mi powstać z łoża boleści. Powstałem, lecz ze słuchem mocno przytępionym, który począł stopniowo zamierać, aż wreszcie, po kilku miesiącach, zamarł zupełnie. Te-



UCZCZENIE CHŁOPA-POETY: Komitet ścisły. Siedzą od lewej ku prawej : L. Kuryłło, skarbnik, J. Słomka, wiceprezes, poeta Kuraś, mec. dr. A. Surowiecki i Z. Kolasiński, sekretarz.

raz dopiero poznawszy, jak mi smutno na świecie, począłem szukać pociechy w książkach, czytać i uczyć się.

Gdy miałem lat dziesięć, wyemigrowaliśmy do Królestwa za zarobkiem, gdzieśmy przebywali lat siedm. Nie miałem wtedy jeszcze dostatecznego pojęcia, co to jest Polska, a będąc zdala od stron rodzinnych, tęskniłem do nich, wyrażając swoją tęsknotę w czterowierszu:

„O rodzinna strono, com się zrodził w tobie! — dawny czas wesoły wspominając sobie — dniami i nocami o tobie wciąż myślę, jak ten stary oryl o swej lubej Wiśle".

Przytem spisywałem sobie piosenki narodowe, których się jeszcze w szkole nauczyłem. Ale pewnego razu wpadły te moje zapiski w oczy ojcu, który je wrzucił w ogień, skarciwszy mnie słowy:

— Ferdziu, żebyś mi nie pisał piosenek o Ojczyźnie, bo gdyby je znaleziono, tobyśmy wszyscy w areszcie siedzieli.

To spowodowało, żem się zacz wypytywać, dlaczego o tem pisać nie wolno, co to jest Polska i t. p. Bardzo mało mnie w tej mierze objaśnili, odsyłając do książek. Ale w Królestwie o takie książki bardzo trudno.

W Królestwie mieszkaliśmy w gubernii lubelskiej. Ja pracowałem przez parę lat jako robotnik w cukrowni. Tyle czasu minęło odtąd, jakeśmy do domu wrócili, mimo to nigdy nie zapomnę doznanych tam wrażeń. Ileż tam w polach, lasach i parowach krzyżyków mogilnych, znaczonych tylko datami roku. Spoczywają tam prochy obrońców Ojczyzny, w walce poległych. I rzecz dziwna. W stronach tamtejszych, na obszarze pięciu mil kwadratowych, szkół polskich nie było, a mimo to, gdy na której z mogił krzyżyk spróchniały upadł, już jakaś niewidzialna ręka zatknęła nowy, z tą samą datą. Lud tamtejszy wielkiem poszanowaniem te mogiły otacza.

Po siedmiu latach pobytu w Królestwie, wróciliśmy do domu. Cieszy-



UCZCZENIE CHŁOPA-POETY: Uroczystość wręczenia daru narodowego poecie Kurasiowi. Przemawia poseł sejmowy, J. E. Zdzisław hr. Tarnowski

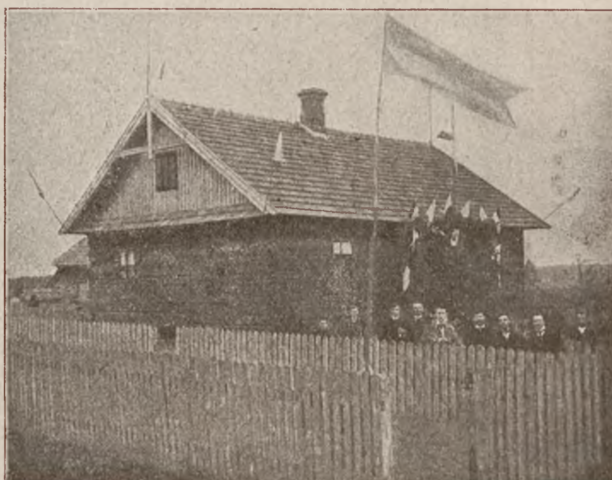
łem się bardzo, że przecież będę tu się mógł kształcić w historyi Polski; ale nadzieje narazie zawiodły, gdyż rodzice zaraz po powrocie oddali mnie do terminu, gdzie, będąc zupełnie opuszczonym, nie miałem żadnej sposobności książek się imać. Dopiero po czteroletniej praktyce zostałem uwolniony. W jakiś czas zaprenumerowałem jedno z pism ludowych, ale ponieważ mi nie wystarczało, więc sprowadzałem różne ludowe książki historyczne, za co gorzkie wymówki czynili mi rodzice, że będąc w takiej biedzie, grosz niepotrzebnie wyrzucam. Potem zwiedziłem Kraków i jego pamiątki narodowe. No i pokochałem Ojczyznę całą duszą".

Proste, skromne słowa — a jakaż w nich głębia wysiłków i rwania się na wyżyny. O jakiż wstyd powinien ogarniać tych, którzy i mienie i dostatki mają, a którzy stronią od książki!

W takich warunkach hartowała się dusza poety i wśród takich warunkówwy pływały przecudne piosenki.

Naród odczuł niedolę chłopa-poety:

Z inicyatywy szerokich kół włościaństwa powiatu tarnobrzeskiego, zawiązał się w Tarnobrzegu komitet obywatelski, który, pragnąc uczcić i wynagrodzić twórczą działalność Kurasia, oraz pragnąc poprawić ciężkie jego położenie życiowe, postanowił zająć się zebraniem daru narodowego. Protektorat przyjął hr. Stanisław Tarnowski, przewodniczącym został b. starosta tarnobrzeski, radca nam. p. Eugeniusz Swoboda, zastępcami przewodniczącego ks. dziekan Szczęsny Rudnicki z Wielowsi i wójt p. Jan Słomka z Dzikowa, wreszcie niezwykle ruchliwym sekretarzem nauczyciel p. Zygmunt Kolasiński, któremu przypada główna zasługa doprowadzenia do skutku tej pięknej myśli. Rozpoczęło się zbieranie składek, napływających obficie z Galicyi, z za kordonów, z Ameryki, a nawet z Syberyi i Egiptu. Członkowie komitetu i najbliższa okolica pierwsi pospieszyli z udziałem, zwłaszcza Stanisław hr. Tarnowski, Zdzisław hr. Tarnowski, tarnobrzeska Rada powiatowa i in. Komitetowi powiodło się wreszcie za uzbierany grosz, przy zaciągnięciu długu, nabyć grunt w Dzikowie i wybudować zagrodę, w której Kuraś będzie mógł dalej pracować piórem i na roli.



UCZCZENIE CHŁOPA-POETY: Zagroda włościańska w Dzikowie, ofiarowana Kurasiowi.

W dniu 11 września 1912 r. odbyła się w Dzikowie pod Tarnobrzegiem niezwykła uroczystość oddania daru narodowego w postaci zagrody włościańskiej Ferdynandowi Kurasiowi z Wielowsi.

Na uroczystość oddania zagrody poecie przybyli liczni goście z dalszych stron, dziennikarze, obywatelstwo z okolicy, oraz tłumy mieszkańców Tarnobrzega i Dzikowa. Przed południem

odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele OO. Dominikanów, odprawione przez księdza z Królestwa Polskiego. W prezbiteryum świątyni zasiedli poeta z rodziną, Zdzisław hr. Tarnowski z rodziną, Hieronim hr. Tarnowski, komitet obywatelski i goście. W czasie nabożeństwa odśpiewał szereg pieśni chór młodzieży akademickiej. Następnie o godzinie 2 po południu udano się powozami do Dzikowa, gdzie wiele domów przystrojono chorągiewkami



CZCZENIE CHŁOPA-POETY. Poeta Kuraś i Z. Kolasiński, sekretarz komitetu ścisłego.

o barwach narodowych, a samą zagrodę przybrano zielenią i chorągwiami, przed domem zaś ustawiono estradę, stół i kilkadziesiąt krzeseł. Gdy zebrani zajęli miejsca, rozpoczęła się uroczystość poświęceniem, którego dokonał ks. dziekan Rudnicki, otwierając następnie szereg przemówień skreśleniem sposobu, w jaki powstał ów dar dla chłopa-poety; zakończył złożeniem życzeń i odczytaniem błogosławieństwa pasterskiego, przesłanego dla jubilata przez ks. biskupa Pelczara. Po odśpiewaniu przez chór kantaty, zabrał głos poseł sejmowy, Zdzisław hr. Tarnowski, aby w ciepłych słowach życzyć włościaninowi-poecie szczęśliwej pracy w nowej siedzibie. W imieniu Rady pow. przemawiał p. Zbigniew Horodyński, marszałek powiatu. W imieniu włościan z Wielowsi, gdzie Kuraś dotychczas mieszkał, żegnał go i składał mu życzenia włościanin Waleryan Wryk, imieniem Dzikowa, w którym znajduje się zagroda, witał poetę Jan Słomka, wójt dzikowski, autor głośnych pamiętników, w imieniu wzruszonego Kurasia dziękował p. Zygmunt Kolasiński, sekretarz komitetu, odczytując podziękowanie, przez głuchoniemego poetę skreślone. Odczytał też telegramy, które nadeszły licznie ze wszystkich stron. Oprócz wspomnianego pisma ks. biskupa Pelczara, przesłali telegramy: ks. arcybiskup Bilczewski, Stanisław hr. Tarnowski, minister Biliński, marszałek kraj. hr. Gołuchowski, wiceprezydent Rady szkolnej dr. Dembowski, prezydent dr. Leo, Macierz polska, Ossolineum, ks. Andrzej Lubomirski, Jan Kasprowicz, Antoni Małecki, A. Krechowiecki, L. Finkel, L. Rydel, El. (Laskowski), Władysław Bełza, Tow. Szkoły ludowej, Tow. Oświaty ludowej, Tow. Dziennikarzy polskich, Tow. Kółek rolniczych, Związek Tow. „Sokół", Związek Podhalan, S. Matusiak, W. Kętrzyński, W. Hahn, posłowie: E. Bandrowski, T. Merunowicz, A. Cielecki, C. Haller, E. Zieleniewski, W. Dębski, Reprezentacya m. Nowego Targu, b. posłowie Fr. Wójcik, T. Buynowski i H. Wielowieyski, redakcye pism kraj., przyjaciele poety i in.

Przebieg uroczystości świadczył o sympatyi, jaką cieszy cię wśród współobywateli obdarowany rolnik-poeta.

Skromny to dar, bardzo skromny, ale przecież dający choć dach własny nad głową ukochanego poety.

Ale to powinien być dopiero początek, jaki zrobiło społeczeństwo dla „śpiewaków wiejskich". Boć przecie i inni nie bogacze. Taki naprzykład *Jantek*

z Bugaja toć biedny chłopina, który ma prócz „umiłowanej Magdusi“, ledwo małe kawałątko ziemi i dziatek kilkoro; a inni, którzy swe skrzydła dopiero rozwijają? Oto *Rydz* ani chaty, ani ziemi nie posiada, *Pietrucha* biedne chłopię wiejskie, *Pasierb* — pisze lewą ręką, gdyż prawą ma sparaliżowaną.

Nie piszemy tego dlatego, aby poddawać myśl tworzenia jakichś instytucyi dobroczynnych, ale społeczeństwo powinno znaleźć przynajmniej środki, aby przez zbiorowe wydawnictwa ich prac zachęcić ich do dalszej działalności.

Dla uzupełnienia całości wartałoby jeszcze pomówić o tych, którzy, nie żyją wprawdzie pod słomianą strzechą, ale wszystkie swe utwory dla ludu wiejskiego poświęcają, jak Obrochta, Ks. Wieczorek, Korczak, Sioło, Jesionek. Kobylański, Jarmuła, Tryczyński, Mikoś, Prajerówna, Szybowiczówna i inni znani i nieznani naszym czytelnikom,

Antoni St. Bassara.

Ranek na wsi.

Zaśpiewał skowronek
Dźwięcznie z pod błękitu,
Wtóruje mu dzwonek
Z kościelnego szczytu.

I drży pieśń nad wioską:
Budźcie się wieśniacy
Sławić wszechmoc Boską,
Podążać do pracy.

A wśród szarej wioski
Lud zmawia pacierze
I raźno, bez troski
Do pracy się bierze.

Zorza świtająca
Rumieni niebiosa,
Po polu błyszcząca
Rozsiała się rosa.

Unoszą się mgliste
Chmurki po nad tonią
Rzeczną, tchną kwieciste
Łąki cudną wonią.

A po łanie żyta
Mkną piosnek odgłosy,
Sierp brzęczy i zgrzyta
I dzwonią w takt kosy...

O chwałaż Ci Panie,
Za hejnał ten dzwonka,
Za dźwięczne śpiewanie
Małego skowronka;

Za złotą tę zorzę,
Co tak wschód ubrała,
Za wszystko, mój Boże,
Chwałaż Tobie Chwała!

Ferdynand Kuraś.

Ku rodzinnej ziemi!

Pożegnałem ojców łany,
Opuściłem domek mój
I ruszyłem w świat nieznany,
W świat daleki, przez trud, znój.

Kraj tu inny za morzami,
Wolne życie, wolny ruch —
Kraj nie skuty kajdanami —
Jednak smutny tu mój duch.

Ku ojczystej, lubej stronie,
Gdzie choć w znoju trzeba trwać,
Myśl powrotu żądzą płonie —
Tam bym z wichrem pragnął gnać!

Ziemio moja mazowiecka!
Ziemio krzyżów, znojnych pól,
Słyszysz żale swego dziecka,
Mój serdeczny czujesz ból?

Słyszysz skargi, co z lekkiemi
Płyną wiatry w strony twe?
O, od swojej zdala ziemi
Łzawe, tęskne życie me.

Tam w ojczyźnie żyłem znojem,
Tu wspomnieniem żyję tem,
Żeś ty, Polsko, krajem moim,
Że ja dzieckiem jestem twem.

I ucieka hen za morze
Myśl stęskniona w każden czas,
Tam, gdziem pierwszą ujrzał zorzę —
Ku tej ziemi pełnej kras...

Losie, który mię w żałobie
Trzymasz zdala od swych zórz,
Gdy mi przyjdzie spocząć w grobie —
W mej me szczątki ziemi złóż!

Ferdynand Kuraś.

Ostatnie chwile.



Leży bezsilna i blada, już się konanie zaczyna... Choć dziatek przy niej gromada, ostatnia idzie godzina!

Choć jeszcze życie w niej błyska, na dziatki choć patrzy mile, odejdzie z swego ogniska, by w zimnej spocząć mogile!...

Wkrótce konanie się zacznie: zamkną się chorej powieki. Mąż łamie ręce rozpacznie, boć żegnać musi na wieki!

Czy wiecie, co miłość znaczy, gdy łączy na śmierć i życie? Czy znacie ogrom rozpaczy, gdy żegnać przyjdzie, czy wiecie?

Gdy duszą cios ten zatarga, jak wielki ból tam być może, jak wielka popłynąć skarga do tronu Twego, o Boże!....

Chora z ostatka sił spada, z ócz płyną blaski ostatnie tam, kędy dziatek gromada, póki śmierć kosą nie zatnie...

Ostatnia idzie godzina... Już wszystko dla niej za progiem, już się konanie zaczyna i wkrótce stanie przed Bogiem, a jeszcze myślami leci do męża, co jej był bratem, do drobnych sierotek-dzieci, nim się pożegna ze światem...

Ostatkiem żegna ich myśli, do piersi tuli maleństwo, na główkach krzyże ich kreśli i daje błogosławieństwo.

A kiedy już do stóp Pana jej dusza jasna wzleci, to znów padnie na kolana i błagać będzie za dzieci. A prośby jej Bóg wysłucha i zleci aniołek złoty tam, gdzie dziś rozpacz jest głucha, aby pocieszyć sieroty....

I znowu uśmiech zaświta na licach, z których łzy płyną, kiedy aniołek zawita do ciebie, biedna dziecino!

Antoni St. Bassara.

W DZIEŃ ZADUSZNY.

(OPOWIEŚĆ Z ŻYCIA RYBAKÓW).

W niskiej izbie panuje ponury zmrok późnej jesieni. A cicho tam, jak na cmentarzu. Tylko stary zegar na ścianie skrzypi wahadłem i robak drzewny piłuje głośno starą belkę.

Na dworze wicher pędzi po wybrzeżu i przynosi głuchą pieśń, jakby z dalekiego świata, do cichej izby — pieśń fali morskiej.

— Zapal światło, chcę dokończyć sieci...

— Zaraz...

I stara kobieta sięga po blaszaną lampkę olejną i zbliża się do ogniska. Suchą drzazgą szuka płomienia wśród popiołu i pozostałego żaru i w chwilę później oświeca migotliwe światełko cichą izbę.

Płomyczek rzuca blade promienie na śnieżno-białe włosy starego człowieka i na cierpieniem pooraną twarz starej kobiety na ławce przed kominkiem.

— A o świecy na niego... dla naszego chłopca, nie zapomniałaś?

— Nie. Już od półgodziny się pali! Jakżebym miała zapomnieć? Toż jutro dzień zaduszny!

— Tak, dzień zaduszny... Jutro rok, jak nam przyniesiono wiadomość... od której pobielały włosy przed czasem.

— Jutro rok, jak nam powiedziano, że jego okręt zatonął!... I tak długo już leży on w głębiach zdradliwego morza, które przecież tak kochał nasz Grzesio, nasz jedynak!

— I nigdy już nie wróci!...

— Morze jest okrutne! Nie puszcza swej ofiary...

— Oj! trzyma ją mocno mokremi ramionami...

Jednego tylko pragnęłabym jeszcze. Oto, módz ozdabiać grób jego!

Bolesne westchnienie drży na ustach starej kobiety.

— A... jutro dzień zaduszny!...

Więcej nie mówi siwowłosy człowiek, tylko twarz jego pochyla się nad toczoną przez robaki płytą stołu. Nikt nie ma widzieć łzy jego, ani żona nawet.

A zegar jęczy i robak piłuje stare drzewo, wicher szumi na wybrzeżu i morze śpiewa swą pieśń ponurą... O! to morze!...

Płomień lampki porusza się niespokojnie. To powiew od drzwi musnął go.

Na wydeptanym progu stoi blade dziewczę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — mówi, składając na ławie dwa wieńce z mchu i liści leśnych.

— Nie jesteście na wybrzeżu, matko!

— Mgła wieczorna leży na morzu, a wicher dmie na brzegu, moje dziecko. Jutro pójdę.

— I ja pójdę z wami... Jutro przecież dzień zaduszny i przyniosłam tu wieńce... dla niego, dla mego Grzesia umarłego.

Niemal z czułością gładzą spracowane ręce dziewczęcia przyniesione wieńce.

— Dobre z ciebie dziewczę, Basiu. Niech cię Bóg błogosławi! Ach! gdyby Grzesio mógł wrócić i wynagrodzić twoją wierność dla niego!...

Grzesio nie żyje, matko. Morze już nam go nie odda — mówi dziewczę smutno.

— Nie, Basiu, już nam go nie odda... nigdy...

— Ten wieniec, matko, zaniesiemy jutro na wybrzeże i damy go morzu. Tym tutaj zaś ozdobimy opuszczony grób jakiego rozbitka. Toż ich dosyć spoczywa na naszym cmentarzu! Pomyślimy wtenczas, że to grób Grzesia.

— A teraz pomodlimy się za niego. Basiu, zacznij różaniec za dusze zmarłych.

I modlą się, a modlitwa przynosi ulgę sercu i koi boleść.

— Który za nas niosłeś krzyż ciężki... modli się dziewczę. I wszystko troje postanawia w tej chwili nieść swój krzyż z pokorą.

— Któryś za nas został ukrzyżowany...

W wiosce nadbrzeżnej budzi się życie. Okręt przybił do brzegu i ludzie biegną nad morze.

W chacie rybaka tego nie słyszą.

— Wieczny odpoczynek racz im dać Panie... — modlą się dalej.

— A światłość wiekuista niech mu...

W tej chwili drzwi otwierają się z hałasem.

Wysoki, brodaty marynarz wpada do izby. Mgła morska pokryła kroplami brodę i włosy. Także w oczach jego błyszczą krople, lecz inne.

— Matko! Ojcze! Oto jestem znowu! Wasz Grzesio powrócił!

Za nim cisną się postacie ogorzałe rybaków wioski.

— Tak jest — wołają głosy. Wtenczas zaszła pomyłka z wiadomością o zatonięciu jego okrętu!

Starzy stoją jak wryci. Radość niespodziewana odebrała im mowę.

— Ach! i ty tutaj, Basiu moja! Więc pozostałaś mi wierną?

— Tak, Grzesiu, jestem tą samą i byłabym ci została wierną, choćbyś już nie był powrócił więcej!

— A te wieńce?...

— To na twoją pamiątkę... Jutro przecież dzień zaduszny...

— Tak, dzień zaduszny... Modlić się będziemy za tych, którzy już więcej nie powrócili. Sami zaś podziękujmy Bogu za życie i cieszmy się niem wspólnie.

Z DUSZY.

Czasem myśl mi jaka wpadnie
W moje czoło, potem zlane,
Że wyleci piosnką składnie
Za czemś takiem, co kochané.

Co to niby, jak w kościele,
Coś się w sercu tak poruszy,
Że aż słychać westchnień wiele —
Ludzie mówią, że to z duszy.

A gdy nieraz słonko wschodzi
I nad wioską naszą świeci,
Znów się ta myśl w duszy rodzi
I piosenka z ust wyleci.

Albo kiedy w polu orzę,
A pług ciągną siwe konie,
Ja już jakąś piosnkę złożę,
Choć przy pługu moje dłonie.

Nieraz w domu mej gosposi
Taką pieśnią bawić uszy;
Ona sama mię poprosi,
Bym zaśpiewał jej coś z duszy.

Wojtek z Rzędzina

RZEŹ NA PRADZE.

Straszliwy popłoch zapanował w Warszawie na wieść o maciejowickim pogromie i o wzięciu do niewoli naczelnika Kościuszki. Ludzie — jak opowiada naoczny świadek tych czasów — chodzili jak obłąkani, jedni oddawali się czarnej rozpaczy, wielu odebrało sobie życie, inni płakali i przeklinali w głos.

W pierwszej chwili ktoś nieopatrzny rzucił myśl: „odbić Naczelnika!“ I rzeczywiście kilkanaście tysięcy rzemieślników wysypało się na to hasło, zamierzając puścić się z gołemi rękami w pogoń za dowódcą rosyjskim Fersenem, by wydobyć Kościuszkę z rąk Moskali. Generał Zajączek z trudem zaledwie zdołał wytłumaczyć ludowi niedorzeczność tego planu.

Zwolna uspokajały się umysły. Rada najwyższa postanowiła zająć się obroną Warszawy, ku której zbliżały się dwa potężne korpusy rosyjskie, dowodzone przez Suwarowa i Fersena. Naczelnym wodzem został mianowany generał Tomasz Wawrzecki, człowiek osobiście waleczny, nie mający jednak takiej powagi ani takich zdolności, jak Kościuszko.

Wojsko polskie ściągało się ze wszech stron pod obronne szańce Warszawy. Przybyli Mokronowski, Jasiński i Tadeusz Korsak z resztkami armii litewskiej, ciągnęli także Dąbrowski i Madaliński, którzy musieli poniechać kampanii, tak pomyślnie w Wielkopolsce rozpoczętej, by iść w pomoc zagrożonej stolicy. Na gwałt wzmacniano forty Pragi, położonej na prawym brzegu Wisły naprzeciw Warszawy i osadzono je załogą, złożoną z 10.000 żołnierza. Dowództwo nad szańcami Pragi objął generał Zajączek.

Jednak duch, tak w wojsku, jak i między ludnością stanowczo podupadł. Nie było już tego zapału i ochoty, jak w czasie pierwszego oblężenia za Kościuszki, żołnierz spełniał wprawdzie swe obowiązki bez szemrania, jednak czynił to jakby z musu. Natomiast dowódcy nie tracili otuchy. Generałowie Zajączek i Jasiński byli zdania, że w okopach praskich należy wziąć odwet za pogrom maciejowicki.

Z końcem października armia rosyjska, licząca 40.000 żołnierzy, pod naczelnem dowództwem dzikiego i okrutnego Suwarowa, stanęła pod szańcami Pragi. Wódz rosyjski wiedział, że dobrze sobie zęby nadweręży, zanim weźmie przedmieście, opatrzone jeszcze przez Kościuszkę umiejętnie sypanemi redutami i lunetami. Dnia 29 października przyszło do pierwszego starcia, zaś 3 listopada 180 dział rosyjskich ozwało się ponurym basem, zasypując szańce gradem żelaza, odpowiedziały im armaty polskie z okopów Pragi. Po dwugodzinnej kanonadzie działa umilkły, żołnierze rosyjscy gotowali się do jutrzejszego szturmu.

Nazajutrz kanonada wzmogła się, piechota rosyjska ruszyła do ataku. Wiódł ją sam Suwarów, idący pieszo na czele sybirskiego pułku.

Przy armatach polskich czuwał generał Jasiński. Kierował i nastawiał działa, zachęcał kanonierów i paszcze armat grzmiały bez ustanku, niosąc

śmierć i zniszczenie w zbite kolumny rosyjskiego wojska. Pod tym piekielnym ogniem marły całe pułki, lecz Suwarów, nieprzyzwyczajony do oszczędzania ludzi, brygadę za brygadą, dywizyę za dywizyą rzucał w ogień.

A spite żołdactwo lazło jak bezmyślne bydło pod nóż rzeźnika. Kule kładły ich całymi szeregami, a oni, brnąc po trupach towarzyszy, darli się ku wałom. W końcu doszli i z bagnetem w ręku uderzyli na okopy.

Zawrzał bój straszny, bezpamiętny, jakiego dzieje nie zapisały. Żołnierz polski widział, że musi zginąć lub zwyciężyć, gdyż dzicz azyatycka nie dawała pardonu, więc bronił się z całą zapamiętałością. Przykład dawali mu dowódcy, walczący z karabinem w ręku na czele swych szyków.

Drewniane domki Pragi buchnęły płomieniem. To kozacy Tołstoja, na rozkaz Suwarowa, podpalili je z 4 stron i rzucili się na bezbronną ludność przedmieścia. Rozpoczęły się iście dantejskie sceny. W okopach padli już waleczni Jakób Jasiński i Tadeusz Korsak — garść polskiego żołnierza, nie mogąc stawić skutecznego oporu przeważnym siłom rosyjskim, z Zajączkiem na czele, zrejterowała za Wisłę do Warszawy — rozjuszeni sołdaci docinali na wałach resztki polskiego wojska, które nie zdołały przebić się przez rosyjskie kolumny.

Przy wejściu na most padł dzielny generał Jerzy Grabowski, osłaniający rejteradę.

Teraz Suwarow dał hasło do rabunku i ogólnej rzezi. Rozbestwiony żołnierz rosyjski wycinał w pień nieszczęsną ludność Pragi. Kozacy chwytali dzieci na spisy i podrzucali je jak piłki, wywlekano kobiety, ucinano im piersi, nie przebaczano nawet starcom i niemowlętom. Prawie 15.000 osób zginęło w tej rzezi, Wisła spłynęła krwią, z nieszczęsnej Pragi nie pozostał kamień na kamieniu.

Z przeciwnego brzegu Wisły patrzyła na te mordy Warszawa, oniemiała z przerażenia, niezdolna do niesienia pomocy nieszczęśliwym. Suwarow wezwał Warszawę do natychmiastowego poddania się, grożąc, że w razie odmowy zgotuje jej los Pragi. Okrucieństwo wodza rosyjskiego obezwładniło mieszkańców — nikt nie myślał o oporze, trwoga ogarnęła nawet najśmielsze umysły — każdy usiłował ratować życie. Suwarow nie chciał traktować z buntowniczym — według jego zdania — polskim rządem. Smutną rolę pośrednika pokojowego wziął na siebie magistrat zagrożonego zbombardowaniem miasta. Obustronne warunki kapitulacyi podpisano w dniu 6-go listopada 1794 r.

W myśl tych warunków wojsko polskie opuściło stolicę z bronią i armatami, zaś w kilka godzin po jego wyjściu, przy odgłosie trąb i bębnów i radośnie grających muzyk, wkroczyli do Warszawy Moskale.

Tadeusz Zubrzycki.

KIEDYŻ ZABŁYŚNIE?

Kiedyż zabłyśnie, kiedyż zaświeci?
Gwiazda nad krajem znękanem,
Którego srodze wróg dręczy, gniecie,
Ujarzmił cieżkim kajdanem?

Kiedyż swe orzeł rozpostrze skrzydła,
W górę wysoko się wzniesie?
Kiedyż swe szpony z więzów rozsidła,
Po kraju radość rozniesie?

Kiedyż Ojczyzna przerwie te pęta?
Dziatwę do łona przygarnie?
Radaby czuwać ta Matka święta,
By nie ginęły tak marnie!

Wcześniej czy później lepszej przyszłości
Bóg łaskaw dożyć pozwoli,
Bo Panna święta błaga litości
Nad ludem Polskiem w niewoli!

Gdy niebo łuna zakryje krwawa,
Gdy będziem w sile mężnymi,
To księztwa Poznań, Kraków, Warszawa
Będą po wieki wolnymi.

Walenty Miśniak.

Święto klonu w Kanadzie.

Z amerykańskich gatunków klonu najważniejszym jest klon cukrowy, rosnący w Ameryce północnej i bardzo podobny do klonu naszego. Drzewo to, na 15 do 30 metrów wysokie, z bogatą i piękną koroną, rośnie na wzgórzach i dolinach górskich, na brzegach rzek i jezior w Kanadzie, Pensylwanii, Marylandzie, tworząc tam całe lasy. Przez nawiercenie pnia lub konarów, wypływa z niego słodki sok, z którego przez odpowiednią przeróbkę, wytwarzają na wielką skalę t. zw. cukier klonowy, barwy białej. Jedno drzewo może średnio dostarczyć do sześciu funtów cukru. Również soku cukrowego dostarczają inne gatunki klonu amerykańskiego, więc klon czerwony, klon czarny, klon kosmato-owocowy, oraz jasioklon.

Cukier klonu jest niemniej dobry, jak otrzymywany z trzciny cukrowej. Wyrób tego produktu stanowi w Ameryce północnej ważną gałąź przemysłu. Wydobywanie soku cukrowego z drzew wspomnianych kończy się uroczystością, zwaną tam ,,świętem klonu". Pewien podróżnik tak opisuje ten ciekawy obchód:

W olbrzymich lasach Kanady z wysokopiennych klonów przestaje płynąć słodki sok. Czas zbioru płynnego cukru skończony. Robotnicy zawieszają nad przygasłemi ogniskami kilkanaście kotłów, napełnionych jasnym, przeźroczystym płynem i wysyłają z lasu



Uroczystość w Kanadzie.

do farm gońców, którzy, oznajmiając o ukończeniu pracy, zapraszają na uroczystość. Wołają oni:

— Hej! zbierajcie u Vadeboucoeura, u Ladouceurea, u Lereillea.

Są to nazwiska właścicieli obszarów, porosłych cukrodajnemi klonami.

Nazajutrz wczesnym rankiem mie-

szkańcy farm wybierają się do lasu, na obchód „święta klonu“.

Przed domkami drewnianymi, pomalowanymi na biało, kremowo, różowo lub czekoladowo, powznoszonymi wśród dziedzińców, ogrodzonych płotami z żerdzi i wysadzonych jabłoniami, oczekują sanie. Sanie lekkie, spacerowe, zaprzężone w małego kanadyjskiego konika, szybkiego jednak, silnego i zwinnego, są przeznaczone dla samego farmera, jego żony i tych nieletnich dzieci, które jeszcze dobrze chodzić nie potrafią. Do sań wielkich, ciężkich, zaprzężonych parą koni roboczych, siada dorosła młodzież, chłopcy i dziewczęta, śmiejąc się, tłocząc, figlując; to synowie i córki farmerów oraz ich służba. Farmer, umieściwszy się w saniach, trzaska z bicza, konie podnoszą łby, wstrząsają nimi, machają ogonami, ruszają z miejsca dziarsko i mkną po miękim, wilgotnym śniegu, przy odgłosach trąbek, w które dmie młodzież, na miejsce, gdzie z klonów zbiera się sok cukrowy, którego tego rana ostatki do kotłów spłynęły.

Droga biegnie lasem. Na odgłos trąb, śpiewów, okrzyków i śmiechów młodzieży, przybywają farmerzy z sąsiedztwa, również w sankach i również ochoczo.

A tymczasem robotnicy na miejscu mieszają w kotłach jasny, przeźroczysty płyn, który, parując pod wpływem ognia, gęstnieje, zmieniając się w złocisty, wonny, przedziwnego smaku syrop; inni zaś przygotowują jadło; nie brak też grajków, słynnych na okolicę: ci stroją skrzypce, próbują kobz, fletów i trąbek.

Z chwilą przybycia farmerów z gośćmi, rozpoczyna się ożywiony festyn: brzmi muzyka, wygrywając odwieczne melodye francuskie, młodzież hasa zamaszyście po śniegu, odzywają się też piosnki, również przypominające zgromadzonym kraj ojczysty, który kochają całem sercem, chociaż Francyę znają tylko z opowiadań ojców lub dziadów, co stamtąd za ocean, do Kanady francuskiej przyciągnęli i tu już nazawsze osiedli.

Gdy tanecznicy się zmęczą, żona farmera zaprasza do stołów. Utworzone są z desek, poukładanych na wywróconych wiadrach. Na tych stołach pierwotnych widnieją półmiski z kory brzozowej, a na nich piętrzą się stosy przyrumienionych omletów i małych, okrągłych ciasteczek. Przysmaki te, polane obficie roztopionem masłem, biesiadnicy maczają w syropie klonowym i spożywają ze smakiem, zapijają herbatą, dostarczaną przez ogromne, buchające parą samowary, a osłodzoną również syropem klonowym.

Po posiłku znów następują tańce, potem znów zasiadają do stołów. Z nadejściem wieczora, gdy ukośne promienie słońca rzucą na śnieg fantastycznie wydłużone cienie klonów, odbywa się ostatni posiłek, a następnie dobrze już zmęczeni biesiadnicy siadają na sanie i wracają skrajem lasu do farm. Teraz już nie słychać śmiechów, krzyków ani grania trąbek, natomiast wznoszą się pod niebo, roziskrzone gwiazdami, odgłosy starodawnych pieśni francuskich, smętnych, tęsknych, poważnych.

SONET ZIMOWY.

Już białe ptaki śniegu, cicho, lecą... lecą...
I kryją ziemię miękką, puszystą osłoną, —
A oto w białem morzu, wsie i miasta toną...
I, tylko wieczorami mdłe światełka świecą.

Igrają małe płatki i lekko się kładą...
Jak białe, nieskalane, puchowe okrycie, —
Lecz, pod tą martwą bielą wre i kipi życie...
Czekając zmartwychwstania, w wiośnie nocą bladą.

Światy roślin, owadów czekają z tęsknotą. .
Kiedy się już uchyli śnieżysta osłona
I ożywcze promienie dotrą ziemi łona?

Kiedy się tchnienie wiosny z wichrem zimy splotą,
I po walce zaciętej wicher zimy w dal spłynie....
Aż gdzieś, w północnych lodach rozwieje się... [zginie...?

Stefania Szybowiczówna.

ZE WSPOMNIEŃ RORATNICH.

NOWELA.

Było to w ostatnią niedzielę listopada. Po skończonej naradzie u naczelnika gminy, Jana Dąbrowskiego, gospodarze poczęli się rozchodzić do domów, a w jasno oświetlonej izbie pozostała tylko najbliższa rodzina młodego wójta.

Przy piecu, na niskiej ławeczce, usiadł Andrzej Półtorak i bawił się z czteroletnią wnuczką, Zosią, która uchwyciwszy rączkami uszy od butów dziadka, ciągnęła go na środek izby, szczebiocąc do broniącego się staruszka.

— Wio! dziadziu, wio!

Za stołem, odmawiając rożaniec, spoczęła Tekla, żona Andrzeja i przygasłym wzrokiem, z uśmiechem na ustach, przyglądała się swawolnej wnuczce — po pokoju zaś krzątała się Marya, córka Półtoraków i upominała Zosię, by dziadka przestała męczyć.

W tem drzwi się otwarły i wszedł do izby Jan Dąbrowski. Rzuciwszy okiem po rodzinie, odezwał się do Andrzeja:

— Krzyż pański z tem wójtostwem, nigdy na jedno zgodzić się nie możemy. Miałem najlepsze zamiary, wiem, żeby gmina na tej uchwale wiele zyskała, bo mielibyśmy wygodny dojazd do kościoła; mówiłem już z inżynierem, który mi przyrzekł, że zrówna brzegi Raby, poprowadzi śluzę i kamienną tamę od wału do wału, a wówczas będzie się można dostać i wozem na drugą stronę, a nie zawsze się topić w wodzie i mule. Przyrzekł mi to, ale pod warunkiem, że gmina da robociznę. Zwołałem radę — tymczasem, dzięki kilku wichrzycielom, wszystko przepadło!

— E! dziś wszyscy chcą rządzić, a nikt słuchać nie chce — potwierdził Andrzej. Dlatego, że ty to chcesz, inni na miejscu się temu sprzeciwią, choć niejeden widzi, żeby to było z pożytkiem dla gminy! Dawniej, kiedy ja byłem wójtem, inaczej bywało: jedna myśl w gminie i zgoda we wszystkiem! Prawda, mało się robiło, bośmy nie mieli tyle sposobności, co wy dzisiaj. Dziś rząd przychodzi z pomocą, Wydział krajowy wsią się interesuje — cóż z tego? kiedy w gminie niema zgody, jedności, a wielu z radnych nie może pojąć własnych korzyści.

— Tak, tak, dziadku! Na moje wywody wielu odpowiedziało: Dawniej przekopu, kanałów, drogi nie było, a ojcowie nasi żyli i dobrze im było, to się i teraz bez tego obejdzie...

— Na naradzie im dobrze — wmieszała się w rozmowę Marya — ale, gdy idą do kościoła lub na jarmark, a błoto po kolana, to każdy się skarży, że to wójt winien i niejeden, nie mogąc iść dalej, z połowy drogi do domu się wraca. Ciekawam, jak jutro pójdą na roraty!

— Prawda! jutro pierwsze roraty — wykrzyknął Andrzej z zapałem i porwał się raźno ze stołka, że o mało nie wywrócił Zosi. Kto pójdzie, niech idzie, jak chce, ja pójdę z pewnością! Od niepamiętnych czasów postanowiłem sobie, że na pierwszych roratach zawsze będę, to i jutro pójdę — może już raz ostatni...

— Jędrek! ty nie zajdziesz, droga zła, śnieg zaczyna znowu prószyć — przekonywała Tekla męża.

— Cobym nie zaszedł? Już nie tak bywało, a zawsze dochowywałem przyrzeczenia Panu Bogu!

— Tata słabi, jakże pójdziecie? a końmi się nie da zajechać, bo Raba zamarzła — prosiła Marya.

— Do Bozi daleko, mama z tatą pójdą, a dziadziu z babcią przy Zosi zostanie...

— Nie! Dziadziu pójdzie i Zosi cukierków od Bozi przyniesie — uspokajał Andrzej wnuczkę.

— A to niech już idzie, ale niech wnet wróci i dużo przyniesie — dopominało się dziecko.

— Przygotujcie mi latarkę, z którąm tyle lat na roraty chodził, opatrzcie buty i nowy kożuch — da Bóg, wstanę wcześniej, wyjdę przed innymi, to jakoś pomału do kościoła na szóstą godzinę zaciągnę...

— A za cóżto dziadku, ten ślub złożyliście P. Bogu, by być zawsze na pierwszych roratach i tak tego przyrzeczenia przestrzegacie? — zapytał Dąbrowski, przygotowując potrzebne rzeczy Andrzejowi do jutrzejszej podróży.

— Dawne to są dzieje — odrzekł zapytany i usiadł na stołku — a jednak dreszcz mię przejmuje na wspomnienie tej chwili, kiedym ślub mój składał. Miałem wtedy pewnie lat trzydzieści, a było to w czasach, kiedy ze wsi leżących nad Wisłą, przemycano do Królestwa Polskiego wódkę, tabakę, tytoń, drogie materye. Bieda była wszędzie, a jeżeli który z gospodarzy miał się lepiej, zawdzięczał to przemytnictwu. Raz dobrze zarobił, dziesięć razy stracił z kretesem, schwytany z towarem przez straże rosyjskie.

Gdym się ożenił z waszą babką, mieliśmy ośm szóstek, trzynaście „łupaków“ miedzianych i dwadzieścia palców u rąk. Nie było z czego żyć, zarobek we dworze na wikt nie wystarczał. Lecz młodość ma swoje przywileje, nie łatwo się poddaje rozpaczy i biedzie. Słynąłem na okolice ze siły, byłem zawołanym nurkiem, przytomność umysłu i odwagę posiadałem za dwudziestu, a przytem lubiłem przygody, truło mię życie spokojne — zostałem więc przemytnikiem, ba! niedługo wybrali mię naczelnikiem moi towarzysze.

Godność naczelnika kłusowników polegała na tem, że stałem się odpowiedzialnym za towary i życie kolegów, ja zawierałem kontrakty z jedną i drugą stroną, prowadziłem wyprawy, a wrazie potrzeby byłem wodzem w potyczkach z kozakami. Wkrótce tym ostatnim dałem się we znaki. Słowo „Półtorak“ było postrachem strażników, wieść puszczona przez mieszkańców Królestwa, że Półtorak wiezie kontrabandę, spędzała ze strażnic pojedynczych Kozaków, a wówczas komenda pobliskich miasteczek wysyłała nad granice pomnożone patrole. Rozprawy te były zwykle krwawe, a kończyły się rozmaicie. Mnie szczęście sprzyjało, choć się przed niebezpieczeństwem nigdy nie kryłem; znając doskonale okolicę, przebojem czy fortelem potrafiłem się wymknąć. Wiele z tych czasów miałbym do opowiedzenia, lecz dzisiaj odpowiem ci tylko na twoje pytanie, odnośnie do ślubu moich rorat.

Było to w wieczór św. Andrzeja, w wilię pierwszych rorat. W nocy miała pójść wyprawa z pięciu ludzi. Towar jej odbliczaliśmy na 500 zł., a wartość jego polegała głównie na dużym pakiecie aksamitu, który mieliśmy przewieść do najbliższego dworu w Królestwie.

Ze zmierzchem koledzy poznosili pakunki do mojej stodoły, a że powietrze było zimne i poczęły przeciągać zadymki śnieżne, poprosiłem kompanów do izby, gdzie mieliśmy poczekać, aż się zupełnie ściemni. W pokoju zastaliśmy dziewczęta i sąsiadki żony, które zabierały się do lania wosku, jak to był zwyczaj w tych stro-

nach w wieczór św. Andrzeja. Tekla przygotowała także kolacyę dla wszystkich z okazyi moich imienin. Zasiedliśmy dokoła stołu, zjedliśmy wieczerzę, przy tem się coś i napiło, więc humory były wyśmienite. Po kolacyi dziewczęta zaczęły lać wosk, lecz wróżby były nieszczególne: Ukazywały się jakieś kozy, ręce, nogi, ktoś spostrzegł śmierć... Ten domysł zmroził wesołość i choć żartowałem z przesądów, nie mogłem już gości rozruszać!

Dochodziła godzina dziesiąta. Ubrałem się lekko a ciepło, do kieszeni wziąłem pistolet i sztylet, przez ramię przewiesiłem dubeltówkę.

— No chłopcy! na nas już czas! — odezwałem się do towarzyszów, lecz z min ich widziałem, że nie mieli ochoty do drogi. Dobrze im było w ciepłem mieszkaniu, wśród swoich najbliższych.

— Nie chodźcie dzisiaj — zagadnęła Tekla — zabawimy się razem do rana, a koło piątej pójdziemy do kościoła na pierwsze roraty.

— E! co mi roraty! Pójdziesz sama z kobietami, pomodlisz się i za nas, byśmy szczęśliwie z kontrabandy wrócili! — odburknąłem w gniewie babce.

— Wiecie co, naczelniku — przerwał mi Antek Nowak, starszy już gospodarz, zuch-przemytnik, który był prawą moją ręką — nie chodźmy dzisiaj, mam jakieś głupie przeczucia... Wisła jeszcze nie wszędzie zamarznięta, o patrolach także nie mamy pewnych wiadomości, może być nieszczęście, zatrzymajmy się dziś w domu!

Wahanie się człowieka, który szedł zawsze ślepo za mną, do wściekłości mię doprowadziło. W naturze mojej to leży, że gdy mam co na głowie, to zrobić, jeżeli się da, jak najprędzej, aby później mieć spokój. Jak co robić, to, by iskry szły — a nadto nie mogłem nigdy znieść oporu moich podwładnych.

— Ja każę i w drogę! — krzyknąłem. Na drugiej stronie, dziś odbiorcy na towar czekają! Dałem im słowo, że dzisiaj, o północy, będziemy — ja słowa nie łamię! Gdy spotka nas patrol, jesteśmy na to przygotowani — załamie się lód, to pływać umiemy. Zbierać się i w drogę!

Widząc moją stanowczość, towarzysze opatrzyli broń i żegnając się z żonami i córkami, wyszli w milczeniu na podwórze.

— Zostań z Bogiem — rzuciłem Tekli na pożegnanie — i pamiętaj o nas na roratach. Podszedłem do kołyski i ucałowawszy Marynię, twoją obecną żonę, wybiegłem za kolegami do stodoły.

— Wracajcie zdrowo, a prędko — dobiegły mię głosy kobiet pozostałych w izbie.

Pozarzucawszy na plecy pakunki — Tomasz Lany wziął paczkę aksamitu, inni pęcherze z wódką, tłumoczki z tytoniem i tabaką — ruszyliśmy w drogę. Wieś już spała, ciemno było dookoła i śnieg drobny prószył. Aż do brzegów Wisły szliśmy gromadą, dopiero na lodzie ustawiliśmy się „gęsiego“, by na wypadek załamania się jednego z nas, drudzy mogli się natychmiast cofnąć. Złożywszy mój ładunek na Antka, trzymając gotową dubeltówkę w ręce, stanąłem na czele pochodu. Lód trzaskał i to dosyć głośno, uginał się pod nogami — lecz powoli, ostrożnie, by lodu zbyt nie uciskać, doszliśmy szczęśliwie do połowy Wisły.

— Zmienić gęsiego! — szepnąłem do Antka — ten podał hasło dalej.

Stanęliśmy w linii, równolegle do brzegów, jeden od drugiego oddalony o kilka kroków, a to dlatego, by w razie spotkania patroli, nie być tak łatwo narażonym na kulki strażaków, bo zawsze do kupy cel jest łatwiejszy, zwłaszcza w nocy.

Postąpiliśmy parę kroków.. już brzeg..

W tem: paf! paf!

W gmieniu oka podniosłem dubeltówkę i w punkt, gdzie błysło światło, wypaliłem dwa razy! Z brzegu doleciał nas lament, przekleństwo, dalsza kanonada.

— Tomasz! uciekaj! Reszta za mną, na brzeg!

Lany puścił się pędem z powrotem i ocalił aksamit. Wszyscy uciekać nie mogliśmy, bośmy byli za blisko brzegu i kozaków. Antek Nowak, Michał Gęś, Marcin Wyrwa pozrzucali coprędzej na lód pakunki, chwycili za pistolety i ruszyli za mną. Ledwieśmy krok zrobili, padły dwa strzały. Marcin się przewrócił i został na łodzie. Biegniemy we trójkę dalej — nagle lód się łamie, wpada w wodę Michał Gęś, który biegł ostatni — co się z nim stało, dotychczas nie wiemy, przepadł bez wieści.

— Stojąc na brzegu, słyszałyśmy te strzały — odezwała się babka od stołu.

— Tego, co wpadł do wody, pewnie ryby zjadły — wmieszała w opowiadanie swoją uwagę Zosia, korzystając z chwili, gdy dziadek zapalał fajeczkę.

Trwało to wszystko minutę. Z pięciu zostało nas jeszcze dwóch: Antek i ja.

— Czemużeście nie uciekali do domu? — przerwał Dąbrowski.

Kto pomyślał o ucieczce! Kula w plecy od strażnika albo topiel w Wiśle, bo widocznie zboczyliśmy w pośpiechu z drogi, trafiając na odparzyliska, których nie brak w Wiśle podczas lżejszych mrozów. Zresztą, kiedy człek Moskala zobaczy, a krew w nim zagra, nie myśli o ucieczce — tak się z nami stało. Nawet we dwóch zwykłej patroli dalibyśmy radę, ale całem naszem nieszczęściem, o czem nie wiedzieliśmy dotychczas, było to, że Kozacy schwytali nieostrożnych odbiorców na granicy i od nich dowiedzieli się, że właśnie w to miejsce nadejdą przemytnicy. Moskale, wiedząc o nas, przysłali cały oddział żołnierzy i to nas zgubiło! Ja po strzałach poznałem sytuacyę, — trzeba było siebie i Antka ratować by nie paść na lodzie od kuli.

Podbiegliśmy więc pod brzeg, który był w tem miejscu dosyć wysoki i przyczailiśmy się pod nim. Wnet, tuż nad sobą usłyszeliśmy szelest kroków. Antek zmierzył, spuścił kurek, lecz pistolet nie wypalił! W tej chwili wpadła mu na głowę kolba karabinu, Antek się zatoczył i upadł na ziemię z okrzykiem: Jezus, Marya...

— A dziadziu co zrobił? Czy dziadzia też zabili? — zapytała z trwogą wnuczka, tuląc się do matki.

Strzeliłem i ja, lecz usłyszałem tylko śmiech Kozaków!

— Paszał! nie strzelaj — żywego chwytajcie — odcierpi za tamtych — odezwał się oficer patroli.

Ciesz się! poczekaj, dostaniesz mię żywcem, drogo życie sprzedam — pomyślałem w duchu, dostając sztylet zza pasa.

— Na Palak! wychodź! krzyknął na mnie strażnik z góry.

— Jakże wyjdę, kiedy stromo, podajże mi rękę...

Głupi żołdak, opuściwszy karabin na ziemię, wyciągnął do mnie prawą rękę; chwyciłem ją oburącz i z całej siły szarpnąłem Kozaka, że z wysokiego brzegu spadł głową na dół, na lód, wybił w nim dziurę i chwilę stał prostopadle, nogami do góry... Straszny ten i przerażający widok stał się dla mnie zgubą, bo równocześnie inni żołnierze zeskoczyli na mnie, przewrócili, pokręcili ręce, skrępowali, wynieśli na brzeg...

Tu się rozpoczęła nademną egzekucya doraźna. Jak mię bili, jak się nademną znęcali, drogie dzieci, nie jestem wam w stanie opowiedzieć. Gdy im wreszcie sił zabrakło, a ja leżałem prawie bez duszy, wrzucili mię skrępowanego do próżnej beczki z kapusty i postawili straż przy mnie.

Z początku było mi bardzo niewygodnie, wszystko mię bolało, byłem prawie bez ubrania, więc zmarzłem; krew spływała mi po obliczu i po całem ciele, wyprostować nóg nie mogłem, bo gdym się trochę podniósł, Kozak, bojąc się, bym nie uciekł, bił mię po głowie nahajką. Po jednem takiem uderzeniu widocznie zemdlałem. Długo trwał ten stan omdlenia i wy-

czerpania, bo po odzyskaniu przytomności poznałem, że już rano, w beczce zaczęło szarzeć...

Cicho było dokoła — może straż spała, mógłbym uciec, lecz się ruszyć nie potrafiłem. Miałem świadomość mego położenia, czułem, że siedzę w kałuży krwi, że mię wszystko boli, tylko oczy i słuch nie odmówiły mi posłuszeństwa.

Nagle, w tej głuchej ciszy, gdzieś w oddali, po tamtej stronie Wisły, w mojej parafii, odezwał się dzwon, zawtórzyły mu inne... I płynęła ich pobudka, taka żałosna, taka smętna, jak na pogrzeb — to znowu ich dźwięki wpadły w moją beczkę zaproszeniem tkliwem — bo one wzywały wiernych — na roraty.

Myśl moja pobiegła do wsi rodzinnej, do mojej chaty, którą opuściłem przed kilku godzinami. Tam Teklusia wstała, do kościoła się zbiera. Zbudziła się Marynia, dziecina kochana i płacze, bo mama pójdzie od niej do Bozi, taty niema w domu, a ona się „boba" boi...

Zaroiły się po drogach latarki, spieszą drużyny kobiet i mężczyzn ochotnie choć błoto do kostek im sięga, ciągnie ich w mury kościoła rozkołysany, rozmodlony głos dzwonów na wieży.

Poszedłbym ja z wami, mój Boże, poszedłbym! Utuliłbym malutką w kołysce, żeby nie płakała, nie wytrzymałbym w zagrodzie!

Tymczasem — niestety — ja w takiej sromotnej kryjówce, bez ruchu, bez woli, trup żywy, godziny mego życia pewnie policzone — a tam dzwony wzywają wiernych na roraty...

I w tej rozpacznej tęsknocie za swymi, w bólu ciała i duszy, w oczekiwaniu jakiegoś cudu i zmiłowania, w porywie czy natchnieniu łaski Bożej, począłem się modlić, szeptając z nadzieją: Jezu! jeżeli mię wybawisz z tego nieszczęścia, zachowasz przy życiu, ja ci ślubuję, że odtąd do śmierci, gdziekolwiek się znajdę, zawsze pospieszę na pierwsze roraty.

. . . .

I Bóg mię wysłuchał, ocalenie przyszło prawie cudem...

— Ej Jędruś! — przerwała mu babka — rozgadałeś się na dobre, a tu godzina późna. Zosia już usnęła, chodźmy spać, by się jutro nie spóźnić...

— Nie zaśpię ja, nie spóźnię się, dotąd ślub spełniałem i jutro go spełnię...

. . . .

Okazały dom naczelnika gminy, Jana Dąbrowskiego, przedzielała na dwie równe części obszerna sień, z której wiodło czworo drzwi do izb mieszkalnych. Jedną z nich, połączoną drzwiami z pokojem Dąbrowskich, zamieszkiwali starzy Półtorakowie, teściowie Dąbrowskich.

Dobrze jeszcze z rana zabłysło światełko w pokoju Andrzeja. Dziadek pod wrażeniem wieczornego opowiadania, nie mogąc zasnąć, długo w nocy odmawiał koronkę, a kiedy pierwszy kogut zapiał, począł się zbierać na roraty. Chciał się ubrać po cichu, lecz uporczywy kaszel, który go począł męczyć, przerwał nocną ciszę, zbudził domowników.

— Jeszcze czas, dopiero czwarta godzina, śpijcie jeszcze dziadku — odezwała się z sąsiedniej stancyi Marya Dąbrowska.

— Śpij, nie budź drugich, na młodych czas, ja stary prawie się dowlokę, szeptem odpowiedział Andrzej.

— Dziadziu już nie śpi? ja pójdę do was na pieszczotki — prosiła zbudzona wnuczka.

— Leż spokojnie, dziadek ubrany, na roraty idzie!

— Ale mi dziadziu dużo cukierków przyniesie...

— Przez dwa dni nie zjesz, kochanko, tylko bądź grzeczną dla babci! — uspokoił Andrzej Zosię i mówiąc to, zawiesił na szyję różaniec, wdział kożuch, zapalił latarkę, następnie wziąwszy w rękę laskę, ze słowami: Zostańcie z Bogiem, wyszedł cicho z izby.

. . . .

Na roraty!

Hej! polskie roraty, nie macie wy uroku bez śniegu. Już od szeregu lat wierni po błocie, wśród deszczowych słot spieszą na to ranne, adwentowe nabożeństwo. Pamiętam ja inne czasy, grudniowe zawieje i lutowe podczas rorat mrozy. Kiedy to człek, otulony w najcieplejsze ubranie, wyglądając jak mumia, poruszał się po zaspach śnieżnych z latarką w ręce. Gdzie okiem sięgnął, tylko białe, puszyste całuny śniegu pokrywały ziemię. Mróz skrzypiał pod nogami, z dróg dolatywały nawoływania błądzących, co krok stawały przeszkody, fosy i zaspy śniegowe — lecz ochoty do tych przepraw nie brakło, bo w oddali czekały błyszczące światłem świec nawy kościoła i ta Msza św. roratnia, podczas której tak się gorąco i ufnie dusze modliły...

. . . .

Pierwsze roraty, na które właśnie spieszył Andrzej Półtorak, wypadły w ostrą, śniegową zimę. Drogi przez wieś śnieg zasypał wysoko i słabo jeszcze pruszył mokrymi płatkami. W chatach było ciemno, dokoła cicho, nawet psy i koguty kończyły ranną, smaczną drzymkę. Gwiazdy migotały niepewnie po stokach nieba, a blask od śniegu rozwidniał staruszkowi drogę, wskazywały kierunek budynki czarne, wierzby i płoty. W miarę atoli, gdy ze wsi wychodził, nikły ślady, a natomiast rozciągły się przed nim szerokie, ubielone śniegiem przestrzenie. Ścieżek nie było, lecz droga przedstawiała się jasno, więc zgasił latarkę, a że mu ręce zmarzły, wziął latarnię pod jedną rękę, laskę pod drugą, nacisnął mocno baranią czapkę na uszy, włożył ręce do kieszeni i brnąc po kolana w śniegu, szedł przyspieszonym krokiem.

Z trudem dowlókł się do wału, z wysiłkiem stanął na jego szczycie. Chciał się rozpatrzyć po okolicy, lecz gwałtowny wicher, miotając tumanami śniegu, nie pozwolił mu się zatrzymać ni chwili. Więc z pośpiechem, podpierając się laską, stoczył się po pochyłości.

— Byle do Raby, byle przez nią przejść — westchnął strudzony — dalej po wale już droga wygodna.

Ale do Raby było jeszcze blisko pół kilometra i tu go czekało dużo niespodzianek, gdyż cały teren był zrujnowany na sypanie nowego wału i regulacyę Raby. Dlatego co chwila wpadał w zaspy, ginął w dołach, wypełnionych śniegiem, utykał na bruzdach i wykrotach. Raz utonął w głębokiej dziurze, w której musiał dłużej odpocząć, nim się z niej na wierzch wydostał.

— Czym pobłądził? Czy mię co wodzi? — pomyślał i przeżegnał się uważnie. Tyle lat deptałem te ścieżki, a dziś trafić do Raby nie mogę!

Tymczasem wiatr na otwartej przestrzeni dął z podwojoną siłą i masami śniegu zakrywał słabo tlejące gwiazdy. Wierzby, okryte okiścią śniegową, przestały być słupami przewodnimi, cała przestrzeń zlała się z białą szatą ziemi. W oddali tylko majaczały jakieś czarne smugi Do nich skierował Andrzej swoje kroki.

Nie zawiódł się, były to kępy chrustu, rosnącego nad Rabą.

— Przecież jestem nad brzegiem — wyrwało mu się z piersi radosne westchnienie.

Nie trafił jednak na miejsce przewozu, nie widział łodzi, brzeg był stromy, na dole biała wstęga śniegu, który lód przypruszył, na drugiej stronie szumiała wiklina.

Zesunął się po grząskiej płaszczyźnie, a stanąwszy na lodzie, zawahał się chwilę.

— Może lód nie zniesie i wpadnę?

Przypomniał sobie atoli, że ludzie od tygodnia chodzą po lodzie i uspokojony posuwał się śmiało naprzód. Na drugi brzeg wydostał się łatwo, lecz w dalszej drodze stanęły mu na przeszkodzie krzaki, dzikie chmiele, korzenie ściętego chrustu. Wicher hulał po gałęziach i świszczał przeraźliwie, zasypywał mu śniegiem oczy, mroził ziębnięte już członki. A na domiar

złego ściemniło się zupełnie, bo nadeszła chwila, kiedy dzień walczy o pierwszeństwo z nocą, kiedy gwiazdy gasną i zorza poranna ma się już, już pokazać — a wtedy całą ziemię okrywa nieprzeparty mrok.

Staruszek zaświecił latarnię, otrzepał z wąsów sople lodu, przetarł z oczu łzy, które mu wicher wyciskał i ruszył przez chrusty. Wiedział, że zbłądził, lecz szedł ufny, że na ścieżkę jakąś trafi, a ta go zaprowadzi do bezpiecznego wału, tam już ludzi spotka.

Szamotając się z powrozami chmielu lub ostrężnic, które mu nogi wiązały, strzepując mimowoli na siebie z gałęzi pełne garście śniegu, szedł długo, a drogi nie ubywało! Parę razy zawołał: hop, hop — myśląc, że może w pobliżu znajdzie się kto z ludzi i zbawczą odpowiedzią wyprowadzi go z manowców — lecz nawet echo mu nie odwtórzyło, głos jego zginął w huraganie wichrów i zawiei śnieżnej.

Wtem wiklina poczęła rzednąć, a z ciemności wyłoniło się białe niedalekie wzniesienie.

— To wał, przecieżem doszedł nareszcie!

Przyspieszył kroku i stanął, jak wryty!

— Na Boga! stanąłem znowu nad brzegiem, przedemną Raba! Czyżbym w chruście zmylił drogę? Widocznie kołowałem w wiklinie i przyszedłem znowu nad rzekę. Jeszcze raz ją przejdę, a potem w obraniu kierunku będę ostrożniejszy.

Biedny staruszek! Nie zmylił drogi, szedł dobrze, choć zboczył z wydeptanych ścieżek. Nic dziwnego, że błądził! Ostatni raz dążył tą drogą do kościoła w święto Matki Boskiej Zielnej. Później nogi nie chciały go nosić, nie mógl zajść do kościoła, tylko w czasie sumy siadywał na przyźbie pod domem, skąd było widać wieżę kościelną, a przenosząc się myślą przed ołtarze, odmawiał w skupieniu pacierze. Tak minęła jesień, a przez ten czas zmienił się zupełnie teren łożyska Raby. Inżynierzy wytyczali nowe koryto, przesunęli je dalej od wsi, porobiono tamy, wykarczowano drzewa. Andrzej słyszał od ludzi o tych zmianach, lecz nie był ciekawy i nie mógł przyjść, by je zblizka zobaczyć. Dziś wybrał się w tę drogę, a w domu nikomu nawet na myśl nie przyszło, że dziadek może zbłądzić i teraz ten starzec stoi bezradny, nie wiedząc, w którą stronę się zwrócić!

Rabą, którą już niby przebył, to było stare koryto, obecnie stanął nad właściwą rzeką. Tylko śmiało naprzód, przejdzie po lodzie — tam wał, wałem do kościoła już niedaleko!

Podniósł w górę latarkę. Blady promyk oświecił jego oblicze. Z oczu, po policzkach płynęły łzy, drżały ręce skostniałe, wicher chwiał całą jego postacią, a zimno przenikało kości do szpiku. Zakaszlał głęboko, czapkę nasunął na tył głowy i zeszedł szybko na lód. Uczuł go pod nogami, więc kroczył pewnie, zapatrzony na brzeg przeciwległy. Niestety! nie spostrzegł, że na wąskiej, białej przestrzeni, na którą się dostał, tu i owdzie czerniały wśród śniegu migotliwe smugi. Tuż przed nim, wzdłuż drogi, obok brzegu, płynęła struga niezamarzniętej wody. Wśród ciemności blask latarki zacierał różnicę między wodą a lodem — i Andrzej zgorączkowany, przejęty myślą, że za chwil kilka stanie na wale, posunął się o krok dalej.

W tem trzask — lód się łamie, Andrzej cofa się rozpaczliwie w tył, lecz równocześnie wpada w wodę... Jakiś straszny ciężar zawisł mu u nóg, zatopił po szyję. Błysła latarka nad wodą i z sykiem poszła na dno. Starzec ostatkiem sił chwyta się lodu, lecz lód się kruszy, a fala złowroga pcha jego ciało bez przestanku z nurtem rzeki, zanurza, zrywa czapkę z głowy — walczy uporczywie z swoją ofiarą, a mając za sprzymierzeńca zimno, starość, wyczerpanie, ciągnie ją z pośpiechem do strasznej topieli...

Jeszcze raz, nadludzkim wysiłkiem,

oparł się Andrzej prądowi wody, wzniósł głowę nad nurty i z wyczerpanej mozołami piersi rozległ się szept stłumiony:

— Jezus, Marya — na roraty — ostatnie...

Fale pochwyciły ciało i zanurzyły w otchłani wodnej...

. . . .

Po chwili, przy końcu straszliwej strugi, na powierzchni wody, wpadającej pod warstwę lodu, ukazały się zwłoki dziadka. Fale poczęły szarpać połami żółtego kożucha, tłuc ciałem o brzeg lodowy, aż natarłszy z rozmachem, wepchnęły je pod lód.

Cisza grobowa zaległa po wybrzeżach Raby, tylko fale tłukły bez przerwy w bramę lodową, za którą zniknął trup Półtoraka. Śnieg wiał tumanami, zaścielając głęboko, skrupulatnie przestrzenie, jak gdyby chciał pokryć ślady, znaczone stopami pierwszego pielgrzyma na roraty...

. . . .

W jasno oświetlonej nawie kościoła gromadzą się wierni, a zastęp ich liczny, boć to pierwsze roraty. Razem z najgorliwszymi, pozostawiając w domu babkę i zapłakaną Zosię, przybyli Dąbrowscy. Marya, uklęknąwszy koło ołtarza, często oglądała się na ławkę, w której zwykle dziadek zasiadał, lecz dzisiaj między znajomymi nie mogła go odszukać... Uspokoiła się atoli przypuszczeniem, że Andrzej spotkał kogoś na cmentarzu kościelnym i zajęty rozmową, nie wszedł jeszcze do kościoła.

Zajęczał dzwonek zakrystyjny, wyszedł kapłan ze Mszą świętą. Zahuczały rozgłośnie organy smętną melodyą adwentu, organista zanucił hymn kościelny: *Rorate coeli desuper* — *Spuśćcie nam niebiosa rosę* — po chwili zabrzmiała z piersi obecnych pieśń godzinek: ,,*Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę świętą*“ — i tak w skupieniu, zamodleni, szczęśliwi słuchali wierni Ofiary bezkrwawej. A nad ich głowami, najbliżej ołtarza, unosił się duch Półtoraka i uczestniczył w pierwszych roratach.

*

W zagrodzie Dąbrowskich boleść i rozpacz nie do opisania! Tekla na wieść, że mąż nie wrócił i poszukiwania są bez skutku, ze zmartwienia i zgryzoty ciężko zachorowała i po kilku dniach skonała na rękach córki.

Marya, przygnębiona stratą ojca i matki, często wychodziła przed dom i pytała przechodniów, czy nie widzieli gdzie Andrzeja. Różni różnie odpowiadali i pocieszali strapioną. Jeden go widział przez okno w chacie Józefa Sochy, jak pił gorące mleko z siwego garnuszka... Ten go spotkał na wale, jak szedł na roraty i pochwalił przed nim P. Boga... Paweł Jurkowski twierdził, że go wilki zjadły.

— ,,Rozumiecie kumoska, ja wam to zaraz wytłumaczę: Wisła zamarzła, Raba stanęła, to to bestyjstwo ze śniegiem ciągnie od Moskala do zagród chłopskich. Mówił mi Florek, co w te noc wartował we wsi, że po wiklach, nad Rabą, pełno wilków łaziło, ino się im oczy świeciły, jak świeczki!“

— A może to była latarnia dziadunia?!

Każdy domysł, przypuszczenie przechodniów, sąsiadów, czy spotkanych przyjaciół, sprawdzał Dąbrowski osobiście, lecz nic pewnego nie odkrył. Pogłoski, wprost straszne opowiadania, poczęły krążyć o zaginionym. Raz się rozeszła wieść, ,,że stary wójt“ wrócił, ale bez ręki, okropnie pokaleczony; to znowu, że go znaleśli zmarzniętego w stodole Morawca... Jednem słowem, fantazya ludu podczas długich wieczorów grudniowych, przy przędzeniu konopi i lnu, czy skubaniu pierza, nie próżnowała. Około postaci Andrzeja nagromadziła wiele legend, czarów, strachów, nadzwyczajnych rzeczy. ,,Dziadkiem“ straszono niegrzeczne dzieci, a i starsi, gdy w nocy przechodzili koło Raby, z trwogą rozglądali się po wiklinach, szeptając pacierze za duszę Półtoraka...

Ks. Paweł Wieczorek.

NA ŚW. ŁUCYĘ.

U wdowy Puchaliny już było po wieczerzy. Przy świetle lampki, zawieszonej nad stołem, dwie dziewczyny, siedząc obok siebie, szyły, gospodyni krzątała się po izbie, a tęgi parobczak z czarnym, podkręconym w górę wąsikiem, rozsiadłszy się w kącie z wyciągniętemi przed siebie nogami w wysokich butach, zapalał siarnikiem „cienkiego“.

W tem dały się słyszeć koło chałupy szybkie kroki i ktoś zapukał w szybę.

— Jagna, otwórz, to ja!

Jedna z dziewcząt wybiegła do sieni, odsunęła zasuwę i za chwilę weszła do izby matka gospodyni, zwiędła, szczupła, lecz dziwnie krzepka staruszka, mieszkająca opodal. Była w krótkim kożuszku i ciepłej chustce na głowie, na nogach miała buty z cholewami, widoczne z pod krótkiej spodnicy.

— A to ziąb! — zawołała, chuchając w dłonie i stając koło komina, na którym dogasał ogień. Ale to nieźle, będzie zima lekuśka. Kiej na św. Łucyę mróz, smaruj wóz — sanek nie potrza.

— Siadajcie, matuś — rzekła wdowa, przysuwając matce zydelek do pieca.

— E, postoję, niech ino coś nieco odtaję...

Przytupując nogami i wyciągając raz po raz dłonie nad ogniem, obzierała się przez chwilę staruszka bacznie po izbie, spojrzała na oba okna, stół, komin, pokiwała głową i wreszcie rzekła:

— Adyć widzę, do krztyście zabaczyli, że dzisia świętej Łucyi...

— A bez co?

— Bez co? A kajże gałązki z wiśni w słoiku, abo garnuszku we wodzie?

— Juści, juści, racya wasza, do znaku zabaczyliśwa. Poszedłbyś Jędrek — zwróciła się matka do parobczaka — do sadku i nałamał...

Jędrek, który niedawno jako urlopnik wrócił z wojska, wzruszył wzgardliwie ramionami.

— Zachcieliście! A jakże! Będę ta łazil do sadu w tyli śnieg dla jakichsi babskich cudactw!

Zaciągnął się z papierosa, puścił kłąb dymu i splunął przez zęby na środek izby.

— Jaki mi mędrek! — obruszyła się staruszka — cudactwa! nie widzieli go!... Jak świat światem, zawdy ludzie wiśniowe gałązki na świętą Łucyę do wody wsadzają, żeby się im potem bielusieńko, kieby ten śnieg, rozkwitnęły na wilią! A on se będzie to letko brał, od babskich cudactw wymyślał!...

— A ino, że głupstwa to i cudactwa wsioskie — odburknął z za kłębów dymu Jędrek. — Widziałem ja ludzi we świecie hadukowanych i Niemców i Czechów i państwo różne i oficerów — a nikaj się tego nie robi co u nas!... Każdy też światowy człek ino se przykpinki stroi z naszego chłopa i tyło!

Jędrek z zapamiętałością dawał folgę złemu humorowi, bo przy wieczerzy posprzeczał się znów z matką o kupno konia. Matka, nie mając pieniędzy ani wyżywienia dostatecznego nawet dla swoich dwóch krów, o koniu ani słyszeć nie chciała, Jędrek zaś, waląc pięścią w stół, aż miska podskakiwała,

dowodził, że konia mieć musi, będzie nim zarabiał, a jeśli nie, to niech matka duchem szykuje pieniądze, co mu się za ojcowiznę patrzą, aby szedł w świat, bo tak dalej w chałupie żyć nie chce.

— Ciewy! ciewy! mędrsze jajo od kury! — wołała zaperzona staruszka. —Aboś to niby wszystkie rozumy zjadł, kiejś tym frajtrem po trzech latach ostał!... Nie tacy my, starzy ludzie, głupi, jak ci się widzi! Dy to wszystko, co wy se letko cudactwami przezywacie i odczynianie uroku i okadzanie bydła i wypalanie krzyżów na Gromniczną i przeróżne inksze rzeczy, tośwa wypraktykowali i my i nasi dziadowie! A cóż się przytrefiło latoś u Zięby u Macieja wnetki po Gromnicznej? Styrała im się krowina, ot tak, z niczego, a tera przez nijakiej okrasy bieda u nich, aże piszczy... A bez co? że nikt z gromnicą w kościele nie był do poświęcenia, krzyżów nie wypalili w izbie, jak się patrzy, toć złe nalazło drogę do chałupy i gadziny...

Wśród tego gospodyni przyniosła z sadu kilka gałązek wiśniowych, związała i postawiła w garnuszku z wodą na nalepie.

Staruszka zaś, przestając kierować mowę do Jędrka, głosem spokojniejszym, ciągnęła dalej:

— Abo i to może nie prawda, co wiemy o czarownicach, abo złe mamy sposoby na te zatracone dusze? Adyć mój nieboszczyk, (daj mu Panie Jezu wieczne odpocznienie), kiej jeszcze parobkiem był, przyłapał czarownicę, co u nich cięgiem mleko psuła. Zaczął se on, jak przynależy, w świętą Łucyę robić stołeczek, ot taki, kieby do doju, dłubał kole niego w każden dzień, aże do wilii i wzion go na pasterkę. Ledwo, że w kościele siadł se na nim za wielkim ontarzem, a tu w te razy przychodzi do niego Ciepielina, zagraniczna baba, co wiadomo, we swojej wsi straśnie mleko psuła... Jak do dom wrócił, nic nikomu nie mówiący, zaniósł ten stołeczek do stajni, postawił kole krowy, ozwarł lekuśko drzwi i schował się do kąta. Stoi mało niewiele, a tu po śniegu skrzyp, skrzyp, ktosi idzie. Drzwi się rozwierają, włazi Ciepielina i siada na tym stołeczku! Jak mój się nie porwie, jak babę nie zdzieli bez pysk, bez łeb, kaj trefiło, tak od tego czasu już się u nich mleko nie psuło, ino jeszcze samej Ciepielinie krowa się styrała... Taką moc ma stołeczek, co się go w dzień św. Łucyi zacznie robić; tak po pasterce można przyłapać czarownicę w kościele, abo we stajni... Ale takiego sposobu mędrek z miasta nie wykalkuluje — dokończyła z tryumfem, zwracając się do Jędrka.

Parobczak mruknął coś pod nosem, rzucił niedopałek papierosa, wstał, zapiął granatowy spencer, nałożył czapkę na głowę i bez słowa pożegnania, szerokim krokiem wyszedł z izby.

Wówczas z ust staruszki, słuchanej z żywem zajęciem przez młode dziewczyny, posypały się dalej opowieści, jak to o północy w wigilię św. Łucyi czarownice na pociaskach jadą na granice wsi, jak nasmarowane czarodziejską maścią pociaski na powietrzu zamieniają się w konie, jako tam na granicach schodzą się z czarnymi, jak się zabawiają, co jedzą i piją...

Dopiero spóźniona pora zakończyła ten wieczór pełen dziwów i cudów, gdy staruszka przypomniała sobie, że czas już wracać do chaty.

E. Zechenter.

TRZY PYTANIA.

(Pomysł wzięty z bajki Tołstoja).

Był sobie raz szewc ubogi, nazwiskiem Szymon Zużel. Nie upijał się nigdy, po karczmach nie hulał, rzemiosło swoje znał w porządku, a mimo to biedował strasznie. W onym mokrym roku, co to ziemniaki do cna w ziemi pogniły, że ani się ich trzoda chytać nie chciała, zwaliła mu się nędza do chałupy i rozpanowała tak, że nijakim sposobem nie można jej było wygonić. Żebyto w mieście szewc mieszkał, a przynajmniej w dużej, bogatej wsi, toby i wyżyć lżej było; nie ten, to ów buty szyć sobie każe, albo dziecku, to znowu zelówki, naprawki i jakoś grosz do grosza ciągnie; ale Szymonowie siedzieli komorą u wójta w Jankówce, a wiadomo każdemu, że Jankówka licha wioszczyna, ani czterdziestu kominów w niej nie uświadczy. Tedy jakże się wyżywić i przyodziać z żoną i pięciorgiem dzieci, gdy roboty ludzie nie dają. Płakała Szymonowa, piszczały dzieci z głodu, a ojcu ino się serce krajało od żalu i nieraz ręce opuszczał.

Ale, że w babie zawsze wytrzymałość, a cierpliwość większa niż w najmocniejszym chłopie, więc i Szymonowa nie rada biedzie w jarzmo lazła i gdzie mogła, jak mogła, tak się krzepiła. Wychodząc z kościoła w którąś niedzielę, posłyszała gadanie między gospodyniami, jako w Wilczodołach dziedziczka wyprawę córce szyje, niezmierne wory pierza na strychu, pilno poduszki nasypować, cóż, kiedy pierze nie darte.

Nazajutrz, skoro świt, zerwała się Szymonowa z łóżka, zawdziała co ino miała najlepszego, (pożal się Boże, same łaty, ino że czyste) i w te pędy pobiegła do Wilczodołów, trzy mile opętane. Późnym wieczorem do domu się przywlokła, z ciężkim worem na plecach. Ano, zabrała się ostro do roboty, Jagusia i Wikta pomagały matce, za tydzień pierze było gotowe, odniesione do dworu, a trzydzieści papierków w kieszeni.

Co najpilniejsze do jadła nakupiła po drodze w miasteczku i z lepszą otuchą wróciła do domu. Na drugi dzień rano tak rzecze do męża:

— Słuchajno Szymek, dziś jarmark w Brzeźnicy, poszedłbyś i kożucha jakiego poszukał. Zima co prawda letka, mróz ino tak straszny, raz w kielo czas, ale głupi, kto onemu dowierza; jak ziemię lodem ściśnie, to i nam nie daruje, a ciepłej przyodziewy nie mamy. Kupisz kożuch, to i dla ciebie i dla mnie i w nocy jest się czem okryć, na wszystko się przyda. Dużo ci nie dam, bo jeszcze po węgle do Jochima polecę i parę złotówek odłożyłam na czarną godzinę. Masz piętnaście papierków, a wstąp do Wyrwy, niech ci odda za one zelówki, co miał jeszcze na W. W. Świętych zapłacić.

— Marona mi też winien dziesięć złotych, Wnęcek przysięgał, że za tydzień przyniesie i do tej pory żaden się ani pokazał.

— A widzisz, skocz ino do nich, upomnij się, jak dołożysz do tego, co ci daję, będzie kożuch jak śkło. No, idź z Panem Jezusem.

Poszedł tedy Szymon kożuch kupować, a do sąsiadów zagląda i o zwrot należytości się upomina. Wyrwa sumituje się i świętego patrona Jędrzeja na świadka wzywa:

— Niech jutra nie doczekam, jeśli łżę! — powiada. Miałem ci takiego

wieprzka świarnego*), ładnego, aż radość; rzeźnik mi obiecował osiemdziesiąt sześć papierków. Jak raz będzie na podątki, myślę se i w sklepiku się porachuję i Szymonowi dług zapłacę. Ale cóż... Fronckowa szła do swojej chałupy bez nasze podwórze, bo drogą błocisko niezmierne; ino rzuciła okiem na chlewik, a mój wieprzek jak ci nie zakwiczy, aże nas ciarki przeleciały. Na wieczór już było po nim. Węteryniarz kazał wywieźć pod las, zakopać na dwa metry i wapnem zalać, coby zarazę spalić. Sam stał nademną i pilnował. Miejcież sumienie kumotrze i poczekajcie mi jeszcze; dy w takiem nieszczęściu i żydby się ulitował.

Poszedł Szymon dalej.

Wnęcek wybiegł przed chałupę i zdaleka nawoływał:

— Nie przybliżajcie się kumoter! U nas dzieciska na odry słabują, jeszczebyście swoim zanieśli.

A Marona,... jak Marona; językiem napytlował za dukata, naobiecywał cejco, a na „„„tymczasem“ wyniósł czterdzieści groszy i o cierpliwość prosił. A Szymon był miętkiego serca i nie umiał natarczywie się domagać, wziął czterdzieści groszy, machnął ręką i dalej ku Brzeźnicy. Uszedł dobry kawał, stanął i medytuje:

— Dała mi Hanka piętnaście papierków; na kożuch nie wystarczy; długów nie poodbierałem, to i czego mam buty drzeć tyle pędy, kiedy nic nie sprawię. Przysiędę se kapkę u Szmula, bodaj śledzia zjem przy tym świętym piątku.

I wstąpił do przydrożnej karczmy. Śledź był słony, jak Bóg przykazał, aże łzami oczy zachodziły; jak tu nie popić, kiedy w gardle piecze? No... i nie krótko, nie długo, poszły grosze od Marony, ani jeden nie został.

I słońce się za las schowało, zmrok pada na ziemię, trochę Szymona strachy oblatują, co też Hanka na to wszystko powie. Nacisnął czapę na uszy, sukmanę pospinał na haftki, marsz do domu.

Idzie, idzie, jakoś nogi niechętne do chałupy wracać; jedna wyskoczy niewiedzieć poco w górę i spada tupiący, aż błoto bryzga na wszystkie strony; druga znów, sunie jak niemrawa i precz na lewo odbiega. Czy licho nadało, czy Boże broń choroba jaka? Spędza Szymon nogi do kupy, coby szły w porządku, nijak nie chcą słuchać. I oczy się zbuntowały, „dy jeszcze nie wieczór“ — myśli sobie — co taka mgła na świecie?

Przystanął, oczy przeciera, rozgląda się.

— No, dzięki Panu Jezusowi, kapliczka Bartusikowa, to już do Jankówki ino dwa skoki. A to co za kamień wielgośny pod murem? Jakem rano szedł, to go przecie nie było... cóż za mamony taką bryłę przywlokły?

Podszedł bliżej.

— Rety!... Człowiek nagusienecki, skulony we czworo!

Widok ten otrzeźwił go zupełnie; odskoczył jak oparzony i uciekł.

— O Jezu najmiłosierniejszy... któż onego tak okrutnie ukrzywdził? Słota grudniowa, noc zachodzi, a ten nieboraczek zesiniały do muru się tuli. Ot zbóje nikczemniki, żeby mu choć byli koszulę zostawili na grzbiecie!... Nie strzymam, muszę go poratować... A jak mnie ziandary chycą i przeperswadują, com to ja go do cna obłupił? Niechta, anibym odetchnienia spokojnego nie miał, gdybym go tu poniechał.

Zawrócił i woła:

— Człowieku, hej, człowieku! Ruszcie się, wstańcie, bo uskwirkniecie na tem zimnie!

Poruszyło się białe ciało, idzie ku Szymonowi chłopak młodziuśki, może piętnastoletni, drży od chłodu, a patrzy tak smutno, tak pokornie.

— Skądżeś ty parobeczku?

— Nie mogę powiedzieć.

— Któż cię tak sponiewierał?

— Bóg mnie pokarał.

— Zaco?

*) Ładnego.

— Nie mogę powiedzieć.

— Ano, to nie gadaj. Pomóżże mi ściągnąć sukmanę i nawdziej ją czemprędzej; mnie ta nie zimno, mam jeszcze kamizolę i spodnie, a tyś golusieńki biedaku. Chodź, chodź, zbieraj nogi, rozgrzejesz się drogą, a jak do chałupy dobijemy, to się co ciepłego przełknie, przestaniesz zębami dzwonić.

I popędzili oba, jakby ich kto gonił, a to mróz chwytał pod noc i po plecach zacinał.

Gospodarz pierwszy wszedł do chałupy, chłopak za nim nieśmiało i do ściany pod drzwiami przylgnął.

Zużlowa obrzuciła wzrokiem męża i gościa i jak nie wrzaśnie:

— A to co za nowiny? Przychodzisz pod noc, z próżnemi rękoma, gdzie kożuch?

— Nie kupiłem, bo mi ludzie długów nie pooddawali.

— A moje pieniądze?

— Naści; toli są wszystkie. Jakeś je do szmatki zawiązała, tak je masz.

— Gorzała od ciebie wionie... marnotrawniku jeden! Skądeś wziął na wódkę? Gadaj zaraz!

— Marona mi rzucił parę groszy; głodny byłem, do Szmula poszedłem,... nie musisz swarzyć, ani raz na rok wódki nie widzę.

— A to co za łobuz za tobą stoi? No... przypatrzcie się moi ludzie... dopiero teraz spostrzegam, żeś nie odziany, a *toto* w twojej sukmanie... Zwaryowałeś chłopie, czy co? A ty nicponiu zaraz mi się wynoś na cztery wiatry, ino sukmanę oddaj, słyszysz?... Panienko najświętsza Kalwaryjska!... Dy nic na sobie nie ma biedniątko! O Jezu... serce się kraje... Chodź-że chodź, tu do kącika, schowaj się za łóżko, zarozinki wyszukam ci jakie takie przyodzianie... ludzie na świecie!

Poszła do komórki i za chwilę wyniosła potrzebną bieliznę i stary kabat mężowski.

— Co za szczęście, żem dziś łatała i cerowała twoje łachy; jak raz przydało się dla chłopaka. Ubrałeś się? Dobrze; teraz siądźcie se oba za stołem. Ziemniaki jeszcze gorące i żuru zostało sporo; myśmy już powieczerzali; nie pytać, nie medytować, ino jeść.

Usiadł chłopiec na krajuszku ławki, podniósł siwe oczy na gospodynię i uśmiechnął się; a w izbie zrobiło się widno i wesoło, jakby nagle słońce zaświeciło. Szymonową zdjął lęk niezmierny: płanetnik, czy co takiego?

Stanęła pod piecem i zdala mu się przygląda. Chłopczyna delikatny, niby pańskie dziecko, włosy pokrętliwe, jasne, na gębusi biały i ręce nie spracowane...

— Słuchaj dziecko, cosik ci powiem, odezwała się wreszcie — aha, a jakże ci na imię?

— Michał.

— Michał? Ano dobrze. Gdzieżeś szedł, jak cię zbóje napadli?

— Nie napadli mię zbóje, ino mnie Bóg skarał.

— Czy tak, czy owak, musisz przecie znać drogę przed sobą; do miasta idziesz, czy do wsi jakiej?

— Pan Bóg mnie pokarał.

— Jedno i jedno w kółko. Jakąż robotę umiesz? Byłeś gdzie w terminie?

— Nigdzie nie byłem, ale się każdej roboty rad nauczę.

— Nie trapże chłopaka dziś, kiedy ledwo żyje — zganił mąż babę. Jutro pogadamy. Legnij se Michałku za piecem i śpij z Panem Jezusem.

Nazajutrz obcy parobek pierwszy się zbudził, do studni wybiegł, umył się pięknie, ogarnął, wody konewkę przyniósł, w piecu zapalił; cichutki, pokorny, a taki jakiś żałośliwy, aż litość bierze.

Po śniadaniu, Szymon mu pokazuje dratwy, szydła, gwoździki, przykrawa skórę i zasiadłszy do roboty, każe mu patrzeć i miarkować.

— Dajcie mi co do połatania na początek — powiada chłopiec — może zdolę.

Tak pięknie przyszczypki doprawił, jakby już z rok terminował.

— Hoho, będą z ciebie ludzie — zaśmiał się Szymon — patrzajże teraz, jak się obcasy nadbija.

I tego się wnet nauczył.

Minął tydzień, minął miesiąc, ani Szymon, ani Szymonowa nie żałują, że sierotę przygarnęli, bo razem z nim lepsza dola do ich domu zawitała. Sąsiedzi należność pooddawali, jaki taki buty zamówił, a że robota z pomocą Michałka szła raźno, i rzetelnie, była wykończona, więc jeden drugiemu opowiadał i chwalił. Zwiedzieli się ludzie z dalszych okolic, zamówienia sypały się jak groch, ino kraj, a szyj, choćby dzień i noc. Ale Michałowi dratwa śmigała w rękach, a kołeczki same do podeszew lazły: co Szymon jeden but uszyje, to Michałek parę. Lubili go też wszyscy w chałupie, gospodarz za pilność, gospodyni za usłużność, a dzieci lgnęły do chłopca, bo ich ponauczał ślicznych pieśni pobożnych i ptaszki, lub zwierzątka lepił im z gliny wieczorami, więc się mieli czem bawić. Ino Szymonowa przemyśliwała czasem, co w tem jest za tajemnica, że Michał zawsze smutny, niemowny, a nieraz kryjomo łzy ociera.

Minął rok, Zużlowie w dostatku żyją, a czeladnika sierotę za najmilsze dziecko mają.

Jednego ranka budzą się, a tu śniegu przez noc nawaliło z łokieć, mróz tęgi ziemię ścisnął, świat się bieli, aże oczy bolą patrzeć.

Pośniadali, każdy poszedł do swojej roboty, nagle słyszą: dziń, dziń, dziń, hałas, tupotanie koni, wspaniałe sanki w czwórkę zaprzężone, przed same drzwi podjechały i stają.

— W imię Ojca i Syna... jaśnie pan starosta! — zawołał Zużel, zerwał się i na pole wyskoczył. Kłania się nisko, za kolana pana starostę obłapił, a ten nic się nie odzywa, ino prosto do chałupy wali. Tedy i Szymon za nim.

— Wyście szewc?

— A ja; dopraszam się łaski wielemożnego pana.

— Zdążycie zrobić mi na jutro buty do polowania?

— Coby nie; dwóch nas jest, raźniutko uszyjemy.

I ręką na czeladnika wskazuje. Spojrzał i zimno go przeleciało: Michał 'stoi se na boku, oczy wypatrzył ogromne, jakby za panem starostą cosik ciekawego widział i śmieje się niemal w głos.

— Jezus Marya... — pomyślał Szymon — zuchwalec jeden! Zęby ci suszy wobec pańskiej osoby; a bez cały rok, to ani na mrugnięcie oka się nie rozweselił.

Ale pan starosta nic nie zauważył na szczęście i dalej dysponuje:

— Buty mają być zgrabne, w napiętkach ciasne, żeby się nie wykrzywiały, cholewa po kolana. Przywiozłem skórę z miasta, bo pewno nie macie takiej jak trzeba. Zrobicie wszystko według mego ozkazu, dostaniecie dziesięć talarów za robotę; zepsujecie, to za skórę dwadzieścia, a za mitręgę i niewygodę drugie dwadzieścia musicie mi zwrócić. Ale, ale, mocno szyć, żeby dwa łata wytrwały.

— Zrobi się jasny panie — odpowiada szewc, a Michał jeszcze lepiej zachichotał.

Odjechał pan starosta, Szymon zabiera się łajać czeladnika za nieobyczajne zachowanie, ale przypomniał sobie w tejże chwili jego ciągły smutek, zapłakane oczy i dał spokój.

— Widzi mi się Michałku — rzecze — żeś ty sprawniejszy odemnie; rękę masz mocną, pewną, pokraj skórę na buty dla pana starosty i szyj na wyrypy. Ja tymczasem skończę tę przyszwy dla Siodłakowej, bo strasznie piliła.

Ano dobrze. Skrajał Michałek skórę szastu prastu, cupnął na zydlu i szyje. Za godzinę skończył.

Patrzy majster, głos mu zakrzepł w gardle, ino mu coś jękło chrapliwie, ręce załamał i stoi jak błędny. Szymonowa odbiegła od pieca.

— Jezu nazarański... opętało chło-

paka! Nie słyszałżeś, co pan kazał? Miały być piękne, mocne buty do polowania, a tyś ześcibał jakieś pantofle, czy krypcie, czy papucie... Głuchyś był, czyś tera zgłupiał? Dy gadaj, odezwij się! Takie straszne pieniądze! Czterdzieści talarów!... o rany! Poczekaj, ani cię broniła będę, jak ci majster skórę pocięglem wyłoi; jeszcze dołożę, jak Boga kocham!

— Niech będzie pochwalony... — gada ktoś odedrzwi.

— Na wieki. A czego tam? — mruknął Szymon niechętnie.

— Dobrzem trafił do Szymona Zużla?

— Juści, że dobrze, a nie źle.

— Przyjechałem ze Stojowic, względem butów.

— Których?

— Ano tych, co pan starosta zamówił rano; już mu nijakie buty niepotrzebne, ledwo próg domu przestąpił, padł nieżywy na ziemię. Kazano mi pędem do was biegnąć, cobyście natomiast bylejakie papucie sklecili, zwyczajnie, jak dla umarłego. Pospieszcie się, ja poczekam.

— Już są gotowe — odrzekł z cicha czeladnik i podał je posłańcowi.

. . . .

Płynęły dni za dniami, miesiące, lata.

Siódmy rok dobiegał końca od owej pamiętnej godziny, gdy Szymon pod swój dach nagiego przyprowadził. Błogosławieństwo boskie płynęło obfitym zdrojem na całą rodzinę. Ojciec i matka trzymali się w dobrem zdrowiu, gruntu własnego się dorobili, chałupę sobie wybudowali o czterech izbach z ganeczkiem; dwie krowy stały w przybudówce za ścianą i koniki dwa w stajni; prosiąt, gęsi i innej gadziny ani nie zliczyć, słowem, ów szewc mizeraczek, wyrósł na poważanego w całej wsi gospodarza. Jagusia i Wikta wydały się za bogatych i uczciwych gospodarskich synów, Pietrek u cieśli robił, ino jeszcze Antek i Basia po domu się plątali, jako, że im się na ósmy i dziewiąty roczek obróciło. Wszyscy szczęśliwi, weseli, ino Michał niebożę mizerno się chowa; wzdychanie go przebudza, niczem się nie ucieszy, zabawy nie szuka, rzemiosła tylko pilnuje, a często łzami se do roboty przyświeca. Obcy mu się dziwują, co taki ponury, swoi przywykli już, nie pytają go o nic, ino kochają, niczem dziecko rodzone.

Jednego rana, ledwie oba z majstrem zasiedli z szydłami przy warsztacie, biegnie Baśka z podwórza i krzyczy:

— Tatusiu, tatusiu... goście do was idą!

Spojrzał Szymon przez okno i Michałek podniósł oczy od roboty. Jak je też podniósł, tak wnet skoczył na równe nogi, stoi w oknie zapatrzony, to blednie, to czerwienieje, a ręce złożył jak do pacierza.

Zdumiał się Szymon, bo za całe siedem lat, jeszcze go takim nie widział.

Drzwi się otwarły, weszła nieznajoma kobieta, z dwiema dziewczynkami, jednakutko ubranemi, jednego wzrostu, podobne obie do siebie, jak dwie krople wody. Ino że jedna prosta, a druga niebożątko kulawa na nóżkę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powiada gość na powitanie.

— Na wieki wieków amen. Siadajcie gospodyni; musi z daleka idziecie, bo was pierwszy raz widzę — rzecze majster.

— A juści z daleka; do, siostry jadę do Strzyżewa. Umyślniem do was wstąpiła, bo mi ludzie cuda opowiadali coście to za szewc sławny. Weźcie miarę moim dziewuszkom, za tydzień będziemy wracać, to po trzewiczki przyjdziemy, dobrze? Ino piękne uszyjcie, *aliganckie*, na guziczki zapinane, z cieniuchnej skórki, o cenę mi nie chodzi, ino o ładność.

— Nie zepsują się wasze córeczki,

jak im tak będziecie schlebiać? śmieje się Szymon.

— Ej nie, bo dobre dziecka jak aniołki. Inoście się pomylili, bo nie moje córeczki, anim ja ich matka.

— Co powiadacie?

— Ano prawdę. Zrządzenie boskie mi je darowało, niech Panu Jezusowi będzie za to chwała wiekuista, bobym chyba od żalu umarła, gdyby nie te dzieci.

— Oj tak też cedzicie po słówku, a człowieka ciekawość trapi.

— No to słuchajcie. Mieszkał w drugiej chałupie obok nas drwal ze żoną; Jan Wicoszek się zwał. Lubiłam się bardzo z Janową, bo i cioteczne my siostry były. W jednym dniu dał mnie Pan Jezus syna, a onej dwie córeczki bliźnięta. Wielka radość, uciecha, jako, że pierwsze dziecko zawdy strasznie upragnione.

Na trzeci, czy czwarty dzień poszedł Jan ze siekierą do lasu, sprzedane do tartaku sosny ścinać. Co się długo rozwodzić, nieszczęście i dość — jak poszedł, tak żywy nie wrócił. Drzewo go przywaliło, umartego do domu przywieźli.

— O Matko!

— Chyba miarkujecie, co się to żonie dzieje na taki widok.

— O rety... okropa świata... — zajęczała Szymonowa.

— Strasznie się biedaczka rozchorowała, słabo i słabo. Co my się jej docucili, znowu mdleje. Dwa dni omal bez ustanku przy niej siedziałam, ale w końcu musiałam zajrzeć do domu, bo się chłopu cnęło przez usługi i gorącego jadła. Na godzinę skoczyłam do chałupy, dziecko wykąpać i coniebądź uwarzyć na obiad. Inom się obrządziła z tem i z owem, lecę, jakby mnie co gnało, a moja nieboga już na tamtym świecie.

— O Jezu... a dzieciątka?

— Leżały żywe przy matce, ino jednej nóżkę sobą przygniotła i złamała. W pierwszej chwili nikt nie zmiarkował, a potem zrosło się niezdarnie i już kulawa nieboraczka na całe życie.

— No i co dalej się stało?

— To się stało, żem obie sierotki zabrała do siebie, coby to nie pomarło od zimna i głodu. Wójt miał obmyślać co dalej z niemi robić. Aż tu nie mija miesiąc, mego synusia obsypało jakiemiś bolączkami, pomęczył się robaczek z tydzień i wzięły go aniołki jak swego. Płakałam, krzyczałam, o ziemię się ciskałam, śmierci wołałam... albo to przyjdzie, kiej ją prosić? Minęło kilkanaście dni, w gminie uradzili, żeby sierotki zawieźć do przytułku w mieście i płacić od nich, póki nie podrosną, a potem na służbę oddać. Przychodzi do mnie wójt i podwójci, ,,ano Błażkowa skończył się wasz kłopot, dawajcie bliźnięta, pójdą na wychowanie do zakonnic". A ja jak nie skoczę. ,,Co takiego? Własną piersią je karmię, pociechę mam od Pana Jezusa zesłaną za mego Jasieńka jedynego, nie oddam, nie oddam, ani pomyślenia takiego nie miejcie". Więc mnie już dali spokój, ino musieliśmy się oboje z mężem podpisać, że dziewczynki za swoje bierzemy i nijakiej im krzywdy nie uczynimy. O moiściewy... coby to życie było warte, gdyby człowiek kochania w sercu nie miał! Siedem lat się kończy, dziecątka chowają się zdrowo, a własnego już nam Pan Jezus nie dał; niech się dzieje święta jego wola. No, bywajcie zdrowi; nie będę wam dłużej mitrężyć, a i mnie do Strzyżewa jeszcze ze dwie godziny trza jechać.

Poszli Szymonowie gościa do bramy odprowadzić, wracają... omal nie pomdleli z przerażenia: Michał, smutny, a wierny ich sługa, stoi na środku izby, słonecznym blaskiem promienisty. Szaty na nim jako mgła lekkie, jako śnieg białe, u ramion skrzydła iskrzące.

Upadli na kolana i pochylili głowy ku ziemi, a on tak mówił:

— Archaniołem jestem. U stóp tronu bożego stałem, rozkazy Pana kornie pełniąc. I wysłał mię raz na ziemię,

abym niewiasty chorej duszę do nieba przywiódł. Wszedłem do izby ubogiej, leżała samotna, dwoje niemowląt do piersi tuląc. I dozwolił Pan, że oczy jej ujrzały mnie. Z płaczem prosiła, bym ją przy życiu zostawił. „Męża mi drzewo zabiło“ — powiada — „a dziecinki piąty dzień mają dopiero. Kto je odchowa, kto je kochał będzie, sierotki nieszczęsne! Nie odbieraj matki dzieciom, święty aniele!“ Zdjęła mię litość nad oną niewiastą i wróciłem do nieba sam. A upadłszy na twarz w trwodze niezmiernej, wyznałem moją winę. I przemówił do mnie Pan: „Iżeś nie usłuchał rozkazu mego, pokutować będziesz w człowieczej postaci póty, póki się trzech rzeczy nie dowiesz. Pierwsza, co w ludziach jest; drugie, co przed ludźmi zakryte, trzecie, czem ludzie żyją. Idź na ziemię i weźmij duszę chorej niewiasty“. Stało się, jako Pan rozkazał. Lecz gdym leciał w niebo, prowadząc oczyszczoną z grzechów na radość wiekuistą, ukazały się niezliczone zastępy braci moich, dusza niewiasty połączyła się z nimi, a ja, obleczon w ludzkie ciało stanąłem nagi i zziębły przy kapliczce na rozstaju. Niemal w tej samej chwili ujrzałem idącego drogą człowieka. Tyś to był Szymonie. Nie znałem ludzi, nie rozumiałem spraw ziemskich i bojaźnią drżący, przytuliłem się do muru. Zbliżyłeś się do mnie. Twarz twoja przejęła mnie wstrętem; czytałem w niej srogość, pijaństwo, samolubstwo; zasłoniłem oczy rękoma, a tyś odbiegł odemnie. Aliści słyszę znowu kroki,... patrzę, ten sam człowiek; tak niby ten sam, a cale inny: na twarzy litość i dobroć. Okryłeś mnie własną odzieżą i zaprowadziłeś do swego domu. Po raz drugi ujrzałem sprosność grzechu, gdy żona twoja krzykiem gniewu cię powitała, a mnie chciała z izby wyrzucić. Zdało mi się, że śmierć widzę wyrytą na jej twarzy, a zgnilizna grobu od niej bije. Szarpnęła ze złością sukmanę, by ją ze mnie zedrzeć, w jednem mgnieniu oka stało się jej oblicze jasne i piękne. Użaliła się nagości mojej, sama uboga, bez wahania przyniosła co ino mogła, by mię przyodziać. Posadziła za stołem i dała jeść. Uśmiechnąłem się wtedy, bo znalazłem odpowiedź na pierwsze pytanie, zrozumiałem, co w ludziach jest. Miłość jest w duszy człowieka, miłość, przez którą wszelki grzech bywa zmazany. Po długim czasie pozwolił mi Bóg odpowiedzieć na drugie zagadnienie. Przyjechał do was huczno ów pan bogaty i kazał szyć buty, coby lata przetrwały. A po jego prawicy stał brat mój, anioł śmierci, wiedziałem, że życie tego człowieka zgaśnie w ciągu godziny. Poznałem, że przed okiem człowieka zakryta jest przyszłość; żaden nie wie, czy go spotka szczęście, czy niedola, ani tego nie wie, czy wieczora w zdrowiu dożyje. Duch mój rozradował się i że pokuty koniec już bliski i rozśmiałem się głośno. Ale snać nie godzien jeszcze byłem stanąć przed obliczem Pana; długie lata w smutku i tęsknocie czekałem zmiłowania. Dzisiaj dopiero wyzwolon jestem z kajdan cielesnych i wracam do ojczyzny niebieskiej.

— Jakożeś się dowiedział święty aniele, czem ludzie żyją? — spytała z wielką nieśmiałością Szymonowa, wznosząc oczy ku cudownemu zjawisku.

— Wszak słyszeliście słowa tej kobiety, co bliźnięta sierotki przybrała za swoje? „Cóżby to życie było warte, gdyby człowiek kochania w sercu nie miał!“ Ona to odpowiedziała mi na trzecie pytanie: Miłością ludzie żyją, bez miłości niema życia.

Gdy archanioł Michał wymawiał ostatnie słowa, światłość niezmierna, a coraz wspanialsza, płynęła odeń, jak od słońca; Szymonowie pochylili się ku ziemi w pokorze.

. . . .

Gdy po chwili podnieśli w górę oczy, oglądania cudu spragnione, już w izbie nie było nikogo.

A. Domańska.

BAJECZNE POTWORY MORSKIE.

Wśród ludów, żyjących nad morzem, utworzyła się legenda, jakoby w głębiach oceanów żyły węże morskie o olbrzymich rozmiarach. Już, żyjący w XVI wieku, Olaus Magnus, podaje o wężu morskim wprost nieprawdopodobne wiadomości a nawet opisy swoje uzmysławia obrazkami. Opis podany przez Olausa Magnusa tak opiewa:

,,Wszyscy marynarze, podróżujący po wodach Norwegii, czy to w interesach handlowych, czy dla połowu ryb, zapewniają jednomyślnie o rzeczy zadziwiającej, a mianowicie, że pomiędzy skałami a jaskiniami nadbrzeżnemi, w okolicach miasta Bergen, przebywa wąż, mający 200 stóp długości i 20 stóp szerokości, który opuszcza swoją kryjówkę tylko podczas jasnych nocy letnich, pochłania wtedy cielęta, owce i świnie, lub też pływa po morzu, aby łowić mątwy, homary i różne raki morskie. Na szyi zwisają mu szeregi długich włosów, cały pokryty ostrą, czarną łuską, oczy posiadają barwę czerwono-ognistą. Napada na okręty, podnosząc się pionowo nakształt słupa, porywa ludzi, znajdujących się na pokładzie i połyka ich. Zjawienie się jego sprowadza rewolucyę, straszne wypadki i ciężkie przejścia polityczne tak, że albo książęta umierają, albo są wypędzani, lub też wybucha wojna.“



Wąż morski Olausa Magnusa z r. 1555.

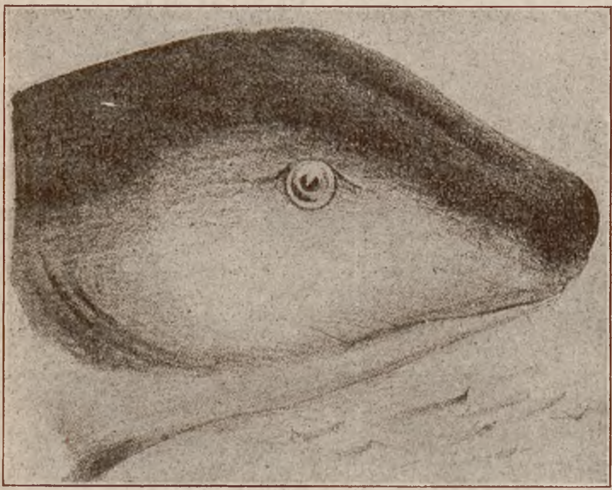


Dwa węże morskie widziane przez d-ra Bicarda w 1857 r.

Z opisu powyższego widzimy, iż są to rzeczy wprost nieprawdopodobne, a więc niemożliwe.

W sposób podobny tworzą się, ce-

lowo lub też bez żadnego celu, historye pełne kłamstw, przesadzonych opowiadań, które służą jako podstawa do tumanienia oczu od r. 1555 aż do dnia



Głowa węża morskiego, widzianego w r. 1848.



Wąż morski widziany przez d-ra Hamiltona.

dzisiejszego i wprost należy się dziwić, że nawet wybitni badacze przyrody dawali wiarę takim bredniom. Na jedno jeszcze zwrócić należy uwagę: wszyscy ludzie, którzy utrzymują, jakoby widzieli węża morskiego, są prostymi profanami, pomiędzy nimi niema ani fachowca, ani zoologa, chociaż w ostatnich 150 latach tylu ich po różnych morzach odbywało podróże. Żaden z obecnie żyjących skandynawskich badaczów przyrody, ani też żaden z badaczów wieku przeszłego, którzy studyowali rzeczywiście historyę otaczających mórz, a zarazem istot je zamieszkujących, nie może nam podać, że wie o tego rodzaju straszydle.

Już od 100 lat przeszło wielu badaczów przyrody zwątpiło o istnieniu tego potwora i próbowało wytłumaczyć to wszystko drogą naturalną, zaliczając dawne obserwacye, jak również obserwacye nowsze — bo i tych nie brak — do złudzeń wzrokowych. W r. 1803, Allan Bradford, duchowny angielski, wyjaśniał, że domniemany wąż nie był czem innem, jak szeregiem płynących jeden za drugim delfinów, które podczas pływania to chowały się pod wodę, to znów z niej wypływały, a każdy osobnik w szeregu mógł się wydawać jako jeden ze zwojów węża, czy też jego zagięć. Takie same zjawisko było obserwowane na morzach Północnem i Adryatyckiem, Mitchel i Szlegel wypowiadali ten sam pogląd z tą jednak różnicą, że według nich, to nie były delfiny, lecz wieloryby lub kaszaloty. Drenn w roku 1878, na brzegu francuskim, za pomocą doskonałych szkieł, obserwował mniemanego węża morskiego i stwierdził, że to był ptak morski, latający w różne strony nad samą powierzchnią wody.

Niektórzy przyrodnicy przypuszczają

że olbrzymie rekiny mogły być przyjmowane za węże morskie; wiadomo, że długość ich przewyższa 10 metrów, jak np. straszny rekin morza Śródziemnego lub rekin przebywający w mawiali za uznaniem węża morskiego jako pewien rodzaj ryby wstęgowej, przebywającej tylko w głębinach morskich; ryba ta dosięga wprawdzie długości 6 metrów, lecz na powierz-



Wąż morski widziany przez Jana Egede w r. 1734.



Wąż morski widziany przez C. Renarda w r. 1881.

stronach północnych Atlantyku. Ten ostatni, płynąc wolno na powierzchni morza, ma zwyczaj wygrzewania się na słońcu. Inni znów badacze prze- chnię morza wypływa tylko jako nieżywa, lub też w tym stanie przez morze na brzeg bywa wyrzucana. Przypuszczali również, że to były

węże boa, które jakoby miały przypłynąć do morza z wielkich rzek podzwrotnikowych.

Przypuszczenia w różnych czasach były różne, ale zawsze dla nadłatwowiernych ludzi. Dla uzmysłowienia tego strachu, podajemy sześć obrazków, przedstawiających rzekomy wygląd węża morskiego w wyobraźni ludzi bujnej fantazyi; na obrazku



LINEUS LOGISSIMUS,
olbrzymi robak morski, wzięty w r. 1849 za węża morskiego.

morskich rybaków strach jeden. I dziś, choć badacze nie stwierdzili istnienia wężów morskich, legenda o nich krąży i wzbudza nieuzasadnioną bojaźń wśród siódmym jest uwidoczniony olbrzymi robak morski, nazwiskiem „lineus logissimus“, którego brano również za węża morskiego.

PAN BOCIAN I SROKA

(Bajka).

Pan bocian we fraku
Wrócił z zagranicy,
Spacerował sobie,
Po łanie pszenicy.
Ujrzała go sroka;
Leci od potoka,
Skrzeczy do bociana:
— Witam jaśnie pana!
Jak zdróweczko służy?
Jaśnie pani zdrowa,
Po długiej podróży?
Widać jaśnie panu,
Zagranica zbrzydła,
Kiedy, by powrócić,
Nie żałował skrzydła!? —
Na to ironiczne
Sroki przywitanie
Bocian odpowiedział:
— Głupie twe gadanie
Nie zbrzydły mi wcale,
Kraje zagraniczne,
Błota, bagna, bady,
Nie tak jak tu śliczne
Przez to powróciłem,
Z dalekiego wschodu,
Bo mi wypadało,
Zdechnąć tam od głodu.
Jak tutaj przez lato,
Utyję, odżywię,
To znów zagranicę,
Sobą uszczęśliwię....

* * *

Wieleż takich, jak bocianów,
Mamy w Polsce jasnych panów!..

Jantek z Bugaja.

PRZYGODY BARTKA GADUŁY.

W pewnej wiosce żył chłopek nazwiskiem Bartek Gaduła. Był to wielki dziwak, bo wszystko robił na opak. Czyto naprzykład przy jedzeniu, czy przy robocie, miał Bartek inne zwyczaje od reszty ludzi. Zaczynał młócić wtedy, gdy już zboże dobrze myszy pogryzły, siał zboże, gdy już innych dobrze ziemię okryło. Około M. B. Różańcowej zaczynał zwozić snopki. Całymi wieczorami przesiadywał w karczmie. Gdy było gdzie jakie wesele lub chrzciny, to chętnie go proszono, bo ludzie lubieli słuchać jego opowiadań o przygodach z młodych lat. Gospodarstwo miał niewielkie, bo zaledwie kilka mórg gruntu, który wziął jako posag za żoną. Żonę miał przystojną i gospodarną, która jak to powiadają, pracowała za chłopa i za babę.

Pewnego razu poszedł Bartek na wesele do Jaśka Ochoczego, a gdy sobie trochę podpił, zaczął mówić :

— Niejeden ze starszych pamięta — mówi Bartek — jak moich rodziców zabrała śmierć. A byłem jeszcze chłopakiem, liczyłem 18 lat życia. Więcej nas nie było, ani też majątku rodzice nie posiadali, tylko maleńką chałupinę i kawałeczek ogrodu. Byłem ja lekkomyślnym, więc nie umiałem sobie poradzić. Przez zimę, gdy miałem co jeść, siedziałem w chałupie, jak pan, a na wiosnę zostałem całkiem goły : nie miałem co jeść, ani w co się ubrać. Na robotę nie chciało mi się iść, choć na folwarku płacono dobrze, więc postanowiłem jechać do Prus.

No i stało się! Pożyczyłem u Mośka pieniędzy na podróż i pojechałem. Zgodziłem się do kopalni węgla. Praca była ciężką, całymi dniami pracowałem jak wół, ale wieczorami wszystko z towarzyszami przepijałem. Zaledwie kupiłem sobie kabat ze starego Prusaka z dragonem i stary zegarek, no i zielony kapelusz z piórem.

Na razie powodziło mi się dobrze i byłem zadowolony, że nauczyłem się wymawiać niektóre słowa po „szwabsku“. Już z góry cieszyłem się tą myślą, jak przyjadę do domu, do rodzinnej wioski, dziwacznie ubrany, z łańcuszkiem na brzuchu i w zielonym kapeluszu, jak mię będą słuchać towarzysze, jak im zacznę rozpowiadać swoje przygody nieznanym pruskim językiem

Ale stało się inaczej. W kilka miesięcy później po nocnej pijatyce przyszedłem do roboty zupełnie pijany. Potknąwszy się na czemś, upadłem na szyny w chwili, gdy wózki jechały naładowane węglem, Nim zdążyłem ruszyć się odcięły mi dwa palce.

Gdy się opamiętałem, znajdowałem się w szpitalu na łóżku. Oj ciężka to była dola. Jak się tam obchodzą z tym biednym Polakiem! Jedzenie u nas psu lepsze się daje, a lekarze postępują jak z bydłem.

Leżałem w szpitalu do jesieni. Wyleczyłem się jako tako, więc odstawiono mię do domu. Wynagrodzenia nie dano mi żadnego dlatego, że pijany upadłem na szyny.

Po powrocie do domu zaczęła się bieda na dobre ; ze zgryzoty popadłem

w chorobę i tak leżałem kilka tygodni, aż nareszcie nadeszła wigilia Bożego Narodzenia. Żywo przyszły mi na myśl lata dziecięce, choinka i wesołe kolędy. Słyszałem z sąsiednich chat wesołe kolędy, słyszałem jak o dwunastej odezwał się głos dzwonu, zwołującego pobożny lud do kościoła na pasterkę.

W tem ciemno zrobiło mi się w oczach. Zdało mi się, że dusza moja poszła na sąd Boży. Gdy mię tam zobaczył święty Piotr, odrazu poznał, że jestem Polakiem. Bardzo się ucieszył i jeszcze zdaleka wołał na mnie:

— Chodź! synu, jużeś się dość nabiedował, teraz będziesz się cieszył na wieki.

Ucieszyłem się bardzo, ale zaraz zacząłem przemyśliwać, jak ja i co ja jemu powiem. I postanowiłem go pozdrowić po prusku, myśląc, że św. Piotr bardzo się ucieszy, żem taki uczony Polak. Przychodzę więc do św. Piotra, prostuję się i powiadam: *Gut morgen*! (Dzień dobry!) Usłyszawszy to św. Piotr, aż podskoczył ze strachu i powiada:

— Dać ci w mordę? — i chlast mnie w pysk raz i drugi.

— A ty szwabie! — mówi przy tem — ja myślałem, żeś ty Polak! Marsz! Dla Prusaka w niebie miejsca niema, boby całe niebo sprusaczył i wywłaszczyłby wszystkich świętych.

Na krzyk mój przybiegł zmarły mój rodzic i spytał się św. Piotra, o co chodzi. Gdy się dowiedział, że ja po szwabsku św. Piotra powitałem, zaczął na mnie krzyczeć:

— A ty, wyrodny synu, to ty nie masz swojej mowy, że używasz mowy swego wroga, Prusaka? o ty nie jesteś moim synem! Marsz stąd! Św. Piotr nie czekał dłużej lecz wypchnął mnie, zamykając bramę, nic się już nie odzywając.

Poszedłem do drugiej bramy, która była niedaleko. Zapukałem; wyszło dwóch ogoniastych z kopytami i z rogami na głowie. Poznałem, że było to piekło. Nastraszyłem się bardzo tych czarnych duchów.

Djabli zaprowadzili mnie do Lucypera, który zaczął mnie rozpytywać, jakim sposobem przyszedłem do nich. Opowiedziałem mu swoją przygodę, zaszłą przed chwilą. Gdy to usłyszał djabeł, że ja za szwabskie słowo dostałem się do piekła, aż mu włosy stanęły na głowie.

— Ho, ho, ptaszku! nie damy się złapać, my tu od wieków mieszkamy tak samo jak tam na ziemi Polacy, a ty byś nas stąd wywłaszczał i możebyś nam zakazał używać djabelskiej mowy. Marsz!

To mówiąc, wskazał na towarzyszy, żeby mnie wyprowadzili za bramę...

Kiedym się obudził, był już dzień, a nad mojem łóżkiem stała sąsiadka Jaga, która mię często odwiedzała i przynosiła mi jedzenie.

Kazimierz Szymański.

NASZA PRZYSZŁOŚĆ.

Listek na drzewie gdy się rozwija,
Gdyby on wiedział o tem,
Że choć mu dzisiaj słońce tak sprzyja
Ach! co się z nim stanie potem...
I my gdybyśmy wiedzieli,
Jaka nas czeka zapłata,
Pracować dalej byśmy nie chcieli.
Troską skracali swe lata.

Nie chciejmy darmo badać przyszłości,
Żyjmy jak motyl dla chwili,
Pracujmy, jakbyśmy żyli w wieczności,
Praca nam życie umili.
Kiedyś nad trumną gdy nam powie-
Że się już wypełniło, [dzą,
Ci co usłyszą nich o tem wiedzą,
Że się dla drugich żyło.

Marya Mockowa.

W NOC WIGILIJNĄ

Było cicho, jak tam, kędy śmierć królowanie swe bierze...

Śnieg prószył srebrnemi gwiazdami, osłaniając krwawe, straszne pobojowisko.

Bo rok 1830 był rokiem krwi i walki za wolność Ojczyzny!

. . . .

Mrok zapadał, zbliżała się noc wielka, święta, noc Narodzenia Boga.

A świat rozszalał się nagle szumem wichru, burzą śniegu, zazgrzytał konarami drzew, zawył dziko, okrutnie...

W walce natury czuć było szał, wściekłość, jakby piekło rozpętało swe czarne moce i potępieńców rzuciło na puste rozdroża...

W taką to noc posępną, straszną wielcy męczennicy Idei Odrodzenia oddawali swe dusze Bogu na wieczysty sen i ukojenie...

A tam hen... jak Polska długa i szeroka biły dzwony rozgłośnie, zwiastując ziemi radosne, tryumfalne: „Gloria!"

Na polu walki cicho było — ponuro... Jeno w gałęziach drzew szumiało coś złowrogo, syczało śmiechem, przewalało huraganem...

Tu i tam rozrzucona broń... krew brocząca obficie ze stygnących już ciał... i — jak okiem sięgnąć — na białym całunie śniegu — sztywne, poranione, wykrzywione przedśmiertną agonią trupy bohaterów...

I grał im wichr ostatnią symfonię śmierci — a śnieg całował lekko, pieszczotliwie zimne poległych czoła...

Aż oto jęk... zrazu cichy - po chwili straszny, szarpiący duszę...

To ranny zbudził się i błaga o pomoc...

Odpowiedziały mu dzwony z pobliskiej wioski, zwołujące wiernych na pasterkę...

Biją w niebo tryumfem, radością...

— Chwała na wysokościach Panu! — a ziemia, zda się, cała powtarza:

— Chwała...! chwała!... chwała!... oto nadeszła godzina, w której milknie jęk, osychają łzy, ginie troska...

A ranny unosi głowę i skarży bo leśnie:

— O ty, który pokojem obdarzasz dzisiaj ziemię — daszże mi ukojenie — wyzwolisz z kajdan niewoli?...

...A potem bezsilny słania się na skrwawioną ziemię i zamyka znużone oczy...

...Przypomina dom, siwego ojca, starą matkę... Oni zapewne w tej chwili łamią się opłatkiem i tłumią łzy, by nie zdradzić przed sobą, że lęk o jedynaka szarpie im duszę, ugniata pierś...

— Może nie wróci... zginie może...

Rannemu ciche łzy płyną po twarzy...

Nie żal mu życia, ale żal tych białych gołąbków, do których nie wróci, żal, że ojczyźnie więcej służył nie będzie...

— Śmierć!... takie krótkie słowo i tak

wiele kończy — ale Panie — dziej się wola Twoja!...

Chorego obe muje gorączka, tłumi jęk, rozpogadza twarz...

...Tyle światła i tyle kwiatów... Kościół przybrany wspaniale... Pełno znajomych... witają go uśmiechani, życzeniem szczęścia...

...On idzie do stopni ołtarza, a obok cudna, ukochana Helena... I ani wie dlaczego ta majętna, świetna dziewczyna zniżyła się do niego, ubogiego chłopczyny...

...On nawet wyznać nie śmiał, że kocha, że dla niej życie poświęcić gotów...

...Ale Helenka uśmiecha się tak jasno, promiennie — i szepce wzruszona: to dlatego, żeś tak mężnie za Polskę walczyć umiał... Jam już twoja na zawsze... na wieki!...

Ranny uśmiecha się ostatkiem sił, które uchodzą z chwilą każdą!

. . . .

Ku pobojowisku zdążają dwa czarne cienie... Kobieta i duchowny. On niesie ostatnią pociechę, ona zda się szuka kogoś, bo pilnie wpatruje się w twarz każdą...

Nagle posłyszeli jęk — cichy, stłumiony...

Spieszą. Ona drży i zbladłemi usty szepce trwożliwie:

— Jezu, Jezu tylko jego mi ocal — nie bierz — uchroń od śmierci...

Pochylają się nad rannym...

Krzyk straszny, dziki, bolesny!....

To kobieta rzuciła się z jękiem do stóp odnalezionego...

A on nagle zbudzony tym głosem, unosi się na rękach, patrzy przytomnie i szepce:

— Heleno — ukochana ty mo... i nie dokończył, krew buchnęła mu ustami, zachwiał się i runął sztywny na ziemię... Blady był, ale uśmiech opromieniał mu szlachetne, martwe już rysy...

I nagle uciszył się wichr — święte ukojenie wionęło na pobojowisko...

Bóg spełnił prośbę męczennika...

Kobieta szloch stłumiła w piersi... Co najmilszego miała na ziemi, oddawała Ojczyźnie... Ból swój złożyła u żłóbka Małej Bożej Dzieciny... — „Za wolność Polski... o Jezu!“

A gdy radosne rozkołysane dzwony rozśpiewały tryumfalne „Hosanna!“ wypełniły serce młodej kobiety wiarą, że ofiarami serca, pracą i walką okupiony nadejdzie taki wielki i święty dzień, w którym

„wypłynąwszy z walk z losem i zdarzeń powodzi —
„zaśpiewamy szczęśliwi: „Nam Polska się rodzi!“

Marya Prajerówna.

CZY JA CIĘ KOCHAM?..

Czy ja cię kocham, Ojczyzno miła,
Niechaj ci powie, ten zagon ziemi,
*Któr*ą*m, choć osty, piołun rodziła,*
Uprawiał, pieścił... rękami memi?...

Czy ja cię kocham, zapytaj oto,
Tej tam na wzgórzu, brzozy płaczącej,
Która wśród zrębu, stoi sierotą...
Mych z nią o tobie, marzeń tysiące...

Czy ja cię kocham, ojczyzno święta,
Zapytaj oto braci w siermiędze.
Wielu ich moje piosnki pamięta,
Że przyszłość twoja jest w ich potędze..

Czy ja cię kocham, Ojczyzno miła,
Powie ci kiedyś, me życie całe.
Gdy mię w twym łonie skryje mogiła,
Czym nie pracował, na twoją chwałę...

Czy ja cię kocham, Ojczyzno droga,
Powie ci moja dziecina mała,
Którejm dał miłość Ojczyzny, Boga,
By cię mem sercem, duszą kochała...

Jantek z Bugaja.

NA FRANCUSKIEJ ZIEMI.

Gdy po raz pierwszy w świat wyjechałem, liczyłem lat 15. Nie mogłem w okolicy znaleść żadnego zatrudnienia i musiałem udać się do Prus na roboty.

Było to na wiosnę 1906 r. W sąsiedniej wiosce zapisywała jedna dziewczyna ludzi do dworu w Prusiech. Poszedłem do niej, zapisałem się i za kilka dni ujrzałem się na niemieckich ziemiach.

Zaraz po przybyciu na miejsce spostrzegłem, że jesteśmy ofiarami oszustwa. Mieliśmy w kontrakcie wymówione czyste, suche mieszkanie, światło, opał, 25 funtów kartofli na tydzień, płaca zaś dzienna dla mężczyzn 1 m. 70 fen., a dla chłopców i kobiet 1 m. 20 f.

Przedstawię Wam nasze czyste, suche mieszkanie: Gdy przybyliśmy do owego dworu, śnieg jeszcze leżał na polu i zimno było nieznośne. „Aufseher" zawiódł nas do domu, który z daleka wyglądał nieźle. Gdy jednak otworzył drzwi, oczom naszym przedstawił się wcale nie pocieszny widok. Na podłodze zaraz przy wejściu leżały potłuczone garnki, flaszki, dalej po kątach leżały stare szmaty i walały się stosy śmieci. Wchodzimy do kuchni, a zarazem sali jadalnej. Wejściem naszem wystraszyliśmy stąd mnóstwo wróbli, które uciekały sobie swobodnie przez wytłuczone szyby. Idziemy na górę. Tu mamy przygotowane łóżka, raczej deski zbite do kupy, a na nich sienniki, z których wyziera na wszystkie boki słoma. W przypadku słomą tą możnaby zastąpić sieczkę. Dla każdych pięciu osób przygotowana była osobna derka.

Gdy deszcz nie padał, to się i do izby nie lało. Studnię musieliśmy najpierw wyczyścić, ażeby dostać czystej wody. Była ona bowiem do połowy zawalona różnymi gratami. Niemcy nawrzucali do niej słomy, plew, starego żelaza, zużytych obrączek itd. Cały dzień zeszedł nam na uporządzeniu nowego mieszkania. Drzewo na opał wydobywaliśmy z pod śniegu. Kuchnię też było trzeba naprawiać, bo była zburzona. Aż na wieczór dopiero udało nam się ugotować parę nadgniłych ziemniaków, jakie wyfasowaliśmy.

Na światło dostawaliśmy 2 litry nafty na 6 lamp tygod. Jeżeli chciało się nam mieć na obiad coś innego niż ziemniaki, to trzeba było samym sobie kupić. Słoninę, mleko, sól, kawę, cukier, chleb, taksamo sami kupowaliśmy, tak, że dodając jeszcze parę paczek papierosów na tydzień, wszystek zarobek przeżywaliśmy.

Przy pracy niejeden gorzko się wypłakał. Brutalnie się obchodzili z nami dozorcy-Prusaki. My chłopcy musieliśmy wykonywać roboty za silnych chłopów, do tego dozorca często pociągał nas za uszy, wołając: „Du polnisches Schwein"! Krew się burzyła we mnie na takie słowa, ale cóż ja mały takiemu silnemu Prusakowi zrobię?

Wysiedziałem w tym dworze dwa lata. Dlaczego? Bo nie miałem pieniędzy na podróż do kraju. Dopiero po dwóch latach udało mi się kupić

ubranie, a nadto przywiozłem do domu 50 K. za całe dwa lata!

Na drugi rok chciałem znowu jechać w świat, ale nie do Prus. Słyszałem coś od ludzi, że w Krakowie istnieje jakieś tam „Polskie Towarzystwo Emigracyjne“, które wysyła ludzi do Francyi na zarobek i skąd można jechać na roboty, centa w kieszeni nie mając. Zapłaciłem więc sobie bilet z Bochni do Krakowa, na który wydałem wszystkie pieniądze, jakie posiadałem.

Na stacyi kolejowej w Krakowie ujrzałem jakiegoś pana z czapką, ozdobioną trzema literami: P. T. E. Pan ten rozmawiał z ludźmi, którzy wszyscy podobnie jak ja mieli kuferki, po czem można było poznać, że to emigranci. Domyśliłem się więc, że ten pan musi być jakimś agentem. Poszedłem bliżej i z rozmowy ich dowiedziałem się, że to jest rzeczywiście funkcyonaryusz Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego i zabiera tych ludzi ze sobą. Poprosiłem go, ażeby i mnie zabrał, co z chęcią uczynił. W P. T. E. zostałem zaraz zakontraktowany do Francyi, dokąd też na drugi dzień wyjechałem. Muszę dodać, że nie jechałem sam. Było nas w wagonie coś 45 osób, w czem tylko dwie kobiety. Prowadził nas z ramienia P. T. E. specyalny przewodnik aż na ziemię francuską.

Podróż mieliśmy bardzo wesołą. Jechaliśmy przez całe Niemcy, z Oświęcimia drogą na Wrocław, stąd przez Hallę nad rzeką Sallą do Metzu i do Nancy. Tu przyszedł jakiś pan po nas i zaprowadził wszystkich do t. zw. po francusku „Café“, gdzie dostaliśmy obiad. Ale jaki to był obiad! Nie było tam kwaśnego barszczu z ziemniakami, jak w Polsce! Na pierwsze danie otrzymaliśmy zupę, do której nakrajano chleba, a na drugie były ziemniaki, pokrajane w maleńkie kostki i upieczone na oliwie. Przytem dostaliśmy spory befsztyk. Gdyśmy i to zjedli, podali nam czerwone buraki, dobrze przyprawione i pokrajane w listki, jako sałatę. Nie będzie końca z dzisiejszym obiadem — myślałem sobie. Najbardziej zaciekawiło mię postawienie przed nami wina razem z pierwszą potrawą. Wino pije się przecież po jedzeniu — myślałem. Kiedy się jednak rozglądnąłem po sali, zobaczyłem jak jedzą francuscy goście: oto Francuz, co połknie parę łyżek z talerza, to zalewa winem. Tak więc i ja robiłem.

Po obiedzie zaczęło nas powoli ubywać, bo mieliśmy kontrakty do małych farm, gdzie nie potrzeba więcej, jak jednego a najwyżej dwóch robotników. Przyjeżdżali też „patroni“ z okolic Nancy i każdy zabierał swojego robotnika. My zaś, którzy mieliśmy dalej jeszcze jechać, czekaliśmy, aż kolej na nas przyjdzie.

Do restauracyi naschodziło się dużo ciekawych Francuzów, którzy, chociaż nie głodni, przyszli, ażeby robotników polskich zobaczyć. Zaczęli z nami rozmowę, której wszakże nic nie rozumieliśmy. Jakąż bowiem mowę mają te Francuzy? Kiedy u nas dzieci chcą mówić po żydowsku, a nie umieją, to używają takich wyrazów, jak właśnie Francuzi: „pa, la, są“ itp. Nie nauczę się nigdy takiej mowy — myślałem sobie. Słyszałem, że język francuski ma być piękniejszy od innych, a tu masz — gorszy od cygańskiego. Dzieci francuskie na najmniejsze poruszenie którego z nas uciekają i biorąc nas za Prusaków, krzyczą „niks, niks“!

— Cóż to — zwracam się do kolegi — czy one zawsze będą tak uciekały przed nami? Przecież my nie dzicy Indyanie.

— Doprawdy, te dzieci głupsze są od naszych — odpowiada tamten.

Polskie dzieci, gdy zobaczą cudzoziemca, otwierają gęby i patrzą weń, jakby w tęczę, francuskie zaś dzieciaki uciekają.

Przy takim szwargocie doczekaliśmy wieczora, a potem poprowadzono nas na strych, gdzie mieliśmy czekać do rana. Mówię, że na strych, ale można

także powiedzieć, że na pierwsze piętro, ponieważ zastaliśmy obszerną izbę z łóżkami, na których można było wygodnie się przespać. W izbie pełno tego nie schowali przed nami. Nie boją się oni złodziei. Po krótkim namyśle wszyscy zgodziliśmy się na jedność, że we Francyi niema złodziei. A więc je-



Na ziemi francuskiej: Robotnicy polscy przed „Restauracyą Rolniczą" w Nancy

bogatych sprzętów i naczyń, tak mosiężnych, jak srebrnych. I znów dziwnem mi się wydawało, dlaczego oni żeli oni mają nas za porządnych ludzi, to i my ze swej strony musimy dbać, ażeby nie pokalać się w ich oczach.

Drugiego dnia o godzinie 8-mej rano zaprowadzono nas na dworzec kolejowy, gdzie zakupiono nam bilety, każdemu prawie w inną stronę. Teraz dopiero poczuliśmy, że jesteśmy w obcym kraju, bo wszyscy żegnali się jak bracia i każdy zapisywał adresy kolegów. Niektoremu i łza zaświeciła w oku przy rozstaniu, wszystkim nam wydawało się przy rozstaniu, że idziemy na stracenie.

Zemną kawał drogi tą samą linią jechało jeszcze dwóch kolegów, ale każdy wysiadał na innej stacyi. Pocieszamy się po drodze, jak możemy i usiłujemy się śmiać, ażeby odpędzić smutek, jaki panował w sercu każdego. Teraz nie mamy już innego przewodnika, jedziemy sobie sami. Musimy też uważać, ażebyśmy za daleko nie pojechali, albo za blisko nie wysiedli. Mamy zmienić gdzieś pociąg, ale gdzie i kiedy, tego nie wiemy. Przystępuję więc do jednego Francuza i zapytuję go po niemiecku, gdzie jedzie i proszę, ażeby nam pokazał dworzec, gdzie mamy wysiąść. Poczciwy Francuz, myśląc, że proszę go o wsparcie, sięgnął do kieszeni i podał mi franka. Ja obejrzałem pieniądz z obu stron i oddaję go następnie, ale Francuz na migi pokazuje, ażebym go sobie schował. Usłuchałem i poszedłem do kuferka, gdzie schowany był słowniczek polsko-francuski, otrzymany w P. T. E. Wyszukałem w nim słowo „merci", co znaczy „dziękuję", zwróciłem się do Francuza i podziękowałem mu w jego języku. Pierwsze to było słowo, jakiego nauczyłem się po francusku i jakiem w tym języku przemówiłem. Uśmiechnął się panisko i odpowiedział po cichu: „de rien". Domyśliłem się, że to ma znaczyć: „niema za co". Zdaje mi się, że on bardziej był zadowolony z mego podziękowania, aniżeli ja z franka.



Na ziemi francuskiej: Robotnicy polscy w Tomblaine pod Nancy.

Najbardziej drażniło mię to, że Francuzi w wagonie śmiali się z nas, że mamy na nogach długie buty. Oni zaś sami nosili drewniane sandały, co jeszcze paskudniej wygląda, a chwalili je, że są lepsze od naszych butów. Lecz po gestach i po oczach widać było, że śmiech ten jest jakiś miły, gdzieś z serca pochodzi, że śmiejąc się, nie myśleli źle o nas. Tak przy takich sprzeczkach (naturalnie na migi) częstowali nas papierosami i klepali po ramionach, mówiąc coś przytem, z czego tylko słowo: „Polonais" pamiętam.

Na jednej stacyi zmieniliśmy w końcu pociąg i jedziemy dalej. Niedaleko stąd musieliśmy pożegnać kolegę, który wysiadał. Chłopak rozpłakał się przy rozłące. Trochę dalej wysiadł drugi, ostatni mój towarzysz. Teraz sam już jadę. Widząc, że każdy Francuz trzyma w ręce jakąś gazetę, wbiłem się w kąt wagonu i począłem czytać mój „Polski Przegląd Emigracyjny", który zresztą już i tak na pamięć wiedziałem.

W drodze raz jeszcze się przesiadłem, mianowicie w mieście, jak się później dowiedziałem, Gray i stamtąd jechałem już prosto do stacyi w Pontailler.

Wysiadłszy na tej stacyi, rozglądam się koło siebie, aż tu widzę jakiegoś starego Francuza, który biegnie prosto do mnie. Przybiegł, zaszwargotał, zapytał się o coś...

— Nie rozumiem — odpowiadam.

— Vous etes de Cracovie?

— Ja, ja, Krakowi! — odpowiadam. Słowo Cracovie zrozumiałem, bo się wymawia podobnie jak u nas.

Na to Francuz powiedział znowu coś do mnie i wskazał mi wyjście. Przed stacyą stała bryka kryta, bo deszcz w ten dzień padał ze śniegiem, na którą Francuz pomógł mi włożyć kuferek, poczem sami do niej wsiedliśmy.

Jedziemy. Po prawej stronie gościńca mamy małe wzgórze, winogronem obsadzone, a z lewej ciągnie się woda, jak okiem sięgnąć.

— No, — pomyślałem — teraz trzeba będzie chyba na ryby chodzić.

Bo i mój Francuz na jakiego łapiskórę wyglądał. Miał czapkę, w jakich żydzi u nas chodzą, bluzkę gumianą i trzewiki z wielkimi gwoździami. Sądziłem, że to pewnie parobek od pracodawcy po mnie wyjechał.

Przejechaliśmy przez miasto Pontailler. Tu znów zwrócił moją uwagę kamienny gościniec. Póki jechaliśmy przez miasto, nic w tem nie widziałem dziwnego, bo i u nas są kamienne drogi w miastach. Ale gdy w Polsce poza miastem koła po osie niemal grzęzną w błocie, tutaj toczy się wózek, jak po stole.

Dostaliśmy się do naszego domu. Zaraz, gdy wysiadłem z bryki, obstąpili mię naokoło ludziska i wszyscy gapią się na mnie. Ja tymczasem pomogłem mniemanemu parobkowi wyprzęgnąć i rozebrać konia, poczem parobek odprowadził go do stajni. Za chwilę wrócił do mnie i zaprowadził mię do kuchni, gdzie otrzymałem podwieczorek — o 4 godz. po południu.



Na ziemi francuskiej: Wychodźcy polscy przed pomnikiem króla Stanisława Leszczyńskiego w Nancy.

Miałem na stole kalafiory, w których były małe kiełbaski.

— Aha — myślę sobie — to nie u Prusaka, lepiej to jakoś smakuje.

Zjadłem smacznie podwieczorek dali mi wina, napiłem się. Ale teraz chciałbym coś mówić z nowymi znajomymi, a nie mogę. Przekonałem się tylko, że ów parobek to sam pracodawca. W ku-

chni było pięć osób. Poczęli i oni ze swej strony o coś mię wypytywać, ale nic nie rozumię. Aż pokazali mi jednego chłopaka, który pracował na podwórku, wymawiając przy tem słowo ,,Filip", to znowu wskazano mi dziewczynę, imieniem ,,Fernande". Teraz już rozumię, czego chcą po mnie. Oto chcą wiedzieć, jak się nazywam, jak mi na imię.

— Piotr — mówię.

— Ah, Pietra, Pietra.

No i dostałem włoskie imię, jakie musiałem nosić przez cały czas pobytu u tego pracodawcy. Gdy już gospodarz zaspokoił swoją ciekawość i gospodyni także, zaprowadzono mię do małej szopy, pokazano kupę drzewa, piłkę i małą kobylicę. Szło mi to rznięcie trudno zrazu, bo zamiast trzymać drzewo ręką jak u nas, tam podtrzymuje się je nogą. Wnet jednak włożyłem się do tej roboty.

Wieczorem zawołano mię do kuchni i znów wskazano mi półmiski i talerze. Przy stole siedziało nas pięć osób. Gospodarz, jego żona, córka, służący i ja. Na stole leży bielutki chleb pszeniczny, a co leży na półmiskach, to u nas nie byle kto na to może się zdobyć. Przy wieczerzy gospodarz rozmawiał coś z parobkiem, coś mu jakby rozkazywał, naco ten przytakiwał głową. I tak mi to wyglądało, jakby oni sobie byli równi. Czasem parobek, zdawało się, gromił gospodarza, do mnie chcieli coś mówić, ale ja nic nie rozumię. Gdy się z czego śmiano, myślałem, że to ze mnie się śmieją. Zauważyłem też, że ten pracodawca, choć mu tak strasznie z oczu patrzy, dużo łagodniejszy jest i lepszy od Prusaka.

Po wieczerzy nowy mój kolega zaczął coś mówić do mnie i pokazywać, ażebym poszedł z nim. Usłuchałem. Po drodze pokazuje mi domy, drzewa, most, wodę i pyta, jak się to po polsku nazywa. Jego żądaniu uczyniłem zadość. Przy tej sposobności mogłem doskonale przypatrzyć się, jak wioska wygląda.

Podobna ona jest więcej do miasta niż do wsi. Budynki są murowane jedno i dwu piętrowe, na ulicach panuje porządek i niema błota, chociaż deszcz padał, bo droga jest kamienna jak u nas trotuar. Wyszedłszy ulicą od naszego domu, przyszliśmy do miejsca, gdzie drogi rozchodzą się w trzy strony. Od zachodu wiedzie droga z miasta Dijon, wykręca się na lewą stronę i idzie do miasta Besansson, na północy położonego, inna zaś odnoga idzie na południowy wschód do Auxone. Przed sobą mamy jakąś fabrykę. Zapytuję kolegę co to jest, a ten zamiast odpowiedzieć narysował mi armatę, wziął trochę ziemi w rękę i pokazywał, że gdybym to włożył do armaty i podświecił, to wystrzeli.

— Aha! — to jest fabryka prochu strzelniczego!

Skręciliśmy na lewo, przechodzimy przez mały piękny mostek, zbudowany nad wązką rzeczułką, która, jak się póździej przekonałem, idzie mocować się z fabrycznemi kołami, i znajdujemy się przy pięknym gmachu po lewej stronie drogi: jest to szkoła ludowa. Po prawej stronie restauracya i tam mię też zawołał kolega.

Zaraz przy wejściu obstąpili mnie franzuci, ściskali mi rękę, mówiąc coś: ,,Bon soir Polonais" ,,comma ca vat?" Posadzili mnie za stołem, kazali lać mi wina i znów zaczęła się gramatyka po polsku. Zaraz miałem kolegów, w pierwszy dzień wszyscy mnie polubili, dlatego, że jestem Polakiem. Opowiadali mi o Napoleonie i o Dąbrowskim, o królu Stanisławie Leszczyńskim i tak wesoło spędziliśmy wieczór. Na noc zaprowadził mię kolega do stajni, gdzie w kącie stało dość wygodne i czystemi prześcieradłami świeżo wysłane łóżko. Na drugi dzień, gdy oczyściłem konie, nakarmiłem je i napoiłem, przyglądnąłem się bliżej zabudowaniom mego gospodarza.

Zaraz przy drodze stoi wysoka kamienica dwupiętrowa, po prawej stronie znajduje się wejście na dziedziniec, zamknięte żelazną bramą a obok bramy stoi schronisko na bryczkę i samochód. Przy tem schronisku znajduje się mała szopa gdzie leżą worki z solą, tak zwaną amerykańską, którą rozsiewa się na pole jako nawóz. Obok stoi pług cały z żelaza i tak urządzony, że nie potrzeba go wcale trzymać przy oraniu, dalej murowane stajnie i stodoła, za stajniami piękny ogród z jarzynami, dalej sad. Na podwórzu stoją trzy wozy, w jednej stajni trzy konie, w drugiej siedem krów i dwie świnie opasowe.

Zawołano mię na śniadanie. Dostałem wielki garnuszek kawy z mlekiem i silną kromkę chleba, którą gospodarz przypiekł na ogniu. Po śniadaniu zaprzęgliśmy konie do wozu i mamy jechać do stacyi kolejowej w Lamarche po towary. Dziwny jest tutejszy zaprzęg. Chomąty tutejsze nie są tak robione jak nasze i nie wdziewa się ich przez głowę koniowi, ale rozpinają się u dołu i tak się je wrzuca przez kark. Nie umiałem tego robić i długo męczyłem się z koniem, który widząc, że mu chomąto przed oczy niosę, zaczął się ze strachem w tył cofać Kolega zaś śmiał się ze mnie, Aż gdy się już porządnie zmęczyłem, pokazał jak się to robi a powiedział mi zarazem, że on umyślnie nie nauczył mię tego wcześniej, ażebym sobie dobrze zapamiętał.

Wyjechaliśmy na drogę Ja byłem przy ostatnim wozie. Koń mój szedł pomału i chciałem go popędzić batem, a wtedy koń szarpnął się i uciekł mi od wozu. Pokazało się, że nie zapiąłem chomęta u dołu. Śmiał się gospodarz ze mnie i kolega także. Prusak w takim razie byłby przeklinał. Resztę dnia spędziliśmy bez żadnego wypadku.

Praca nie była bardzo ciężka u mego pracodawcy. Był on transportyerem, przewoził towary z kolei do fabryki. Miał także rolę, ale do pracy na roli najmował sobie innych, bo mu się to lepiej opłacało. Przez cały rok orałem u niego tylko cztery dni. Gospodarz mój opowiadał mi później, gdy już umiałem po francusku, że kiedy się żenił, to miał jeszcze 50 franków długu. Teraz ma dwadzieścia pięć morgów gruntu, kamienicę za 40.000 franków. Z początku był on robotnikiem w fabryce, później karczmarzem, teraz transportyerem i panem.

Bardzo dobrze mi się u niego powodziło, należałem niemal do jego rodziny, przy jednym stole jadłem, z jednej flaszki z nimi piłem, razem z nim pracowałem, gdy parobek Francuz odszedł od niego za miesiąc po mojem przybyciu. Do rodziny należała siedmdziesięcioletnia babka, dość krzepka na swój wiek. Syn żonaty pracował w prochowni, córka 18 letnia zajęta była w magazynie wyrobów krawieckich dla kobiet. U nas córka takiego gospodarza nicby nie robiła.

Naprawdę, jest to pracowity naród te Francuzy. Porządni z nich ludzie.

Przebyłem u mojego gospodarza 17 miesięcy. Mając 400 franków rocznego wynagrodzenia, potrafiłem zaoszczędzić 250 Koron przez pierwszy rok. Nadto byłem porządnie ubrany, bo tam musi każdy porządnie się trzymać, i przywiozłem z sobą do domu spory zapas odzienia, za które też ładny grosz wydałem. Na zabawę dużo tam grosza nie wyjdzie, ponieważ, mając wino w domu, nie potrzebuje się go pić w karczmie.

Pracowity człowiek, zamiast jechać do Prus, lepiej zrobi, gdy wybierze się do Francyi. Ja żałuję teraz bardzo, że nie mogę tam jechać.

P. Szymczyk.

„Parańczycy“ w Krakowie.

(Z notatek dyrektora Pol. Tow. Emigr..

— Hallo, hallo! — woła telefon na mem biurku.

— Hallo! Co tam?

— Parańczycy przyjechali! Znów przybyło kilka rodzin, które nie mają ani grosza.

Odkładam pióro, gaszę lampę i zbiegam na dół do biura podróży. Już na schodach słyszę płacz drobnych dzieci i gwar podnieconych rozmów. W poczekalniach pełno! Nie tyle jednak miejsca zajmują ludzie, ile kufry, kosze, worki, tobołki. Wiem już z doświadczenia, iż niektóre z tych dobrze wysłużonych kufrów są nawpół próżne. Wiozą je z sobą, dźwigając, gdzie trzeba na plecach, bo nie mogli spieniężyć. Zostawić żal — zawsze to majątek przecie.

Naprzód nasuwa mi się na myśl mimowolne pytanie, jaką będzie ta partya nowych przybyszów. Urzędnik P. T. E. bowiem dzielić ich może na dwie kategorye: emigrantów, z którymi rozmawiać przyjemnie, bo mają pewną oświatę, bo wiedzą dokąd i po co jadą, bo stawiają rozumne pytania i odpowiedzi słuchają uważnie, bez tej przykrej nieufności, która boli i obraża — oraz wychodźców, u których przerażająca ciemnota idzie w parze z podejrzliwością istot wiecznie krzywdzonych, służalcza przebiegłość z więcej niż prostacką gburowatością. Wśród ,,parańczyków“ (emigrantów zdążających do Parany, a pochodzących dotychczas wyłącznie z Królestwa) do pierwszej kategoryi prawie zawsze należą ,,zaraniarze“, do drugiej najczęściej analfabeci z lubelskiej gubernii, z tych nieszczęsnych, jakby deskami od świata przegrodzonych gmin, gdzie ciemnoty nie rozprasza żadna akcya oświatowa, dokąd nie dociera żadna gazetka ludowa, skąd do najbliższej stacyi kolejowej trzeba wędrować ,,polskiemi drogami“ nieraz dzień cały lub dłużej.

I jedni i drudzy należeli dotychczas do służby folwarcznej. Rodzili się w nędzy, aby w nędzy umierać. Być może, iż zarobek ich pozwalał na to, aby jakoś wyżyć. Być może! To pewne jednak, iż u każdego z nich byłoby szaleństwem marzenie o takiem np. życiu, jakie wiedzie robotnik rolny w zachodniej Europie i o takich choćby, jak tamten ma, kulturalnych potrzebach. O tem też nikt nie marzył, a natomiast każdy miał na dnie duszy ukryty inny ideał, o którym wiedział, że jest niedoścignionym, pragnienie, które niby krew krążyło mu po żyłach, z matczynej już chyba piersi wyssane, a przecież nigdy ziścić się nie miało, nie mogło: kilka własnych skib, własna strzecha nad głową!

Aż oto gruchnęła raptem olśniewająca wieść, że ideał ten da się osiągnąć, że gdzieś tam w jakiejś Paranie grunt chłopom rozdają zadarmo i nie zagon lub dwa, lecz po morgów pięćdziesiąt: trza tylko, powiadają, mieć kilkanaście rubli na głowę na podróż do wody, trza, powiadają, na szyfie przez miesiąc mękę przechodzić i zmierające ze skwaru dzieciska w morzu grzebać, trza wielki żelazny bór zmódz, co wieki stoi, żmij, robaków zjadliwych i dzikiego zwierza pełny, a po kilku latach katorgi, komu nie sądzono było zginąć, ten mieć już będzie swój dom, swe pole, swe szczęście...

Nowina szła lotem z ust do ust, od

folwarku do folwarku, baśnią wydawała się być cudowną: o zbyt wielkiem mówiła szczęściu (pięćdziesiąt morgów!!), aby wiarę odrazu znalazła. Bo i gdzieżby? grunt zadarmo! my — grunt! choćby tam nawet i w jakiejś Paranie! gdzieżby! a gadają jeszcze, że tam już siła Polaków jest i polskie kościoły nawet! Nie może to być...

Każdy zapewniał innych głośno, że w to wszystko nie wierzy, ale u każdego w głębi duszy zatlił się płomyk nadziei. Aż znaleźli się śmiałkowie, co rzekli: „Mamy tak dłużej żyć, to lepiej zginąć. Pójdźmy, spróbujemy“. I poszli. A za nimi, ośmieleni przykładem, poczęli iść inni. Ku dalekiej Paranie popłynął z Podlasia strumień ludzki, potok wciąż wzbierający, którego fale niebawem z pewnością wezbrałyby szeroko, gdyby nie rząd brazylijski, który pono wkrótce położy mu tamę, znosząc bezpłatny przewóz przez morze materyału kolonizacyjnego.

Żal mi szczerze dziedziców podlaskich! Słyszałem, że przeklinają Paranę i „parańczyków“ na czem świat stoi i ręce łamią z trwogi o... byt rolnictwa krajowego. Do warszawskiego towarzystwa opieki nad wychodźcami wpłynęło od grupy stroskanych ziemian jękliwe pytanie, czy nie mogliby w miejsce dezertujących białych murzynów polskich sprowadzić chińskich kulisów, tych poczciwców, co to pracują jak woły, a jedzą zaledwie po parę ziarnek ryżu dziennie.

Lubię białe dwory podlaskie i serdecznie żal mi tych ziemian, bo pojmuję ich obawy. Ale w katechizmie uczono mię „kochaj bliźniego, jak siebie samego“, a bliźnim jest podobno i ów ciemny, oszukany, brudny, nieufny helota polski, gnany głodem ziemi za morze. Mogę go przestrzegać przed lekkomyślnością wyprawy, pouczać o krzywdzie, jaką wyrządza krajowemu rolnictwu, mówić o parańskich mrówkach, co pożerają całe łany i o dzieciskach, co mrą setkami na „szyfach“ i w barakach, ale nie potrafię mu się dziwić, a tembardziej złorzeczyć!...

Lecz oto jestem w poczekalni biura podróży P. T. E. Partya emigrantów, jaką tam spotykam, jechała, jak się okazuje, naoślep, bez żadnej marszruty i bez żadnych adresów. Ktoś im powiedział, że trzeba tylko dotrzeć do Krakowa, a stamtąd wyprawią ich dalej. Tylko kilku słyszało coś o „panu Morawetzu“ w Hamburgu, a zaledwie jeden umie czytać. Ostatnią noc spędzili na przekradaniu się przez granicę, kilkanaście wiorst szli piechotą z dziećmi, z całem mieniem, z owemi nawpół pustymi kuframi na plecach.

Na twarzach maluje się zmęczenie, z oczów patrzy nieufność i niechęć. Nie wiedzą, gdzie są, o P. T. E. nic nie słyszeli.

— Chcemy — oświadcza mi na wstępie jeden — tylko do Parany, a z tego biura wysyłają do Brazylii. My się na to nie godzimy. Proszę wysłać nas do Parany, rozumie pan!

Urządzam im wykład, tłumacząc przy pomocy globusa i mapy, że skoro postanowili jechać do Parany, nie mogą ominąć Brazylii, której Parana jest częścią.

Słuchają, trącając się łokciami i spoglądają na mnie takim wzrokiem, który mówi wyraźnie: aha! godoj zdrów! Słyszę nawet, jak jeden drugiemu szepce do ucha: „kręci, jucha!“

Wykład mi się urywa, widzę, że argumenty nie skutkują, przenoszę rozmowę na inny temat.

— Chciałem widzieć te rodziny, które podobno przybyły do Krakowa bez pieniędzy na opłacenie dalszej podróży. Gdzie one są?

Następuje milczenie. Po chwili odzywa się głos:

— My wszyscy nie mamy. Gdyby człowiek miał pieniądze, to zostałby w domu.

— Dobrze, ale przecież macie coś, chociaż niewiele, natomiast są tu podobno rodziny, które przyjechały bez grosza przy duszy.

Naprzód wysuwa się kilka kobiet.

— To my.

Wszystkie mają niemowlęta u piersi. U spodnicy każdej czepia się kilkoro drobiazgu, obok przystają zaniepokojeni mężczyźni. Na widok tej grupki biedaków ogarnia serdeczne współczucie. Co z nimi począć? nie mają za co ani jechać dalej, ani powracać do domu, o wyszukaniu zaś im pracy w Krakowie wobec licznego potomstwa mowy być nawet nie może. Zaczynam więc wypominać im ich lekkomyślność.

— Czemu nie szukaliście u nikogo porady, jakże mogliście porzucać kraj i wybierać się w podróż, nie wiedząc którędy i za co macie ją odbywać.

— Pisali — oświadcza jeden — że w Krakowie dalej jedzie się darmo. Takich, jak my, bez pieniędzy, jeszcze dużo przyjedzie — pociesza.

— Kto pisał?

— A ludzie od nas pisali, niby z drogi.

— Czytaliście te listy? Pokażcie gdzie są?

— Myśmy sami nie czytali, ale czytali inni. To musi być prawda.

— Czemu nie zwróciliście się o poradę do kogoś światłego? Trzeba było pisać do warszawskiej „Opieki", albo do redakcyj gazet, albo zapytać się u proboszcza lub u kogo we dworze!

— Aha! we dworze! juźci tamby nam powiedzieli prawdę! Dobrze pan gada! A gazet to my nijakich nie mamy, więc nie mieliśmy poco do gazet pisać. Bo zresztą wiadomo, że gazety z panami trzymają i ludzi jeno straszą. Same łgarstwa...

— No, a księża...

— Księża, to z początku z ambon prawdę opowiadali i wszystko mówili akuratnie. A potem panowie jednych przekupili, a innym zagrozili i tak się skończyło. Dzisiaj nawet nie każdemu księdzu wierzyć można.

Próbuję im tłomaczyć, ale widzę, że nie odnosi to skutku. Ten i ów spogląda na mnie jak na swego śmiertelnego wroga, kilka kobiet wybucha głośnym płaczem, któremu zaraz pilnie wtórują dzieci. Inni perswadują mi nerwowo, abym nie robił trudności, ktoś chwyta mnie błagalnie za kolana.

— Ja także nic nie mam, za pożyczone kilka rubli przyjechałem tutaj. Ale ja wielmożnemu panu odrobię, sumiennie powiadam.

— Człowieku zastanówcie się: przecież ja nie mam ani swoich szyfów ani kolei, a kolej nikogo zadarmo nie przewozi, zwłaszcza pruska.

— Ja przysięgnę, że odrobię.

Chłop przez jakiś czas jeszcze znęca się nademną, aż zrażony mym uporem, odchodzi na bok nadąsany.

— Nie, to nie! A ja i tak pojadę! Nie da mi pan, to mi da ksiądz...

— Macie tu znajomego księdza?

— Znajomego nie mam, ale jutro rano pójdę do kościoła, opowiem wszystko księdzu, poproszę i da. Ja zadarmo przecież nie chcę. Odrobię i odeślę.

— Et, co z nim tu gadać — oświadcza rezolutnie jedna z bab, obrzucając mnie pogardliwem spojrzeniem — niewarto tracić czasu.

— Otóż ja panu teraz powiem — dodaje inna — wszystką prawdę powiem: kręcić nie ma pan poco, bo my wszystko dobrze wiemy: było pismo od Ojca świętego? rozumie pan?

— Od Ojca świętego?

— Tak, od Ojca świętego z Rzymu! Żeby pan wiedział! I dlatego nie zapłacimy nic i do nijakiej Brazylii nie damy się wysłać jeno do Parany. A na takie gadanie, jak pańskie, to jest wszędzie policya. Niech pan lepiej idzie sobie spać!

Iść spać nie daje mi jednak inna grupka emigrantów. Na czele jej także kilka kobiet. Przed chwilą rozprawiały z sobą o czemś z wielkiem ożywieniem, teraz zwracają się do mnie z zapytaniami:

— Proszę łaski pana, czy to prawda, że na granicy ludzi kąpią.

— Prawda, ale cóż wam to szkodzi. Będziecie czyściejsze.

— My się kąpać nie będziemy — zapewnia jedna z bab. O Jezus! jabym chyba umarła, gdyby mi tak wodę zaczęli lać na głowę. Całe życie się nie kąpałam! Wolę już wrócić do domu i jechać na inne biuro!

— Przecież i w domu się myjecie?

— Myć to się myję, ale twarz jeno i czasem (robiąc giest koło szyi) trochę tutaj. Ale zresztą brr! obraza boska!

— Widzi pan — prosi inna — tamte, co są całkiem biedne i nic płacić nie będą, to niech pan pozwoli ich kąpać, ale nas co akuratnie płacimy jak się należy, to niech pan tak wyśle, aby kąpieli nijakiej nie było. Choćby tam nawet i jeszcze cosik trzeba było dopłacić!

Jakiś chłop odciąga mnie za rękę na stronę i obejrzawszy się, czy nikt nie podsłuchuje, prawi do ucha.

— Ja zapłacę, co potrzeba, bo mam to wyrozumienie, że przecież zadarmo być nie może, ale zapłacę tylko wtedy, gdy tamci zapłacą, co tak płaczą i wyrzekają. Bo oni bogatsi odemnie, jeno udają tak przez skąpstwo. A przecież musi być na świecie sprawiedliwość: albo wszyscy, albo nikt. Tak naprawdę to tylko jedna rodzina nie ma nic pieniędzy i godna zlitowania, o ta, co tam obok pieca siedzi, widzi pan. Bo jego okradli w drodze. A teraz chciałem się jeszcze o coś spytac. Czy może przepuszczą przez granicę z chorem dzieckiem?

— Macie z sobą chore dziecko? Pocóż więc było wyjeżdżać z domu? Nie mogliście to przeczekać tydzień albo dwa aż wyzdrowieje?

— Albo ono może i nie wyzdrowieje wcale? Bardzo czegoś słabe jest, już pięć dni gorączkuje, wyschło na wiórek, nic nie je i całkiem się ruszać nie może. Ale na żaden sposób nie jest to żadna choroba zakaźna, a przecież jeden z nas przywiózł tu z sobą dziecko chore na odrę i także mówi, że go przepuszczą, choć odra zakaźna słabość. Pono pisali, że wszystkich przepuszczają.

Niebawem udają się wszyscy na nocleg do sal sypialnych schroniska, położonych na pierwszem i drugiem piętrze. W poczekalniach biura podróży zalega cisza, ale trwa krótko, bo wnet słychać ciężkie i ostrożne stąpanie gromady ludzkiej, spuszczającej się po schodach. I za chwilę znowu są prawie wszyscy w poczekalniach, rozpakowują tobołki, wyciągają z nich kto poduszkę, kto jakąś pierzynę, kożuch lub chustę. Robią sobie z tego pościel i pokotem kładą się na kamiennej posadzce, tak gęsto jedno obok drugiego, że zdaje się, szpilkiby nie wsadził. Formalnie duszą się. Poprzednio zaś zamknęli szczelnie okna, jakby w obawie przed świeżem powietrzem.

— Czemu nie zostaliście na górze? Chyba lepiej spać na łóżkach?

— Et, proszę pana, tam coś za pięknie — odpowiada zapytany — my do tego niezwyczajni. Łóżka nowe, pościel czysta, a dzieci jak dzieci: matka, żeby niewiem jak chciała, nie ustrzeże, będzie szkoda, a potem płać karę. My ludzie biedni...

I rzeczywiście, czyż nie biedni bardzo?... *J. Okołowicz.*



ZAGRODA POLSKIEGO KOLONISTY POD CHICAGO.

Życie polskie w Stanach Zjednoczonych.

Polacy w Stanach Zjednoczonych mieszkają najczęściej w mniej-więcej zwartej masie. Miasta amerykańskie mają różne dzielnice. W śródmieściu nikt nie mieszka. Tam w olbrzymich domach o kilkunastu, czasem kilkudziesięciu piętrach, w tak zwanych drapaczach nieba mieszczą się magazyny i biura. Śródmieście napełnia się ludnością co ranek, w znacznej mierze opróżnia się na noc. Polaków trudno odnaleźć w śródmieściu, choć wśród posługaczy wielu miast jest polskich chłopców i dziewcząt dużo. Wśród wielkich interesów handlowych śródmieścia interesów polskich prawie niema.

Za śródmieściem leżą rezydencyjne ulice, t. j. ulice, gdzie mieszkają bogaci Amerykanie lub przynajmniej mający przyzwoite zarobki. Domy tam nieduże, jedno- lub dwupiętrowe, przeznaczone na mieszkanie dostatnich rodzin. Są też ulice dwu- i trzypiętrowych domów, w których mieszczą się t. zw. boardingi dla inteligentów, t. j. pokoje umeblowane z całodziennem utrzymaniem. W tych dzielnicach tylko odosobnionego Polaka lub jaką rodzinę polską spotkać można. Polacy osiadają zwykle w dzielnicy odleglejszej, w pobliżu fabryk. W takich też dzielnicach mieszkają i inne narodowości, dostarczające robotników Stanom Zjednoczonym, jak Czesi, Niemcy, Irlandczycy itd., itd. Dzielnice żydowskie, oddzielające najczęściej te dzielnice od śródmieścia, są już handlowe, ale handlują towarami, przeznaczonemi dla biedniejszej ludności. Uformowanie się dzielnic miejskich, należnych do tej lub owej narodowości jest rzeczą naturalną. Spotykamy to we wszystkich miastach, mających przestrzeni dużo do rozrostu, niema ich w New Yorku, ścieśnionym na półwyspie, nie posiadającym możności odpowiedniego rozszerzenia się i rosnącym raczej w górę.

Nasi przybysze z początku, gdy było ich niewiele, mieszkali z Niemcami, korzystali z ich kościołów katolickich, ale nie mogli czuć się całkiem swojsko, nawet i w kościele. Inne wrażenie sprawia „Ojcze nasz“, którego uczyła matka, inne „Vater Unser“. Przybysze Polacy zechcieli mieć swego księdza, swój kościół polski. Gdy takowy powstał, a powstał najczęściej w małozabudowanej ulicy, gdzie ziemia pod budowę jest tania, Polacy chętnie tam budowali sobie domostwa. W tych biednych robotniczych dzielnicach, domki małe, o kilku pokojach, można je budować na pożyczkę amortyzującą się powoli. Każda rodzina skrzętna robotnicza dochodzi do takiego domku. W pobliżu kościoła powstaje saloon (szynk) polski, przyjemniej pić i zabawić się ze swoimi. Na skromne potrzeby Polaków powstają sklepiki wiktuałów i różnych towarów.

W ten sposób wytwarza się dzielnica polska w mieście, w podobny sposób polska okolica na wsi. Tam też środkowym punktem jest kościół polski. W pobliżu kościoła polskiego grunt jest bardziej ceniony przez Polaków, stąd Polacy z dalszych miejscowości kupują tam grunta, t. j. Farmy (wszystkie grunta na farmie są zwykle

w jednym kawałku i dom staje w środku), Niemcy i Irlandczycy wolą mieć grunta przy swoich domach modlitwy i kościołach, dla nich blizkość do kościoła polskiego nie dodaje wartości farmie, stąd farmy położone w blizkości polskiego kościoła przechodzą do rąk polskich.

Im bardziej w zwartej masie mieszkają Polacy, tem lepiej zachowują język, tem lepiej rozwijają się polski handel i inne interesa. Kolonia polska w Buffalo, zajmująca całą wschodnią dzielnicę miasta należy do najbardziej starych i zwartych kolonii polskich.

W dzielnicach polskich spotykamy obok kościołów szkoły parafialne dla dzieci polskich. W szkołach tych uczą siostry zakonne po polsku i po angielsku, oraz trochę rachunków, historyi polskiej i historyi Stanów Zjednoczonych, geografii Ameryki i t. p. Siostry zakonne uczą czytać dosyć szybko, już w pierwszym roku nauki dzieci czytają. Słabą stroną szkół jest częste złe obchodzenie się z dziećmi i ich nierozwijanie umysłowe. Dzieci nie rozumieją tego, co czytają, źle sobie zdają z tego sprawę, nie mają pojęcia o Polsce, ani takiej, jaką jest obecnie w ujarzmieniu i podziałach, ani takiej, jaką była w potędze i chwale.

Same siostry są mało wykształcone, nic nie czytają, nie mogą więc rozwinąć uczniów.

Szkoły publiczne są to ludowe szkoły amerykańskie, uczą tam też kobiety, ale nauczycielki świeckie, Amerykanki. W tych szkołach wpajają w dzieci, że niema kraju nad Amerykę, ani narodu nad Amerykanów. Tylko w kilku takich szkołach zaprowadzono dodatkowo naukę polskiego dla dzieci polskich. Zwykle dziecko po ukończeniu szkoły publicznej nie umie czytać po polsku i nie chce być Polakiem. Dzieci, które ukończyły szkołę parafialną mówią źle po polsku. Zamiast „tak“ mówią „szur“, zamiast sklep „sztor“ itp. Nie przywiązała ich do Amerykanizmu szkoła parafialna, jak przywiązuje publiczna, lecz nie dała im ukochania polskości. Przychodzi do domu posmolony z fabryki ojciec, krząta się koło gospodarki nieumyta matka. Dzieci, zwłaszcza dziewczynki są ubrane schludnie, nawet strojnie, jak to jest w zwyczaju u Amerykanów. Amerykanie wydają się dziecku czemś lepszem, innym światem. Dzieci radeby przejść do tego innego świata, zamerykanizować się.

Około 14 roku życia jest tu najsilniejszy pęd ku zamerykanizowaniu się. Lecz oto dziecko po ukończeniu szkoły parafialnej idzie do fabryki, do warsztatu. Tam spotyka się z Polakami, przybyłymi z kraju. Ci opowiadają o Krakowie, Warszawie, Wilnie. Wśród tych przybyszy są ludzie wykształceni, którzy gimnazya pokończyli w kraju, lecz, nie znając języka angielskiego, nie mogli znaleść biurowego zajęcia i pracują w fabryce. Wśród przybyszy nie brak też ludzi o ciekawych przygodach politycznych. Opowieści tych ludzi o kraju wzbudzają zainteresowanie naszej młodzieży polsko - amerykańskiej. Od przybyszy uczy się ona czystego polskiego języka i staje polską.

Jeżeli po ukończeniu szkoły parafialnej młody chłopiec lub dziewczyna idzie do sklepu swych rodziców sprzedawać towar, styka się też z przybyszami świeżymi z kraju i przez rozmowę z nimi nabywa znajomości języka polskiego. Czasami po ukończeniu szkoły parafialnej lub publicznej młodzieniec kształci się dalej, przebywa tak zwaną szkołę wyższą, odpowiadającą naszemu gimnazyum i przechodzi prawo lub nedycynę w jakiejś wyższej uczelni. Młodzieniec odszedł od polskości, zapomniał języka ojców, sądził, że jest mu on zbytecznym, przekonywa się jednak niebawem, że był w błędzie. Amerykanie chodzą wyłącznie do lekarzy i adwokatów Amerykanów, Niemcy do Niemców. Najłatwiej mu byłoby pozyskać polskich pacyentów, jeżeli jest lekarzem, polskich klientów, jeżeli jest adwoka-

tem. Lecz z nimi trzeba mówić po polsku. Siada więc pan doktor, pan adwokat do książki polskiej i uczy się wzgardzonego przezeń uprzednio języka ojczystego. Można jeszcze z klientem lub pacyentem kaleczyć język, ale, gdy się chce odegrać rolę polityczną, uzyskać urząd z wyboru, trzeba mieć poparcie swoich, trzeba przemawiać na zgromadzeniu, a tam wyśmieją Warszawiacy polszczyznę amerykańską. Trzeba więc zasiąść do Mickiewicza i Sienkiewicza, uczyć się ich na pamięć, aby dojść do czystego polskiego języka.

Głównym czynnikiem, chroniącym od wynarodowienia dawnych przybyszy, przywracającym polskość ich dzieciom jest wciąż nowy napływ wychodźtwa polskiego do Stanów Zjednoczonych.

Stany Zjednoczone są krajem związków i stowarzyszeń. Nie ulegały tam one nigdy zakazowi rządu, nie wymaga nawet rząd, aby o nich go zawiadamiano.

Już wspominaliśmy, że Stany Zjednoczone jeszcze nie zaprowadziły zabezpieczenia państwowego na starość i od nieszczęśliwych wypadków. Starość następuje tu prędzej, niż w Europie, nieszczęśliwe wypadki są częstsze. Z natury rzeczy powstały tu związki ubezpieczenia braterskiego. Nazywają się one różnie: Woodmen'ów, Foersterów, rycerzy Pytyi itd. W 1910 roku liczyły one około 10 milionów członków. Polacy mają podobne, na amerykańskich wzorowane związki: Związek Narodowy, istniejący od 1880 r., Zjednoczenie Rzymsko - Katolickie, Spójnia, Zjednoczenie Polaków Stanu Ohio itp. Najliczniejszy związek Narodowy liczy ponad 100 tysięcy członków, następnie Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie 60 tysięcy. Towarzystwa te są pożyteczne, bo wypłacają swym członkom pośmiertne, a grupy Związkowe za odpowiednie wkładki miesięczne wydają zapomogę w chorobie. Poza sprawą pośmiertnego do zasług Związku dodać należy zorganizowanie domu emigracyjnego, który na mniejszą skalę odpowiada domowi emigracyjnemu, założonemu w Krakowie przez Pol. Towarzystwo Emigracyjne. Dom ów daje pomieszczenie przyjeżdżającym przez New York i jadącym do Ameryki lub wracającym do kraju wychodźcom polskim, pośredniczy w znalezieniu pracy itp. Wszystko to czyni za bardzo niewielką opłatą.

Do organizacyi najczynniejszych w Ameryce wśród Polaków organizującej życie towarzyskie, przedstawienia teatralne, amatorskie, należy „Sokół". Niektóre organizacye sokole należą do Związku Narodowego, inne są niezależne i tworzą wolnego „Sokoła". W Detroit jest czynniejszy związkowy „Sokół", w New Yorku, Clevelandzie, Toledo i w wielu innych miastach wolny „Sokół".

Prasa amerykańska stoi na niskim poziomie moralnym. Prasa polska w Ameryce jest jej córą, odziedziczyła jej przywary i wady. Niemal wszystkie gazety polskie w Ameryce żyją łapówkami politycznemi i oszukańczemi ogłoszeniami medycznymi. Znaczna ich większość rozwałkowuje zbytecznie kronikę policyjną i wiadomości o zbrodniach i występkach. Pomimoto wiele pism polskich w Ameryce przez podawanie ważnych wiadomości z Polski i Ameryce przynosi znaczne korzyści swym czytelnikom.

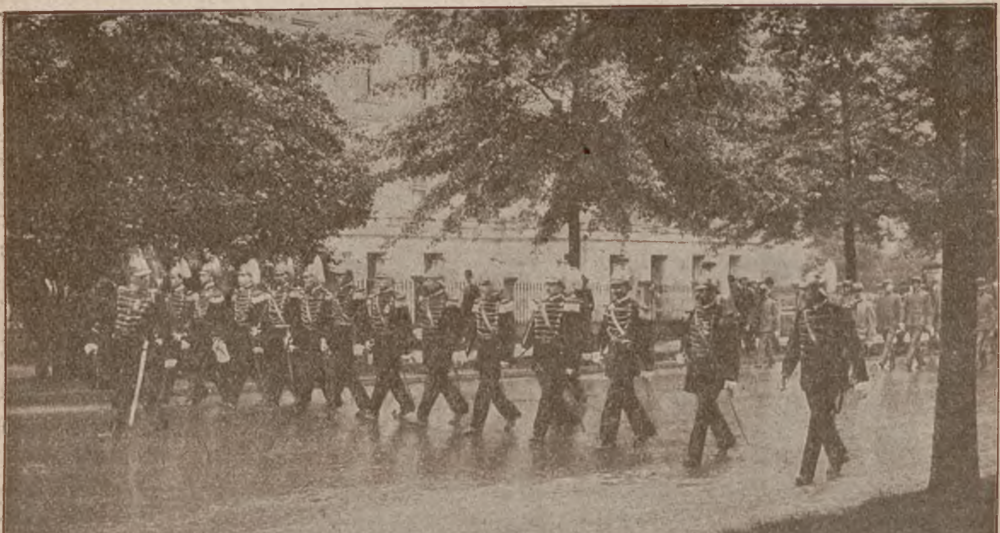
Z gazet codziennych najbardziej jest rozpowszechnioną wychodzący w Milwaukee „Kuryer Polski", „Dziennik Narodowy" w Chicago, oraz „Dziennik Związkowy" w Chicago. Z tygodników najbardziej jest rozpowszechnione: „Amer. Echo" i „Świat Dolara".

Jakkolwiek należałoby życzyć, aby gazety polskie w Ameryce były lepsze, miały lepsze zrozumienie dla spraw polskich, bardziej łączyły wychodźcę z krajem, lepiej oryentowały się i lepsze wskazówki udzielały co do stosunków amerykańskich, w każdym razie przynoszą one i dziś pewną korzyść Pola-

kom w Ameryce, rozpowszechniając wśród nich czytanie rzeczy polskich. Każda polska gazeta w Ameryce przyczynia się przez to do utrzymania polskości, jakkolwiek wiele z nich, jak naprzykład „Gazeta Związkowa“ są przepełnione nadmiernymi zachwytami nad Stanami Zjednoczonymi, Amerykanami. Jest to szkodliwe, gdyż i tak Amerykanie zbyt imponują naszym przybyszom, co wywołuje chęć upodobnienia się do nich, czyli amerykanizacyę.

Związek założył wyższą szkołę związkową, to jest gimnazyum, gdzie obok wszystkich nauk, jakich uczą w szkołach wyższych (gimnazyach amerykańskich) uczą języka polskiego, historyi i literatury polskiej. Związek usiłuje zakładać biblioteki polskie. O sprawy narodowe polskie w ojczyźnie, o współdziałaniu z tymi, co myślą o wyjarzmieniu kraju, dba Związek Narodowy w Ameryce. Obecnie zbierają Związkowcy pieniądze na Polski Skarb Wojskowy.

Każda grupa Związku ma swój samorząd, zbierają się jej członkowie do omówienia wspólnych spraw. Jest to bardzo ważnem, gdyż przez to ludzie się poznają, jeden drugiemu ułatwi wyszukanie zarobku, zawiąże interes. Nietylko przez dbałość o losy narodu, ale dla powodzenia osobistego każdy Polak, przybywający do Stanów Zjednoczonych, winien zapisywać się do Związku Narodowego.



„WOJSKO POLSKIE“ W AMERYCE.

Poczet książąt i królów polskich od roku 550 do 1795.

Polska przedhistoryczna.

	rok
Lech I. (jak przypuszczają)	550
Krakus	700
Lech II.	730
Wanda	740
Przemysław zwany Leszkiem I.	760
Leszek II.	794
Leszek III.	810
Popiel I.	825
Popiel II.	840
Piast	842

Piastowie pogańscy.

Ziemowit	861
Leszek IV.	892
Ziemomysł	921

Polska pierwszych królów.

Mieczysław I.	962— 992
Bolesław I. Chrobry	992—1025
Mieczysław II. Gnuśny	1025—1034
Bezkrólewie	1034—1040
Kazimierz I. Odnowiciel	1040—1058
Bolesław II. Śmiały	1058—1079
Władysław Herman	1079—1102
Bolesław III. Krzywousty	1102—1138

Polska w podziałach.

	rok
Władysław II.	1138—1146
Bolesław IV. Kędzierzawy	1145—1173
Mieczysław III. Stary	1173—1177
Kazimierz II. Sprawiedliwy	1177—1194
Mieczysław Stary (powtórnie)	1194—1202
Władysław Laskonogi	1202—1206
Leszek Biały	1206—1227
Bolesław V. Wstydliwy	1227—1278
Leszek Czarny	1279—1289
Bezkrólewie	1288—1295
Przemysław I.	1295 (7 mieś).
Władysław Łokietek	1296—1300
Wacław Czeski	1300—1305
Władysław Łokietek (powtórnie).	1305—1333

Ostatni Piastowie.

Kazimierz III Wielki	1333—1370
Ludwik węgierski	1370—1382
Bezkrólewie	1382—1384
Jadwiga	1384—1386

Jagiellonowie.

Władysław Jagiełło	1386—1434
Władysław Warneńczyk	1434—1444
Kazimierz IV. Jagiellończyk	1444—1492
Jan Olbracht	1492—1501
Aleksander	1501—1506
Zygmunt I. Stary	1506—1548
Zygmunt II. August	1548—1572

Królowie obieralni.

Henryk Walezy	1574(5 mieś)
Stefan Batory	1576—1586
Zygmunt III. Waza	1586—1632
Władysław IV. Waza	1632—1648
Jan Kazimierz Waza	1648—1668
Michał Korybut Wiśniowiecki	1668—1673
Jan III. Sobieski	1674—1696
August II. Sas	1697—1733
Stanisław Leszczyński	1706—1709
August III. Sas	1733—1763
Stanisław August Poniatowski	1764—1795

Najważniejsze daty z dziejów Polski po rozbiorach.

1794 Powstanie Kościuszkowskie.

1807 Utworzenie Wielkiego Księstwa Warszawskiego.

1809 Wojna z Austryą, bitwa pod Raszynem, Sandomierzem itd.

1812 Wyprawa do Moskwy z Napoleonem.

1815 Kongres wiedeński tworzy: Królestwo Polskie Rzeczpospolitą krakowską, Galicyę i Wielkie Księstwo Poznańskie.

1830/31 Powstanie listopadowe: bitwy pod Stoczkiem (14 lutego), Grochowem (25 lutego), Wawrem (31 marca), Ostrołęką (26 maja).

1848 Próba powstania w Wielkopolsce.

1863/64 Powstanie styczniowe.

1867 Nadanie Polakom swobód konstytucyjnych w Austryi (ustwa z dnia 21 grudnia).

ZAGADKI DO NAGRODY.

1. Zagadka.
(Ułożył Jakób Mycek).

Litera w literze
Jest to znany ptak,
Powiedzcie mi szczerze:
Zowie on się jak?

2. Szarada.
(Ułożył Jan Świątek.)

Pierwsze-drugie nieraz
Rozbija okręty,
Drugie razem z pierwszem,
To przybytek święty.
Potrzebne zaś trzecie
Znajdziesz w alfabecie.
Całość to nazwisko
Sławnego malarza.
Jest też święty taki,
Patrz do kalendarza!

3. Szarada.
(Ułożył Walenty Pasierb).

Pierwszego-trzeciego krawiec potrzebuje,
Trzecią, często drugą osobę mianuje.
Druga roślina, wieśniacy ją sieją,
Z której sobie trwałą przyodziewę dzieją.
Całość, to imię dobrze znane,
Często i w „Roli" jest drukowane.

4. Szarada.
(Ułożył Józef Kobylański).

Pierwsze-drugie, pasiecznik je posiada,
Drugie-trzecie, ta ręka mniej nam pomaga.
A całość zwykle do tego nas zmusza,
Że człowiek z domu nigdzie się nie rusza.

5. Szarada.
(Ułożył Franciszek Zydroń).

Pierwsza z wody wzrosła,
Po wodzie się snuje;
Druga zgromadzenia
Na radę zwołuje.
Cały jest rzemieślnik....
Jak on też pracuje?...

6. Szarada.
(Ułożyła Bogusia Moroniówna).

Drugie nazwa rzeki polskiej,
Pierwsze-trzecie niegdyś broń;
Drugie - trzecie w zimie mroźnej
Dla rozrywki spieszysz doń.
Wszystko — piękne, krągłe, małe,
Na świątecznym stole całe!

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy do rozlosowania 15 ładnych, oprawnych książek. Termin nadsyłania rozwiązań do końca czerwca 1914 r.

Nazwiska tych, którzy nadeślą dobre rozwiązania oraz wynik losowania będą ogłoszone w kalendarzu *Roli* na r. 1915. Nagrodę otrzymać może tylko prenumerator *Roli*.

Znaczenie drugiej części zagadek w kalendarzu „Roli" na rok 1913: 1 Szarada: *Myśliwy*, 2 szarada: *Bawarya*, 3 szarada: *Paryż*, 4 szarada: *Sikora*.

Z drugiej części „Kalendarza" otrzymaliśmy 639 **rozwiązań**; trudno więc, abyśmy wszystkie nazwiska drukowali i niemi miejsce niepotrzebnie zabierali. Drukujemy zatem tylko nazwiska **tych,** którzy nagrody wylosowali.

Na nagrody przeznaczyliśmy arcydzieło **H. Sienkiewicza** t. j. „Trylogię", a mianowicie powieści: „**Ogniem i mieczem,** „**Potop**", **Pan Wołodyjowski**". Każdy, na kogo szczęśliwie los padł, otrzyma wszystkie te trzy powieści, gdy tylko nadeszle pod adresem „Roli" jedną koronę na opłatę przesyłki książek.

Nagrody wylosowali PP.: **Jan Szczawiński z H., Jadwiga Ozga z L., Karol Słowik z W., Jędrzej Nalepa z S. G., Józef Inglot z R., W., Katarzyna Selwa z J., Ignacy Pasternak z M., Filip Krupa z N., Walenty Pasionek z H., Jan Smolak z L., Mateusz Nowalany z B., Antoni Staszczak z L. G., Jan Brzostowicz z Z., Tadeusz Heiner z C., Michał Kulpa z M. (Bośnia).**

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

Dzielny braciszek.

Świętego Antoniego z Padwy malują z osłem, bo osieł na rozkaz tego Świętego uczcił Najśw. Sakrament; Świętego zaś Antoniego pustelnika malują ze świnią, bo czart okazał mu się w postaci wieprza.

Dwaj szydercy spotkali raz braciszka, który zwał się Antoni i chcąc zadrwić z niego, pytają: Braciszku, czy jesteś tym Antonim ze świnią, czy tym z osłem?

A dowcipny braciszek mowi do jednego z szyderców: Gdy do pana mówię, tom Antoni z osłem; a gdy do pana (obracając się do drugiego), tom Antoni ze świnią!

Objaśnienie.

— Piszą w gazetach o jakichś „idyotach", powiedz mi pan, czy to także ludzie?

— Naturalnie, że ludzie — tacy jak ja i pan.

Prosty rachunek.

Kuba uderzył Michała w twarz, a że go Michał zaskarżył, więc go sąd skazał na zapłacenie pięciu koron. Kuba ma tylko dziesięcio-koronówkę przy sobie, a i Michał nie ma drobnych, więc Kuba nie namyślając się długo, zaraz na sądzie wobec wszystkich obecnych huknął Michała drugi raz potężnie w twarz i rzekł:

— Teraz mi już nic nie potrzebujesz wydać!

Siła przyzwyczajenia.

Pewien handlarz starych rzeczy przechodzi nocą odludną ulicą. Wtem przyskakuje do niego złodziej i przykładając mu do piersi pistolet, woła: „Dawej pieniądze, albo życie!" Handlarz rzuca okiem na pistolet i odpowiada z całą zimną krwią:

— Co ja mogę dać za taki stary pistolet? Najwyżej 50 centów.

NADESŁANE.

NADESŁANE.

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

Uwierzył.

— Jak śmiesz zgłaszać się do służby do mnie, — mówi adwokat do znanego złodzieja, którego niedawno bronił z urzędu, i z wielkim trudem od kary wykręcił

— Przecież mi pan adwokat w swojej obronie wystawił takie dobre świadectwo, iż uwierzyłem, że jestem dobry i jak śnieg biały.

Na kolei.

Między wieśniakami.

— Wojciechu, jak to dobrze, że kontrolor nie chodził po wagonach!

— A co, Mateuszu, jechaliśta bez biletu?

— Dyć z biletem, ino jechałem w wagonie dla palących, choć wcale nie paliłem!

Ostatnie życzenie.

Ciężką chorobą dotknięty człowiek leży w łóżku, oczekując z przestrachem na zbliżającą się śmierć.

Otaczają go znajomi i krewni.

— Zapytaj go się pani — mówi jedna kumoszka do drugiej, przypuszczając, że zrobi jej jaki zapis, — czy nie ma on czego do polecenia. Przecież jego życie liczy się na godziny.

Zaczepiona w ten sposób znajoma chorego, zwraca się do niego ze słowami:

— Pan Bóg wszystko jeszcze odmienić może, ale może też pana powołać do swojej chwały. Czy nie masz pan zatem jakiego ostatniego życzenia?

— Mam, — odpowiada umierający, — chciałbym wyzdrowieć i żyć jeszcze choć lat kilka.

NADESŁANE.

Uważajcie, jeżeli chorzy jesteście, jeżeli macie cierpienia żołądkowe, jeżeli spać nie możecie, jeśli cierpicie bole głowy, gdy nie macie apetytu, gdy macie kurcze, nie ociągajcie się, lecz kupujcie niezwłocznie Örkény'ego pigułki roślinne, a zobaczycie, że te słabości natychmiast ustąpią! W waszym własnym i w waszej rodziny interesie trzymajcie ten znakomity środek domowy zawsze w zapasie. Trzy pudełka wysyła opłatnie za 2 kor. 50 h. aptekarz **Hugo Örkény, Budapest, Thököly ut 28 Depot** 16.

Tylko punktualny człowiek który czas swój należycie dzieli i niczego nie opaźnia może w życiu postępować stale naprzód. Niestety! jest bardzo wielu ludzi niepunktualnych a przyczyną tej ich szkodliwej wady jest częstokroćźle idący zegarek kieszonkowy. W bazarach idą na sprzedaż prawie że bezwartościowe zegarki blaszane o złym mechaniźmie, niedomykające się wskutek tego narażone na szybkie zapylenie, rychło bardzo zużywające się i z przyczyny tego stale źle idące. Zawsze prawie szkoda pieniędzy, które się „na te zegarki" wyrzuca nawet, jeśli są bajecznie tanie. Dobre i niezawodne są jak wiadomo szwajcarskie zegark a otrzymuje się je już od K 4.10 w światowym domu towarowym H. Suttner, który posiada w Szwajcaryi własną protokołowaną fabrykę ponadto główne zastępstwo fabryki zegarków „Zenith" i wobec tego ma możność sprzedawania bez pośrednictwa. Taki szwajcarski zegarek może przetrwać conajmniej trzy tanie zegarki bazarowe i idzie zawsze precezyjnie. Kto chce kupić towary ze złota, srebra lub zegarki, niechaj zażąda bezpłatnie przesyłki ozdobnego katalogu od H. Suttnera Lublana Nr. 578.

Napoleon, jak to za młodu czytaliśmy w jego „Zebranych listach" dbał o nieprzemakalność obuwia swoich poddanych.

Niewątpliwie włożyłby każdemu grenadyerowi dozę „Eno" tłuszczu do obuwia do tornistra, gdyby ten już wtedy wynaleziony był. Eno czyni skórę miękką, giętką i nieprzemakalną.

Dyplomaci europejscy od dawna są co do jednego punktu zgodni, uznając Armadę, pastę do obuwia jako oznakę elegancyi.

Rada i pomoc w cierpieniach żołądka, przy utrudnionem trawieniu i tegoż następstwach.

Głód jest najlepszym bodźcem dla nerwów żołądka i kto niema apetytu ten ma chory żołądek i kiszki. Najczęściej nie zwracamy na to uwagi a następstwami są: zaburzenia w trawieniu, bole głowy, mdłości, zgaga i słabości. Kto codziennie zażyje jedną albo dwie łyżeczki do kawy od wielu lat znanych „Kropli na żołądek Brady'ego" dawniej „Maryańskiemi zwanych", wyleczy wszystkie przeszkody w trawieniu nawet przy zadawnionych wypadkach, jak hemoroidy. Do nabycia w aptekach, po cenie 90 hal. za małą a 1.60 kor. za podwójną flaszkę, gdzie niema, posyła wykonawca C. Brady apteka pod „Królem Węgier", Wiedeń I. Fleischmarkt N. 2—247 bez kosztów, do domu dostawione. 6 flaszek za 5.40 lub 3 flaszki podwójne za K. 4.80.

NADESŁANE.

Najlepsze i najtańsze zegarki kupuje się u Jana Jorgo Wien III. Reunweg 75. Uważna, chętna usługa, ceny fabryczne. Proszę żądać od tej najlepiej zalecającej się Firmy dużego cennika darmo i opłatnie.

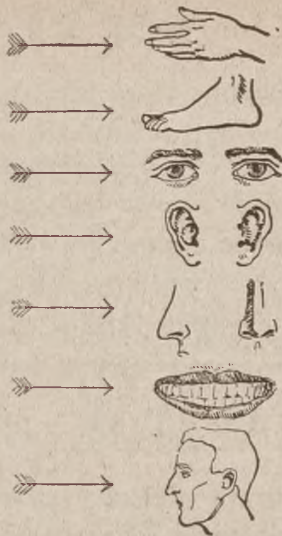
Aptekarza Thierry'ego Balsam i maść centyfoliowa od wielu lat przez publiczność ceniona i zalecana z najgłębszem przeświadczeniem, ceniony ten środek domowy nie mogły wyprzeć po większej części niebezpiecznie działające preperaty, ani też w chandel wprowadzone niesumienne fałszerstwa balsamów, essencyi, fluidów, gdyż publiczność najwyżej raz podobne fałszerstwa sprowadza i wraca do rzetelnych środków Thierry'ego. Proszę uważać przy zakupnie na markę. Zwracamy szczególnie uwagę na Balsam Thierry'ego z zakonnicą i maść centyfoliową w dodatku.



Bystro myśleć nie może po większej części żaden człowiek. którego coś boli. Dlatego się zdarza, że ktoś męczony reumatycznenymi lub innymi bolami próbuje, środka któregoby inaczej nigdy się nie dotknął. Każdy rozsądny człowiek wie, że wszystkie rzeczy, które do pielęgnowania zdrowia są potrzebne jak np. pr. lekarstwa i t. p. w aptece się kupuje. Aptekarz studyował swój zawód i ma odpowiedzialność za swoje preparaty. Dlatego należy środki uśmierzające bole u aptekarza kupować a nie u ludzi którzy o tym zawodzie pojęcia nie mają. Tylko aptekarz zasługuje w tym względzie na zaufanie szczególnie wtenczas, gdy go lekarze polecają. To ma miejsce u aptekarza E. V. Fellera, Stubica Nr. 710 (Kroacya), którego słynny, bole kojący fluid z m. „Elsafluid" (12 flaszek kosztuje 5 koron franko) od wielu lekarzy polecanym bywa. Nie powinno się przeto przy reumatycznych, neuralgicznych i podagrycznych bolach, przy osłabieniu, poceniu się, bolu zębów, głowy, postrzale i t. p. bezwartościowych albo nawet niezdrowych środków, lecz tylko Fellera prawdziwego Fluidu kupować. Często taki kramarz lub handlarz, który rozmaite wódki, jako gojący środek przeciw rozmaitym bolom sprzedaje, sam nie wie co właściwie te flaszki zawierają, dlatego mądry człowiek tylko wiarygodnym preperatom Fellera ufa.

Politycznie najsilniejszym narodem jest ten, który ma najwięcej. rozwinięty przemysł jak Anglicy, Francuzi, Niemcy, Amerykanie. Do tego Słowianie jeszcze nie doszli, chociaż i u nas można zauważyć zdrowy prąd. Na czele czeskiego przemysłu stoi Kolińska fabryka kawowych domieszek; która złączywszy się obecnie z dwiema fabrykami tego gatunku: Bergrowym w Horkàch i Buwowym w Wysokiem Weselu, jest najbardziej rozpowszechnionem fabrycznem przedsiębiorstwem czeskiem a ma i swe poboczne składy we wszystkich prawie ziemiach słowiańskich.

Czy
Czy
Czy
Czy
Czy
Czy
Czy



Was boli, albo jeśliście się czegoś nabawili z przeciągu albo zaziębienia, przeciw podagrycznym, reumatycznym i wielu innym bolom pomoże Wam, w to wierzyć nam możecie, ponieważeśmy się o tem sami przekonali, prawdziwy Fellera fluid z m. „Elsafluid“, który uśmierza bole, goi, ułatwia wyrzut flegmy zawsze ulgę przynosi. Nabyć go można 12 małych, 6 podwójnych albo 2 specyalne flaszki za 5 koron franco. 24 małych, 12 podwójnych albo 4 specyalne flaszki za 8 koron 60 halerzy franko, jeśli się wprost od wytwórcy sprowadzi, adresując E. V. Feller, aptekarz w Stubicy, nr. 710 (Kroacya).

Jak gdybyście z ciężkiej choroby nagle wyzdrowieli

takie uczucie macie po działaniu Fellera rabarbarowych pigułek z m. „Elsapigułki“, jeśliście takowych przy obstrukcyi i rozmaitych innych niedyspozycyach żołądka i jelit raz używali. Wkrótce znika nieprzyjemne uczucie i każdy je w domu w zapasie trzymać będzie, tak samo jak my i wiele tysięcy ludzi prawdziwe Fellera preperaty w domu na pogotowiu mają jako prawdziwego

przyjaciela swojej rodziny

Fellera pigułki kosztują 6 pudełek 4 korony franko, 12 pudełek 7 koron 60 halerzy. Odydwa prawdziwe preperaty zamawia się tylko u wytwórcy

E. V. EELLER
Aptekarz w Stubicy, Nr. 710.
(Kroacya).

NADESŁANE.

Strach i wstręt, które wzbudzają owady, pluskwy, pchły, wszy. muchy, szwaby, karakony, mole i inne robactwo, jest zupełnie na miejscu, ponieważ muchy choroby szerzą, łażąc po śmieciu, a na nasze potrawy siadają, mole, karakony, szwaby i liszki wyrządzają szkody w domu, pluskwy, pchły i wszy dokuczają ludziom i zwierzętom. Całe to robactwo w mieszkaniu, kuchni, stajni i w ogrodzie niszczy natychmiast i pewnie Fellera prawdziwy proszek na owady „Elsa“, który wszystkie inne środki na owady prześciga. 5 olbrzymich puszek 5 koron, 1 puszka jako dopakowanie kor. 1 — . Jedynie prawdziwy wysyła aptekarz E. V. Feller Stubica 710 **(Kroacya).**

Zajmującym jest nowy główny katalog z 4.000 rysunków znanej wszechświatowej firmy dostawcy nadwornego: Hannsa Konrada Dom wysyłkowy Brüx Nr. 149 Czechy, bo ten zawiera wielki wybór zegarków, złotych i srebrnych przedmiotów, narzędzi muzycznych, wyrobów skórzanych i stalowych przedmiotów do gospodarstwa domowego, przyborów do palenia, artykułów toaletowych, zabawek, broni i t. d. i niech żaden z naszych czytelników nie zaniedba zażądać tego katalogu za pomocą kartki korespondencyjnej, który natychmiast darmo będzie przez powyższą firmę wysłanym. (Bliższa wiadomość w ogłoszeniu).

Orzeźwiający sen, jest wzmocnieniem i potrzebą dla każdego. Im lepsze łóżko, tem lepszym sen. Przy zapotrzebowaniu pierza i gotowej pościeli należy się zwrócić do znanej i solidnej firmy. Dom wysyłkowy: S. Benisch w Deschenitz Nr. 602 Czechy, jest jako taki oddawna uznany i zdobył sobie dzięki swej taniości i sumienności odbiorców ich zaufanie w najszerszych kołach. Proszę nie zaniedbać przed zakupnem pierza i gotowej pościeli sprowadzenia bogato ilustrowanego cennika tej firmy darmo.

Do Ameryki! Firma Karesz i Stocki w Bremen,, wszystkim do Ameryki podróżującym osobom, pewnych wiadomości i wszystkich potrzebnych pouczeń. Ona stara się o karty okrętowe i zapewnia podróżującym, którzy usługi firmy Karesz Stocki przyjmą, podróż tylko znanymi cesarskimi, dwuśrubowymi, pocztowymi okrętami północno-niemieckiego Lloydu. Karty i opisy Ameryki wysyła się na żądanie darmo.

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

Nauczyciel i chłopiec.

Nauczyciel. Co czynią ludzie, ktorzy swoich bliźnich okradają i oszukują?

Chłopiec. Uciekają do Ameryki.

— Długo jeszcze — pytają podrożni rolnika — aż nadejdzie gościniec?

— Jeżeli wy do gościńca nie nadejdziecie, to gościniec jako żywo do was nie przyjdzie — była odpowiedź.

Sędzia do oskarżonego, który się uniewinniał tem, że był pijany:

— Podług zeznania świadków byłeś wprawdzie w czasie popełnienia kradzieży pijanym, ale nie w takim stopniu, abyś nie wiedział, co czynisz.

Oskarżony: Przepraszam sąd, gdybym był wiedział, że prześwietnemu sądowi chodzi o parę kieliszków więcej, byłbym jeszcze dopił, bo tyle poradzę!

Żandarm do złodzieja, którego zdybawszy prowadzi, a który stawia ze swej strony opór:

— No, jakże ty złodzieju, pójdziesz albo nie. Bo jak nie to...

— Proszę bardzo, tylko nie po grubiańsku i grzecznie. Wiesz przecie, z czego masz utrzymanie twoje. Z czegobyście żandarmi żyli, gdyby nas nie było?

Zastosowali się.

Pewien katecheta, chcąc w dzieci wpoić roztropność, radził im, żeby w ważnych okolicznościach życia liczyły zawsze do stu, zanim przemówią.

Skończywszy lekcyę, stanął przy kominku, ale po chwili zauważył, że uczniowie liczą coś po cichu.

Nagle wszyscy naraz krzyknęli:

— Dziewięćdziesiąt dziewięć! Sto! Księdza katechety sutanna pali się z tyłu.

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

Główna rzecz. Ojciec (do przyszłego zięcia): Tak, ale wiano wypłacę dopiero po roku.

— Dobrze, zaczekam więc tak długo na pańską córkę.

Pocieszył go.

— Wyobraź sobie, pogniewałem się z żoną i teraz z nią nie żyję...

— To nic, pociesz się, bo i ja także nie żyję z żoną.

— Jakto, czyś się rozwiódł?

— Nie, tylko się jeszcze nie — ożeniłem.

Za jednym zachodem.

Kiej pan doktór starą obejrzał, to proszę i na krowę spojrzeć i ona coś mi niedomaga.

— Przecież ja nie weterynarz.

— To jedno, krowa nie będzie tam wiele na to patrzeć.

W sądzie.

Sędzia. Człowieku! Czy ty nie wiesz, że kradzież jest bezprawiem?

Złodziej. Trudno, potrzebowałem pieniędzy, a nie mogę się tak poniżać, żebym żebrał!

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

Zadowolony. Szewczyk (do przyjaciela, podziwiając słonia): Wiesz co, jak to dobrze, iż nie mamy tak wielkich uszu, jak to stworzenie. Dopieroby to nas majstrowie targali...

Mądry wieśniak. Pewien wieśniak dostarczał piekarzowi co tydzień 3 funty masła, ale po pewnym czasie piekarz zauważył, że masło nigdy nie ważyło 3 funtów — raz brakło mniej, raz więcej.

Zaskarżył więc wieśniaka o oszustwo.

Sędzia: Czy macie wagę w domu?

Chłop: Mam!

Sędzia: Macie też stęplowane ciężarki?

Chłop: Mam, ale niemi masła nie ważyłem.

Sędzia: A czemże ważyliście?

Chłop: Od czasu, jak piekarz kupuje ode mnie masło, kupuję też od niego chleb, a że zawsze biorę 3 funty chleba naraz, więc tym chlebem odważam zawsze masło.

Chłopa uwolniono.

Chory. Wstawaj jeno Wojtek, toć dzień jak wół — idź do roboty.

— A juści, kiej całkiem wstać nie mogę i gęba mi się okrutnie drze.

— Ale śniadanie już na misce.

— Śniadanie? — Ha, to się może i zwlokę, bo mi się odrobinkę zlepszyło.



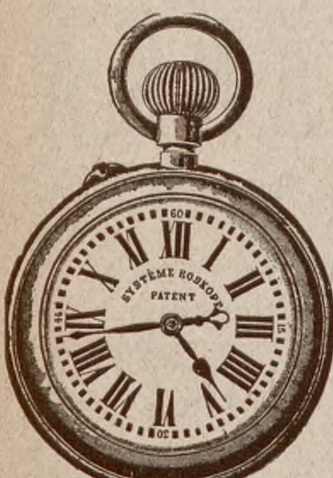
naturalnie! Za drogie swoje pieniądze musiałem sobie kupić taki łajdacki kłapacz! Ale dobrze mi tak, skoro daję się zawsze łapać na tanie rzeczy, mimo, że mi baba moja przepowiedziała: „Ty Jędrek niedaj się przegadać ani namówić i zapłać raczej kilka koron więcej za zegarek, lecz niech to będzie prawdziwy szwajcarski, bo wtedy przybędziesz za wsze i wszędzie na czas!“ Bo to i prawda, od czasu jak mam w kieszeni tę cebulę za 3 korony, przychodzę raz za wcześnie, raz za późno. Nasz sąsiad kupił przed 10 laty u Suttnera w Lublanie szwajcarski zegarek za który zapłacił 15 koron, lecz zato od 10 lat ani halerza nie wydał na naprawę, a zegarek idzie jeszcze dzisiaj równie dokładnie, jak przed laty 10-ciu. W tym samym czasie ja wydałem trzy razy tyle pieniędzy na tanie zegarki bazarowe. Dziś jeszcze zażądam katalogu od Suttnera, którego adres według tego, jak sobie to zapamiętałem brzmi dokładnie:

Protokołowana szwajcarska Fabryka zegarków

H. SUTTNER światowy dom wysyłkowy wyrobów ze złota i srebra LUBLANA (LAIBACH) Nr. 578

Suttnerowskie zegarki są najlepsze, najbardziej trwałe i niezawodne. Kto zegarek taki posiąść chce po oryginalnej cenie fabrycznej, kto wogóle chce kupić tanio wyroby ze złota i srebra, niechaj zażąda od tej starej światowej firmy ozdobnego katalogu, który każdy otrzyma darmo i opłatnie.

Marka fabryczna „IKO“. Główne zastępstwo fabryki zegarków „ZENITH“









Nr. 410. Nikl. Pat. Roskopf 36 godz. idący . . . . K 4·10
Nr. 1. Nikl. cylind. remont. . . . K 5·—
Nr. 719 Srebrny cylind remont. . . K. 7.80
Nr. 723. Prawdz. szwajcarski srebrny z fant. tarczą . . . . K 11·70

Nr. 865. Niklowy łańcuszek z wisiorkiem . . . K 1·—
Nr. 865. Srebrny łańc. 30 gr. . . K 4·40
Nr. 852. Srebrny łańc. 50 gr. . . K 6·—
Nr. 878. Double złoty z wisiorkiem K 7·70

Nr. 1064. Męski pierścionek srebrny pozłac. . . . K 2·70
Nr. 1068. Damski K 2·40
Nr. 1056. Obrączki ślubne srebrne K 0·90
nowe złoto . . K 2·80
praw. 14 kar. . K 7·80
Double Kreole . . K 1·50
K 1.80, złote . . K 3·80

Nr. 3. Metalowy anker rem. Roskopf z podw. kopertami . . . K 7·50
Nr. 3. srebrny z podw. kopertami . K 10·75
Nr. 780. Srebrny anker rem. podwójne koperty jak wzór . . . K 17·50

Wysyłka za zaliczką albo przedpłatą. — Niepodobające się wymienia lub zwraca za nie pieniądze! Olbrzymi wybór we wspaniałym katalogu!

K. R.

MACIERZ POLSKA.

I FUNDACYA IM. TADEUSZA KOŚCIUSZKI.

a. Wydawnictwa:

Nr.		K gr.
23.	*O budowie zagród włościańskich*, napisał M. Moraczewski (II. wyd.), z licznemi ilustracyami	— 40
40.	*Pan Tadeusz*, Adama Mickiewicza, broszurowany	— 20
	oprawny	— 60
41.	*O hetmanie Żółkiewskim*, napisał F. Papée (III. wyd.)	— 20
50.	*O Stefanie Czarneckim*, napisał W. Czermak (III. wyd.)	— 25
60.	*Rady dla utrzymujących buhaje rozpłodowe*, napisane przez M. S.	— 30
70.	*Pisma poetyczne Adama Mickiewicza.* (Ballady i Romanse. — Grażyna. — Konrad Wallenrod. — Wiersze wybrane 1817—1832) w broszurze	— 30
	w oprawie	— 60
71.	*O życiu i dziełach Adama Mickiewicza*, napisał Czesław Pieniążek (II. wyd.) . .	— 20
76.	*Tadeusz Kościuszko*, napisał Ant. Chołoniewski. Z 40 rycinami, 2 tablicami kolorowanemi, (II. wyd.) w brosz.	1 50
	w kartonie	2 —
77.	*O Maryi Konopnickiej.* Napisał dr. K. Falkiewicz	— 20
81.	*Dobry syn.* Bajka z przed lat tysiąca. Napisał Władysław Bełza, z rys. St. Dębickiego (wyd. nowe) broszur.	— 40
	w kartonie	— 70
82.	*Kilka chwil z naszych dziejów*, napisał M. Niedźwiecki	— 30
83.	*Kultura polska* zawiera: Historyę literatury polskiej, Dzieje budownictwa i rzeźby, Malarstwo, Muzykę, Rozwój ekonomiczny i społeczny w Polsce, w broszurze	8 —
	w kartonie	10 —
	w oprawie	12 —
86.	*Wyrób win owocowych i powideł* (II.wyd.) z licznemi rycinami. Napisał Józef Froń .	— 40
87.	*Drobne gospodarstwo wiejskie.* Poradnik dla młodszych gospodarzy i gospodyń. Napisał Śniegocki, w broszurze . . .	1 20
	w kartonie	1 70
88.	*Z żołnierki na Kaukazie.* Opowiedział na podstawie pamiętników Karola Kalinowskiego J. Ciembroniewicz	— 30
89.	*Pod trzeciego króla.* Napisał Jakób Bojko. Z rycinami	— 40
91.	*Puławy*, z licznemi ilustracyami i portretami, przez Wł. Jankowskiego w broszurze	1 —
	w kartonie	1 50
92.	*Za naszą i waszą wolność*, powieść z czasów powstania 1863 r., napisała Jadwiga z Łobzowa	— 50
93.	*Władysław Jagiełło jako opiekun miasteczka.* Wspomnienia z przeszłości Gródka Jagiellońskiego, spisał w rocznicę grunwaldzką Franciszek Jaworski	— 40
94.	*Księgi gruntowe*, napisał Józef Wilusz . .	— 20
96.	*O komasacyi gruntów*, tudzież o dzieleniu i regulacyi wspólnych gruntów, napisał B. F. Górski	— 40
97.	*Okruszyny z Gremboszowa*, napisał Jakób Bojko, z licznemi rycinami w broszurze .	1 20
	w kartonie	1 70
99.	*Piotr Skarga*, napisał K. Wojciechowski z 23 rycinami w broszurze	1 —
	w kartonie	1 50
100.	*Nowy projekt ustawy* o ubezpieczeniu społecznem. (Ubezpieczenie na wypadek chorób, kalectwa, starości i niezdolności do pracy) napisał dr. E. Dubanowicz . . .	— 10
101.	*Hugo Kołłątaj*, napisał E. Kipa w broszurze	1 20
	w kartonie	1 80
102.	*Tadeusz Czacki* i Krzemieniec, napisał Michał Rolle	1 40

b. Biblioteka:

Nr.		K gr.
3.	*O lesie i drzewach przypolnych.* Napisał Józef Brykczyński	— 20
4.	*O pogodzie.* Z 32 rysunkami. Napisał K. Szulc	— 50
5.	*Oko proroka.* Napisał Wł. Lubicz (II. wyd.) opr.	3 —
6.	*Rolnik wzorowy*, czyli przypomnienie, co kiedy i jak w gospodarstwie czynić należy. Napisał dr. K. Miczyński. (III. wydanie) w kartonie	2 10
	w oprawie	2 60
9.	*Warzywnictwo*, napisał A. Herget, przerobił i uzupełnił dr. T. Ciesielski (II. wydanie) w broszurze	— 60
	w kartonie	1 —
12.	*Wolne chwile*, powiastki i gawędy rozmaitych autorów polskich, wydał dr. Konstanty Wojciechowski, z 8 rycinami L. Winterowskiego (II. wyd.) w broszurze.	— 50
	w oprawie	1 —
15.	*O budowie i pielęgnowaniu ciała ludzkiego podczas zdrowia i choroby.* Napisał dr. H. Kowalski	1 60
17.	*Nad Niemnem*, powieść Elizy Orzeszkowej. Wydała A. Morzkowska (II. wyd.) z rycinami L. Winterowskiego w broszurze	1 —
	w kartonie	1 50
20.	*Jan Kiliński*, przez dra K. J. Nitmana (II. wyd.)	—

Nr.		K	gr.
21.	*O hodowli drzew i krzewów owocowych* przez J. Fronia (II. wyd.) w broszurze	—	70
	w kartonie	1	20
25.	*Jasiek sierota.* Obrazek dramatyczny w 1 akcie. Napisał Smotrycki	—	20
27.	*Kilka rad praktycznych* dla organizatorów teatrów ludowo-amatorskich, napisał J. Smotrycki (II. wyd.)	—	30
31.	*Co jeść i pić, aby być zdrowym?* Napisał Bron. Duchowicz	—	30
32.	*Lirnik mazowiecki Teofil Lenartowicz i jego utwory.* Napisał A. J. Mikulski	—	60
33.	*O gruźlicy.* Napisał dr. Stanisław Domański	—	60
35.	*Stanisław Staszic.* Napisał dr. Maryan Reiter. Z 5 ryc.	—	40
36.	*Spłacony dług.* Opowieść z 1831 roku. Napisała Walerya Szalaj, w broszurze	1	20
	w oprawie	2	20
37.	*Księstwo Warszawskie.* Napisał Bronisław Gebert	—	50
39.	*Choroby zakaźne*, opisał dr. St. Domański	1	—
41.	*Zbiór powieści i gawęd.* Ułożył Franciszek Krczek. Z 10 rycinami Witwickiego, w broszurze	1	50
	w oprawie	2	10
42.	*Wiersze, piosnki z naszej wioski.* Napisał Jantek z Bugaja	1	—
44.	*Powietrze ze stanowiska chemii i hygieny*, napisał Br. Duchowicz. Z rycinami	—	70
45.	*Juliusz Słowacki*, żywot i wybór pism, przez dr. K. Wojciechowskiego, broszurowany	1	—
	w oprawie	1	50
48.	*Hodowla ptactwa domowego*, przez L. Stasiniewiczową z rycinami, w oprawie	2	60
49.	*Rodzinny dom*, gawęda na progu chaty, napisała Jadwiga z Łobzowa	—	80
50.	*Śląsk cieszyński* i jego odrodzenie narodowe, napisał St. Warcholik	—	50
51.	*Wiązanka z chłopskiej niwy*, poezye chłopa z nad Wisły, Ferdynanda Kurasia	—	50
52.	*Z walk tatarskich*, napisał M. Niedźwiecki z 11 rycinami	—	30
55.	*Dziesięć lat niewoli moskiewskiej*, opowiedział Józef Ciembroniewicz	—	50
56.	*Wybór poezyi Jana Kasprowicza* z portretem autora	—	60
57.	*O Zygmuncie Krasińskim*, napisał dr. K. Wojciechowski w broszurze	—	70
	w oprawie	1	10
58.	*Astronomia popularna*, napisał dr. M. Ernst, w broszurze	1	20
	w oprawie	1	60
59.	*Perekińczyk*, obrazek z ziemi chełmskiej, napisał A. Powała	—	30
60.	*Z życia zwierząt* I. napisał Józef Ciembroniewicz, z 28 rycinami w broszurze	—	70
	w kartonie	1	20
62.	*Jasełka*, słowa i muzyka, napisała W. Szalayówna	—	40
64.	*Oszczędna gosposia*, przez Juliuszową Albinowską, opraw.	1	80
65.	*Czytanka dla służących* z licznemi rycinami	2	—
66.	*Ogród warzywny* w małem gospodarstwie i przechowywanie warzyw, napisał Józef Froń z licznemi rycinami; brosz.	1	—
	w kartonie	1	50
67.	*Za gwiazdą zwodniczą*, opowiadanie historyczne r. 1812, napisała Walerya Szalay	1	—
68.	*Przez Syberyę, Mandżuryę i Japonię do brzegów Oceanu Spokojnego*, napisał Julian Tokarski z mapką i licznemi rycinami, w broszurze	1	—
	w kartonie	1	50
69.	*Dzieje odkryć geograficznych* I napisał M. Gawlik, brosz.	1	20
	w kartonie	1	70
70.	*Wspomnienia żołnierza-tułacza* (1848—1863 napisał Pankracy Wodziński	—	50
71.	*Pszczelnictwo* napisał Karol Godzień	—	50
72.	*Z życia zwierząt* II. napisał Józef Ciembroniewicz, brosz.	1	—
	w kartonie	1	60
73.	*Napoje alkoholowe*, napisał B. Duchowicz	—	50
74.	*Rok* 1812 przez A. M. Skałkowskiego w broszurze	1	30
	w kartonie	1	60
75.	*J. I. Kraszewski*, napisał dr. Piekarski w broszurze	2	—
	w kartonie	2	60
76.	*Przez Pogrom*, napisał A. St. Bassara w broszurze	1	—
	w kartonie	1	50
77.	*Obrazki polskie* przez Wandę Studnicką	1	—
78.	*Krwawe dzieje*, historya powstania styczniowego, opowiedziała M. Mossoczowa	—	40
79.	*Dzieje odkryć geograficznych* II., (odkrycia czasów najnowszych), napisał M. Gawlik	1	50
80.	*Wspomnienia z powstania 1863 roku* i z życia na wygnaniu w Syberyi, spisał Kornel Zielonka	1	50
81.	*Kim był Karol Marcinkowski*, napisała H. Rzepecka	1	—
82.	*Bolesław Prus*, napisał Konstanty Wojciechowski	1	—
83.	*Książę Józef Poniatowski*, napisał Br. Pawłowski	—	60
84.	*Trzaska i Zbroja*, opowieść z czasów Kazimierza Wielkiego, napisała Antonina Domańska	—	50

Przy zamówieniu wystarczy podać numer porządkowy ze spisu wydawnictw „Macierzy" i ilość żądanych egzemplarzy.

Po dzieła adresować należy:

Administracya „Macierzy polskiej" Lwów, Gmach sejmowy.

FABRYKA WYROBÓW BETONOWYCH
i skład wszelkich materyałów budowlanych

ANDRZEJA GUZIKOWSKIEGO

w Krakowie, Rynek Kleparski 8. Telefon Nro 264 i 2544.

Utrzymuje: Portland-Cement opolski i krajowy, wapno hydrauliczne (Perlmoos), gips, cegły ogniotrwałe, papę ogniotrwałą i płyty izolacyjne, posadzki steingutowe, trzcinę sufitową i maty trzcinowe, dachówki, ter (smołę), carbolineum i Xerotikon, niezawodny środek do osuszania wilgotnych murów.

Wyrabia: Posadzkę terrazo i cementową w kilku formatach, schody terrazo, rury okrągłe cementowe o różnych średnicach, rynny betonowe z przykrywami.

Lecz nałogowe opilstwo,
nim nałogowy pijak ustawę naruszy!



Ratuj go, zanim alkohol jego zdrowie, chęć do pracy i majątek zrujnuje lub zanim śmierć ratunek niemożebnem uczyni.

COOM jest surogat za alkohol i sprawia, iż nałogowy pijak wyskokowe trunki sobie obrzydzi.

Coom jest zupełnie nieszkodliwy i działa tak wytężająco, iż również silno rozpite osoby nigdy do pijaństwa nie powrócą.

COOM jest najnowszy, co wiedza w tym względzie przyniosła i tenże już tysiące ludzi z potrzeby, nędzy i zagłady wyratował.

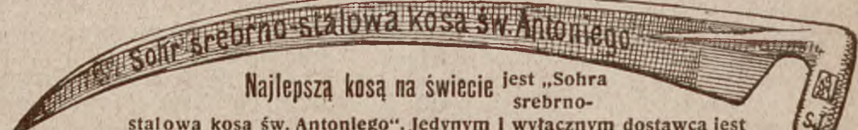
COOM jest lekkiem do użycia preperatem. który np. żona swemu mężow z kawą podać może, bez najmniejszego ze strony jego tego poznania. Prawie we wszystkich wypadkach nie wie dotyczący całkiem nic, dlaczego tak gwałtownie spirytusu znieść nie może, ale myśli, że nadmierne jego użycie było tego przyczyną, jak często niektórą potrwę można sobie obrzydz ć, jeżeli tą za często się używa.

COOM powinien każdy ojciec swemu synowi, studentowi dać, zanim przy egzaminie upadnie, jeżeli on pijaństwu nawet nie szczególnie jest oddany, to alkohol osłabia jednak ego mózg. Wogóle powinien każdy, kto swojej woli nie jest panem, od używania trunków wyskokowych się powstrzymać, jedną puszkę „COOM" zażyć. Tenże jest zupełnie nieszkodliwy. Dotyczący konserwuje przezto swoje zdrowie, i oszczędzi bardzo wiele pieniędzy, które na wino, piwo, wódkę lub likiery wydawał. Coompreperat kosztuje 10 koron i bywa wysełanym za poprzednią zapłatą lub za zaliczką tylko przez:

Coom-Instytut, Kopenhaga Nr. 726, Dania.

Listy należy 25 hal., kartki korespondencyjne 10 hal. markami listowymi opłacać.





Najlepszą kosą na świecie jest „Sohra srebrno-stalowa kosa św. Antoniego". Jedynym i wyłącznym dostawcą jest

JOZEF SOHR w Somogy-Szill Nr. 205 (Węgry)

„Srebrno-stalowa kosa św. Antoniego", wykonana ze specyalnej stali zmieszanej z najszlachetniejszym kruszcem, okrytym tajemnicą fabryki. 500 K. zapłacę temu, kto kosę św. Antoniego nabytą u innej firmy będzie mógł okazać. 1000 K. zapłacę temu, kto z pomiędzy 100 srebrno-stalow. kos św. Antoniego wyszuka dwie złe. Kto chce nabyć dobrą i użyteczną kosę, nie powinien u nikogo zamawiać ani kupować wcześniej, dopóki nie zażąda od sławnej w świecie firmy powyższej, illustrow. cennika, jaki wysyła każdemu na żądanie gratis i franko. Zażądać go też każdy może za pomocą pocztówki. Miesiące zimowe nadają się najlepiej do zamówień. Zbieracze osiągają korzyści! Gwarancya zupełna! Przy zamawianiu 10 sztuk jedna kosa gratis. Dostawa sumienna! Wielotysięczne listy uznania i powtórne zamówienia są do przejrzenia.

Marka ochronna

*Dyamentowo-stalowe BRZYTWY z 5-letnią gwarancyą K 3·—.

Wina

że dziecko lub cierpiący bez pomocy więdnie, jest tak wielka, że jej nie wziąłby nikt na swoje sumienie. Wątłym wychudniałym i chorowitym dzieciom przynosi Fellera prawdziwy dorszowy tran wątrobiany szybko ulgę, wzmocnienie, zysk na wadze i odporność na wszelkie choroby. Niedokrewne, szkrofuliczne i gruczołami dotknięte dzieci i dorośli bardzo chętnie go używają ponieważ żadnego smaku i zapachu nie ma. Karmiącym matkom przysparza mleka i świeżych sił. Pierwszorzędni lekarze oświadczają, że czystemu, ale rzeczywiście prawdziwemu tranowi wątrobianemu najlepszej jakości, jak jest ten, należy pierwszeństwo dać przed wszelkiemi mieszaninami i emulzyami, ponieważ w każdym razie więcej skutkujących składników posiada. 2 flaszki za 5 koron franko wysyła aptekarz E. V. Feller Stubica Nr. 710. (Kroacya).

Dumą

gospodarza jest chów bydła, ponieważ wskazuje to co umie i rozumie. Wielu gospodarzy jednak nie wie, że do utrzymania koni zdrowymi, aby tuczne bydło szybko na wadze uzyskało, kury więcej jaj nosiły i obficiej lepszego mleka się od krów dostawało, należy domieszka Fellera proszku odżywczego dla bydła z. m. „Elsa“ Tysiące gospodarzy używają go, ponieważ podnieca chęć do żarcia, popiera trawienie, umożliwia najlepsze wykorzystanie karmy, zapobiega zarazom i wzmacnia kości, żołądek i muszkuły. 5 paczek kosztuje 5 koron, 1 paczka jako dopakowanie kosztuje K 1. Jedynie prawdziwy u aptekarza E. V. Fellera, Stubica Nr. 710 (Kroacya).

B ó l

który nam nagiotek sprawia i męki, jakie przy każdym kroku doznajemy, łatwo uchylić można, jeśli nagniotek usuniemy. Jednakowoż nie nożem, ponieważ to łatwo zakażenie krwi spowodować by mogło, lecz szybko i łatwo usuwa się Fellera plastrem na nagniotki. Kosztuje tylko 1 koronę i tysiąc posłańców, żandarmów i turystów polecają go jako najlepszy środek. Jedynie prawdziwy u aptekarza

E. V. FELLERA, Stubica Nr. 710 (Kroacya).



ZA DARMO jędną kosę

otrzyma każdy przy zakupnie 10 sztuk srebrno-stal. kos koronnych. — Srebrno-stalowa kosa koronna cieszy się dzięki dobremu materyałowi wszędzie dobrem powodzeniem i jest przez wszystkich rolników i kupców uznaną za najlepszą. Nie potrzeba jej codzień klepać i za kilkurazowem pociągnięciem brusika ukosi nią 180—150 kroków. **Za każdą kosę daję pełna gwarancyę!**

cm.	57,	61,	66,	71,	76,	81,	86	91	96	101
Kor.	1·40,	1·50,	1·60,	1·70,	1·80,	1·90,	2·10,	2·30,	2·50,	2·90



Nowość! Maszynka do klepania kos. Nawet chłopak wyklepie nią każdą kosę jak najlepiej. — Przeklepanie niemożliwe. 1 szt. K 8·30, 3 szt. K 9·— 6 szt. K 16.— Młotek do tego 90 hal. Opłata pocztowa 80 hal. — **Na próbę za 6 kor.** wysyłam następujcy garnitur **z opłacona poczta: 1 koroną kosę dowolnie długą, 1 maszynkę szybko klepiącą, 1 dobry brusik i 1 pierścień do kosy.** Wysyłka tylko za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy lub za pobraniem pocztowem.

Centralna fabryka srebrno-stal. kos koronnych JULIUSZ FEKETE, Wiedeń 5.,— Schönbrunnerstrasse Roberthof 18—20.

NOWOŚĆ! Czy znacie kosy **patentowane**? Proszę zażądać specyalnego cennika Nr. 25, który wysyłam każdemu za darmo.

Tanie czeskie pierze!!!



5 kilo nowego, dobrego, dartego, wolnego od prochu kor. 9.60, 5 kilo lepszego kor. 12.—, 5 kilo białego, miękkiego jak puch, dartego kor. 18.— ; 24.— ; 5 kilo białego jak śnieg, miękkiego jak puch, dartego kor. 30.—, 36.—. 42.—. Puch szary à kor. 3.60, biały à kor. 5.40, biały jak śnieg à kor. 6—, kor. 6.60 za pół kilo.

Gotowa napełniona pościel

z czerwonego nankingu, dobrze napełnione, 1 pierzyna lub 1 spodnia pierzyna 180 cm. długa, 116 cm. szeroka kor. 10.—, kor. 12.—, kor. 15.— kor., 18.—, 2 metry długa, 140 cm. szeroka kor. 13.— kor. 15.—, kor. 18.—, kor. 21.—, 1 poduszka 80 cm. długa, 58 cm. szeroka kor. 3.—, kor. 3.50 i kor. 4.—, 90 cm. długa, 70 cm. szeroka kor. 4.50 i kor. 5.50.— Wykończenie również podług każdej podanej miary, 3 częściowe materace z włosów na 1 łóżko à kor. 27.—, lepsze kor. 33.—.

Przesyłka za pobraniem od kor. 9.— wyżej.

Przybory do łóżek

od 15 koron począwszy opłatnie, opakow. za darmo. 1 kołdra flanelowa około 190×140 cm., w kratki k. 2.90, w kwiaty 3.60, 1 kołdra tygrysia około 200×125 cm. k. 2.40, 1 kołdra z kutasami, do prania, około 200×150 cm., biała k. 2.80, k. 3.25, lolorowa k. 2.50, k. 3.05, k. 3.30. 1 prześcieradło bez szwu płócienne, około 200×140 cm. k. 2.20, k. 2.40, 1 flanelowe prześcieradło, kolorowe k. 2.10, 1 prześcieradło wojskowe, nie do zużycia, czysto-płócienne ze stemplem, około 200×140 cm. k. 2.75, próżne wsypy uszyte, jakoteż kołdry podług cennika.

Uzbrojenie państwowe.

Niepodobające się zamienia lub pieniądze zwraca!
Dokładne cenniki wszędzie za darmo i opłatnie.

Benedikt Sachsel, LOBES Nr. 777. koło Pilzna, Czechy.



Z pewnością jest ci wiadomem, że wszędzie mnóstwo środków bywa zalecanych, jako leczących wszystkie możliwe choroby! Lekarstw takich jednak nie ma, gdyż każde cierpienie wymaga innego lekarstwa. Gdy kto cierpi na nieregularną czynność żołądka, złe trawienie, zatwardzenie, zaflegmienie, nieprzyjemny smak, zgagę, nudności, kolkę, bóle głowy, zawroty, bezsenność i t. p. proszę nie używać środka, który ma leczyć wszelkie choroby, tylko proszę wybrać środek, który leczy wyłącznie cierpienia żołądkowe i tegoż następstwa. Takim środkiem są:

BRADY'EGO KROPLE ŻOŁĄDKOWE,

przedtem Maryacelskiemi kroplami zwane, które od dawna jako najniezawodniejszy środek domowy przeciw wszelkim niedomaganiom żołądka u dzieci i dorosłych, uznane zostały. Wielkie znaczenie ma, że ten specyalnie leczniczy środek na żołądek jest zarazem pewnym i przyjemnym środkiem zapobiegawczym przeciw chorobom żołądkowym i utrudnionemu trawieniu, co przez niezliczonych pacyentów zostało stwierdzone. Z powodu ulubienia BRADY'EGO KROPLI ŻOŁĄDKOWYCH u publiczności, bywają te wielokrotnie podrabiane. Aby tych podrabiań uniknąć są Brady'ego krople żołądkowe w różowym kartonie z marką ochronną z „Matką Boską Maryacelską“ i podpisem *C. Brady* wyrabiane, dlatego należy inne opakowanie jako fałszywe zwracać napowrót. Do nabycia w aptekach po cenie K —·90 za flaszkę i K 1·60 za podw. flaszkę, gdzie niema posyła wykonawca C. BRADY, APTEKA POD „KRÓLEM WĘGIER“, WIEDEŃ I., FLEISCHMARKT Nr. 2—247, bez kosztów do domu dostawione 6 flaszek za K 5·40 lub 3 flaszki podwójne za K 4·80.

Kapitał akcyjny 130 milionów koron.

WIEDEŃSKI BANK ZWIĄZKOWY

Filia w Krakowie, Rynek główny, Linia A-B, 44

przyjmuje wkładki w rachunku bieżącym na **książeczki wkładkowe** Większe kwoty wypłaca bez wypowiedzenia.

Podatek rentowy opłaca Bank z własnych funduszów. Kupuje i sprzedaje wszelkie papiery wartościowe i waluty, przyjmuje zlecenia na giełdy krajowe i zagraniczne pod najgodniejszymi warunkami.

KANTOR WYMIANY W LOKALU PARTEROWYM.

Fundusze rezerw. 43 milionów koron.

CZŁOWIEK NIEZYJE

z tego co spożywa, lecz z tego, co strawi. Jest to starą prawdą. Ale tak samo jest prawdą, że o wiele więcej ludzi wskutek jedzenia aniżeli głodu umiera. To czego strawić nie możemy, obciąża żołądek i jelita, a obciążanie to powoduje wiele cierpień i boleści w żołądku i jelitach ; przez nierugularną cyrkulacyę krwi często też i serce cierpi, następują wzdęcia, odbijanie się, wymioty, zgaga, miewa się nerwowe i febryczne uczucie itd. Możemy temu zapobiedz, jeśli przeciw temu użyjemy Fellera przeczyszczające pigułki z marką „Elsa-pigułki". Wzbudzają one apetyt, ułatwiają trawienie, uśmierzają kurcze, przeczyszczają, przez co czyszczą krew i chronią system trawienia przed dolegliwościami. Używaliśmy ich przeciw zatwardzeniu i słabej funkcyi jelit, jakoteż przeciw nieprzyjemnemu otyciu i i przekonaliśmy się, że żadnych nieprzyjemnych następstw nie powodują. 6 pudełek za 4 K, 12 pudełek 7.60 K, wysyła franko aptekarz E. V. Feller Stubica nr. 710 (Kroacya). Z własnego przekonania polecamy też bole uśmierzający Fellera wonny Fluid z esencyi roślin z marką „Elsafluid" jako wypróbowany środek domowy przeciw reumatycznym, podagrycznym i neuralgicznym bolom głowy, twarzy i całego ciała, przeciw bolowi gardła i piersi, przeciw nieprzyjemnym skutkom przeciągu i przeziębienia, do osiągnięcia zdrowego snu, silnych muskułów ścięgni i wzmacnia nerwy. 12 małe lub 6 podwójne albo 2 spec. flaszki 5 K., 36 małe lub 18 podwójne albo 6 spec. flaszki franko 12.40 K. Wystrzegamy się naśladownictw i zamawiamy prawdziwe preperaty u aptekarza E. V. Fellera w Stubicy nr. 710 (Kroacya).

SPIS RZECZY W KALENDARZU „ROLI“

Część kalendarzowa.

Legendy i opowiadania religijne. Str.

Opowiadania naukowe.

Wiersze.

Opowiadania i powiastki historyczne.

Powiastki.

Humoreski.

Ilustracye.

Rozmaitości.

Wódka francuska



Marka ochronna

aptekarza VERTES'A

jest w użyciu najskuteczniejsza i najwydatniejsz

Używaną bywa jako znakomity uśmierzający bóle i wzmacniający środek do nacierania i okładów z najlepszym skutkiem, specyalnie jako odświeżający siły dla osób wytężających swe nogi jak n. p. **turystów, listonoszów, żołnierzy, żandarmów, policyantów, kolejarzy, strzelców, wieśniaków, kolarzy,** i t. p. Niemniej znakomity **środek toaletowy,** wzmacniający cebulki włosowe i pielęgnujący jamę ustną: dalej wewnętrznie jako przyjemny i **orzeźwiający** środek n marszach i t. d. Wskutek swego niezawodnego działania w najrozmaitszych słabościach i wypadkach znajduje wielostronne zastosowanie, jak żaden inny środek, to też okazuje się niezwykle, stale zwiększające się zapotrzebowanie tej sławnej w całym świecie francuskiej wódki, która sobie wyrobiła we wszystkich krajach szerokie koła odbiorców. Należy jednak pamiętać, że tylko **aptekarza Vertesa wódka francuska** posiada powyższe zalety i strzedz się bezwartościowych i liczn reklamowanych naśladownictw.

Prawdziwa tylko z obok znajdującą się marką ochronną i nazwiskiem „Vertes".

Cena jednej flaszki 1 K 20 i 2 K 40 h. flaszeczka na próbę 36 halerzy

Celem możliwego ułatwienia sprowadzenia tego niezbędnego środka domowego, wysyła się za 7 K 20 h 3 podwójne, 6 pojedynczych flaszek, lub 20 flaszeczek próbnych franko do całych Austro-Węgier i do Niemiec.— Do nabycia wprost u L. Vertesa apteka „pod Orłem", Lugos Nr. 532, (Banat), oraz we wszystkich aptekach, drogueryach, handlach korzennych.

Polecenia godne środki domowe z apteki pod „Orłem" Lugosz Nr. 532 Banat.

Żołądkowe

cierpienia wszelkiego rodzaju: jak brak apetytu, złe trawienie, zgaga, obrzydzenie, wymioty, kurcze żołądkowe, jakoteż wszelkiego rodzaju cierpienia i niedomagania, leczy się **szybko** i gruntownie za pomocą **apt. Vertesa esencyi żołądkowej.** Flaszka 4 kor. opłacenie.

Pigułki

na przeczyszczenie apt. Vertesa są najlepszym, najskuteczniejszym środkiem a przytem zupełnie nieszkodliwym przeciw zatwardzeniu i tegoż następstwom. Dla tej zbawiennej skuteczności, znane są one w najszerszych kołach publiczności, jako środek domowy. Pigułki te można dostać na żądanie albo ocukrzone albo nie. Przesyła się pocztą opłatnie co najmniej jeden większy pakiet za poprzedniem nadesłaniem 2 K. 40 h.

Syrop

wapienno-żelazisty aptek. Vertesa usuwa flegmę, zmniejsza pot i ułatwia trawienie, wskutek tego wzmacnia siły **żywotne** i tworzy krew, a dla tych zalet jest polecenia godnym wszystkim cierpiącym na blednicę, bezkrwistość i suchoty. Flaszka 3 K. 50 h. opłacenie.

Kaszel,

chrypkę, cierpienia piersiowe i szyi, katar or**ganów oddechowych usuwa szybko i gruntownie** banacki sok ziołowy. Ten sok z najlepszych leczniczych ziół górskich południowych Węgier przyprawiony jest znamienitym środkiem przeciw zapaleniu błony płucnej, a dla swego przyjemnego smaku nawet dzieci go chętnie zażywają. **Flaszka 3 kor. 40 hal.** opłac. dla dzieci poniżej 10 lat 2 kor. 40 h. opł. Dla wzmocnienia kuracyi po uciążliwych, długotrwałych cierpieniach oddaje znakomite usługi **banacka** herbata zio**łowa.** Puszka 1 korona.

Sassaparilla

ekstrakt. Znakomity środek do przeczyszczenia krwi, zastosować go można przeciw gościowi i szkroflom, **przeciw wolu i zastarzałym** cierpie**niom skórnym,** wogóle przeciw wszystkim chronicznym cierpieniom z nieszystości krwi wynikłym. Flaszka 3 K i 5 K. opłacenie.

Słabości

wszelkiego rodzaju, jak: blednicę bezkrwistość omdlenia i osłabienia nerwów, leczy grunt**wnie dr. Hilla proszek.** 1 Puszka 6 K 25 opłacenie, 1 duble puszka 10 K, opłatnie.

Apteka pod „Orłem" Lugosz, Nr. 532, Banat, rozsyła na żądanie za darmo i opłacenie następujące **broszurki: 1) Spis wypróbowanych środków leczniczo-domowych; 2) Poradnik dla pielęgnowania** cer **3) Przepis** do **przyprawiania rumu, likierów** i **innych** napojów **palonych** w **drodze zimnej.** 4) Cennik **przyrządów chirurgicznych i materyi na bandaże.**

Wszelkie zapytania i zamówienia należy adresować dokładnie:

L. VERTES, apteka pod „Orłem" Lugos, Nr. 532, Banat.



Bezpośredni ruch niemiecki parowcami pocztowymi i pospiesznymi

Przewóz osób
do wszystkich części świata

zwłaszcza na liniach

Hamburg- Southampton-Cherbourg / Boulogne s. M.-Southampton -Nowy Jork
Hamburg-Filadelfia

Hamburg-Argentyna
Hamburg-Brazylia
Hamburg-Afryka
Hamburg-Persya
Hamburg-Arabia-Persya
Hamburg-Kanada

Hamburg-Kuba
Hamburg-Meksyk
Hamburg-Indye Zach.
Hamburg-Ameryka Środ.
Hamburg-Venezuela
Hamburg-Kolumbia

Hamburg-Francya
Hamburg-Anglia
Hamburg-Hiszpania
Hamburg-Portugalia
Genua-Nowy Jork
Neapol-Nowy Jork

z **Antwerpii** do:
Argentyny, Brazylii, Kanady, Indyj Zachodnich, Kuby, Meksyku

z **Hawru** do:
Brazylii, Indyi Zachodnich, Kuby, Meksyku, Ameryki Środkowej

z **Boulogne s. M** do:
Nowego Jorku, Argentyny, Brazylii.

Parowce linii Hamburg-Ameryka zapewniają znakomitą podróż, przy wybornem pożywieniu, zarówno dla podróżnych kajutowych jak międzypokładowych.

Podróże morskie dla przyjemności i wypoczynku:

Podróże naokoło świata
Podróże na Wschód
Podróże po Morzu Śródziemnem

Podróże na Północ do Drontheim, Islandyi, do Przylądka Północnego i Spitzbergu

Podróże do Ameryki Południowej
Podróże do Indyi Zach.
Podróże po Nilu.

Hamburg-Ameryka Linie Abteilung Personenverkehr **Hamburg.**
Generalna ajencya dla Galicyi: LWÓW, Gródecka l. 95.

DRUKARNIA EUG. I DR. KAZ. KOZIAŃSKICH — KRAKÓW.



TYGODNIK OBRAZKOWY KU POUCZENIU I ROZRYWCE

wychodzi w Krakowie rok ósmy, co tydzień, w objętości, co najmniej 20 wielkich stron druku — w kolorowej okładce, zeszyty i ładnie obcięty.

„ROLA“ jest najpoczytniejszem pismem polskiem, gdyż przynosi prawdziwą korzyść i rozrywkę. Nawet w najdalsze okolice Galicyi i Śląska przychodzi w piątek lub sobotę.

„ROLA“ Przynosząc ARTYKUŁY POWAŻNE, LEGENDY, POWIASTKI, OPOWIADANIA HISTORYCZNE i PRZYRODNICZE ORAZ HUMORESKI i dowcipy, potrafi każdego, kto ją tylko czyta, żywo zainteresować.

„ROLA“ oprócz wielkiej ilości utworów drobnych PROZĄ I WIERSZEM drukuje stale dłuższe **dwie powieści**, obydwie bardzo ciekawe, jedną HISTORYCZNĄ, drugą SENSACYJNĄ z OBRAZKAMI umyślnie dla »Roli« rysowanymi.

Oprócz działu poważnego i powieściowego często **z obrazkami** stara się »ROLA« przynieść swoim Czytelnikom duży zasób rozrywki. Znany i tak lubiany **Maciek Bzdura** będzie dalej umieszczał swe wesołe pogadanki, a oprócz tego od Nowego Roku 1914 zostaje dział humorystyczny :-: powiększony przez **Wesoły kącik.**

Jako osobliwość, której nie ma żadne inne polskie pismo, posiada »ROLA« :-: oprócz działu **Z tygodnia,** podającego Czytelnikom najnowsze zdarzenia polityczne także **Kronikę z obrazkami,** która przynosi wiadomości o najciekawszych wypadkach na całym świecie. **Zagadki z nagrodami** uzupełniają doskonale urozmaiconą całość.

Prenumerata roczna „ROLI“ wynosi w AUSTRYI 5 koron z Kalendarzem obrazkowym zaś 4 K 50 h. bez kalendarza, w Niemczech 6 koron, w innych krajach europejskich 7 kor. w Ameryce 10 kor. (2 dolary). Żądajcie numerów okazowych — wysyłamy je bezpłatnie.

Adres Redakcyi i Administracyi: »ROLA« KRAKÓW, ul. ŚW. TOMASZA 32.